ROK XX.
Ogólnego zbioru Tom LXXIX.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

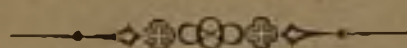
TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.
1895.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.



Zeszyt zawiera arkuszy 13.

Druk ukończono d. 4 lipca 1895 r.

PRZEZNACZENIE FILOZOFII
I POWOŁANIE FILOZOFÓW.

Był czas, kiedy miłość wiedzy uważano za jedno z obojętnością dla życia. „Spokój filozoficzny”, z którym mędrzec miał znosić ciosy nieszczęść, przechodził nieznacznie we wzgardliwe usuwanie się od targowiska interesów codziennych, a tylko czysto bezinteresowna kontemplacya świata, jego piękności i jego porządku stanowić miała godne filozofa zajęcie.

Nie ulega zaprzeczeniu, że owa bezinterowna miłość wiedzy dla niéj saméj, poszukiwanie prawdy dla prawdy, bez oglądania się na jéj następstwa, stanowi nietylko jeden z najpiękniejszych objawów natury ludzkiéj, ale jest koniecznym warunkiem rzeczywistéj i twórczéj pracy naukowéj. Tylko miłość dla idei abstrakcyjnéj podnosi człowieka na te wyżyny ducha, na których staje się zdolnym do działalności doniosłéj dla całego społeczeństwa, dla przyszłych pokoleń, wszystko jedno, czy ideą tą będzie prawda czy piękno, zasada społeczna czy ideał etyczny, naród czy ludzkość.

Jak dla artysty piękno jest jedynym i ostatecznym celem twórczości, a zadaniem sztuki jego wcielenie [1]), tak dla filozofa prawda

---

[1]) Nie chciałbym, aby słowa te były źle zrozumiane. Mówiąc, że piękno jest jedynym celem sztuki dla artysty, t. j. tego, kto je stwarza, nie staję bynajmniéj w obronie bezidejowości w téj dziedzinie; p i ę k n a bowiem nie może być tam, gdzie nie ma idei. To, co Kant nazywał „czystą czyli swobodną pięknością“,

jest punktem, ku któremu dążą wszystkie jego usiłowania, a wszelkie względy praktyczne, podnoszące jéj wartość w oczach gminu, obrażają tylko i poniżają jego czystą miłość dla téj idei.

Nigdy też tak pięknie i tak dumnie nie wygłaszano pogardy dla wszelkich prób narzucenia miary użyteczności wielkim aspiracyom filozoficznym, jak w epoce największego rozkwitu w okresie młodzieńczego zapału i męskiéj siły téj umiejętności.

W VII-éj księdze Rzeczypospolitéj Platona, Sokrates, zważywszy znaczenie wychowawcze nauki o liczbach i geometryi, pyta się swego współbiesiadnika, czy i astronomię mają zaliczyć do przedmiotów kształcących dla młodzieży.

— Tak mi się zdaje — odpowiada Glaukon; dokładna bowiem znajomość pór roku, miesięcy i lat nie mniéj jest potrzebną dla wojownika, jak i dla rolnika lub żeglarza.

— Naprawdę — mówi na to Sokrates — za wielkie to ustępstwo z twéj strony. Zdaje się, jakobyś się obawiał, iżby tłum nie potępił cię za przepisywanie umiejętności bezużytecznych. Najważniejsza zasługa tych nauk, których wartość zresztą nie łatwo jest dać odczuć, polega na tém, że ożywiają i oczyszczają organ duszy, oślepiony i przygaszony niejako przez inne zajęcia życiowe, organ, którego zachowanie jest tysiąckroć ważniejsze, niż zachowanie oczu cielesnych, gdyż jedynie przy jego pośrednictwie dostrzegamy prawdę.

Pytagorasowi zaś przypisują następujące słowa:

„Ludzie związani w społeczność oddają się rozmaitym zajęciom. Jednych porywa nieprzezwyciężony urok bogactwa i rozkoszy; drugich opanowywa ambicya władzy i zaszczytów; lecz najwyższym celem człowieka jest ogladanie piękności wszechświata i zasłużenie przez to na miano filozofa.”

Jeśli jednak dla samych filozofów poszukiwanie prawdy jest jedynym uprawnionym celem ich usiłowań, rozkosz badania i poznania jedyną pożądaną nagrodą, to socyolog nie może uniknąć pytania, w jaki sposób dążenia i usiłowania te splatają się w wyższą jedność z innemi objawami myśli i czynu dziejowego, jakie ich oddziaływanie na całość objawów społecznych, innemi słowy, jaka jest społeczna funkcya filozofii jako czynnika socyologicznego? Odpowiedź zaś na to pytanie ważne dla każdego filozofa, który chce świadomie określić

---

t. j. arabeski, desenie i t. d., może stanowić co najwyżéj żywioł „przyjemny“. Czas już porzucić razem z wyczerpanym sporem dający doń powód dwuznacznik „sztuka dla sztuki“ i zastąpić go świeższém i żywotniejszém hasłem: „sztuka dla człowieka“.

zadanie swoje, musi wpłynąć niezawodnie i na pojmowanie przezeń swego powołania, oraz przeznaczenia swéj umiejętności.

Z drugiéj znów strony, pojęcie „mądrości" nie wyczerpuje się samą wiedzą, prawdą poznania, lecz obejmuje szereg zasad przewodniczących postępowaniu i sądom naszym o zjawiskach życia. Nietylko dążenie do prawdy, lecz poszukiwanie i miłość dobra jest cechą mędrca. To téż od najdawniejszych czasów mędrcy byli prawodawcami ogółu.

Pojmował to i Pytagoras, który, określając filozofię jako „miłość mądrości", był jednocześnie założycielem rozległego stowarzyszenia, usiłującego wprowadzić w życie nowe, wyższe zasady moralności. Pojmowali to i późniejsi filozofowie, wciągając w zakres swych badań zagadnienia, dotyczące moralności, prawa, państwa i dążąc do wyrobienia ideału mędrca, t. j. człowieka, który najrozumniéj i najlepiéj zachowuje się wobec zagadnień życia.

Z tych więc dwóch stanowisk powinniśmy odpowiedziéć na pytanie o powołaniu filozofów.

Społeczną rolę filozofii wyjaśni nam zestawienie jéj z innemi gałęziami czynności umysłowych człowieka, oraz z przeznaczeniem społecznéın tych wytworów ducha.

Filozofia jest poglądem na świat, obejmującym całość myśli, uczuć i czynności ludzkich w jeden systemat umiejętny; poszukuje ona najwyższéj z dostępnych dla człowieka prawd, w przeciwstawności do częściowych prawd wiedzy opiéra się na ich krytycznéj ocenie, obok tego zaś obejmuje najogólniejsze zasady i probierze naukowe dla oceny ideałów sztuki, moralności i religii. Zajmuje więc stanowisko środkowe względem tych czynności ducha ludzkiego, ogniskując w sobie ich najwyższe zasady.

Wśród tych czynników społecznych religia i moralność mają znaczenie raczéj regulacyjne, oddziaływające przeważnie w kierunku zrównoważenia wpływów przy danym stanie społeczeństwa i podniesienia duchowego (a zarazem i podniesienia stopnia szczęśliwości) bez przyśpieszenia widocznego postępu w jakimś określonym kierunku. Przeciwnie, sztuka i wiedza są czynnikami, które najpotężniéj oddziaływają na postęp ludzkości.

Wiedza, poznając prawa i stosunki stałe, rządzące światem, daje możność kierowania nim przez przewidywanie *(savoir pour prévoir, afin de pourvoir)*, oddaje go w rozporządzenie człowieka. Sztuka, będąc wyrazem pragnień i marzeń ludzkości, jest kolébką ideałów, z których wyrastają następnie cele praktyczne i żywi ona i podtrzymu-

je ów popęd do coraz wyższéj doskonałości, który jest główną dźwignią postępu.

Filozofia, jako synteza jednéj i drugiéj, powinna obejmować syntetycznie środki i cele w dążeniach społeczeństwa ku postępowi.

Innemi słowy — czysto teoretyczny i osobowy [1]) ideał sztuki przetapia krytyka filozoficzna na praktyczny i społeczny, oceniając go ze stanowiska etycznego i badając pod względem konsekwencyi i możliwości wewnętrznéj, (t. j. o ile jego rozliczne wymagania nie stoją w sprzeczności z sobą ani z wymaganiami etycznemi). W ten sposób wytwarza się pewien ideał nowego uspołecznienia, a rzeczą już umiejętności społecznych jest ocena możliwości zewnętrznéj tego ideału, czyli możności przeprowadzenia go w życie wobec danych warunków społecznych i dziejowych.

Jak teoretyczna część filozofii zachowuje się wobec umiejętności szczegółowych, tak jéj praktyczna część wobec sztuki. Pierwsza przerabia w świetle krytyki i teoryi poznania częściową i niedoskonałą, jednostronną i sprzeczną z sobą ich wiedzę w jednolity umiejętny pogląd na świat, czyniąc w ten sposób zadość naszemu żądaniu do prawdy poznania [2]). Druga, z również jednostronnych i częściowych ideałów piękna, wytwarza ideał wyższego typu, ideał społeczny, jednościowy i zharmonizowany z etycznym, a w ten sposób zadawalnia nasze pragnienie społecznéj prawdy, prawdy w czynie i życiu, dając niemylne i powszechne pierwowzory dla jednego i drugiego.

Filozofia teoretyczna, pomimo, iż ma swój odrębny i wystarczający sobie cel—utworzenie poglądu na świat—zostaje, niezależnie od tego, w takim stosunku do praktycznéj, jak środek do celu, jak przygotowanie do wykonania, gdyż myśl jest tylko wstępem do czynu; a punktem szczytowym, ku któremu zdąża filozofia praktyczna, jest ocena ideałów zbiorowego życia, czyli filozofia społeczeństwa [3]).

---

[1]) Ob. „Sztuka, jako czynnik społeczny i dziejowy", „Ateneum", 1893, t. III, str. 611—613.

[2]) Ob. „Pogląd na świat, jako przedmiot badania umiejętnego", w „Ateneum", 1892, t. IV, październik

[3]) Podobne przekonanie co do społecznego znaczenia filozofii, a przynajmniéj w wielu punktach zbliżone, wypowiada Trętowski w dziele p. t.: „Stosunek filozofii do cybernetyki czyli sztuki rządzenia narodem" (Poznań, 1843):

„I jakiż jest stosunek filozofii do cybernetyki? Filozofia, uprawiając polityczną boskość swojego czasu i pokazując, jak dziś być powinno, lecz nie jest, wychowuje najbliższą przyszłość, a cyberneta i polityk rządzi teraźniejszością. Dziś jest cybernetyka rozkazującą panią, a filozofia także jéj służebnicą;

Przychodzimy więc w ten sposób do dwóch myśli, zaznaczonych już przez dwóch znakomitych filozofów przeszłego i bieżącego stulecia: Kant'a, i Comte'a; a mianowicie, popierwsze, do wygłoszonéj przez filozofa królewieckiego zasady pierwszeństwa rozumu praktycznego przed teoretycznym *(Primat der praktischen Vernunft* — innemi słowy, wyższość woli nad poznaniem, czynu nad wiedzą); powtóre, do nauki o socyologii, jako szczytowéj umiejętności w szeregu nauk pozytywnych, jako ostatecznym celu wszelkiéj filozofii — myśl szlachetnego reformatora filozofii i twórcy religii pozytywnéj, który w jednéj i drugiéj miał za cel główny i jedyny — związać wiedzę i wiarę z życiem, oddać obie na usługi ludzkości przez wyrugowanie z jednéj zagadnień niedostępnych dla umysłu ludzkiego, z drugiéj wierzeń i praktyk, przeszkadzających do szczęścia ludzkości, myśl wielką, zupełnie niezrozumianą, lub nie uznaną przez epigonów pozytywizmu.

Czy dotąd pełniła filozofia takie przeznaczenie w życiu? Czy zawsze je pełniła?

Dzieje odpowiedzą twierdząco na pierwsze, przecząco na drugie z tych pytań. Filozofia dopiero od niedawna zaczyna w całéj rozległości pełnić wytkniętą tu jéj rolę, ale niezawodnie raz wszedłszy na tę drogę, nie ustąpi z niéj.

Naród, który pierwszy stworzył filozofię, był téż i pierwszym, który powołał do życia politykę. Zastosowawszy rozum do pojmowania świata, Grecy potrafili go zastosować i do sztuki rządzenia. Oni téż wytworzyli instytucye państwowe, które jeszcze przed stu laty były uważane za najwyższy ideał w tym zakresie, które były natchnieniem demokratycznych przywódców rewolucyi francuskiéj.

W zaraniu cywilizacyi greckiéj „mędrcy", jak Solon, zostają prawodawcami.

A chociaż ani zamknięta heleńska „Rzeczpospolita" Platona ani przez Zenona nakréślony kosmopolityczny ideał w przeciwstawności do niéj wszechświatowego państwa nie stały się wzorami dla życia, nie mniéj jednak, jak zauważył to już Plutarch, dzieje wykonały mieczem Aleksandra Macedońskiego plany, nakréślone piórem Zenona, a Rzymianie dokończyli dzieła Macedończyka.

Lecz nastąpił czas, gdy filozofia z tronu mistrzyni życia spadła do roli służki, zapełniającéj wczasy próżniaczéj arystokracyi i plutokracyi, aby raz przez sofistów zachwiać podstawy wszelkich rozumnych

---

ale dzisiejsza filozofia jest panią cybernetyki jutrzejszéj, bo do niéj właściwie należy ochmistrzostwo nad tą młodą królewską córą" (str. 194).

instytucyi społecznych, a następnie przez epikurejczyków rozproszyć społeczeństwo na atomy, jak w nie rozdrabiała świat fizyczny.

I od tego czasu na długi szereg wieków złożyła ona berło swoje. Myśl państwa wszechświatowego tuła się po Europie przez pierwszą połowę wieków średnich, ale wszelkie ruchy postępowe, wszelkie ożywcze i nowe tchnienia społeczne wypływają odtąd z innego źródła— z religii, gdyż nie rozum ale wiara stała się teraz przewodniczką ludzkości.

Religia w wiekach średnich była całą mądrością; zastępowała ona filozofię dla osobnika, więc i w życiu społeczeństw musiała spełnić jéj funkcyę. To też każdy wielki przewrot w zakresie życia społecznego i politycznego poprzedzały reformy religijne lub przynajmniéj spotęgowanie uczucia religijnego.

Tak wojny krzyżowe, ruch husycko-taborycki i rozbudzenie patryotyzmu czeskiego, wyzwolenie Szwajcaryi, wojny Chłopskie i dążności demokratyczne „trzewika", wreszcie pierwsza rewolucya angielska zostają w najściślejszym związku z ruchami i reformami religijnemi.

Dopiéro w czasach nowożytnych filozofia zaczyna współdziałać z religią, lub ją zastępować w roli przewodnika na polu życia dziejowego. Już w wojnach chłopskich, a zwłaszcza w rewolucyi angielskiéj, współubiegają się wpływy humanizmu w pierwszych, filozofii angielskiéj XVII-go stulecia w drugiéj z reformą protestancką lub purytanizmem, a wyłączną władzę nad ruchem społecznym osiąga filozofia w wielkiéj rewolucyi francuskiéj, która odbywa się z hasłami wszechwładzy rozumu, pod natchnieniem filozofii oświaty.

Od téj pory filozofia nie wypuści zapewne z rąk swoich berła.

Niepraktyczność umysłu greckiego, więcéj skłonnego do lubowania się w pięknych kombinacyach myśli, niż do czynu, chętniéj zagłębiającego się w kontemplacyi, niż dążącego do potęgi i panowania czy to nad przyrodą, czy nad ludźmi, owa „nieudolność życiowa", jakby ją nazwał Płoszowski, objawiająca się w niskiéj technice przy wysokiéj wiedzy i kulturze, w tém, że żadne z państewek greckich nie urosło do wielkości, którą by można było bez uśmiéchu zaznaczyć na mapie i do mocy, która by mogła oprzéć się napływowi mniéj kulturalnych macedończyków lub Rzymian, nieudolność ta nie jest cechą plemion, dziś przodujących w cywilizacyi europejskiéj. A jakkolwiek dyletantyzm dekadentów dzisiejszych usiłuje zrobić z filozofii zabawkę próżniactwa swego na wzór sofistów i innych dekadentów starożytności, nie zniży się już Królowa Nauk do téj haniebnéj roli.

Wielkie podniesienie nastroju spekulacyjnego w pierwszéj połowie bieżącego stulecia nie zostało bez wpływu na wyrobienie idei de-

mokratyczno społecznych naszego czasu; ale idee te nie przybrały jeszcze kształtu ostatecznego. I potrzebny jeszcze jeden wielki wzlot zanim zdołają one ujrzéć życie:

A gdy dojrzeje cel stuleci —
Ostatni wzlot, co w ducha toni
Młodzieńczych pragnień ogień wznieci,
Oblicze Prawdy nam odsłoni

Schiller.

— prawdy przyszłego życia społecznego, oblicze nowéj idei dziejowéj.

Takie jest przeznaczenie filozofii; takie powołanie filozofów. Filozof nie powinien kochać mądrości tą platoniczną miłością, która zadawalnia się poznaniem, własną rozkoszą umysłową; filozofia nie powinna być dlań ucztą sybarytyzmu duchowego?

Powinien ją kochać tak, aby wydała owoce nauki; nie w siebie wchłaniać, lecz tworzyć jest jego zadaniem.

Filozof w dzisiejszém pojmowaniu — to publicysta w najszlachetniejszém znaczeniu tego wyrazu — a tu znowu zbliżamy się do myśli, któréj hołdowały największe duchy, przejęte miłością dla ludzi od Platona do St. Simona i Comte'a, myśli o filozofach, jako duchownych władcach społeczeństwa.

Idea ta, która w ręku sybarytów myśli, sceptyków i egoistów [1]) przybiéra postać karykaturalną, odzyskuje swoją wielkość i siłę, skoro tylko przywrócimy filozofii jéj poważne stanowisko, jako czynnika społecznego i dziejowego. A nie potrzebujemy, na wzór Comte'a, zakładać osobnéj władzy duchowéj, złożonéj z mędrców i decydującéj w sprawach myśli i przekonań, gdyż siłą myśli i przekonań filozofowie sami zdobywają owo stanowisko, zdobywają je niepostrzeżenie i prawie niechcący, przez to jedynie i wtedy jedynie, gdy głoszą prawdę.

---

[1]) Renan np. traktuje artystów i t. p., jako ludzi, bawiących siebie i innych; tak Angiolino mówi w „Kalibanie“:

„Je vous ai déjà dit, que l'artiste et tous ceux, qui réjouissent le coeur de l'humanité vivent d'aumônes. Leur part est la meilleure, leurs services sont de ceux qui ne se payent pas... Na co Jacinto odpowiada:

„Tu ne tiens pas compte d'une chose, c'est que nons nous amusons en même temps que nous travaillons. La besogne pour laquelle on nons paye, nons la ferions pour rien, pour notre plaisir“.

(Drames philosophiques, str. 42).

Zapewne bywają chwile, że namiętności zagłuszają głos myślicieli, bywają wypadki, że ludzie nieszczerzy i ambitni, nawet puści i próżni, opanowują trybunę. Ale, powiada jeden z najsympatyczniejszych filozofów naszéj epoki [1]), „prawda, chociaż i późno, przychodzi jednak dość na czas; albowiem ludzkość jeszcze nie umiéra. Szczęśliwe natury umieją uchwycić chwilę właściwą; ale myślący spostrzegacz nigdy nie ma prawa milczéć dlatego, że wié, iż, jak na teraz, tylko niewielu słuchać go będzie". A ucho tłumu wcześniéj czy późniéj odróżni rozbite brzęczenie fałszu od donośnego, dźwięczącego jak stal głosu tych, co zwiastują przyszłość.

Nie, nie dla swojéj zabawy [2]), ani dla zabawy innych piszą filozofowie!

Tylko oderwany od życia i nie pojmujący go filister może powiedziéć coś podobnego. Tylko ten, kto nie rozumié innéj władzy prócz brutalnego rozkazywania przy pomocy siły fizycznéj może zaprzeczyć panowania filozofów nad umysłami. Ale władza ta osiąga się tylko przez bezinteresowne oddanie się na służbę ludzkości i postępu, tylko przez poczucie powołania swego jako k a p ł a n a m ą d r o ś c i. I rząd ich powinien być czysto duchowy.

A im większą potęgę daje filozofom władza nad umysłami współczesnych, im więcéj w poczuciu powołania swego dążą — świadomie lub nie — do téj władzy, tém silniéj powinna przemawiać do nich odpowiedzialność, jaką przyjmują, tém staranniéj zamykać powinni umysł na wszelkie podszepty egoizmu lub stronności, kastowości i ciasnoty, tém świętszym obowiązkiem ich jest wytężać wszystkie siły ducha, aby ujrzéć czyste, niczém nieskalane i promienne oblicze Prawdy.

Zadaniem literatury jest wychowanie narodu; a w tém wzniosłém jéj przeznaczeniu pierwsze miejsce należy się filozofom i poetom.

Bo to, com tu powiedział o filozofach, stosuje się w znacznym stopniu i do poetów. Każdy prawdziwy, wielki poeta jest filozofem, który myśli symbolami zamiast pojęć, a pochwycić może przez intuicyę i oddać bezpośrednio w żywych i barwnych obrazach konkretnych, to, co myśliciel zdobywa drogą mozolnéj analizy i oddaje w syntezie naukowéj.

---

[1]) Fr. Alb. Lange. „Historya filozofii materyalistycznéj", t. II, str. 509.

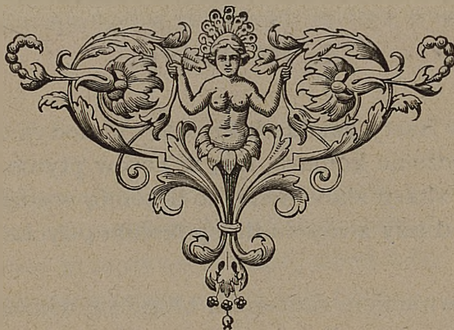
[2]) „Aussi n'est ce pas pour persuader, mais le plus souvent pour se distraire, que les philosophes pedent leur temps à écrire". Le Bon. „Lois psychologiques de l'Evolution des Peuples", 1894, str. 7.

Piękno jest harmonią świata, pojętą w symbolu i mycie, tak jak prawda jest tą samą harmonią, wyrażoną w pojęciach, a prawdziwe dzieło sztuki jest ideą zobrazowaną, ucieleśnioną i natchnioną życiem.

Na tém polega wielkie dziejowe znaczenie poezyi jako twórczyni ideałów [1]).

I ta lepsza część literatury zostaje jako trwała zdobycz w skarbnicy cywilizacyjnéj narodu; chwilowo zagłusza ją tartas i wrzawa dziennikarstwa; ale jednodniowe utwory jego szybko znikają razem z drobnemi celami, interesami, osóbkami, któremi się zajmują, a dzieła literackie coraz bardziéj oddalają się od tego tła hałaśliwego; służą one celom przyszłym i ogólnym i dlatego są trwałe, dlatego powszechne.

Wł. M. Kozłowski.



---

[1]) Por. „Sztuka, jako czynnik“ i t. d.

Z GŁĘBI DUSZY.

(Sonety).



I. Melodya.

W duszy harfy eolskie brzmią... Melodya cicha,
Jak brzęczenie komara, falą szmerów płynie,
Cichych skarg słabe echo, co drzémią w głębinie,
Chociaż duszy zwierciadło spokojem odycha...

Z rozrzewnieniem radosném błogo się uśmiécha,
Cała w łzawéj melodyi tony zasłuchana...
Upojona harmonią czarownego *piana*,
W jasności zachwycenia bezprzytomnie wzdycha...

Nie budźcie jéj... O, snuj się, nitko marzeń złota,
W szaréj przędzy parcianéj biédnego żywota,
Jak promyczek, co szarość chmurną rozwesela...

Nie budźcie jéj... Złudzenie tracić—tak boleśnie...
Boleśniéj, niż na wieki żegnać przyjaciela...
Niech odrobiny szczęścia zazna chociaż we śnie...

2. Modlitwa.

Cisza... Chłód ze ścian wieje wilgotnych grobowy,
Od poczerniałych sklepień, kamiennych filarów...
Chłodna nawa kościoła, jak skalisty parów,
Szemrze szeptem nabożnie pochylonéj głowy...

Nędzarz klęczy w półmroku... Z piersi rozmodlonej,
Jak ptak z klatki, westchnienie takie się wydziera,
Do jakiego pobudzić zdolna skrucha szczera...
W pierś się bije, w ekstazie modłów zatopiony...

W głębi nawy migocze niepewne światełko,
Bliżéj zwisa żyrandol, od świec bielejący,
W nim tęczowo się mieni szlifowane szkiełko...

Padł krzyżem na posadzkę, aż jękły kamienie...
Może zwilżył je cichych łez potok gorący,
Bo znów słychać w półmroku żarliwe westchnienie...

---

3. Orka.

Na odwieczerz chłop w polu kartoflisko orze...
Lemiesz kraje grunt lichy i skiby odwala,
Po policy przepływa miałkiéj ziemi fala,
A błyszczące żelazo sypką rolę porze...

Boso idzie za pługiem... Dwie wychudłe szkapy
Ciągną z trudem, aż im się naszelniki prężą,
Kiedy nogi zaryją i siły wytężą,
Zaorując szczerk lekki i piaszczyste sapy...

Chłop zawraca szkapięta... Rękawem koszuli
Z pobrużdżonego czoła muł znojny ociera
I daléj orze skrawek swój ziemi - matuli...

A praca czeka jeszcze go ciężka i długa...
Ach, na widok ten serce mi w piersiach zamiera...
Chciałbym lutnię w proch strzaskać i stanąć u pługa!

---

4 Czarny welon.

Pod nogami nam liście opadłe szeleszczą,
Pod wiatr szybko idziemy cmentarną aleją,
Drzew odarte gałęzie nad nami się chwieją,
Podmuchy czarny welon mojéj pani pieszczą...

Zadyszana, z welonem osłoniętą twarzą,
Z pod którego jéj oczy jak węgle świéciły,
Idzie szybko, a pośpiech dodaje jéj siły...
I mój smutek z jéj bólem cicho się kojarzą...

Kiedy nad grobem matki stała zadumana,
Odrzuciwszy zasłonę w tył z pobladłéj twarzy,
W sercu mojém krwawiła zabliźniona rana...

Szanując jéj zadumę, tuż za nią stanąłem
I na tym najszczęśniejszym ze wszystkich cmentarzy
Brzeg welonu ukradkiem do ust przycisnąłem...

Wacław Wolski.



PRZYPUSZCZALNE NASTĘPSTWA

SPRAW WSCHODNIO-AZYATYCKICH.

Idea „zjednoczonych stanów Europy“ jest do téj pory wyśmiewaną, a jednak tylko w związku państw europejskich leży najskuteczniejszy, kto wié nawet, czy nie jedynie możebny, środek obrony handlowych, przemysłowych, a nawet politycznych interesów Europy przeciw Wschodniéj Azyi.

Tém zdaniem kończy się wydana przed kilku tygodniami broszura pod tyt.: *Die Zukunft Ostasiens*, etc. (Przyszłość Azyi wschodniéj, przyczynek do historyi i dla zrozumienia wschodnio-azyatyckiéj sprawy). Autorem jéj jest p. W. von Brandt, cesarsko-niemiecki poseł *a. D.* (emeryt). Pan Brandt uchodzi w Niemczech za najlepszego znawcę stosunków Japonii i Chin, w obu tych krajach bowiem bawił lat kilkanaście bądź jako konsul generalny, bądź jako minister pełnomocny i sprawujący interesa niemieckie. Dziś używa on dobrze zasłużonego spoczynku. Przed miesiącem z polecenia cesarza został przywołanym do Berlina. Pan Brandt nie odznacza się wcale przyjaźnią dla Japończyków, oddaje wszakże sprawiedliwość wysokim ich przymiotom. Poglądy jego sięgają dość głęboko, jak widzimy z cytaty naczelnéj; sięgają też dość daleko.

Przyszłość jednak, którą statysta niemiecki wzrokiem swém ogarnia, może jest mniéj odległa, aniżeli się niejednemu zdaje. Zresztą, w tych śmiałych ostrzeżeniach, dawanych ludom naszéj cywilizacyi, wielu Anglików i Amerykanów wyprzedziło już Brandta. Amerykanie zwłaszcza w praktyczny sposób swoim obawom dali folgę, wydalając z Kalifornii i stanów oceanu Spokojnego, około 200,000 emigrantów chińskich, z którymi robotnicy miejscowi rady sobie dać nie mogli i konkurencyi nie wytrzymywali. Tak samo z Chińczykami postąpiła Australia. Napróżno Chiny protestowały, powołując się na traktaty, którymi Stany Zjednoczone poręczały swobodną obywateli Niebieskiego Państwa emigracyę; napróżno nawet groziły odwetem. Zakaz utrzymany został w całéj sile na brzegach oceanu Spokojnego. W New-Yorku jednak i innych stanach Atlantyku, Chińczycy mogą mieszkać i zarabiać, podejmując się wszelkiego rodzaju roboty za cenę dwa lub trzy razy niższą od cen, żądanych przez robotników europejskich i amerykańskich.

Od lat przeszło dziesięciu statyści i ekonomiści zachodni zwracają uwagę na tę konkurencyę i nie szczędzą ostrzeżeń, wykazując, że robotnicy europejscy, których wymagania coraz bardziéj rosną, nie mogą wytrzymać współzawodnictwa z chińskimi, gdzie tylko z nimi się zetknęli. Wyższość tych ostatnich wypływa z większéj pracowitości, oszczędności, wstrzemięźliwości, przestawania na małém, obywania się lada czém. Cechy te są wspólne ludom rasy żółtéj. W r. 1871 kilkadziesiąt rodzin koreańskich przeniosło się od brzegów zatoki Posieta do Kraju Amurskiego. Osiedliły się one nad górnym Amurem we wsi Blagosłowenskoje, odległéj od Chabarowska 328 wiorst. W r. 1893-im wieś ta miała już 1,090 ludności, a w tém 583 mężczyzn, zagród liczono 158, budynków 363. Koreanie ci przyjęli prawosławie, ale zachowali wszystkie swe dawne odrębności, właściwości, przesądy i zabobony. Porządek pomiędzy nimi wzorowy. Liczba ich powiększa się bardzo szybko, bo prawie o 5 procent rocznie, chociaż ziemi mają mało, bo tylko 1,300 dziesięcin. Niedostatku jednak nie widać u nich, bo ziemię bardzo starannie i rozumnie uprawiają. Jednakże jako robotnicy nie są wysoko cenionymi; kiedy bowiem Chińczyk - robotnik płatny jest w Władywostoku rubla, Koreanin dostaje tylko 80 kop. Ale i nad Amurem szybki wzrost liczebny napływu rasy żółtéj, równie jak jéj umiejętność zarobkowania, musiała zwrócić uwagę, bo od r. 1887 zabroniono wstępu korejskim emigrantom.

Dziennik władywostocki pisze, iż w każdéj wiosce koreańskiéj, których nad Amurem jest pewna liczba, bo przed zajęciem kraju

przez Rosyę już tam emigracya koreańska ciągnęła, znajduje się szkoła. W Korsakówce nauczycielem jest diak, a liczba dzieci uczęszczających do szkoły dochodzi do 60. W innych wioskach przeciętnie liczą na szkołę po 35 dzieci. Za niedbałość w przysyłaniu dzieci do szkoły rodzice płacą kary; pierwszy raz 50 kop., następnie więcéj. Tu i owdzie nawet dorośli Koreanie uczą się czytać po rusku. „Wszystko to bardzo pięknie, pisze dziennik władywostocki, warto, by ruskie gminy naśladowały te koreańskie. Szkoda tylko, że ci Koreanie trzymają się swych odrębnych zwyczajów, bardzo nieraz dziwnych. Tak np. chłopców dwunastoletnich żenią z dziewczynami ośmnastoletniemi, z któremi przez lat kilka ojciec chłopca żyje, zanim odda ową żonę synkowi."

W Władywostoku znowu spotykamy bardzo wymowny przykład, jak trudną na polu zarobkowém jest konkurencya z Chińczykami. Kupcy ruscy w kraju amurskim domagają się wydalenia kupców chińskich, których zabiegłość rujnuje współzawodników. W Władywostoku już dziś jest tylko 23 kupców ruskich, a 127 chińskich, których interesa kolosalnie się rozwijają. W Nikolsku o 104 wiorst na północ Władywostoku, pierwszy sklep chiński założony był w r. 1883-im, w roku bieżącym jest już takich sklepów 69, ale przez jedenaście lat 23 kupców chrześciańskich zbankrutowało. Konieczne to następstwo nierówności potrzeb i wymagań. Kiedy kupiec chrześciański w Władywostoku, by wyżyć, potrzebuje na towarze zarobić 20, 25 lub więcéj procent, Chińczykowi wystarcza na życie 5%; sprzedaje więc tenże sam towar o 20, 25 lub więcéj procent taniéj, ale sprzedaje go więcéj i kapitałem swym szybciéj obraca.

Jako kupcy, Chińczycy nie mają sobie równych pod względem obrotności, ruchliwości i pomysłowości. W Władywostoku z początku sprowadzali tylko towary z Chin, Korei i Japonii, w r. 1891 sprowadzili tych towarów 7,700 ton, w dwa lata późniéj w r. 1893-im sprowadzili go 15,300 ton, zatém ilość towaru podwoili. Jakiego gatunku i rodzaju był ten towar, szczegółów nie mamy; wiadomo jednak, że pod względem żywnościowym, chociaż zboże dostarcza do Władywostoku Odessa, ryż, którego konsumcya jest tam znaczna, sprowadza się z Chin, Japonii i Korei. Dostawcami mięsa są tylko rzeźnicy koreańscy za pośrednictwem kupców chińskich. Chińczycy zresztą bardzo prędko obliczyli, że sprowadzanie ruskich towarów może być także zyskownem. Na próbę w r. 1891 sprowadzili przez Odessę 46 ton, a w dwa lata późniéj 1,029 ton, czyli ilość dwadzieścia razy większą.

Szczegóły te i cyfry przytaczamy tylko jako wskazówki, czém jest kupiectwo chińskie, gdy raz się w jakiéj miejscowości osiedli. W Europie do téj pory przedstawiano Chiny i Japonię, jako wielkie targowiska, których całkowite otwarcie dla handlu poratowałoby cierpiący często na brak zbytu przemysł europejski, któremuby przybyło przeszło 400 milionów konsumentów. Dziś, po dokładniejszém poznaniu i tych ludów i ich zdolności, rzeczywistość nieco inaczéj się przedstawia. Nietylko coraz mniejszemi są zapotrzebowania owego rynku chińskiego, nietylko coraz więcéj wyrobów chińskich, a zwłaszcza japońskich, zaczyna się pojawiać na targach bogatéj Europy; ale handel i przemysł tak japoński jak chiński zaczyna najzupełniéj wypierać towar europejski z rynków bliższych, jak Singapore, Filipiny i inne ważne punkta oceanu Indyjskiego.

Japończycy zwłaszcza idą na czele w téj ekonomicznéj walce z Europą. Ich wyroby niektóre są lepsze od takichże europejskich, a tańsze, inne nie są gorszemi a taniością w osłupienie wprowadzają współzawodników, jeżeli zaś są stanowczo lichszemi, to za to niesłychanie niską ceną zdobywają sobie kupców pomiędzy ludami południowego wschodu Azyi, którym głównie o taniość chodzi, a u których dotąd wyłącznie Anglicy panowali.

Jako kupiec i robotnik, Chińczyk jeszcze się nie dał bezpośrednio poznać Europie; ale Amerykanie znają go z doświadczenia. „Na polu pracy, pisze p. Roussel Yong, kiedyś sprawujący interesa i przedstawiciel Stanów Zjednoczonych przy rządzie chińskim, jak tylko Chińczyk mógł z nami rozpocząć walkę, wszędzie nas z siodła wysadził, bez względu jakiéj natury była ta praca. Tak u nas (w San-Francisco i w Kalifornii), nie mogąc się od razu do czegoś lepszego docisnąć, Chińczyk zaczął od przemysłu prania bielizny i ten zmonopolizował; następnie zawładnął fabrykacyą cygar, daléj uprawą ogrodów, winnic, wziął się téż umiejętnie do rybołóstwa i handlu rybami, wyparłszy współzawodników. Oszczędny, przezorny, cierpliwy, Chińczyk jest zarazem bardzo przebiegłym w obracaniu pieniędzmi. Byłby więc z pewnością położył rękę na banki. Posiadał do tego środki i zmysł potrzebny. Na téj drodze z czasem cały handel na oceanie Spokojnym byłby przeszedł w jego ręce. Ameryka więc musiała chwycić się odmiennéj polityki, etc." To znaczy, że musiała wypędzić Chińczyków, zamknąć przed ich powrotem te brzegi swoje, owo brutalne wystąpienie pozorując względami moralnemi, w których szczerość nikt nie uwierzył.

Przed dziesięciu laty można było jeszcze posługiwać się podobnemi środkami. Ale po wojnie chińsko-japońskiéj i po

traktacie zawartym w Simonoseki, którego ratyfikacye zostały w d. 8-ym maja w Czifu wymienione, takie sumaryczne postępowanie stanie się niemożebném. Wprawdzie warunki tego traktratu jeszcze nie zostały urzędownie ogłoszone; wprawdzie prowadzą się jeszcze dalsze dodatkowe układy pomiędzy Japonią a trzema mocarstwami europejskiemi (Rosya, Niemcy, Francya, oraz zapewne i Chinami) w celu zmiany politycznych i terytoryalnych warunków tego traktatu, ale część ekonomiczna umowy z pewnością nie ulegnie zmianie i żadna z korzyści handlowych, zapewnionych japońskiemu zwycięscy, usuniętą nie będzie.

Pan v. Brandt przypuszcza nawet, że jednym z powodów wojny była chęć Japonii wywalczenia radykalnéj zmiany jéj stosunków handlowych z Chinami. Bez wojny i zwycięstwa Japonia nie byłaby nigdy osiągnęła handlowego celu swego. Chodzić tu może o zyskanie wielkich przywilejów w Chinach, bez udzielania odpowiednich Chińczykom w Japonii wynagrodzeń. W tych czasach Japonia prowadziła bardzo ważne układy handlowe z mocarstwami europejskiemi, dla siebie żądając zniesienia sądownictwa konsularnego w sprawach pomiędzy europejskimi i krajowymi kupcami. Sprawy te i procesa mają być rozstrzygane przez miejscowe japońskie trybunały. W tym celu nawet Japonia zaprowadza u siebie kodeksa i sądowe procedury, napisane przez znakomitego francuskiego prawnika, który kilka lat był profesorem na wydziale prawnym uniwersytetu w Tokio, a któremu pomagali japońscy prawnicy, wykształceni w rozmaitych uniwersytetach niemieckich, angielskich lub amerykańskich. Szczególniéj kodeks handlowy ma być znakomicie obmyślanym i wzorowo napisanym. Mocarstwa podobno gotowe są zadośćuczynić temu żądaniu Japonii, stawiającemu ten kraj na równi prawnéj z państwami europejskiemi. Przystają téż na zmianę taryf, ale stawiają pewne żądania. Pomiędzy temi głównéem ma być dopuszczenie ich poddanych do prowadzenia swych handlowych interesów wewnątrz kraju. Co do Europejczyków, Japonia na to się zgadza, ale nie chciałaby podobnego przywileju przyznać Chinom, w obawie, iż ten doprowadziłby do przejścia całego drobnego handlu wewnętrznego Japonii w ręce tych przybyszów. Ponieważ nie podobnaby było na drodze pokojowéj odmówić Chinom przywilejów przyznanych poddanym państw europejskich, Japonia, jak znowu p. Brandt przypuszcza, chciała to osiągnąć za pomocą wojny.

Przypuszczenie to nie bardzo się zgadza z prawie jednobrzmiącemi doniesieniami o warunkach traktatu pokoju, nie należy je-

dnak lekceważyć zdania tak doświadczonego spraw tych sędziego. Być może, iż mikado, udzielając Chinom prawa najbardziéj uprzywilejowanych u siebie narodów, potrafi jakiémś zastrzeżeniem obronić handel drobny i detaliczny swego kraju od groźnego napływu Chińczyków; ale rzecz dopiéro z czasem się wyjaśni. W wielkim przemyśle i handlu, które są głównie rzeczą Europejczyków, Japonia zdaje się być o siebie spokojną.

Jeżeli bowiem zadziwiła świat swym rozwojem politycznym i militarnym, jeżeli z tego powodu zaczęto ją zaliczać do rzędu wielkich mocarstw, to w ostatnim dziesiątku lat zrobiła tak nadzwyczajne w przemyśle postępy, że, jak się wyraża pan v. Brandt, „na wielu innych polach występuje nietylko jako równa Indyom (wschodnim) i Europie, ale je nawet przewyższa."

Powody tego postępu pan v. Brandt wylicza następne. Do roku 1875 rząd płacił wielkiéj i drobnéj szlachcie za odebrane jéj po rewolucyi ziemie lenne i przywileje stałą pensyę, który to wydatek w budżecie na r. 1875—76 wynosił $22^1/_2$ miliona yenów czyli 90 milionów marek niem. Te $22^1/_2$ miliona skapitalizowano (szczegóły opuszczamy) i ten kapitał w formie obligacyi skarbowych oddano pensyonowanym. Posiadacze tego kapitału włożyli go w przedsięwzięcia przemysłowe, do czego ich zresztą rząd zachęcał, inaczéj bowiem kurs obligacyi byłby spadł bardzo szybko i bardzo znacznie. Ponieważ w Japonii nie istnieje prawo opieki patentowéj wynalazków, można więc było sprowadzać najlepsze i najnowsze machiny po cenach stosunkowo niskich. Pomagało téż podpatrywanie i kopiowanie machin pokazywanych ciekawym japońskim inżynierom przez dobrodusznych fabrykantów europejskich.

Podstawą jednak najważniejszą tego niesłychanie szybkiego rozwoju była niezmierna taniość robotnika. Według raportu konsula angielskiego, z r. 1893 przeciętna płaca dzienna robotnika męskiego wynosiła w Japonii 17.4 sen (czyli centów dolara, czyli 37 fenigów niem., a 21 kop. złotem), kobiéty 8.9 (19 fen. niem., 6 kop. zł.). Dzień roboczy z odpoczynkiem obiadowym ustanowiony był na $11^1/_2$ godzin. Nie istniało téż zawadzające prawodawstwo fabryczne, a paliwo jest tanie. Gdzie trudności dowozu groziły podrożeniem materyału surowego, tam przemysł umiał się porozumiéć z towarzystwami żeglugi. Tak np. przewóz tony bawełny z Bombaju do Tokio kosztował 17 rupii; ale japońskie stowarzyszenie przędzalni bawełnianych zawarło z japońskiém towarzystwem żeglugi parowéj kontrakt, mocą którego to ostatnie zgodziło się na przewóz bawełny z Bombaju

po 13 rupii za tonę. Za to przędzalnie zobowiązały się przerabiać jedynie bawełnę, dostawioną przez owo towarzystwo żeglugi.

Wkrótce też powstała w Kanegafuki wielka przędzalnia o 35,000 wrzecion, w któréj dniem i nocą bez przerwy pracuje 2,160 mężczyzn i 3,700 kobiét w dwóch zmianach po 12 godzin, w co się liczy 40 minut na posiłek i 15 minut na zmianę odzieży po robocie. Dzienne wynagrodzenie kobiét w téj fabryce wynosi od $4^1/_2$ do 19 sen (9 do 38 fenigów niem., $2^1/_2$ do 12 kop. zł.). Część dziewcząt pracujących w fabryce znajduje pomieszczenie na miejscu w budynkach odpowiednio urządzonych, obiady też wydaje fabryka po cenie 4 fenigów, czyli $1^1/_2$ kop. złotem! Zaprowadzono daléj obowiązkową kasę oszczędności, w któréj każdy robotnik i każda robotnica składać musi co najmniéj 10 fenigów miesięcznie, gdy płaca miesięczna wynosi 4 do 7 marek (1 rubel 20 kop. do 2.10 r. zł.), od wyższych płac składka miesięczna wynosi 5%. Składki te zwracają się tylko w razie choroby albo opuszczenia fabryki. Oprócz tego istnieje kasa oszczędności dobrowolna, dająca 10 procent odsetkowego. Ta ostatnia kasa zaprowadzona w r. 1892 została tak doskonale przyjętą, że po roku ogólna suma wkładek wynosiła 3,600 marek, najwyższa na jedną osobę przypadająca składka 115 marek. We wszystkich fabrykach stan rzeczy jest taki sam, albo bardzo podobny.

Czyż wobec takich stosunków przemysł europejski może wytrzymać japońską konkurencyę? Nawet w Indyach wschodnich fabryki bawełniane, mające także bardzo taniego robotnika i materyał surowy na miejscu, konkurować z japońskiemi na wywóz nie mogą, a przynajmniéj bardzo to im ciężko przychodzi.

Następny porównawczy wykaz cen, po jakich sprzedają się już dziś w Singapore wyroby japońskie i angielskie jednego i tegoż samego rodzaju, lepiéj aniżeli obszerne rozumowania wyjaśni niebezpieczeństwa grożące europejskiemu przemyslowi:

	Japoński wyrób dolarów	Angielski wyrób dolarów
Zapałki pocierane, zwane bezpieczeństwa	14 —$17^1/_2$	25 — 32
zapałki siarczane	$11^1/_2$ —$13^1/_2$	angielskich nie sprowadzają
tkaniny jedwabne	— monopol	angielskie nie wytrzymują konkurencyi
parasole ordynaryjne	3 za tuzin	$5^1/_4$
„ jedwabne	$1^1/_2$ za sztukę	4
chustki i ręczniki	0.30	0.65
spódnice zwyczajne	2 za tuzin	4.60
zégary ścienne	$4^1/$	8.50

	Japoński wyrób dolarów	Angielski wyrób dolarów
zwierciadła drobne	0.60 za tuzin	11.25
kufry	$3^1/_2$ za sztukę	12

Oprócz tego Japonia wyrabia i wywozi doskonałe papiéry tak do pisania jak do druku, blachę miedzianą i mosiężną, druty wszelakiego rodzaju, mydło, piwo, wody mineralne, wszelkie tkaniny i przędze bawełniane, guziki metalowe, wszelakie wyroby pończosznicze, lampy naftowe i t. d. Wywozi też znaczną ilość węgla. W d. 15 kwietnia r. b. w Kioto otwartą została wystawa ogólna przemysłu i sztuk, o któréj korespondent londyńskiego *Times*'a donosi, że „nietylko wykazuje niesłychany postęp przemysłu japońskiego i rozwój niezrównany, pod względem szybkości prawie trudny do pojęcia, tak zaś potężny, że nietylko targ japoński już dziś za zamknięty dla europejskich wyrobów powszechnego użytku uważać można, ale że za lat kilka na rynkach zagranicznych, może nawet na europejskich, w wielu rodzajach wyrobów z miejscowym przemysłem, chociażby tylko taniością, konkurować będzie". Korespondent *Times*'a powiększył jeszcze znacznie listę wyrobów japońskich, z któremi już dziś konkurencya jest niepodobna.

Co do węgla i zapałek pociéranych, raport konsularny obejmuje następne ciekawe uwagi: „W tych dwóch artykułach Japończycy są wielce niebezpiecznymi współzawodnikami producentów angielskich. W téj chwili już im się udało wyprzéć zupełnie angielskie zapałki z wszystkich rynków Chin i cieśniny Makao. Dziwić się temu nie można. Zapałki pociérane japońskie sprzedają się tam po 8 pensów (20 kop. zł.) za wielki tuzin (gross). Towar jest wprawdzie po największéj części lichy i nie można zaprzeczyć, że się dostał na owe targi dlatego, iż Japończycy doskonale naśladowali znane pudełka i paczki angielskie, oszukując kupców miejscowych, nie umiejących czytać nadpisów. Dodać wszakże należy, że wyrób coraz staje się lepszy".

Szczegóły o wywozie japońskiego węgla pomijamy. Zaznaczymy tylko, że według raportów celnych w r. 1893 wywieziono z Japonii do Hong-Kong, Singapore i Indyi wschodnich 560,000 ton, do czego jeszcze dodać należy ogromne ilości węgla, zabiérane przez parowce niby na własną potrzebę, a właściwie dla sprzedaży. W Singapore w r. 1893—z powodu znanego, długotrwałego, prawie ogólnego bezrobocia węglarzy w Anglii, kilka większych kompanii żeglugi pozawiérało kontrakty na dostawy węgla japońskiego kilkakroć sto tysięcy ton wynoszące, po $5^1/_2$ dolara za tonnę. Przy-

puszczając, że węgiel japoński jest o 20% gorszy od najlepszego angielskiego, to w każdym razie, po strąceniu procentu, japoński będzie można mieć w Indyach wschodnich po 13 szylingów za tonnę, angielski zaś ledwo za 20 szylingów. Wielkobrytański *Royal-Colonial-Institute* bardzo się już tą sprawą w roku beżącym zajmował.

Więcéj jednak dała do myślenia téj wielkiéj ekonomicznéj instytucyi kwestya bawełniana, traktowana na posiedzeniu d. 12 lutego r. b. Kiedy bowiem w 1894 r. 67 przędzalni bawełny w Lancashire pracowało ze stratą 411,000 f. st., 21 takichże przędzalni japońskich w okręgu konsularnym Osaka-Hiogo dało w r. 1891 przeciętnie 17% dywidendy (najwyższa wynosiła 28, najniższa 8%). Raport konsularny z 1893 r. potwierdza téż owe cyfry, podając, że z 6 fabryk 2 w tymże roku dało 20% dywidendy, jedna dała 12, a dwie po 10%. Tenże raport donosi, że w 1893 r. było w Japonii czynnych wrzecion (spindel) 345,470, że waga nici, wyrobionych w pierwszéj połowie 1893 r. wynosiła 43,853,475 funtów, ilość przerobionéj bawełny 52,196,458 funtów, liczba robotników 5,780 mężczyzn, 19,219 kobiét z przeciętnym dziennym zarobkiem mężczyzn 16.7 cent. (10 kop. zł.), kobiét 8.42 cent. (niecałe 6 kop. zł.). Dni roboczych w półroczu liczono 150.

Według japońskich źródeł istniało w tym kraju przed rokiem bieżącym 1,006 towarzystw akcyjnych z kapitałem 101,762,349 dolarów (p. Brandt liczy dolar tylko po 2 marki niemieckie, zapewne dlatego, że stopa tych dolarów jest srebrna). Daléj idzie 131 banków narodowych z kapitałem 48,416,000 — kilka kompanii kolei żelaznych z kap. 73,124,000, 11 kompanii oświetlania elektrycznego z kapitałym nominalnym 2,477,250, na który wypłacono 1,674,713, 7 giełd meklerskich z kapitałem 2,700,000. Podajemy tu cyfry tak szczegółowo, nietylko jako ważny dowód zadziwiająco szybkiego rozwoju przemysłu w Japonii, opartego na najściśléj cywilizowanych zasadach; ale téż by wykazać, iż w tym kraju, przed trzema dziesiątkami lat uważanym za barbarzyński, rząd prowadzi statystyczną kontrolę nieskończenie ściśléj i rozumniéj, aniżeli to ma miejsce w niektórych państwach europejskich.

W ekonomicznéj działalności Japonii dzisiejszéj przedewszystkiém widoczna jest dążność do wyzwolenia się z pod obcego wpływu. Tak np. kraj potrzebuje dużo cukru, a sam go nie produkuje dotąd. W braku więc zakładają akcyjną rafineryę z kapitałem miliona dolarów, a w Yacgama na wyspach Liukiu istnieje już inna. Chodzi tylko o rafinadę z cukru surowego sprowadzanego, którego produkcya w Japonii kosztowałaby zadrogo. Kiedy 100 funtów

ang. takiego cukru w Saeumie kosztuje 7.36 dolarów, na wyspach Liu-Kiu kosztuje tylko 4.31, a na Filipińskich zaledwie 1.67. Formoza jest bardzo ważną pozycyą strategiczną, wyspą wielką i ludną, mogącą zostać bardzo bogatą przy administracyi uczciwszéj i rozumniejszéj od mandarynatu chińskiego, ale zarazem może dostarczyć cukru surowego dla całéj Japonii, która dziś przez Hong-Kong całą jéj cukrową produkcyę zabiéra. Cukrowa kwestya niemniéj od strategicznych względów wpływała na żądanie anneksyi Formozy. Ten nabytek zapewniłby téż Japonii monopol azyatyckiego handlu kamforą.

Statystów mikada zajmuje bardzo kwestya, czy Japonia, w któréj zapotrzebowanie żelaza coraz bardziéj wzrasta (od 80 do 130,000 ton), a po wojnie niezmiernie wzrość musi, wystarczyć sobie potrafi. Otóż p. Wada, b. dyrektor departamentu górnictwa, niedawno w towarzystwie geograficzném londyńskiém wykazywał, że w Chikuzen, Akita i Etezigo w trzech tylko miejscach odkryto już 30 milionów ton bardzo bogatéj rudy żelaznéj, a jeszcze ciągle nowe téj rudy pokłady odkrywają. Obrobienie téj rudy do téj pory wprawdzie jeszcze nie dawało żądanych korzyści, ale tylko z powodów postronnych. Do niedawna bowiem przewóz tony owéj rudy do Tokio kosztował 4.48 dolarów, dziś kosztuje 1.80 dolarów, cena téż węgla spadła niezmiernie, bo z 14 na 5 dolarów za tonę. Już w téj chwili niektóre fabryki żelazne japońskie nietylko robią dobre interesa, ale stawiają poważną konkurencyę dowozowi zagranicznemu, np. w wyrobie rur żelaznych.

Wogóle konkurencya azyatycka (Indye, Chiny, Japonia), jak dowodzi p. Brandt, wkrótce może się stać groźną dla przemysłu ogólno europejskiego. Wschodnio-indyjskie fakryki bawełniane już dziś są żywą i czynną groźbą tego niebezpieczeństwa. W r. 1877 wywóz bawełny indyjskiéj do Chin i Japonii wynosił tylko 28,628 bel, po 400 angielskich funtów wagi, w 1883 doszedł do 102,403 bel, w r. 1892 do 407,216 bel; odtąd zaczyna spadać zwłaszcza z powodu Japonii. W tymże czasie wywóz wyrobów bawełnianych indyjskich do Chin i Japonii podniósł się przeszło w czwórnasób. Cały ten rozwój nastąpił kosztem przemysłu bawełnianego angielskiego.

Ten przemysłowy rozwój Azyi, zwłaszcza Japonii a następnie Chin, jeżeli ostatnia wojna przebudzi je z letargu i wykaże korzyści z naśladowania Japończyków, z każdym rokiem stawać się będzie groźniejszym dla przemysłu europejskiego, coraz bardziéj ścieśnia przestrzeń jego zbytu, zapowiadając zalanie zczasem saméjże Europy jego wyrobami. Japońskie wyroby bywają dotąd liche, ale za

to tanie. Azya zaś przekłada tani chociaż gorszy wyrób nad lepszy ale droższy. Ale i Europejczycy nie są rozumniejsi; wiedzą o tém Niemcy, których wyroby, jakkolwiek na wystawach w Filadelfii i innych zostały uznanemi za liche *(billig aber schlecht)* tandety, znajdują pokup, bo są tanie. Wiedzą téż dobrze o tém Japończycy, przysyłający teraz rozmaitą pospolitszą tandetę, która w téj chwili w ogromnych ilościach jest rozkupywana w Europie, bo jest tania.

W Chinach do téj pory przemysł fabryczny rozwija się jeszcze bardzo powoli. Zaledwie kilka małych fabryk bawełnianych powstało około Szangai. Powód tego opóźnienia nietyle leży w charakterze i temperamencie Chińczyka, który jest i chciwy na pieniądz i rozumié, gdzie i jak zarobić go można. Powodem głównym są urzędnicy i władze chińskie. Władze starają się wszelkiemi środkami przeszkadzać udziałowi zagranicznéj inteligencyi i kapitału w przedsiębiorstwach przemysłowych miejscowych; urzędnicy zaś albo raczéj patentowani mandaryni, pragną dla siebie zmonopolizować wszelkie przedsiębiorstwa zysk jakiś obiecujące. Pozakładane dotąd przez rząd i władze chińskie arsenały i fabryki, nie mogą jednak poważnéj konkurencyi przemysłowi zagranicznemu przeciwstawić. Arsenałom brak środków obrotowych i zdolnych a uczciwych urzędników; fabryki zakładano bez względu, czy dochód przynosić mogą. Rząd centralny pekiński, jeżeli myśli o tych sprawach, dba tylko, by bilans handlowy wypadał korzystnie dla Chin. Igły np. są bardzo ważnym artykułem przywozu i wiele pieniędzy za nie z kraju wychodzi, więc warto założyć fabrykę igieł; szyny mogą być potrzebne dla kolei żelaznych, które się z czasem budować będą, więc się zakłada odpowiednią fabrykę. Nikt się jednak przytém nie pyta, czy Chiny mają żelazo i węgiel odpowiedni dla tego rodzaju wyrobu, czy materyał ten jest dość blisko, by go sprowadzać można bez zbyt wielkiego kosztu i strat? Dopiéro, gdy budynki są wzniesione i machiny ustawione, zaczynają mandaryni rządowi szukać materyału do przeróbki. Z mnóstwa takich przedsiębiorstw rządowych ledwo jedno daje jakie takie korzyści, mianowicie kopalnia węgla koło Tiencinu. Część musiano zamknąć, część wegetuje, podtrzymywana pieniędzmi wicekrólów. Wogóle tych fabryk, kopalń i innych tego rodzaju przedsiębiorstw jest dziś w Chinach nieskończenie mniéj, aniżeli było przed dziesięciu laty, bo tylko rząd je wówczas zakładał. Jeżeli jednak, jak obiecują, traktat pokoju między Japonią i Chinami otworzy Japończykom, ich inteligencyi i kapitałowi drogę do wnętrza Chin, jeżeli pozwoli im

osiedlać się tam, zakładać fabryki swobodnie.—Jeżeli takież same prawa otrzymają dla swych obywateli państwa europejskie.—Jeżeli Chiny zostaną porznięte kolejami żelaznemi od wschodu ku zachodowi, od północy ku południu, dokona się rewolucya, która złamie dławiącą potęgę mandarynatu i Chinom w téj walce ekonomicznéj zapewni miejsce arcypoważne, odpowiednio ich ludności i niezrównanemu zmysłowi kupieckiemu. Tego Europa, a przynajmniéj pewna jéj część, może sobie nie życzyć. Dla niéj utrzymanie w Chinach odwiecznego *status quo* gnicia, musi być najpożyteczniejszém. Dla téj części Europy więc usunięcie Japonii od jakiéjbądź przewagi i wpływu w Chinach jest koniecznością.

Szybki rozwój przemysłu japońskiego i przypuszczalność równie szybkiego rozwoju przemysłu chińskiego, wywarły silne wrażenie na fabrykantów angielskich. Zwłaszcza fabryki wyrobów bawełnianych od pewnego czasu już i bez téj nowej konkurencyi bardzo niedomagały z powodu współzawodnictwa wschodnio-indyjskiego. Indye postarano się sparaliżować. Rząd, naciśnięty przez angielskich przemysłowców, przeprowadził to w drodze prawodawczéj. Najprzód wydano ordynacyę fabryczną dla Indyi, następnie zamknięto mennicę indyjską, albo raczéj zabroniono jéj bicia srebrnych rupii. Wiele na tém przemysłowcy angielscy nie zarobili. Wydano tylko indyjskie fabryki na pastwę Japończykom, którzy nie znają żadnéj ordynacyi fabrycznéj i posługują się u siebie monetą srebrną. To im ułatwia produkcyę, robiąc ją tańszą. Dziś jeszcze następstwa tego błędu nie występują jaskrawo, ale niezadługo dadzą się bardzo uczuć fabrykantom angielskim.

Tu wkraczamy w kwestyę bimetelizmu; w Anglii bowiem mnożą się głosy dowodzące, że powodem osłabienia konkurencyjnéj siły fabrykantów wielkobrytańskich jest istniejąca dziś podstawa monetarna złota. Coraz liczniejsi bimetaliści angielscy dowodzą, że przywrócenie ściśle oznaczonego stosunku wartościowego między złotem a srebrem (dotychczasowy był $15^1/_2$ do 1) i zaprowadzenie podwójnéj podstawy monetarnéj jest jedynym środkiem ratunku nietylko przędzalni, ale całego przemysłu angielskiego. Instytucya kolonialna królewska *(Royal-colonial-institute)* bardzo pracowite przedstawia rządowi memoryały w tym przedmiocie. W lutym b. r. p. Whitehead, członek rady prawodawczéj w Hong-Kong, tak się w téj sprawie wyraził:

„Niepodobna przewidzieć, jak bardzo jeszcze spadną ceny wyrobów, ale, jak wiadomo, w przeciągu lat 25 spadły one o 40% w czterdziestu pięciu najważniejszych artykułach handlu. Tymcza-

sem ceny w srebrze dwudziestu najważniejszych artykułów, w roku 1893 były w Szangai takie same, jak w 1873. Ta niezmienność cen była wielkiém dobrodziejstwem dla Chin i Japonii i bardzo zwiększyła dobrobyt. Taką samą historyę opowiadają ceny w Indyach wschodnich. W Anglii handel i przedsiębiorczość są sparaliżowane; szerzy się brak zaufania, wstrzymujący od nowych przedsiębiorstw, skłaniający do zamykania dawnych. W wielu krajach wycofują kolosalny kapitał w złocie z korzystnych dotąd handlowych i innych przedsięwzięć w Indyach, w koloniach angielskich, w Chinach i w Japonii z powodu wielkiéj niepewności ceny srebra w złocie. Ta niepewność wstrzymuje kapitalistów angielskich od umieszczania swych pieniędzy w indyjskich kolejach żelaznych i w innych nader licznych a bardzo potrzebnych przedsięwzięciach, czekających na rozwój w naszych koloniach i w krajach o srebrnéj walucie. Przy stałym stosunku pomiędzy srebrem a złotem w krajach tych otworzy się niezmierzone pole dla bezpiecznego wkładu wielkich kapitałów na 7 do 8% rocznie. Z drugiéj strony złoto tu w domu daje tylko mały zysk (procent), który, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, jeszcze się zmniejszać będzie. Ciągle się ze wschodu wyciąga złoto, co angielskiéj własności bardzo zaszkodziło. Jednocześnie ze wszystkich stron świata złoto ciągnie do Londynu i do europejskich centrów finansowych. Należy to przypisać głównie różnicy stopy monetarnéj pomiędzy dwiema połowami świata. Na wschodzie srebro jeszcze dziś płaci tęż samą co dawniéj ilość pracy. Według zaś dzisiejszego kursu, srebro jest warte w złocie ledwo połowę tego, co kosztowało dawniéj. Możność najęcia taniéj pracy w krajach wschodnich nie ma granic. Miliony mężczyzn i kobiét cisną się tam do roboty za wynagrodzeniem dziennén, odpowiadającém 5 do 6 pensom w złocie (12½ do 15 kop. w złocie). Dlatego przemysł angielski musi zanikać w Anglii. Zastępować go będzie przemysł krajów z walutą srebrną; chyba, że albo my sami zmienimy nasze prawo monetarne, albo nasi robotnicy zgodzą się, by im płacę o połowę zmniejszono...“

Na témże samém posiedzeniu, popiérając teorye bimetalistów, przez wzgląd na niebezpieczeństwo od wschodu, od Chin i Japonii grożące, zrobił uwagę znany statysta sir Wm. Hunter, że nietylko różnica stopy monetarnéj wytwarza niebezpieczeństwo, ale, i to w większéj jeszcze mierze, wytwarza je odmienność stosunków ekonomicznych Anglii a dalekiego wschodu. „Mnóstwo ludzi widzi już w Chinach nowy targ dla wyrobów angielskich; jeżeli jednak ten kraj, na skutek ostatniéj wojny, naprawdę otwartym zostanie,

to Anglia w Chinach spotka nie kupca na swe towary, ale współzawodnika, który takie same towary wyrabiać będzie".

Zdanie to popartém zostało mnóstwem cyfr i przykładów, wziętych z Japonii, które pomijamy, ograniczając się do ostatecznego wniosku: „Wobec tych faktów i cyfr, wszystkie teoretyczne wywody wartość tracą. Poprostu chodzi tu tylko o ekonomiczną walkę, a z téj zwycięzcą wyjdzie i wyjść musi współzawodnik, pracujący taniéj, szybciéj i lepiéj. Że Japończyk taniéj pracuje aniżeli Europejczyk, bo o Amerykanach nie ma nawet co mówić, tego dowiodły najściślejsze obrachunki sprawozdawcze; że pracując po 22 godzin na dobę (w dwóch zmianach) może pracować prędzéj, aniżeli przy dniu ośmiogodzinnym bez zmian, każdy zrozumié. Chodzi tylko o to, czy Azyata może równie dobrze jak Europejczyk, albo lepiéj od niego pracować? Co do Japończyków, raport konsularny takie daje zdanie: „Jedynie tylko co do siły muskularnéj robotnik japoński obojga płci może być uważany za niższego od robotników angielskich, ale pod względem lekkości ręki, giętkości i zręczności palców, jest on od angielskiego nieskończenie wyższym. Obok tego robotnik japoński jest łatwiejszym do kierowania. Bezrobocia i zmowy przeciw pracodawcom do téj pory są tam nieznane, a biegli, którzy mieli sposobność rozpatrzyć się w fabrykach japońskich, zbadać tkacką pracę kobiét w tychże fabrykach, nie mogli dopatrzéć żadnéj różnicy pomiędzy ich robotą, a robotą najlepszych tkaczek z Lancashire".

To, co się mówi o Japończykach, stosować można, i to niekiedy w jeszcze wyższym stopniu do Chińczyków. Nienawiść, z jaką robotnik chiński jest prześladowany przez białych robotników w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w koloniach australskich, nie wypływa wcale z jakichś etycznych przyczyn, ale z zawiści chlebowéj, z obawy przed tym żółtym współzawodnikiem, który nieskończenie taniéj, a często lepiéj od białego współzawodnika pracować umié.

P. v. Brandt ostrzega Niemców, że już w téj chwili ich wyroby na targach chińskich nie wytrzymują bez straty współzawodnictwa z japońskiemi. Co będzie daléj? Co będzie, zwłaszcza, gdy i Chiny także do téj ekonomicznéj walki, odpowiednio uzbrojone, wystąpią? Tak zaraz to nie nastąpi, ale nastąpić może prędzéj, aniżeli tego pragnąć może Europa i jéj przemysł, jeżeli Japonia zdoła utrzymać przewagę moralną i polityczną w Chinach i te wciągnąć na tory polityki: Azya wschodnia dla wschodnich Azyatów.

Więcéj o tych sprawach będzie można powiedzieć, gdy ogłoszone zostaną warunki pokoju, zwłaszcza dotyczące stosunków handlowych, o których dzienniki zachodnie, zwłaszcza angielskie, wiele pisały, twierdząc, że warunki te otworzą nareszcie całkowicie Chiny dla reszty świata.

Nim to nastąpi, przemysł i handel europejski mogą ucierpieć z innego, niż konkurencya, powodu. Chiny muszą zapłacić kontrybucyę wojenną Japonii. Suma dotychczas nie jest wiadoma, w każdym razie będzie znaczna. Muszą więc zaciągnąć pożyczkę w Europie. Dla kapitalistów europejskich interes to bardzo korzystny, bo procent będzie wysoki, równie jak komisowe dla bankierów. Już w téj chwili tworzą się międzynarodowe syndykaty bankierskie, mające między siebie rozdzielić ten interes. Ale jakkolwiek Chiny do téj pory bardzo sumiennie wywiązywały się z zobowiązań względem swych państwowych zagranicznych wierzycieli, nie posiadają jednak tak ugruntowanego kredytu, by mogły otrzymać potrzebny im teraz miliard czy nawet dwa milardy franków bez dania wierzycielom jakich materyalnych rękojmii, bez zastawienia im którego z dochodów państwowych, bez oddania im tego dochodu w zarząd. Chiny już nieraz w ciągu ostatnich lat czterdziestu zaciągały pożyczki. Z dawniejszych byłyby całkowicie spłaciły resztę 450,000 f. szt. w czerwcu r. b., gdyby nie wojna. Na tę wojnę zaciągnęły dwie pożyczki, jedną 7-procentową srebrną w grudniu 1894 r. w sumie 1,635,000 f. st., drugą 6-procentową złotą w sumie 3,000,900 f. st., zaciągniętą w lutym 1895 r. Tak owe dawne, jak te świéże pożyczki zahypotekowane były i są na cłach morskich, administracya zaś tych ceł została oddana urzędnikom Anglikom. Głównym naczelnikiem tego wydziału jest sir W. Hart, rezydujący wraz z swém biurem w Pekinie i przez swych dyrektorów, także Anglików, a niekiedy Niemców, zarządzający komorami w każdym z dwudziestu dwóch traktatowych, to jest dla handlu europejskiego otwartych, portów.

Dochód z ceł jest największą po podatku ziemskim częścią ogólnego dochodu państwowego, obliczają go bowiem na 23 miliony taelów, tamtego zaś na 35 milionów. Razem oba te podatki stanowią 58% całego dochodu, jaki przypada rządowi, obliczanego na 100 milionów taelów, czyli 15 milionów funt. ster., albo 375 milionów franków. Ponieważ na cle ciąży już pożyczka blisko 7 milionów funtów sterlingów, potrzebaby chyba zastawić podatek gruntowy. W takim razie jednak z czegoby żył rząd chiński, któremuby zostało zaledwie 42 miliony taelów? Przypuszczają jednak, że nastąpi

zjednoczenie długów, że wszystkie razem zahypotekowane będą, jak bywały dawne, na dochodzie z ceł, ale że te cła na towary europejskie zostaną podwyższonemi. Cło w Chinach płaci się srebrem i wynosi 5% *ad valorem* (od wartości towaru). Otóż rząd chiński dawno już postrzegł, że, przy dzisiejszém obniżeniu wartości srebra, owe 5% w srebrze rzeczywistéj dzisiejszéj wartości towaru nie przedstawia, lecz zaledwie jéj połowę. Zażąda więc zapewne podwojenia tego cła w srebrze, albo płacenia go w złocie, jako to robią dziś u siebie Austrya i Rosya, co na jedno wyjdzie. Rządy europejskie może nawet na to chętnie się zgodzą, bo podobne podwyższenie dochodu zwiększy siłę kupną rządu chińskiego. Rząd ten zaś w téj chwili potrzebuje setek milionów franków na kupno dział, karabinów, wszelkiéj amunicyi, a zwłaszcza okrętów wojennych. Wiadomo bowiem, że całą flotę, która go tyle czasu, zachodu i pieniędzy kosztowała, zabrali lub zniszczyli Japończycy. Z drugiéj jednak strony, tak to podwyższenie ceł zagranicznych, jak różnych wewnętrznych opłat, dotknie kupców europejskich albo bezpośrednio, albo pośrednio, paraliżując siłę zakupową krajowców.

„Nie ma wątpliwości, pisze p. Brandt, że handel i przemysł europejski wkrótce, przez zwiększenie koniecznych wydatków rządu, będzie zmuszony z własnéj kieszeni płacić i pokrywać deficyta skarbu pekińskiego. Większa zaś część tych z Europy ściąganych kapitałów pójdzie, w formie kontrybucyi wojennéj i t. p. na korzyść Japończyków, najgroźniejszych Europy współzawodników, a ich środki działania niezmiernie podniesie. Czy handel i przemysł Europy będzie wdzięczny tym, którzy pomagali do osiągnięcia podobnego rezultatu, wątpić można."

Angielscy kapitaliści i przedsiębiorcy, pocieszają się dość uzasadnioną nadzieją, że Chiny potrzebować będą kolei żelaznych, że zaś rząd pekiński jest zbyt ostrożny, by się sam na własną rękę w podobne przedsięwzięcia bawił, więc musi znieść dotychczasowe zakazy, że przestanie bronić drobnego przemysłu, że pozwoli tworzyć wielkie kompanie i spółki akcyjne, do wykonywania wielkich robót, zakładania wielkich fabryk, czy to cudzoziemskim kapitałem, czy téż połączonym z chińskiemi kapitałami. Podstawa dotychczasowa ekonomicznéj polityki Chin była najściśléj narodowa. Wszelkiemi siłami starano się bronić kraj od wyzysku przez cudzoziemców. Pan v. Brandt przypuszcza, że i po wojnie ten system nie ulegnie zmianie. To przypuszczenie może jest w części i życzeniem piszącego, bo na zmianie dzisiejszego stanu rzeczy Niemcy nicby jeszcze zarobić nie mogły. Prędzéj narażonemi byłyby na straty!

W Londynie wszakże inaczéj na rzeczy patrzą. Na dorocznym bankiecie Towarzystwa chińskiego *(China-Assotiation)* w dniu 26 lutego r. b. sir Ryszard Rennie, b. sędzia najwyższy w Chinach (dla sądów konsularnych) i prezes towarzystwa, pomiędzy innemi z takiém wystąpił zdaniem: „Chiny będą potrzebowały bardzo dużo piéniędzy? Jak je dostaną? Rękojmia ceł aż nadto wystarczała dla dotychczasowych pożyczek, ale z pewnością nie będzie uważana za wystarczającą dla sum znacznie większych, których Chiny w Europie szukać muszą. Sądzę, że na to żądanie Chin, finansiści europejscy odpowiedzą pytaniem: Jakie rękojmie bezpieczeństwa i pewności proszący przedstawić mogą? Sądzę daléj, że finansiści europejscy na chińskie żądanie piéniędzy odpowiedzą żądaniem koncesyi na koleje żelazne, telegrafy, kopalnie, fryszerki. Jeżeli zyskają odpowiedź przychylną, będzie to dla finansistów angielskich doskonała sposobność, by wyzyskać jak należy położenie."

W tym samym duchu, chociaż z innego stanowiska przemawiał także inny dygnitarz, a doskonały spraw chińskich znawca, p. Hannen, dzisiejszy najwyższy sędzia w Chinach. O tych poglądach angielskich także powiedziéć musimy, iż podstawą ich jest życzenie i to życzenie, posiadające środki przymusu, leżące w sile śmiałości i rzutności kapitału angielskiego. Wielka Brytania musi sobie powetować te, pośrednie wprawdzie ale bardzo poważne, straty, jakie jéj stanowisko wskutek zwycięstw japońskich poniosło. Zwycięstwa te, nie przesądzając ich wcale, zmuszają W. Brytanię, podobnie jak i Rosyę, do bardzo znacznego powiększenia swych sił na wschodnio-azyatyckich wodach, może nawet w Hong-Kong i Singapore, zwłaszcza po oddaniu Japonii Formozy. W. Brytania więc wszelkiemi sposobami będzie usiłowała wzmocnić swe położenie w Chinach, południowych zwłaszcza, tak pod względem politycznym, jak handlowym i strategicznym.

Pan v. Brandt przypuszcza, że usadowienie się Japończyków w Formozie powiększy kłopoty Francyi w Tonkinie, że Hiszpanom na wyspach Filipińskich, podobnie jak portugalskim i holenderskim posiadłościom na oceanie Indyjskim zagrozi. „Bo lud to waleczny, rzutny i do awantur skłonny, powiada Griffi w swém dziele *Micado's Empire*, opowiadając zabory tego ludu, który jeszcze w drugiéj połowie XVI-go wieku bardzo daleko swe zagony zapuszczał, a na morzu wówczas tak się rozwielmożył, iż trudno uwierzyć nam, co go znamy jako lud, przyrosły do swych brzegów. Wówczas w swych wyprawach czy dla odkryć, czy dla handlu, czy dla rozbojów morskich sięgali Japończycy do Indyi, Siamu, Birmy, Filipinów, do

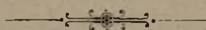
archipelagu malajskiego i wysp Kurylskich, etc.” Czy dla Japonii wrócą podobne czasy? Czy Japończycy marzą o podobném ich sławy i potęgi wskrzeszeniu? dziś nikogo obchodzić nie może. Historya tego kraju i narodu jest niezmiernie ciekawa, ale podobne wskrzeszenie przez p. Griffi Niemcy nazwaliby spotęgowaną *Zukunft Musik*. Dziś szczęśliwa wojna, rozumnie przygotowana, a mężnie i z talentem przeprowadzona, dała Japonii stanowisko wielkiego mocarstwa wschodnio-azyatyckiego. To świéże mocarstwo ma obok siebie cztery wielkie mocarstwa: Chiny, Rosyę, W. Brytanię i Stany Zjednoczone Ameryki Północnéj. Wykręcanie się pomiędzy temi czterema—praca to nie mała, chociaż ułatwiona znaném tych państw współzawodnictwem. W téj chwili najważniejszym z tych czterech sąsiadów są dla Japonii Chiny. Jeżeli z niemi potrafi żyć w zgodzie, jeżeli, jak głoszą, zdołała już nawet zawrzéć jakiś traktat tajny, co zdaje się bardzo wątpliwém, w takim razie rasa żółta stać się może znowu, i to dość rychło, niebezpieczną dla Europy nie na drodze wojennéj, jak bywało dawniéj, ale na drodze ekonomicznéj, którą staraliśmy się zaznaczyć w tym szkicu.

Józef Kenig.



BIEDRONIE.

POWIEŚĆ *).



VIII.

Biedronie zostali sami w chacie i obejściu. Wszystko wróciło do dawnego trybu, lecz czuć było straszliwą pustkę. Stary stał się jeszcze bardziéj ponury, w ciężkiéj pracy szukał ratunku. Stara osiwiała i prawie zaniemówiła...

Ludzie unikali Biedroniowéj zagrody, jakby zapowietrzonéj. Organista tylko się zjawiał, rozprawiał, radził i odchodził, a po nim Biedroń szedł do kościoła, krzyżem leżał, spowiadał się i znosił kościołowi, co mógł, cielęta i zboże korcami. Lecz jakoś się nie rozpogadzał, sumienie nie przestawało go jeść.

Na jesień wszedł do służby Kasper Biedroń, syn po nieboszczyku bracie starego, chłopak cichy, spokojny, milczący, jak wszyscy Biedronie, o chciwie zaciśniętych ustach i bystrém, przenikliwém spojrzeniu, mały lecz krępy, twardy jak krzemień, mocny jak sama siła...

— Ten nauczy chciwca—mówili ludzie--to nie Jaś...

Lecz Kasper nie chciał nikogo uczyć. Jadł za jednego, a robił za czterech. Robota paliła mu się w rękach...

---

*) Dokończenie.—Patrz „Ateneum" zeszyt czerwcowy r. b., str. 418.

— Żeby to nasz był taki — odezwał się stary do żony — żyłby do dziśdnia!

— Nasz był przylepka, a to mruk — westchnęła, ocierając łzy z oczu.

— Nie gada, nie czyta, w pana się nie bawi, ale za to pracuje — odpowiedział stary z niebywałą energią. Dorobi, a nie straci.

Stara pokiwała żałośnie głową i nic nie odpowiedziała.

I znowuż organiścianka zaczęła wpadać do izby Biedroniów, całować starą po rękach, a ślépka wytrzészczać do Kacpra. Lecz stara zalecanki dziewczyny przyjmowała z niechęcią—i ukrytym w głębiach serca wstrętem...

Za to stary rad był dziewczynie, szczypał ją lekko po twarzy i głaskał. Kasper mu się nadał, takim pragnął widziéć syna, odczuwał go i rozumiał. Bystrość Kaspra, jego energia, rozum, podejrzliwość, nieufność, zachwycały go. Kasper nie dojadł, nie dospał, a pilnował dobytku. Przy Kasprze zaczynała znowu zamożność dźwigać się i rosnąć.

Organista zaprzestał pędzać starego do kościoła i do spowiedzi, a za to sam często przychodził z flaszką miodu w zanadrzu.

Radzili, radzili i uradzili. Nastkę oddać Kasprowi, jako spadkobiercy Biedroniów.

W sercu starej smutek i żal po stracie chłopca rósł i przenikał ją całą — świécił jéj w oczach, wychodził na usta, łamał ją i garbił. Zobojętniała nawet na bogactwo. Z dziwnym spokojem zgodziła się na zrękowiny, — lecz zapowiedziała z siłą i energią, że na wyprawienie wesela w jéj chacie nie pozwoli.

— Od tego karczma—rzekła wolno—i dom organistów...

Staremu, który usiłował sprzeciwić się temu, odrzekła, że jeżeli w obejściu jéj pokaże się muzyka, pójdzie i już nie wróci.

Zalała się łzami. Stary okrutnie się bał łez. Gdy je tylko u żony zobaczył, stawał mu przed oczyma syn z rozłupaną czaszką.

— Nie zmarnuje naszéj krwawicy — rzekł tłómacząc się przed żoną.

— Niechta—odpowiedziała cicho,—głos jéj drżał.

— Dorobi.

— Sobie... To nie nasza krew, nie nasza pociecha, nie nasze dziecko...

Stary rad był zagłuszać się i choćby fałszywie pocieszać, byle spychać syna zmyśli.

— Przecież widzisz — tłómaczył się — jaki porządek, jaki ład, — dobytek rośnie. I to wszystko — nasze... Na wiosnę pójdą na swoje i zostawią nam do ostatniego źdźbła...

— Nasze dziś, jutro ich...

— Do saméj śmierci nie dam nic...

— Jutro, abo za rok sumienie zeżre serce—wezmą wszystko...

Stary się żachnął, jak gdyby mu kto pazurami po sercu przejechał. Nie mógł dłużéj patrzéć na smutek żony, na stroskaną twarz i siwe włosy—uciekł z izby.

Do stajni dobudowano na tymczasem dwie izbiny, gdyż na wiosnę miano wystawić porządną chatę, na skraju pięciu morgów—wiana Nastki—i tam przeniéść młodych. Organista zapłacił cieśli i mularzy, sprowadził z miasta okna i szyby — i wybielił. Izbięta wyglądały ubogo, lecz schludnie. Biedroń nie wydawał piéniędzy, a Kasper pracował jak koń—i jakże nie miał mu być rad?...

Wesele organista sprawił sute. Nastka miała gorset jak ornat czerwony, a na téj czerwoności kwiaty złotem kapały. Pito, tańcowano i jedzono mięso całe trzy dni. Biedroń pierwszy raz od śmierci syna znalazł się wśród ludzi... Stawiał się jak mógł, śmiał się jak umiał i dziesięć butelek miodu od żyda przecie sprowadził.

W tym samym dniu w chacie Tyksiny przyszedł na świat syn — ku wielkiéj uciesze matki i Kundy, utrzymującéj, że podobniusieńki do Jasia, jak dwie krople wody.

— Jakbym na Jasia patrzała — mówiła, płacząc z radości. — Wszystko, co mam, la niego — i la tego ja go poniosę do kościoła i ja się skumam z Zośką...

Zośka kazała go sobie ciągle pokazywać... Tyksina z Marcinową gospodarzyły, Kunda opiekowała się matką i synem.

— Nie puszczę cię—mówiła do Zośki—z łóżka wcześniéj, jak za trzy dni, a na Boży świat za pięć. Jesteś młodziutka, delikatna, mogłoby się, co w tobie oberwać. Jaś musi miéć matkę zdrową. Ach, jaki ci podobny do ojca, do mego Jasia!...

— Kunda, przecie to mój! Ty go jakoś poniewiérasz, ciągle mówisz o ojcu, a o nim nic...

— Głupia, głupia, poniewiéram—wołała rozpromieniona Kunda.

— Pocałujże mnie — prosiła się Zosia. — Nie pocałowałaś mnie ani raziczku.

— Mam na to czas...

— Bo ty ino za chłopakiem uganiasz, a o mnie nie dbasz.

— I nie głupia to? patrzcie!

Poskoczyła do Zośki, objęła ją i ucałowała.

— Pamiętnika nie ma, żebym kiej była taka rada i kontentna, jak dziś. Słyszysz, jak się chłopak drze; patrz, szuka — a dajże mu ssać.

Przyniosła dziecko. Młoda matka omdléwała z rozkoszy i radości.

. . . .

W czwartek po północy państwo młodzi, odprowadzeni cicho przez Biedronia i organistę, wrócili do dwóch wybielonych izdebek, dobudowanych do stajni.

Stary poszedł do chaty, położył się, lecz usnąć nie mógł. Głowa mu pałała, powieki spadały, ciało leżało jak kłoda, lecz sen nie przychodził. Żal go gniótł, a lęk co chwila cucił.

— Nie takie by to było wesele mego syna—szepnął.

Z ciemności odpowiedział mu głos:

— Zabiłeś mnie!...

Stary usiadł na łóżku, wytrzeszczył oczy—słuchał.

— Zabiłeś mnie wtedy, gdy sama młodość do mnie się śmiała. Byłem dobry, ludzie mnie kochali... a teraz ci nowi za mnie zapłacą.

Włos mu się zjeżył.

— Stara, śpisz—szepnął ochrypłym ze strachu głosem.

— Dawnom odwykła od snu—odparła.

— Słyszałaś?

— Cicho, jak makiem siał, a mnie się widzi, że to wieczność, że leżę w téj ciemnéj, bez końca wieczności i la tego zasnąć nie mogę...

Stary padł na łóżko, ujął rękę żony, całował i płakał.

— Czém ja ci wynagrodzę tę krzywdę? czém?—powtarzał.

— W chacie Tyksiny — mówiła Biedrońka, tuląc się do męża — przyszedł na świat syn. Muwiła mi akusierka Szerszeńka, że taki ci podobny do naszego, jak dwie krople wody. Pamiętasz, jaki był nasz, kiej przyszedł na świat!?... Szerszeńka była wtedy u mnie, ona pamięta i mówi, że podobiuteńki. Pamiętasz naszego Jasia, wkiedy przyszedł na świat.

Stary płakał, tulił się do żony, całował jéj ręce, żal go zmógł i zasnął...

Biedrońka marzyła o swym Jasiu, wkiedy przyszedł na świat i o Zośczynym Jasiu. Dwa te pojęcia zléwały się w jedną całość, pełną uroku. Chłopczyna zaledwo się urodził i odrazu dwa twarde serca złagodził, przynosząc im roskosz spokojnego snu.

Biedrońka posłała po Szerszeńkę, zamknęły się z nią w izbie — radziły... Stara obciérała łzy płynące strumieniami po jéj twarzy. Szerszeńka prawiła ze wzrastającym zapałem. Po skończonych naradach Szerszeńka wybiegła z chaty, niosąc pod pachą zawiniątko. Leciała wygonami ku chacie Tyksiny—wpadła.

— Wielgie miłosierdzie boskie—zawołała. — Biedrońka zmiękła, patrzcie! rozwinęła zawiniątko. Te łachy dla Jasia, do tego osełka masła, sérek i kaszka perłówka dla Zośki!... No, widzicie, sama mnie zawołała, kazała mi cięgiem opowiadać o małym Jasiu i wtedy z żalem za swoim płakała — okrutnie płakała. Kunda, słyszycie!... kazała was pozdrowić, prosiła, abyście do niéj nie mieli urazy.

— A ja wam mówię — rzekła Kunda — że nikt, tylko Najświętsza, żeby ukarać chciwość starych zabrała jednego, a nam na pocieszenie dała drugiego. Ona to kruszy serce Biedrońki, a kto wié, może i skruszy starego!...

Mowa Kundy zrobiła głębokie wrażenie. Zośka była rozpromieniona, Szerszeńka uwierzyła i z gębą poleciała na wieś...

Kobiéty przychodziły z podarkami nawiedzać małego. Dziwna miłość otaczała chłopczynę, połączona z tajemnym kultem, a Zośkę—nieświadomą siebie cześć, jako matkę wybrańca...

Krótkie dni zimowe leciały migiem, że niepodobna się było obrobić. Kasper był wszędzie, ciężko pracował, lecz z każdym dniem nieznacznie, cicho brał władzę—wola jego była rozkazem, a rozkazy święcie wykonywane. Nastka garnęła dla siebie, co mogła. Wpływy, władza i mienie przechodziły do dwóch izdebek przylepionych do ściany...

Starzy czuli, że są nieznacznie wydziedziczani, że im wszystko z rąk i z pod nóg leci... Stary jak mógł nadrabiał miną, hałasował, krzyczał, rozkazywał, lecz nie wiele sobie z jego rozkazów robiono. Wszystko szło energicznie, lepiéj jak chciał stary, lepiéj jak kiedykolwiek za jego gospodarstwa. Młodzi rzadko kiedy zaglądali do izby Biedroniów, siedzieli w domu, a jeżeli gdzie poszli, to do organistów.

Pusto było u starych, cicho jakby makiem siał. Czuć było burzę w powietrzu, wielka ją zwiastowała cisza.

Słońcem i radością dla staréj były odwiedziny Szerszeńki. Opowiadała jéj ciągle o małym Jasiu, o podobieństwie do ojca i wielkim rozumnie. Jak ludzie kochają małego, kobiéty znoszą różności... Mówiła o Kundzie i jéj pracy zapobiegliwéj, o Zośce i jéj przywiązaniu do dziecka.

Stara słuchała, słuchała, częstowała Szerszeńkę i z zawiniątkiem pod pachą wyprawiała do chaty Tyksiny.

Dobrze się zaczynało dziać na zagajach brzozowych. Zośka wybielała, Jaś rósł i mądrzał, Kunda rządziła wszystkiém, słuchały ją rade Tyksina z Marcinową...

Po ostatniéj wizycie Szerszeńki u Biedrońki, weszła do izby Nastka—chmurna, z błyskawicami w oczach.

— I znowu—odezwała się ponuro — matka przez starą wiedźmę, wyprawiła ciężką naszą pracę temu znajduchowi. My sobie od gęby odejmujemy, a on—i ta szelma—będą w dostatkach opływać?... My ciężko pracujemy, a ten rak będzie zagarniał naszą krwawicę?!...

Wyszła trzaskając drzwiami. Stara z bólu i z wściekłości zatoczyła się na ławę, siadła, schwyciła się za włosy i zatargała. Dawna zażartość, poczucie własności, energia posiadania—wróciły.

— Ty mnie, ty mnie, ty mnie!—powtarzała szeptem.

W głowie jéj szumiało, trzęsła się cała, w przestrzeń patrzyła, póki jéj łzy oczu nie zalały.

— I na tom na starość zeszła, żeby mi nie wolno było z własnego wydawać? A przeciem bogaczką—nikt mnie nie okradł!... Gdzie moje bogactwo, gdzie moje rządy, gdzie to, co miałam wczoraj?!...

Zerwała się, wyprostowała i zawołała:

— Gdzie to wszystko?!... Co ja za jedna?...

Usiadła, zaczęła myśléć, rozważać. Gniéw ją bódł, żal ją brał, serce się ściskało.

Wieczorem długą, cichą wiodła rozmowę z mężem. Stary dumał, usta zaciskał, pięść stulał, na czoło wystąpiły mu pręgi.

— Myślisz, żem ślepy — odparł — widzę i miarkuję nie od dziś. Oni tu panami! Gdy nam zabraknie sił do obrony, wygnają nas z własnéj chaty o żebranym kiju. Garną wszystko. Nie mamy już nic. Służba ich, konie, bydło i ziarno w śpichrzu ich!... Nam nic nie zostało.

— Jaś-by nie zabiérał—szepnęła Biedrońka.

Stary nie odpowiadał, pręgi granatowych żył pęczniały mu na czole i skroniach, ręce mu się trzęsły, oczy błyszczały wściekłością i zemstą.

— Ojcze, co ci—zawołała stara.

— Cicho—szepnął—nie pytaj, sam nie wiem co. Okrutne mnie ognie przechodzą, wściekłość trzęsie. Z gnoju go podniosłem, wydobyłem nędzy z gardła, po naszéj śmierci miałby wszystko... Czekaj, czekaj — powtarzał.

Stara się przelękła jego wzroku, ochrypłego głosu i trzęsących się rąk.

— I co mu zrobisz? Stało się i basta.

— Stało się, to się i odstanie—rzekł sucho.

Zatrzęsło go jak w febrze, wzdrygnął się, zerwał i siadł napowrót.

— Daj pokój, daj pokój—prosiła go stara, głaszcząc po płowych na pół siwych, rzadkich włosach.

Przysunęła się, objęła mu głowę i tuliła do suchych piersi.

— Spotkało nas tak wielkie nieszczęście, że drugiego takiego nie ma.... I za co? Czyśmy zbytkowali, hulali, ludziom zawadzali?!... Pilnowaliśmy swego!... Spotkało nas tak wielkie nieszczęście, że drugiego takiego nie ma na świecie—cierpmyż.

— Cicho, cicho—szeptał stary—bo abo mi pęknie serce, abo się czaszka z bólu rozwali. Stało się jedno, stanie się drugie — dokończył cicho.

Bał się światła, zgasił je.

— Umęczony jestem, nie zasnę, ale przynajmniéj człek wygodnie stare kości ułoży.

Żona przelękła się jego głosu, rozebrała szybko, wlazła pod pierzynę, przysunęła się do ściany, oczy rozwarła — patrzyła, słuchała.

Stary się położył, coś nim szarpało, oddychał ciężko i krótko. Po pierwszém pianiu kogutów wstał, obuł się, kożuch zarzucił na plecy, przesunął się do komory.

Stara siadła na łóżku, włos się zjeżył, szczęki latały.

Drzwi zaskrzypiały, wyszedł — przy oknie na świetle księżyca błysnęła siekiéra... Stara wyskoczyła, dopadła do drzwi, odwróciła się, ręce rozkrzyżowała...

Stary chciał ją odepchnąć, schwyciła toporzysko siekiéry, wpiła w nie chude ręce.

— Gdzie?... mało ci jednego zabójstwa — dyszała strachem, pot lał się jéj z czoła.

— Puszczaj, uwolnię cię od nich odrazu, zostaniesz panią, jakeś dawniéj była. Mnie sumienie źre — późniéj czy wcześniéj trza skończyć.

— I zostawisz mnie samą siérotę?!... Ludzie mnie zagryzą, organista zatłucze. Myślisz, żebym przeżyła tę sromotę. Chcesz zamordować, zabij mnie pierwszą, a potém ukąp się we krwi i sam się powieś.

— Puszczaj—zawołał.

— Puszczę, ale musisz po samo toporzysko wpakować we mnie siekiérę, bo będę wrzeszczéć i całą wieś zbudzę.

Puściła siekiérę.

— Tnij—zawołała.

Stary się zachwiał, zatoczył na ławę, usiadł, siekiéra wypadła mu z rąk. Żona ją pochwyciła, rzuciła do komory, drzwi zamknęła na kłódkę, uklękła, zdjęła mu buty, kożuch ściągnęła, zaprowadziła do łóżka, ułożyła przy ścianie, otuliła, sama przy nim legła.

— Okrutnie sumienie mnie źre, a wściekłość zbiéra, wiele razy spojrzę na nich. Czuję przez skórę, że rachują dni i godziny, kiedy ślépia zamknę, abo tak zesłabnę, że będzie mógł mnie wyrzucić... Matko, słabnę, sumienie źre, czuję, że niedługo mózg mi wyźre, a potém kości ogryzać zacznie.

— Ludzką go krwią nie nakarmisz—przerwała stara — a obwiesić się, to lada biédak potrafi!... I zostawiłbyś mnie samą?!.. Tyleśmy jedno z drugiém przeżyli, dotrwajmy razem do końca.

Przysunęła się i zaczęła mu szeptać do ucha:

— Wiész, rośnie, zdrowiutki, ludzie nie mogą się nadziwić jego mądrości, garną się do niego... Pono ma takie same, jak u naszego, wielgie oczy — sam bławat!... Zaśnij, to jakoś skrzepniesz. Może Bóg się ulituje, sen ci ześle, w cichości nawiedzi dobrą radą.

O świcie stary się zerwał, umył, ubrał, wyszedł. Żona patrzała za nim przez okno i gdy skręcił na drogę, zebrała się i pobiegła za nim.

Ślady butów na świeżym śniégu zaprowadziły ją do kościoła.

Przed wielkim ołtarzem rozciągnięty, całował cegłę podłogi i płakał. Uklękła w kruchcie i odmawiając koronkę, czekała.

Całą śpiéwaną wotywę, jak gdyby na krzyżu rozbity, przeleżał sam jeden w pustym kościele.

Ku końcowi nabożeństwa stara wysunęła się z kruchty, dopadła do izby, rozpaliła ogień i uwarzyła mléka z lanemi kluskami.

Wrócił spokojniejszy, bledszy i cichszy. Zasiadł za stołem, zjadł śniadanie, zapalił gaz i zamknął się w komorze. Stara przeczuwała coś nadzwyczajnego, nie śmiała zaglądać, nie śmiała się pytać—czekała...

Wrócił w nowym kożuchu i w nowych butach, czerwoną chustką miał opasaną szyję, baranią czapkę na głowie, wielki pulares sterczał mu za pazuchą. Pocałował żonę w twarz i szepnął:

— Idź!... — oczami pokazał gdzie, zawstydził się i spuścił oczy.

Stara drżała na całém ciele, złożyła ręce jak do modlitwy i płakała.

— Nie trap się — dodał cicho, wzruszony płaczem kobiéty — nie zostawię cię na poniewierkę. Jednaś mi została na całym świecie...

Stara wyciągnęła do niego ręce, zatrzymała go za połę, odwróciła i pocałowała. Ciepło go przejęło do głębi, objął rękami pomarszczoną jéj twarz przytulił i wyszedł szybko wprost do stajni.

Za chwilę wyprowadził konie i sam je zaprzęgał do wozu.

— Niceście wczoraj nie powiedzieli, że mi konie weźmiecie, a tu taka pilna robota—odezwał się Kasper.

Młoda baba stała we drzwiach chaty.

Biedroń łypnął ślépiami, poprawił siedzenia, derką je przykrył, parę wiązek siana wpakował na wóz, ujął lejce, batem świsnął, konie ruszyły, minął wrótka, skręcając na drogę do miasta.

— Coś źle, Biedroń się zaciął—rzekł do żony Kasper. — Niepotrzebnieś do staréj latała.

— To niech naszéj pracy nie rozdaje — odparła Nastka, czerwona z gniewu. — A stary niech nie zaczyna, bo go tatuś rozumu nauczy.

W chacie Biedroniów stara drżącemi z pośpiechu rękami ogarniała się. Wyciągnęła ze skrzyni nową chustkę, przykryła starą, żeby jéj nie zobaczyła Nastka, zabrała co się dało do koszyka i wydeptanemi przez ludzi ścieżkami, pobiegła do Tyksiny.

Zatrzymała się przed chatą, iść daléj nie zdołała, nie mogła złapać tchu. Radość ją popychała, wstyd i żal trzymały. Kunda przechodziła ze stajni, rzuciła się ku niéj z serdecznym płaczem, objęła za szyję i puścić nie chciała.

Głośny płacz wyciągnął z izby Tyksinę i Zośkę — przybiegły. Zośka pocałowała Biedrońkę w rękę, Kunda objęła w pół i wprowadziła do chaty. Posadzili ją na ławie, ściągnęli z niéj chustki — otoczyli.

Odgadywała z promieni patrzących na nią oczu—ciepło. Kunda rękawem ociérała łzy. Stara zwróciła się do niéj:

— Już szósty miesiąc płynie, jak nie widziały cię moje oczy.

I znowu wyciągnęła ręce, pochwyciła Kundę i przygarnęła do siebie.

— Com się nie nacierpiała—szeptała—ani odpoczynku, ani snu, patrzcie!...

Ściągnęła chustkę z głowy. Srebrne zaświéciły włosy.

— Przed pół rokiem były czarne jak kruk. Nieszczęście przyszło, wżarło się w serce i żre i żre.

Nowy potok grubych kropli łez spadał jéj wolno z głęboko osadzonych oczu.

— U was inaczéj—mówiła cicho z żalem i smutkiem, zdaje się, że Kundzie odleciało dziesięć lat, Zośka biała i różowa. Pachnie tu wolnizną i szczęściem.

Zaczęła bojaźliwie wodzić wzrokiem po izbie. Kunda domyśliła się o co jéj idzie, pochwyciła śpiącego Jasia w nogach łóżka i przyniosła.

Dziecko różowe, zaspane, przecierało oczy piąstkami, popatrzało na Biedrońkę -- uśmiéchnęło się, wyciągnęło ręce i rzuciło się ku niéj:

— Jezus Marya — szeptała wystraszona, jakby wobec cudu kobiéta. — Jezus Marya, a toć przecie mój, on!... — pochwyciła dziecko i tuliła je jak własne.

— Jeszcze do nikogo tak nie poszedł—rzekła Kunda.—Nic, tylo Najświętsza nim kieruje i prowadzi go.

Biedrońka jedną ręką trzymała dziecko, drugą wydobywała różności z koszyka... Na spodzie leżał stary elementarz z obrazkami. Jaś wyciągnął po niego ręce, pochwycił i śmiał się.

— Patrzcie, jak ojciec do książki—szepnęła wystraszona Kunda, chciała mu wydrzéć.

— Przecie to nasz i kto mu zabroni — odezwała się cicho Zośka.

— Nasz i kto mu zabroni—powtórzyła Kunda, pochwyciła go na ręce i wołając:

— Nasz, nasz, nikt mu nie zabroni, wolno mu — biegała z nim po izbie.

Chłopak się śmiał, lecz z rąk elementarza nie puścił.

Stara wlepiała się w chłopca, jak w cudowny obraz, drżące ręce składała do niego i łzy ociérała.

— Kunda, dajże mi go przecie—prosiła.

Wstała, odebrała dziecko, pieściła, tuliła.

— Żebym mogła przyjść za piastunkę do niego, oddałabym całe moje bogactwo. Jak tam u nas pusto, że serce się kraje. Z każdego kąta wyziera nieszczęście, ślépia wywala i patrzy. Żal mi starego, smutek go żre okrutnie... Zwalił sobie na kark tych dwoje...

— Pono wszystko garną la siebie—dodała Kunda.

Stara zamilkła, dziecko patrząc na elementarz, zaczęło wydawać głosy.

— Czyta, czyta—wołała Kunda.

Biedrońka wydobyła z po za staréj chustki nową, szkarłatną i podała ją Zośce, a nie chcąc się zdradzić, że jéj daje za Jasia, odezwała się:

— Pasałaś za mnie, a jakoś się stało, żem ci nie podziękowała.

Uradowana kobiécina pocałowała ją w rękę. Dziecko zaczęło kwilić i głodne rwać się do matki. Zośka siadła z nim pod piecem, dając mu piersi. Tyksina zastawiła obiad, kobiéty we trójkę obsiadły stół. Dobrze im było razem. Jakoś serdecznie i ciepło.

Kunda zniewoliła starą do obejrzenia gospodarstwa: dwóch krów i cielicy przysłanéj od „panienki" dla Jasia, dwóch prosiaków, koniczyny i słomy w stodółce.

— Nie ma bogactwa—rzekła z dumą—ale biédę można jeszcze siekiérą uciąć...

— Ty, moja Kundo, jesteś opatrznością dla siéroty, Zośki i Tyksiny—dokończyła cicho stara.

Wieczorem Kunda odprowadziła ją do domu.

— Moja droga—skarżyła się cicho Biedrońka, przystając — jak mi się nie chce wracać do téj pustki. Stary pojechał do miasta, sama calutką noc. Zanocuj-że u mnie, wyśpiemy się razem pod pierzyną... Nie gardź-że starą, którą przywaliło nieszczęście. Ani snu, ani spoczynku...

Kunda się zamyśliła. Rzucając przekleństwa dla Biedroniów, zaprzysięgła, że nigdy noga jéj nie przestąpi obejścia. Lecz cóż, nie spodziéwała się, że Biedrońka przyjdzie do niéj, że się ukorzy, że przeprosi.

— Nic u ciebie nie wskóram—szepnęła stara — nawet siwe moje włosy nie uproszą cię?...

Kunda stopniała. Ujęła starą za rękę i śmiało przeszła bramkę. Psy skowycząc i skomląc przypadły do niéj. Spinały się łapami na ramiona, lizały ją po twarzy i rękach i tak przywiązaniem swém rozczuliły, że zapłakała.

Weszły do izby, Kunda ze wzruszenia nie mogła się utrzymać na nogach, zsunęła się na ławę. Stara zapaliła gaz i siadła przy niéj.

— Czujesz, jak tu pusto, że aż mrowie przechodzi. Stary cięgiem przy robocie, a gdy wróci, lata ślépiami po ścianie, gna myślą po świecie, patrzy niewidzący, wzdycha, często się za łeb chwyci i zatarga, abo słucha jak go sumienie źre.

Wargi jéj zadrżały—przestała. Kundę zbiérały żal i litość. Że-

by się opamiętać, rozpaliła ogień, uskrobała garnuszek ziemniaków, stara przyniosła spérki—wyskwarzyła.

— Moja Kunda—mówiła przy wieczerzy — jakże to dziecko podobne do naszego Jasia. Taki ci mam ciąg do niego, że gdybym go długo nie widziała, gotowabym się zagubić.

Kunda się przysunęła i szeptała jéj jakieś zaklęcia, póki na twarzy staréj nie zawitał — od śmierci syna nie bywały gość — uśmiéch.

Trzeciego dnia wrócił stary. Na koźle obok niego siedział żandarm, za nimi sędzia i geometra. Wysiedli z wozu, stary przywołał parobka, oddał mu lejce, gości poprosił do izby.

Z chaty swéj wybiegła Nastka, ze stodoły Kasper — oniemieli. Biedrońka przywołała dziéwkę, posłała ją po ludzi z łopatami i siekiérami.

Biedroń częstował gości przywiezionemi z miasta wiktuałami i winem. Pierwszy raz w życiu nie żałował, był mowny i zdawało się wesół. Gdy ludzie się zeszli, częstował i ludzi wódką, chlebem, słoniną.

Nakarmieni wyruszyli wszyscy w pole, geometra z narzędziami. Nastka skoczyła do ojca.

Organista odrazu się rozżarł, pomstował i groził; wyleciał z izby i wprost pognał w pole. Biedroń, gdy go zobaczył, poskoczył ku niemu.

— Pyskuj — ostrzegł go cicho, — jest żandarm, zabierze, ale nas obu. Ciebie za fałszywe świadectwo. Mnie nic po życiu—wybieraj? A i tak krzywdy dziecku twemu nie zrobię.

Odwrócił się, zwracając się do ludzi rąbiących siekiérami zamarzniętą ziemię i sypiących kopce w miejscach wyznaczonych przez geometrę.

Po usypaniu kopców wrócono do izby. Pan sędzia przywołał organistę, Kaspra, Nastkę i odczytał im przy świadkach akt darowizny obojgu pięciu morgów gruntu odmierzonego i oznaczonego kopcami. Do tego dwieście śrybła na postawienie chaty, ale z tym warunkiem, aby się wynosili natychmiast. Ludzie rozbiorą budę, drzewo złożą na jeden wóz, na drugi graty.

— I marsz—wrzasnął stary—żeby mi tu po was nic nie zostało. To moje! — krzyczał z wściękłością, uderzając pięścią w stół. Ja tu pan, ja tu rozkazuję!...

Oczy mu krwią zaszły.

— Mnie i mojéj kobiécie wolno robić z naszém bogactwem, co nam się podoba.

Zwrócił się do Nastki:

— Tybyś niedługo z gęby nam wydziérała...

Odetchnął ciężko i zniżył głos.

— To nie żaden znajda, to syn mego syna, mój wnuk. A Zośka nie wysterkacz i latawiec, ino matka mego wnuka.

Podniósł rękę w górę i powtórzył uroczyście:

— Matka mego wnuka, więcéj wartna od was!... A teraz idźcie mi z oczu.

Otworzył okno.

— Ludzie rozbierzcie mi budę migiem, drzewo na wozy i wio, niech jéj nie widzę!...

Ludzie się rzucili; z izby Biedroniów wyleciała Nastka, bojąc się o swe graty, za nią wyszli organista i Kasper, łypiąc oczami jak wilki.

Wobec wójta, rady gminnéj i zebranych gospodarzy odczytał sędzia akt darowizny całego majątku Biedronia, żonie — jedynéj sukcesorce.

Stary skłonił się wójtowi, radzie, starszyznie, prosząc o opiekę nad żoną, za co włożył do kasy gminnéj 50 papiérków.

Parobka odprawiono, w miejsce jego przyjęto syna Feli.

Stary stał na dworze obok żandarma, dopóki ostatni wóz z gratami Kaspra nie wyjechał za wrota.

Wrócili do izby. Żandarm uczęstowany i udarowany przysiągł często zaglądać do obejścia Biedroniów, a dziś do rana nie wychodzić ze wsi.

— Może do jutra—powiedział—ogiéń, co tlił w ślépiach Kaspra, przygaśnie, chłop się upamięta.

— Nie głupi — dodał Biedroń — wié, że cała wieś, gdyby ogiéń buchnął, wskazałaby na niego. Alem się zaasekurował.

Wyjął z zanadrza blachę z wymalowanym świętym Floryanem. Żandarm ją pochwycił i przy ludziach przybił.

— Niech pali, kto chce — powtarzał i śmiał się. — Biedroniowi zapłacą, a podpalacz pójdzie do cienia na piętnaście lat!...

Ludzie mu wtórowali i gwarząc odprowadzali do wójta.

Stary zmęczony usiadł na ławie, stara przysunęła się do niego, objął ją w pół, przytulił się do niéj i zapłakał.

— Wielga moja zbrodnia—szeptał.—Zabić ojca, abo zabić syna, ksiądz u spowiedzi powiedział, że nie ma większéj. Patrzę na ciebie, jak mi w oczach gaśniesz i jeszcze większy mnie żal dławi. Trzeba

ci dać wytchnienie, a sobie pokutę. Dajże mi w płachtę bieliznę świéżą, słoniny i kawałek chleba...

— Gdzie?—zapytała cicho.

— Powiem ci wszystko.

Parę stówek odłożył dla siebie, resztę oddał żonie. Płachtę zarzucił przez plecy, związał na piersiach, czapkę zasadził na uszy, rękawice na ręce—wyszli razem.

Na cmentarzu u mogiłki Jasia padł krzyżem, stara uklękła, modląc się płakała.

Gdy ciemności ogarnęły ziemię powstał, ujął żonę za rękę i pocałował.

— Na „Siewnę” przyjedź do Leżajska do Cudownéj. Weź chłopca ze sobą i Zośkę. Teraz nie jestem wartny widziéć go. Jeśli odpokutuję choćby połowę, wrócę do was. Jedź i sprowadź ich. Przecież mu oddasz wszystko... Nie odprowadzaj mnie. A niech mi Kunda pilnuje dobytku... Z chłopaka oka nie spuszczać...

Objął żonę za szyję, uścisnął, schylił się do jéj kolan, ujął je i pocałował, obtarł łzy, zawołał: do zobaczyska na Siéwną i znikł w ciemnościach...

Stara wyciągnęła ręce do męża, lecz pchało ją do dziecka, —. zawróciła, dopadła do obejścia zdyszana, wołała:

— Fela, zaprzęgaj na dwa wozy migiem po Zośkę i Kundę. Spiesz się, bo mi serce wyskoczy.

Ludzie przechodzili drogę.

— Pomagajcież, zmiłujcie się — jadę po wnuka i Zośkę. Tak mnie niecierpliwi, że rady sobie dać nie mogę...

Ludzie wpadli do obejścia, chłopi rzucili się do koni i wozów, kobiéty otoczyły Biedrońkę.

— Co się stało, gadajcież—nalegały.

— Wszystko zapisał la mnie i poszedł do Cudownéj do Leżajska, a ja oddaję wnukowi. Tu go sprowadzam, tu będzie rządził, tu będzie panem.

— I Zośkę, i Tyksinę— pytały.

— Wszystkich... Kunda niech pilnuje dobytku.

— Hura—wołały.—To hale, to przecie stało się, jak się stać powinno. Nie organiścianka z Kasprem, tylo on tu pan.

Młodsze poleciały wygonami z nowiną do chaty Tyksiny, drugie pomagały Biedrońce. Wozy zajechały. Stary Fela powoził jednym, na drugim siedział jego syn. Kobiéty, o ile która mogła, wdrapały się na wozy,—Biedrońka w środku.

Przed chatą Tyksiny roiło się, — zdaleka słychać było głoś Kundy. Urywane rozkazy padały jak grad.

— Byłam pewna, że Najświętsza jéj nie opuści i pokieruje tak, że syn Jasia wróci na swoje śmiecie...

Z płaczem dopadła Biedrońka do chaty — podali jéj dziecko, pochwyciła je i tuliła.

— Wiécie, jakie ostatnie słowo powiedział?—zawołała.

— Jakie, jakie?

Lud się cisnął, zrobiła się cisza.

— Chłopaka z oczu mi nie spuszczać.

Zalała się łzami.

Szmer serdeczny, ciepły rozszedł się po izbie.

— Nikt, tylo Ona! Wié ci, co robi — zawołała uroczyście Kunda, zdyszana radością. — Ona staremu kazała gnać na święte miejsce, Ona zabrała ojca, a synowi każe iść na swoje śmiecia! Inaczéjby nie wleźli ani Zośka, ani on. Ona.... i niech święte Jéj imię będzie błogosławione!

Kobiéty jęknęły, chłopy unieśli czapki po nad głowy, wszyscy się przeżegnali.

— Nic nie potrzeba, tylo siadać — rozkazywała daléj Kunda — a zabrać łóżko Zośczyne, moją pierzynę i skrzynkę!... Tyksina zostanie tymczasem na gospodarstwie. A że jesteście kuty leń, to wam przyszlę dziéwkę.

Lud w śmiéch, Zośka strofowała Kundę, Biedrońka pocałowała ją w twarz.

— No, daléj... Babka z Zośką na wóz, chłopaka wam podam. Tulcie go i oka z niego nie spuszczajcie, jak przykazał stary...

Otulonego w własny kożuszek podała Zośce, lecz stara go odebrała, przykryła chustką i wpatrywała się w niego z rozkoszą macierzyńską...

Kunda siadła przy Feli, ludzie otoczyli wozy, ruszono — wśród uroczystéj radości... Na drodze wybiegali z chat, kto żył, tłum się powiększał i rósł co chwila.

Nadjechali pod kosciół.

— Stój! — zawołała Kunda — otworzyć drzwi, światła przed Najświętszą zapalić—ja płacę!...

Kobiéty pobiegły po kościelnego.

— Niech go zobaczy — przemawiała z wozu do ludzi Kunda — to Jéj. A niech i on Ją ujrzy—może pozna—któż to wié?...

Wystraszony kościelny przyleciał z kluczami, otworzył, zapalił przed ołtarzem Matki Boskiéj światło, lud się wtłoczył, za nim Kunda z dzieckiem na rękach, Biedrońka, Zośka, gospodynie...

Kunda padła na kolana, lud za nią — podniosła w górę chłopca.

— Widzisz ją—zawołała.

Zrobiła się wielka cisza. Dziecko wyciągnęło do obrazu ręce i zaśmiało się.

— Mrugnęła!—zawołała strasznym głosem Kunda—niech trupem padnę!—mrugnęła!—widzieliście?...

Lud padł na kolana, wydając głębokie westchnienia.

— Mrugnęła, niech trupem padnę, mrugnęła—powtarzała Kunda, korząc się przed obrazem.— Organy niech grają! niech się raduje cały świat!—zawołała.—Błogosław dziecku i nam!

Lud czekał w milczeniu błogosławieństwa.

Przez połowę otwartych drzwi wiatr wpadł do kościoła, przeciągnął górą, dostał się do piszczałek i zagrał.

— Słyszycie!?—wrzasnęła Kunda.

Lud rozciągnął się krzyżem i zapłakał z radości.

Kunda, natchniona, uroczysta, wracała, lud się cisnął do błogosławionego dziecka i całował mu ręce.

Na odpuście Matki Boskiéj Siéwnéj w Leżajsku Biedrońka i Zośka z dzieckiem na ręku, przeciskały się przez tłum do refektarza. U drzwi spotkał je stary furtyan z pękiem kluczy u pasa, ogoloną głową — w habicie, wziął dziecko od Zośki i rozpłakał się, — zapłakały i kobiéty...

Sewer.



Doświadczenia psychologiczne.

I.

Jeżeli wogóle można nakréślić wspólną drogę, po jakiéj rozwijała się każda z nauk ścisłych, określenie to będzie najmniéj oddalonem od prawdy, gdy mu nadamy formę następującego twierdzenia: Początek każdéj z nauk ścisłych tworzą niesystematycznie zaobserwowane i luźnie powiązane zjawiska. W miarę tego jednak jak przygodne obserwacye zastępuje ściste badanie, zmieniają się także i cechy obserwacyi.

Nauka otrzymuje wówczas pewniejsze podstawy, staje się nauką ścisłą. Po téj-że saméj drodze kroczy obecnie psychologia. Dotychczas była ona zestawieniem źle obserwowanych zjawisk. Każdy psycholog nie posiadał innéj metody prócz tak zwanéj samoobserwacyi. Obecnie samoobserwacyę zastępuje obserwacya innych, a tém samém powstaje możność prowadzeniu badania celowego, według określonego planu.

Już Kant wydał był surowy wyrok na tak zwaną samoobserwacyę. Jeżeli od pobieżnego notowania przygodnie spostrzeżonych zjawisk fizycznych nie możemy spodziéwać się ścisłości, to tém bardziéj możemy być pewni, iż samoobserwacya dostarcza nam jeszcze niedokładniejszego materyału. Przejrzyjmy pobieżnie tylko historyę psychologii, a jaką masę napotkamy teoryi, opartych na samoobserwacyi! Każdy obserwował to, co dla niego było wygodném, każdy posługu-

jąc się tąż samą metodą, znajdował potwierdzenie swojéj teoryi. Popełnilibyśmy błąd wielki, gdybyśmy chcieli powątpiewać o naukowéj uczciwości psychologów; winną tu jest jedynie metoda. Fizyk przy pomocy różnorodnych metod objektywnych zawsze mógł oddzielać zjawiska poboczne od pierwszorzędnych; psycholog nie zdołał nigdy z pewnością odpowiedziéć na pytanie, czy zaobserwowane przezeń zjawisko nie było przypadkowém, i z daną przyczyną w żadnym nie zostawało związku. Fizyk mógł powtarzać doświadczenia w różnorodnych warunkach — psycholog był skazany na jednorazową obserwacyę, niepewny, czy mu się uda zjawisko jakieś podpatrzyć raz jeszcze. Jest więc zupełnie zrozumiałém, dlaczego fizyk mógł z absolutną pewnością mówić: zjawisko *a* warunkuje zjawisko *b*; psycholog zaś, nie posuwając się do śmiałych hypotez, twierdzenia podobnego nigdy wypowiedziéć nie śmiał. Niemoc ta musiała trwać póty, dopóki nie był on w posiadaniu sposobu, któryby pozwalał nadać badaniom psychologicznym te same cechy, jakie znamionują badania fizyka, cechy te są: dowolne powtarzanie zjawiska w dowolnie określanych warunkach i wypływająca stąd niezależność od samoobserwacyi. Dopiéro więc metody doświadczalne mogły nadać psychologii cechę nauki ścisłéj.

Historya wiedzy ludzkiéj wysuwa zawsze imiona poszczególnych ludzi, jako twórców nowych kierunków i teoryi. Badacze późniejsi przypisują imionom wielkim całą zasługę i sławę, zapominając często, iż przed tymi „wielkimi" zawsze szli „mali", którzy przygotowywali grunt do przyjęcia nowych teoryi, rozwiązywali pojedyńcze zagadnienia, stawiali kwestye i prawie zawsze wypowiadali myśli wielkich, nie nadając im tylko należytego znaczenia. Ludziom wielkim przypada zwykle w udziale zebranie rozproszonego materyału, ujęcie go w całość, oświetlenie ze stanowiska jednolitéj teoryi i stworzenia nowego kierunku. Taką jest zasługa G. T. Fechnera, zwanego obecnie ojcem psychofizyki.

Pierwszym, który przygotował i oswoił umysły z myślą, że psychologia może, a nawet musi stać się nauką ścisłą, był Herbart. Twierdzeniu Kanta, jakoby stany psychiczne nie dały się ująć w formę ścisłą, przeciwstawił on teoryę psychologii matematycznéj, która pokazywała naocznie, iż stany psychiczne mogą być ujęte nawet w formuły statyki i dynamiki ducha. Pomimo, iż próbie Herbart'a żadnéj większéj nie można przypisać wartości, prócz téj, iż oswoiła ona ludzi z myślą, że i „dusza" musi podlegać określonym prawom, jednakże historya psychologii doświadczalnéj musi postawić go na czele nowego kierunku. Należało naprzód wykazać, iż zjawiska odbywają się pra-

widłowo, późniéj dopiéro można starać się o zbadanie prawidłowości przy pomocy doświadczenia; pierwszy ten krok uczynił Herbart.

Bezpośredni wpływ na podjęcie doświadczeń psychologicznych i wypracowanie pierwszych metod miał fizyk niemiecki Weber. Zdala od wszelkich teoretycznych sporów o duszę i jéj własności, starał się on o rozwiązanie skromnego napozór pytania, w jakim stosunku znajduje się natężenie czucia do natężenia podniety. Początkowe badania prowadził on nad zmysłem dotyku, próbując rozszerzyć je na zmysł wzroku i słuchu. Rezultaty swych badań podaje Weber w następujących słowach: „Doszedłem do wniosku, iż względna ocena ciężarów jest niezależną od bezwzględnego ciężaru ciał, pozostaje ona tą samą bez względu na to, czy będziemy używali uncyi czy łutów. Ocena określa się stosunkiem, w jakim znajduje się ciężar dodany do ciężaru już trzymanego. Taką samą regułę zachowujemy przy badaniu oceny długości dwóch przedmiotów, lub wysokości dwóch tonów.” Odpowiednio do powyższéj zasady zwiększenie ciężaru o dwa łuty wywoła odmienne wrażenie, jeżeli ręka była obciążona ciężarem jednego łuta, odmienne zaś w razie obciążenia jéj kilkoma funtami. W pierwszym wypadku uczujemy znaczne powiększenie ciężaru, w drugim możemy nie spostrzedz żadnéj zmiany. Badania Weber'a wykazały, że dopiéro powiększenie ciężaru o $1/10$ jego wagi jest w stanie wywołać zmianę otrzymywanego wrażenia. Mniejsze zmiany nie bywają odczuwane. Badania Weber'a nad innemi zmysłami nie zostały ujęte w ścisłą formę.

Opiérając się na powyżéj podanych doświadczeniach, wysnuł Fechner formułę matematyczną, która pozwalała mierzyć natężenie pojedyńczego czucia, uogólniona zaś odpowiednio, powinna była wyrazić stosunek pomiędzy fizyologiczną działalnością systemu nerwowego, a stanami psychicznemi. Formuła ta, jedném słowem, powinna była nadać się do mierzenia działalności psychicznéj. Czy jednak zjawiska psychiczne można uważać za wielkości różniące się nietylko jakościowo, lecz także i ilościowo? Czy możemy rozróżniać nietylko jakościowo różne czucia, jak słodycz, czerwoność i t. d., lecz i ilościowe ich natężenie? Na pytania te musiano przedewszystkiém udzielić odpowiedzi.

Pytaniem tém zajmuje się téż głównie Fechner i odpowiada na nie twierdząco. „Doświadczenie życia codziennego, powiada on, poucza nas, że otrzymane wrażenia różnią się ilościowo. Odczuwamy silniejszy lub słabszy ból, widzimy jaśniejsze lub mniéj jasne kolory, słyszymy głośniejszą lub mniéj głośną muzykę. Wszystko to dowodzi, iż czucia nasze różnią się nietylko jakościowo, lecz zmieniają również

natężenie. Jeżeli więc będziemy w posiadaniu odpowiednich metod praktycznych, to teoretycznie nie może istnieć żadna przeszkoda, któraby nie pozwalała mierzyć natężenia czuć. Teoretycznie mogłaby istnieć tylko jedna przeszkoda, gdyby jakościowo toż samo czucie nie mogło być ilościowo zmienne, gdyby nie mogło zmieniać siły swego natężenia. Przeszkoda ta nie istnieje. Mogą więc istnieć tylko przeszkody praktyczne.

Ażeby módz mierzyć cośkolwiek, trzeba posiadać miarę, za pomocą której mierzenie dałoby się uskutecznić. Zupełnie naturalném jest téż mniemanie, iż czucia można mierzyć tylko czuciami. Jeżeli jednak zwrócimy się znów bezpośrednio do zjawisk, o których nas poucza zwykłe doświadczenie, to zauważymy łatwo, że możemy wprawdzie określić, iż jedno czucie jest silniejszém od innego, nie jesteśmy jednak w stanie powiedziéć *ile razy* jest ono silniejszém. Natężenia czucia nie możemy więc mierzyć tak bezpośrednio, jak mierzymy np. długość stołu. Pomiar, powiada Fechner, może być uskuteczniony tylko na drodze pośredniéj. Fechner przytacza znaczną ilość przykładów, aby pokazać, iż mierzenie pośrednie jest nietylko własnością pomiarów psychofizycznych. Ciepła nie mierzymy bezpośrednio ciepłem, lecz rozszeniem rtęci i pojemnością cieplną ciała, siłę mierzymy przyśpieszeniem i masą i t. d. *Natężenie czucia możemy mierzyć natężeniem podniety*, należy tylko poznać stosunek, w jakim wielkości te się znajdują. Stosunek ten jest to, według Fechner'a, tak przez niego nazwane prawo Weber'a.

Badania Weber'a, jak widzieliśmy, pokazały, iż względnie stałe zwiększanie się natężenia podniety powoduje stałe powiększenie natężenia czucia. Opiérając się na powyższém twierdzeniu i posiłkując się kilkoma twierdzeniami matematycznemi, otrzymuje Fechner formułę, która wyrażona słowami brzmi: „Natężenie czucia jest proporcyonalne do logarytmu siły podniety, za jednostkę natężenia podniety należy uważać natężenie, które powoduje zaledwie spostrzegalne czucie [1]).

---

[1]) Jeżeli przez γ oznaczymy natężenie czucia, przez β zaś natężenie podniety, to na zasadzie prawa Webera otrzymujemy, że zmiana natężenia czucia jest proporcyonalną do względnéj zmiany natężenia podniety. Zmianę natężenia czucia możemy oznaczyć przez $d\gamma$, zmianę natężenia podniety przez $d\beta$, na zasadzie więc powyższego prawa otrzymamy $d\gamma = \frac{k\, d\beta}{\beta}$; k jest współczynnikiem proporcyonalności, który możemy określić dowolnie; przez całkowanie otrzymamy $\gamma = k\,(\log \beta + C)$

Teoretycznie wyprowadzone prawo Weber'a musiało zostać praktycznie sprawdzoném. Należało się przekonać, czy da się ono zastosować do wszystkich zmysłów, i czy nie możnaby go uogólnić i zastosować do zjawisk bardziéj złożonych. Praktyczna ta kwestya mogła być rozstrzygnięta jedynie przy pomocy odpowiednich metod. Metod takich podaje Fechner trzy. Wundt w ostatniém wydaniu swéj psychologii cztery.

Zasadniczą podstawą wszystkich czterech metod jest sposób stosowany przez Weber'a. Polega on na tém, iż powiększamy zwolna, lecz stale natężenie podniety, aż do chwili, w któréj badany dostrzeże zmianę. Następnie powtarzamy doświadczenie w odwrotnym kierunku. Zmniejszamy natężenie podniety znów dopóty, aż zmniejszenie zostanie spostrzeżoném. Przeciętna ze zmiany jakiéj uległo natężenie podniety w pierwszym i drugim wypadku daje nam wielkość, o jaką musi ono zostać zmniejszoném lub zwiększoném, ażeby zmiana została spostrzeżoną. Metoda powyższa nosi miano Metody ledwie spostrzegalnych zmian.

W praktyce laboratoryjnéj zdarza się często, iż musimy wynaléść ciężar, który byłby o tyle większy od jednego z danych, o ile mniejszy od drugiego; lub nadać światłu natężenie równe połowie sumy natężenia dwóch danych świateł. Powtórzmy doświadczenie znaczną ilość razy, wyszukując coraz to nowych pośrednich ogniw, a otrzymamy skalę natężeń czuć, skalę natężeń podniet, i wzajemny stosunek, w jakim wielkości te się znajdują. Metodę dostarczającą powyższych rezultatów nazwano Metodą stopniowania.

Dwie następne metody opiérają się na fakcie doświadczalnym, który mówi, że wybierając ciężar zupełnie równy danemu, lub starając się zrównać zupełnie dokładnie dwa natężenia światła, popełniamy zwykle pewien błąd, rzadko zaś bardzo uda nam się wykonać zadanie bez błędu. Wrażenia wydają się zwykle równemi, pomimo iż odpowiadające im natężenia podniet nie będą jednakowe. Powtórzywszy próbę znaczną ilość razy, możemy zawsze określić średnią wielkość popełnianego błędu. Istnienie błędu objaśnia się tém, że zbyt małe zmiany natężenia podniety nie są odczuwane. Wielkość popełnianego błędu pokazuje nam stopień wrażliwości indywidualnéj. Za-

---

lub téż jeżeli oznaczymy $C = -\log b$, to otrzymamy $\gamma = k(\log \beta - \log b)$, $\gamma = k \log \frac{\beta}{b}$. Fechner przyjmuje, iż b stanowi natężenie podniety, wywołującéj zaledwie spostrzegalne czucie. Otrzymaną formułę nazwał Fechner prawem Webera.

leżnie od tego, czy będziemy zważali na wielkość popełnianych błędów, czy też na ilość bezbłędnych wypadków, otrzymamy metodę średniego błędu lub metodę dokładnych i błędnych spostrzeżeń.

„Psychofizyka" Fechnera wywołała całą burzę polemiczną; obóz psychologów podzielił się na dwie grupy. Jedna widziała w prawie Weber'a jedną z największych zdobyczy w dziedzinie psychologii, a w podanych metodach pierwszy krok do ujęcia psychiki w ściśle matematycznie wyrażone prawa. Druga grupa patrzyła na prawo Weber'a, jako na błędne uogólnienie doświadczeń robionych przez Weber'a.

Zwolennicy Fechner'a, przeważnie zaś Wundt, całym szeregiem doświadczeń starali się dowieść słuszności rozumowań twórcy psychofizyki. Poddano badaniu wszystkie zmysły, posunięto doświadczenia daléj jeszcze, badając nietylko wrażenia umysłowe, lecz także „zmysł czasu" i „zmysł przestrzeni". Obecnie zapał już minął. Najgorliwsi nawet zwolennicy prawa Weber'a zaczynają dochodzić do wniosku, że jeżeli nawet prawo to jest do pewnego stopnia słuszne, to w każdym razie nie posiada ono tego znaczenia, jakie mu pierwotnie nadawano: nie pozwala ono mierzyć natężenia uczuć. W najnowszéj swéj pracy ogranicza Kuelpe, uczeń Wundt'a, znaczenie prawa Weber'a bardzo silnie. Według niego, pozwala ono oceniać tylko wrażliwość indywidualną, nigdy zaś nie może być uważane za zasadę, pozwalającą mierzyć natężenie stanów psychicznych.

Praktyczne korzyści z prawa Weber'a odniosła astronomia i fizyka. W czasach, gdy określenie wielkości gwiazd odbywało się przy pomocy wzroku, konieczną była znajomość błędu, jaki mógł być popełniony. Obecnie fotografia pozwala na znacznie dokładniejsze określenia. W fizyce prawo Weber'a gra pewną rolę przy badaniach fotometrycznych. Posługując się doświadczeniami Weber'a dowodził między innemi Waitz nieprawdziwości teoryi Herbart'a.

II.

Zadaniem nauki jest możliwie ścisłe opisanie zjawisk. Opis ten, jeżeli ma być dokładny i ścisły, musi analizować zjawisko, badając wszystkie formy jego przejawów, następnie zaś wskazać warunki, przy których zjawisko pewne może powstać i istniéć. Jeżeli znamy dokładnie całokształt zjawiska i warunki jego istnienia, to znamy dokładnie samo zjawisko. Stosownie do powyższego określenia, za-

daniem psychologii jest poznanie zjawisk psychicznych: musi ona badać formę i warunki istnienia stanów duchowych. Analizą pewnéj części stanów psychicznych, mianowicie wrażeń, zajmuje się cała grupa metod doświadczalnych. Metody te mają za cel wykazanie, iż stany złożone dadzą się rozpatrywać jako synteza elementów pierwotnych. Elementem pierwotnym, a więc takim, który już nie może być rozłożony, nazywa psychologia czucie. Czuciem jest ujmowanie pojedyńczego tonu, barwy i t. d.

Jestto jedną z wielu zasług Herbart'a, iż on pierwszy starał się wykazać, że wszelkie stany psychiczne musimy rozpatrywać jako złożone z pierwotnych elementów czuć. Postawił więc on nauce pytanie, czy wszystkie stany psychiczne dadzą się rozłożyć na pojedyńcze czucia, czy obok czucia nie istnieje inny jaki nieznany nam pierwiastek? Teoretycznie psychologia tegoczesna odpowiada na powyższe pytanie przecząco. Nigdy nie możemy zaobserwować, powiadają wszyscy jednogłośnie, nic takiego, coby nie było czuciem lub syntezą czuć. Pomimo to mówi teraz jeszcze Wundt, iż obok zmieniających się czuć spostrzegamy w świadomości naszéj jeszcze pewną działalność, którą nazywamy uwagą. To nie przeszkadza temuż Wundt'owi twierdzić w innéin miejscu, iż naszéj samoobserwacyi są dostępne tylko czucia. Teorya i praktyka różnemi często kroczą drogami!

Powróćmy jednak do metod badań. Metody te dadzą się podzielić na dwa zasadnicze kierunki, na metodę analityczną i syntetyczną. Pierwsza pozwala nam zjawisko złożone rozłożyć na pierwiastki, druga może służyć za dopełnienie pierwszéj, pozwalając z danych pierwiastków syntetycznie odbudować całość. Ażeby synteza była możliwą, koniecznym jest jeden warunek: musimy posiadać możność pierwiastki dowolnie łączyć lub dzielić.

Dlatego też w psychologii synteza jest tylko w jednéj dziedzinie możliwą: w dziedzinie badań akustycznych. Przy pomocy analizy możemy zbadać pojedyńcze tony złożonego akordu, możemy wyróżnić ton zasadniczy od nadtonów; przy pomocy syntezy możemy z pojedyńczych tonów tworzyć dowolnie akordy, z akordów mniéj złożonych — akordy bardziéj złożone. Tak postępuje kompozytor, rozkładając melodyę na instrumenty. Z poszczególnych instrumentów wydobywa syntetycznie złożony i zharmonizowany akordów szereg.

W dziedzinie optyki synteza jest już znacznie więcéj utrudnioną, w silniejszym jeszcze stopniu w dziedzinie wrażeń dotykowych, cieplnych i t. d. Analiza musi pozostać tutaj metodą zasadniczą.

Fechner'a nazwaliśmy twórcą psychofizyki, w tém samém znaczeniu musimy nazwać Helmholtz'a twórcą metod, pozwalających ana-

lizować wrażenia zmysłowe. Helmholtz sam poddał badaniu tylko zmysł wzroku i słuchu, dał on jednak impuls w nieznanym wówczas jeszcze kierunku, słusznie więc należy go uważać za jego twórcę.

Nazwaliśmy poprzednio metodę analityczną metodą zasadniczą rozpatrywanéj obecnie grupy badań. Właściwiéj należałoby nazwać analizę podstawą metod, badających składowe pierwiastki naszych stanów psychicznych, gdyż metod badania, opiérających się na analizie, jest dwie. Jedna z nich jest bardziéj podmiotową, druga więcéj przedmiotową.

Stosowanie pierwszéj metody opiéra się na fakcie, iż jakość otrzymanego wrażenia jest zależna nietylko od działającéj podniety i jéj własności, lecz także i od odbiérającego wrażenia indywiduum: od usposobienia lub stanu, w jakim dane indywiduum się znajduje.

Łatwiéj możemy odróżnić oddzielne elementy każdego wrażenia, łatwiéj poznać jego właściwości, jeżeli skierujemy nań uwagę, aniżeli, gdy jesteśmy roztargnieni. Uwagę naszą możemy skierować nawet na pewną tylko stronę otrzymanego wrażenia, pomijając inne. W każdym z tych wypadków poddajemy analizie otrzymywane wrażenia, badamy składowe części tegoż.

Analiza zostaje jednak dokonaną przy pomocy podmiotowych własności indywiduum.

Inaczéj prowadzić będziemy badania, jeżeli odwrotnie, nie zmieniając warunków indywidualnych, będziemy zmieniać warunki przedmiotowe. W tym wypadku metoda będzie więcéj obiektywną. Stosownie do zagadnienia, jakie bada psycholog, obiedwie powyższe metody muszą być uzupełnione jeszcze w kierunku, najbardziéj odpowiadającym badaniu. Zasadnicza cecha wszystkich tego rodzaju doświadczeń pozostaje jednak niezmienną, tą téż głównie zajmowaliśmy się.

Zapytajmy teraz o wartość, jaką posiadają metody analizy wrażeń, a odpowiedź brzmiéć będzie: Metody te posiadają pierwszorzędne znaczenie, pozwalając poznać dokładniéj pierwiastki, z jakich składają się stany psychiczne. Metody posiadają następnie wielkie znaczenie dla teoryi poznania. Jeżeli analiza pokazuje nam, iż cała nasza działalność umysłowa, wszystkie stany psychiczne dadzą się rozpatrywać, jako syntezy czuć, jeżeli daléj doświadczenie uczy nas, iż wszelkie czucie musi być uwarunkowane bezpośrednio lub pośrednio z zewnątrz działającą podnietą (podrażnienia nerwów przez mięśnie, możemy także uważać za podrażnienia, pochodzące z zewnątrz), to słusznym jest wniosek, iż wszelka nasza wiedza jest tylko wiedzą doświadczalną.

Powróćmy jednak do badań. Jeżeli w historycznym porządku zechcemy nakréślić otrzymane rezultaty prac dotychczasowych, to musimy zacząć od wrażeń słuchowych. Pierwszy Helmholtz w swéj „akustyce fizyologicznéj" zbadał ściśle pierwiastki, z jakich składają się otrzymywane wrażenia słuchowe. Przy pomocy wynalezionego przez siebie rezonatora zanalizował on złożone akordy i szmery i wykazał, że składają się one, z pierwotnych, nie dających się daléj analizować elementów—tonów.

Następnie zajęto się badaniem wrażeń optycznych. Tutaj zajmuje Helmholtz także pierwszorzędne miejsce. Badania wykazały, iż za kolory zasadnicze należy uważać czerwony, niebieski, żółty i że wszystkie inne barwy możemy otrzymać z powyższych trzech. Następnie zajęto się badaniem stosunku, w jakim znajdują się pojedyńcze kolory względem siebie, warunki harmonii i kontrastu i t. d.

Zmysły wzroku i słuchu należy uważać za najlepiéj znane i najlepiéj zbadane. Co do zmysłu, węchu i dotyku, to nie jesteśmy jeszcze w możności wskazać, jakie zapachy należy uważać za pierwotne, a jakie za pochodne; toż samo w dziedzinie wrażeń smakowych.

Badania zmysłów wykazały jednak, iż dotychczasowy podział na: wzrok, słuch, powonienie, smak i dotyk, jest zupełnie powiérzchownym. Nowsze prace dowiodły, że inne nerwy bywają pobudzone przez zmiany temperatury, inne pobudza dotyk; pewna część fizyologów jest skłonna przyjąć nawet oddzielne nerwy dla bólu. Obok tego rozróżnianym bywa t. zw. zmysł mięśniowy, informujący o położeniu członków w przestrzeni, sile napięcia mięśni i t. d.

Wszystkie te rezultaty potwierdzają jednak zasadniczo ważne mniemanie, że nasze stany psychiczne dadzą się rozpatrywać, jako synteza czuć.

Wniosek ten umożliwia dopiéro zrozumienie prawa psychofizycznéj równoległości zjawisk. Gdyby na zasadzie analizy psychologicznéj należało przypuszczać, iż istnieje jakakolwiek „psychiczna działalność", to dla działalności téj nie moglibyśmy znaléść żadnego równoważnika fizyologicznego. Badania fizyologiczne pokazują iż jakościowo różnorodnym czuciom odpowiadają podrażnienia różnorodnych włókien nerwowych i, co za tém idzie, funkcyonalne różnice w działalności ośrodków systemu nerwowego. Wyniki te pozwalają nam zrozumiéć psychofizycznie różnorodność czuć, nie wystarczałyby jednak do zrozumienia „działalności psychicznéj" istniejącéj po za czuciami.

Munk zastosował zbyt dosadnie wyniki badań fizyologicznych, do badań nad lokalizacyą, umieszczając czucia w komórkach nerwo-

wych. Materyalizm Munk'a nie może jednak pociągać za sobą unistwienia całego poglądu. Pomimo, iż nie możemy „lokalizować” czuć w mózgu, możemy jednak twierdzić, iż pomiędzy działalnością pewnych ośrodków nerwowych, a istnieniem pewnych stanów psychicznych jest zależność. Jaka? Na to pytanie nie odpowiada psychologia. Psycholog nie może i nie powinien posuwać się po za prawo równoległości psychofizycznéj, chociaż wolno mu prawo to ograniczyć. Wszelkie „uzupełniania” prawa psychofizycznéj równoległości należą do filozofii a nie do psychologii.

III.

Analiza wrażeń wraz ze wszystkiemi pomocniczemi metodami posiada bezwarunkowo bardzo ważne znaczenie i oddała niemałe usługi psychologii. Obejmuje ona jednak tylko niewielki dział badań psychologicznych. Zadanie psychologii polega na poznaniu zjawisk duchowych i praw, kierujących niemi. Znajomość pierwiastków, tworzących zjawiska, jest rzeczą pierwszorzędnéj wagi, pomimo to posiada ona tylko pomocnicze znaczenie.

Główném dążeniem psychologii, zarówno jak i każdéj innéj gałęzi wiedzy, musi pozostać z b a d a n i e p r a w, k i e r u j ą c y c h z j a w i s k a m i. Metody, dotychczas przez nas używane, pozwalają badać tylko w r a ż e n i a, nie wyjaśniając wcale w y o b r a ż e ń, ani stanów psychicznych, bardziéj złożonych. Nie mówią nam one nic jeszcze, co jest uwaga, jak odbywają się ruchy dowolne, jakie są prawa asocyacyi i t. d.

Zbadaniem wszystkich tych stanów zajmuje się każdy psycholog, każdy jednak stosuje inne metody. Za najmniéj odpowiednią musimy uważać metodę s t a t y s t y c z n ą, która powstała w Anglii. Tam też doprowadzono użycie téj metody do olbrzymich rozmiarów.

Treść metody polega na tém, iż rozsyła się tysiące kwestyonaryuszy w pewnéj kwestyi, zbiéra otrzymane odpowiedzi i z tych dopiéro wyciąga wnioski. — Wady téj metody są dwojakie: 1) posiada ona wszystkie słabe strony samoobserwacyi, 2) posiada je ona w spotęgowanym stopniu. Jeżeli już zwykła samoobserwacya w ręku człowieka, który przyzwyczaił się do samoanalizy, jest wysoce niedokładném narzędziem, to niedokładność staje się jeszcze większą, jeżeli będziemy zbiérali spostrzeżenia ludzi, do samoanalizy zupełnie nie przyzwyczajonych i z przedmiotem nieobeznanych. Każdy, kto miał choć pobieżnie do czynienia z badaniami psychologicznemi, musiał już zauważyć,

z jaką trudnością otrzymujemy od badanego objaśnienia i opis tego, co on czuł i jak czuł.

Robiąc niedawno doświadczenia nad t. zw. „reakcyą", otrzymałem anormalnie duże ilości czasu. Należało zbadać przyczynę tego zjawiska; w tym celu prosiłem badanego, aby zechciał opisać swe wrażenia. Pomimo, iż badany jest „doktorantem" psychologii, a więc z przedmiotem względnie się obeznał, otrzmywałem odpowiedzi zupełnie niedokładne i dopiéro wprost zadawane pytania pozwoliły mi zoryentować się w kwestyi.

O ile trudniéj można byłoby, przy pomocy pytań nawet, otrzymać zadawalniające odpowiedzi od osoby zupełnie z przedmiotem nieobeznanéj!

Tém pewniéj możemy przypuszczać, iż odpowiedzi będą zupełnie niedokładne, jeżeli osoba, z badaniami psychologicznemi zupełnie nieobeznana, będzie bez postronnéj pomocy odpowiadać na pytania kwestyonaryusza. Mojém zdaniem odpowiedzi te nie posiadają absolutnie żadnéj wartości.

Dlatego téż metoda statystyczna znalazła zastosowanie tylko w Anglii i w mniejszym już znacznie zakresie w Ameryce. Badacze na kontynencie posługują się metodami laboratoryjnemi, które wzięły swój początek od Wundt'a. Metody te z laboratoryum w Lipsku rozeszły się po całym świecie. Szczególniéj Ameryka słynie ze wspaniale urządzonych laboratoryów.

Jedném ze stałych zajęć obserwatora astronomicznego jest notowanie chwili, kiedy gwiazda lub planeta przechodzi przez określony punkt, na który skierowano teleskop. Notowanie odbywa się w ten sposób, iż w chwili, gdy obserwator zauważy w miejscu poprzednio oznaczoném gwiazdę, naciska on odpowiedni klawisz, wskutek czego moment ten zostaje na aparacie notowany. W czasach, gdy mniemano ogólnie, iż przebieg podraźnienia w nerwach odbywa się prawie z takąż szybkością, z jaką przenosi się światło, przypuszczano także, że notowanie odbywa się w téjże saméj chwili, w któréj gwiazda została spostrzeżoną. Praktyka jednak wykazała, iż pomiędzy notowaniami dwóch astronomów istnieją pewne różnice, zwykle indywidualnie stałe, innemi słowy, że czas reakcyi jest indywidualnie różnym i że nawet u téjże saméj osoby podlega on pewnym wahaniom.

Za podstawę swych metod doświadczalnych użył Wundt używaną w astronomii reakcyę i pomiary długości jéj trwania. Ponieważ i teraz jeszcze znaczna ilość prac psychologicznych posługuje się metodą reakcyi, modyfikując ją odpowiednio do potrzeby, nie będzie więc

zbytecznėm, jeżeli zapoznamy się bliżėj z techniką tego rodzaju doświadczeń.

Reakcyą nazywa każdy eksperymentator ruch, wykonany na pewien sygnał. Zależnie od tego, jakiéj używamy podniety, zmieniają się i normy reakcyi: a więc mamy reakcyę optyczną akustyczną i t. d. Czas trwania reakcyi oblicza się od chwili, gdy wywołaną została podnieta do chwili, w któréj nastąpił żądany ruch.

Ponieważ czas ten jest zwykle bardzo mały, dla reakcyi prostéj wynosi on zwykle od 0.1 do 0.2 sekundy, ponieważ przytém dokładność pomiaru dochodzi aż do mierzenia tysiącznych części sekundy, jasném więc jest, iż pomiary tego rodzaju wymagają specyalnych urządzeń. Urządzenia te zmieniają się stosownie do potrzeby, są one także zależne od środków, jakiemi rozporządza laboratoryum. Dlatego téż opiszę tylko to urządzenie, jakiém posługuję się przy moich doświadczeniach, jest ono najprostsze i zarazem najdokładniejsze.

Urządzenie to składa się przedewszystkiém z cylindra metalowego, który przy pomocy silnego mechanizmu zégarowego obraca się naokoło swéj osi. Na cylinder ten nalepia się okopcony papiér, na którym odpowiednie aparaty notują reakcyę i czas. Jak już zauważyliśmy, dokładność pomiaru dochodzi do tysiącznych części sekundy. Najodpowiedniejszym więc czasomierzem będzie kamerton. Na zasadzie praw fizyki wiadomo, iż ciało, wydające dźwięk, porusza się wahadłowo, wykonywając pewną ilość poruszeń na sekundę. Ilość wykonanych poruszeń jest zależna od wysokości tonu, jaki cialo wydaje. Do pomiarów wybiéra się zwykle kamerton, którego widełki robią pięćset wahań na sekundę. Jeżeli nóżkę kamertonu zaopatrzymy w ostrze i ustawimy go tak, że ostrze to będzie nakréślało na obracającym się cylindrze ślady, to otrzymamy falistą linię; długość jednéj fali będzie odpowiadać jednéj pięćsetnéj sekundy, połowa długości fali będzie odpowiadała jednéj tysiącznéj sekundy.

Tuż pod ostrzem kamertonu umieszcza się ostrze aparatu notującego chwilę, w któréj podano sygnał i chwilę, w któréj wykonany został ruch. Aparat ten stanowią zwykle dwa elektromagnesy. W chwili, gdy prąd przebiega przez szpulki, żelazo, umieszczone wewnątrz, nabiéra własności magnesu i przyciąga sprężynę z umocowaném ostrzem; poruszenie to sprężyny robi odpowiedni znak na obracającym się cylindrze. Jeżeli prąd przerwiemy, elektromagnesy tracą swe magnetyczne własności, sprężyna odskakuje i znaczy znów odpowiedni moment. Obok aparatu piszącego potrzebny jest dzwonek i dwa klucze zamykające prąd. Aparat piszący, dzwonek i dwa klucze są połączone z bateryą elektryczną. Eksperymentator, zamykając prąd elek-

tryczny, daje tém samém sygnał; aparat piszący notuje odpowiedni moment na obracającym się cylindrze. Badacz, usłyszawszy dzwonek, naciska odpowiedni klawisz i otwiéra prąd; aparat piszący notuje znów odpowiedni moment. Jeżeli obliczymy następnie ilość fal, nakreślonych ostrzem kamertonu, który podczas trwania reakcyi był ciągle w ruchu, to będziemy mogli obliczyć czas, jaki upłynął pomiędzy podanym sygnałem i wykonanym ruchem — będziemy mogli obliczyć czas trwania reakcyi.

Po dokonaniu powyższéj wycieczki w sfery techniki laboratoryjnéj, powróćmy do teoretycznéj strony metod doświadczalnych. Zwykłą reakcyę, jak ją dopiéro co opisaliśmy, można uczynić bardziéj złożoną, Jeżeli np. powiększymy ilość sygnałów, możemy zamiast jednego dzwonka, użyć kilka, dających różnorodne tony, przyczém badacz powinien reagować tylko na jeden określony. Reakcya zwykła zostanie więc uzupełnioną procesem rozpoznania danego sygnału i wyboru. Następną, bardzo złożoną formę reakcyi otrzymamy, jeżeli każemy badanemu na każdy sygnał reagować innym palcem. Na tém jednak nie ograniczają się wszelkie możliwe uzupełnienia reakcyi. Jeżeli za sygnał użyjemy wyrazu, to możemy uzupełnić reakcyę, asocyacyą, jeżeli badany będzie reagował dopiéro wtedy, gdy powiedziany wyraz wywoła najbliższe asocyacyą związane pojęcie i t. d. Wundt przypuszczał i przypuszcza jeszcze, iż przy pomocy wszystkich tych metod możemy zbadać najbardziéj złożone funkcye psychiczne. We wszystkich wypadkach obliczał on czas trwania reakcyi, a oznaczywszy obok tego długość reakcyi zwykłéj, określał, jak długo trwa wybór, jak długo trwa rozpoznanie, lub ile czasu upływa, zanim uprzytomnimy sobie pierwsze, asocyacyjnie wywołane pojęcie i t. d.

Niestety, powyższe mniemanie Wundt'a musimy uważać za złudzenie. Zadanie psychologii nie może się ograniczać na o b l i c z e n i u c z a s u t r w a n i a z j a w i s k a, powinna ona zjawisko poznać. Jeżeli chemik, zamiast badać proces zachodzący podczas reakcyi, poprzestanie tylko na określeniu czasu, jaki trwała reakcya, to zaiste niewiele pomoże nauce. Możemy najdokładniéj wiedziéć, ile czasu upływa, zanim metal rozpuści się w kwasie i utworzy sól, pomimo to, nie będziemy mieli najmniejszego pojęcia, w j a k i s p o s ó b otrzymaliśmy sól, nie będziemy nic wiedziéć o istocie zjawiska. Znajomość czasu trwania zjawiska może być dla nas bardzo ważną, ale wtedy tylko, gdy znamy dokładnie przebieg zjawiska. Wiadomość, ile czasu musiało upłynąć, zanim wykonaną została reakcya z wyborem, nic nam nie mówi o tém, co jest wybór, jak należy objaśnić rozpoznanie przedmiotu, które poprzedza wybór i t. d.; nie odpowiada ona na zasadni

cze pytanie psychologii: jakiemi są odpowiednie stany psychiczne i czém się one różnią od innych? Jeżeli zapytamy, dlaczego Wundt popełnił podobnego rodzaju błąd, dlaczego, zamiast na równi z badaczami innych gałęzi wiedzy ludzkiéj, patrzéć na doświadczenia, jako na środek pozwalający dokładniéj analizować fakty, ograniczył się na mierzeniu czasu zjawisk, to odpowiedziéć możemy tylko jedno: Wundt uważał swoją *à priori* zbudowaną teoryę za zupełnie wystarczającą i za zupełnie dokładną. Teorya nie potrzebowała sprawdzenia, mogła być ona tylko uzupełnioną przez podanie czasu trwania zjawisk.

Kierunek, nadany badaniom przez Wundt'a, trwał aż do roku 1889, kiedy pierwszy raz wystąpił Münsterberg ze zjadliwą, zresztą słuszną krytyką. Zauważył on zupełnie trafnie, iż najdokładniejsze nawet cyfry nie posiadają żadnéj wartości, jeżeli są źle interpretowane. Cyfry są masą bez formy i kształtu. Dopiéro odpowiednio określone i odpowiednio wyzyskane, nabywają formy i treści.

Stosownie do tego uzupełnił i zmienił Münsterberg metody, używane przez Wundt'a. U Wundt'a były one celem, u Münsterberga środkiem. Wundt zadawalniał się otrzymanemi cyframi, Münsterberg uważał cyfry za rzecz drugorzędną. Przykład najlepiéj objaśni różnicę obudwu kierunków. Wundt, objaśniając wybór i reakcyę z wyborem, jako działalność a p e r c e p c y i, zapytywał, jak długo trwa wybór. Münsterberg pytał, czy tylko działalność apercepcyi, jako czynnika „wyższego", umożliwia wybór, czy nie możemy zjawiska tego pojąć, ściśle przyczynowo bez współudziału „wyższych" czynników? Stosownie do tego urządzał on doświadczenia w ten sposób, iżby mógł przy jego pomocy otrzymać odpowiédź na żądane pytanie. Wundt dowodził, że gdzie reakcya zwykła odbywa się bez współudziału apercepcyi, tam wybór nie jest możliwy; wobec tego reakcya skrócona nie może być połączona z wyborem [1]). Münsterberg pokazał, że twierdzenie samo nie wystarcza i że doświadczenie pokazuje zupełnie co innego. Zjawiska, które Wundt uważał za niepodlegające dyskusyi, a więc wybór, rozpoznawanie i t. d. starał się Münstenberg zanalizować i objaśniać. Zasługa więc jego polega na tém, iż on pierwszy systematycznie i posiłkując się doświadczeniem, wykazał błędność teoryi Wund'a. Pobił on Wundt'a na polu, na jakiém ten czuł się najsilniejszym.

Od czasów Münsterberg'a doświadczenia poszły zupełnie innemi tory, aniżeli za czasów panowania szkoły Wundt'a. Gdy psychologia

---

[1]) Różnica pomiędzy reakcyą skróconą i reakcyą zupełną polega na tém, iż podczas téj drugiéj uwaga jest zwrócona na sygnał, podczas pierwszéj na wykonywany ruch. Reakcya skrócona, jak to wykazuje nazwa, trwa krócej od reakcyi zupełnéj. Oprócz tego reakcya skrócona bywa bardzo często błędną, reakcya zupełna nigdy.

stanęła przed pytaniem, jak odbywa się zjawisko, a nie jak długo trwa ono, odtąd każde zagadnienie wymaga innych środków pomocniczych. W téj chwili nie może być mowy o uniwersalnych metodach badania.

IV.

Doświadczalną metodę Wundt'a zastosował psychiatra Kraepelin do badania anormalnych zjawisk psychologicznych. O ile musieliśmy poprzednio, rezultaty, jakie mógł otrzymać Wundt, uważać prawie za bezwartościowe, o tyle musimy przyznać, iż pytaniu, jakie chce rozwiązać Kraepelin, przy pomocy metody reakcyi rozwiązane być mogą.

Już badanie reakcyi w normalnych warunkach wykazały, iż można ją do pewnego stopnia uważać za charakterystykę indywiduum. Zależnie od szybkości, z jaką działa mózg każdego, zmienia się szybkość reakcyi. Jeżeli wykonamy kilkanaście doświadczeń jedno za drugiém, zauważymy łatwo, iż długość reakcyi wysoce się zmniejsza, dochodząc do pewnego stalego *minimum*. Na téj zasadzie możemy wnioskować, jaką rolę gra u danego indywiduum ćwiczenie i t. d. Studyowanie reakcyi w różnorodnych warunkach daje nadzwyczaj cenne przyczynki do psychologii jednostki, pozwala ono badać to, co w życiu codzienném nazywamy charakterem osobistym. Na tę stronę zjawiska zwrócił swoją uwagę Kraepelin, badając wpływ różnorodnych czynników na działalność umysłową. Jako formę najdogodniejszą reakcyi uznał reakcyę z wyborem. Reakcya zwykła jest zjawiskiem zbyt prostém i otrzymywane dane są wskutek tego zbyt niepewne, aby można było wyprowadzać wnioski dokładne. Reakcya z wyborem, jako zjawisko bardziéj złożone, nadaje się do powyższych celów znakomicie.

Pierwsze swoje doświadczenia robił Kraepelin sam. Miały one za cel zbadanie wpływu, jaki wywiérają niektóre narkotyki i środki lekarskie na działalność umysłową. Kraepelin badał zmiany długości reakcyi pod wpływem działania alkoholu, chloroformu, kawy, herbaty i t. d. Obecnie posiada zastęp uczniów i rozpoczął wydawać czasopismo, które umieszczać będzie prace, wykonane pod jego kierunkiem.

W zakres badań, jakie są lub mają być wykonane pod kierunkiem Kraepelin'a, wchodzi zbadanie wpływu różnorodnych czynników na działalność umysłową.

Zajęcie każde wywołuje np. zmęczenie. Zmęczenie to może wpływać bardzo różnorodnie na system nerwowy. Zależy od jakości

zajęcia, lub téż pobocznych wpływów, możemy się czuć ociężali, zmęczeni lub nareszcie wyczerpani. W każdym z tych wypadków zmieniać się będzie odpowiednio reakcya. Nietylko czas reakcyi ulegnie zmianom, lecz i dokładność reakcyi będzie w każdym wypadku inna. Ażeby zbadać różnorodne stopnie zmęczenia, używa Kraepelin jednostajnéj pracy umysłowéj lub fizycznéj. W pierwszym wypadku używa czytania lub liczenia, w drugim — spaceru. Już samo czytanie bez żadnych dalszych doświadczeń może służyć za metodę badania. Jeżeli porównamy ilość przeczytanych zgłosek w przeciągu pierwszych piętnastu minut, z ilością przeczytanych zgłosek w następnych, to przekonamy się z łatwością, że ilość wykonanéj pracy stale się zmniejsza. Zmęczenie oddziaływa także na długość reakcyi: może się ona podwoić, a nawet potroić. Możemy następnie badać zmianę reakcyi pod wpływem zmęczenia fizycznego i porównawszy rezultaty wysnuć wnioski o wpływie zmęczenia wogóle.

Zmęczenie możemy doprowadzić aż do wyczerpania i badać odpowiednie zmiany.

Taż sama metoda, zastosowana do znacznéj ilości badanych osób, pokazuje nam także indywidualne różnice badanych. Pomiędzy rezultatami otrzymanemi z badaniami różnych osób można wyprowadzić wnioski, tyczące się psychologii indywidualnéj. Doświadczenie uzupełni się jeszcze, jeżeli badaniu podlegać będą ludzie o różnorodnym stopniu wykształcenia i różnorodném zajęciu. A przecie nie może podlegać żadnéj wątpliwości, iż indywiduum, zajęte tylko fizyczną pracą, inaczéj będzie podlegać wpływom zmęczenia, aniżeli jednostka zajmująca się pracą umysłową. Należy przypuszczać daléj, iż różnice sięgają jeszcze głębiéj, że różnorodne rodzaje pracy fizycznéj lub umysłowéj muszą różnorodnie odbijać się na działalności umysłowéj, wpływając bądź to pobudzająco, bądź téż zwalniająco; toż samo musi się stosować także i do wpływów zmęczenia.

Jedném z dalszych zagadnień jest badanie wpływu ćwiczenia na wykonywanie określonych czynności. Tutaj także okażą się różnice zależne nietylko od własności indywidualnych, ale i od zawodu.

Kraepelin sam formułuje w następujący sposób pytanie, jakie ma zamiar podjąć:

1) Za podstawę wszelkich badań musi służyć zbadanie szybkojści różnorodnych form działalności umysłowéj. Za zasadnicze badania należy uważać poznanie szybkości, z jaką przyswajaném bywa wrażenie zmysłowe, szybkości, z jaką następują po sobie asocyacyj-

nie wywołane wyobrażenia, i szybkości, z jaką wykonanym bywa dowolny ruch.

2) Badaniu musi być poddany także wpływ ćwiczenia. Należy tutaj rozpatrywać zmiany, jakim podlega pewna czynność pod wpływem ćwiczenia.

3) Daléj, ważném jest także poznanie stałego wpływu, jaki wywiera ćwiczenie na wykonywaną pracę umysłową, przerywaną dłuższemi pauzami, a więc zbadanie wpływu ćwiczenia na stałość pewnej działalności.

4) Możemy badać wpływ zmęczenia na działalność umysłową.

5) Wpływ wypoczynku. Jeżeli po dłuższéj pracy zmieniać będziemy długość wypoczynku, to otrzymane rezultaty pokażą nam wpływ, jaki wywiéra dłuższy lub krótszy wypoczynek na dalszą pracę.

6) Możemy badać wpływ przyzwyczajenia.

7) Wrażliwość indywiduum na różnorodne wrażenia i t. d.

Jako specyalne zadanie stawia sobie Kraepelin badanie umysłowo chorych.

Jeżeli o metodzie Wundt'a musieliśmy powiedziéć, iż nie daje ona psychologowi żadnych pozytywnych rezultatów, to metodzie Kraepelin'a możemy przyznać pośrednio tylko znaczenie. Zbadanie ogólnych wpływów niektórych, bardzo zresztą ważnych, czynników na funkcye psychiczne posiada doniosłą wagę, nie daje ono nam jednak dostatecznego materyału, któryby mógł pozwolić poznać szczegółowo działalność psychofizyczną. Być może, że spotkamy się tutaj z zarzutem, iż zbyt ograniczamy pole badania psychologii, wykluczając z niego powyższe badania. Zarzut ten będzie jednak niesłusznym, jeżeli określimy bliżéj zadanie psychologii.

Obecny doświadczalny kierunek psychologii z jednéj strony obejmuje ogólne postulaty psychofizyki z drugiéj strony, zbliża psychologię w znacznym bardzo stopniu do fizyologii. Znamienną np. cechą tego zbliżenia jest fakt, iż bardzo często prace raczéj psychologicznéj, aniżeli fizyologicznéj natury publikują się w czasopismach biologicznych lub fizyologicznych. Słusznie więc powstaje pytanie, gdzie kończy się psychologia, a gdzie zaczyna fizyologia?

Pierwotne określenie psychologii uwzględniało tylko stronę podmiotową. Psychologia powinna była być nauką o „wewnętrznych" zjawiskach — nauki przyrodnicze zajmowały się światem zewnętrznym. Ścisła jednak zależność zjawisk, które nazywamy psychicznemi, od działalności fizyologicznéj systemu nerwowego zmuszała systematycznie do uwzględniania i analizowania fizycznéj strony psy-

chofizycznych zjawisk, sprowadziła jedném słowem stan, który zmusza do pytania, co wchodzi w zakres fizyologii a co w zakres psychologii? Na pytanie to daje najlepszą odpowiedź następujące sformułowanie zadania psychologii?

Psychologia zajmuje się badaniem zjawisk w ich zależności od tego, kto zjawisko przeżywa. Jeżeli więc będziemy badać kogokolwiek bez uwzględnienia jego objaśnień, co do przeżytych przez niego faktów, to badanie to będzie fizyologiczném, jeżeli uwzględnimy to, co nam badany o swych stanach komunikuje, wówczas badanie będzie wchodziło w zakres psychologii.

Rozpatrując z tego stanowiska metodę badania Kraepelin'a, musimy ją uważać za metodę fizyologiczną. Badanie ogranicza się zupełnie na konstatowaniu przedmiotowém zjawisk.

Pod wpływem narkotyków reakcya zmienia się w ten sposób; pod wpływem zmęczenia w inny i t. d. Na zasadzie danego materyału wyprowadzamy wniosek, że narkotyki działają na system nerwowy początkowo pobudzająco, następnie zaś hamująco; lub że zmęczenie fizyczne i umysłowe wpływa hamująco i t. d. Otrzymane fakty i wyciągnięte wnioski nie poruszają wcale podmiotowéj strony badanego, i nie dają nam one opisów tego, co badany przeżywa. Gdybyśmy np. badając wpływ krążenia krwi na działalność psychofizyczną uwzględnili nietylko stronę podmiotową zjawiska — całokształt fizyologiczny przejawów; lecz badali także zmiany, jakie zachodzą w podmiotowych stanach badanego, uwzględniając jego opisanie tych stanów, wówczas badanie byłoby psychologiczne, lub właściwiéj psychofizyczném. Powyższa definicya pozwala więc zakreślić ściśle granicę badań psychofizycznych.

V.

Z podanych powyżéj metod psychologii doświadczalnéj nie trudno wyprowadzić wniosek, iż nauka ta jest dopiéro na drodze do właściwego rozwoju. Jeżeli porównamy bogactwo i ścisłość metod, jakiemi posługują się nauki przyrodnicze, jak fizyka, chemia i t. d., z temi metodami, jakie posiada psychologia; to porównanie będzie dla metod psychologicznych nie bardzo pochlebne. Przyrodnik, zaczynając pracę, jest zwykle dokładnie poinformowany o doniosłości metody, jaką ma zamiar się posługiwać, wié dokładnie, jak daleko mogą sięgać otrzymane przezeń rezultaty. Psycholog nietylko że musi za każdym razem stwarzać nowe metody, lecz, co gorsza, w większo-

ści wypadków zupełnie błędnie ocenia wartość i doniosłość używanych metod. Na przykładzie metod wprowadzonych przez Wundt'a widzieliśmy, iż skłonnym on był uważać otrzymywane cyfry za rozwiązanie i objaśnienie zjawisk psychofizycznych. Większość tegoczesnych psychologów jest jeszcze ciągle tego mniemania; badają oni „życie wewnętrzne" badanego indywiduum, nie pomyślawszy wcale o tém, iż bezpośrednie badanie „psychiki" jest tak samo niemożliwém, jak i mierzenie natężenia czucia. Ocena wypadnie jednak zupełnie inaczéj, jeżeli kierunek tegoczesny porównamy z temi kierunkami, jakie poprzednio panowały wśród psychologów. Wszak dopiéro w początku tego stulecia, od Herbart'a począwszy, oswojono się z myślą, że psychologia może i musi być nauką ścisłą, a nie zbiorem wynurzeń mniéj lub więcéj sentymentalnych dusz, jak w końcu przeszłego stulecia. Przez więcéj niż połowę bieżącego wieku jedna teorya spekulacyjna zastępowała inną, nie przyczyniając się zgoła do zbadania faktów i zjawisk. Wszak i teraz jeszcze, po tylu walkach teoretycznych, znajdują się ludzie, którzy z zasady zamykają oczy na wszelki postęp w psychologii, sarkając na „zmateryalizowanie ducha" piszą tomowe dzieła o „zachowaniu się duszy". Jeżeli uwzględnimy wszystkie te fakty, to niedokładne nawet próby ukażą się w zupełnie innėm świetle. Zasada, iż psychologia może być nauką doświadczalną, narówni ze wszystkiemi innemi gałęziami wiedzy ludzkiéj, próby przeprowadzenia téj zasady praktycznie otwiérają psychologii nowe widnokręgi i zapewniają faktom zdobytym przy pomocy nowych metod większą trwałość, aniżeli wszelkim zdobyczom obserwacyi introspektywnéj. Z chwilą, gdy badacz stał się niezależnym od przypadkowego spostrzegania, z chwilą, gdy posiadł możność powtarzania zjawiska dowolną ilość razy i zmieniania warunków, w jakich się ono odbywa, z tą chwilą może on spokojnie zacząć patrzéć w przyszłość. Rezultaty jego pracy będą posiadały nietylko indywidualną wartość.

F. W. H.



LISTY CZESKIE.

XXVI.

Znowu oto nierozważny radykalizm doprowadził naród czeski do położenia, którego nie można nazwać inaczéj, tylko żałosném i beznadziejném; nie przypuszczam bowiem, aby wśród narodu tego znalazł się tak przenikliwy polityk, który byłby w stanie powiedzieć napewno, jak i kiedy wybrniemy z tego położenia. Zdaje się niemal, jakby naród czeski starał się dać z siebie naoczny dowód słuszności orzeczenia Byrona: *Experience makes no mas wiser*. Istotnie, narodu czeskiego nie uczyniła własna historya mędrszym, gdyż wpada on ciągle w ten sam błąd, który, niestety, już tyle razy pociągał nader smutne następstwa. Nieuwzględnianie danych warunków, płoche przecenianie własnych sił i ślepe uganianie się za urojeniami czczéj wyobraźni, już nieraz stawiały naród czeski na samym brzegu przepaści; pomimo to, dziś powtarza się nanowo ta sama nierozważna gra, narażająca słuszne żądania czeskie do swobodnego rozwoju swego indywidualnego bytu narodowego na poważne niebezpieczeństwo.

Wspomnę tu tylko o ostatnim wypadku, w którym radykalizm, w sposób, jakiego żadną miarą niepodobna usprawiedliwić, obrócił w niwecz świetne widoki, zapowiadające narodowi czeskiemu wpływ i znaczenie polityczne, dzięki przyjaznym ówczesnym okolicznościom i sprowadził skutki wręcz przeciwne, tak, iż zamiast politycznego wpływu w cesarstwie austryackiém, nastał dla Czechów długotrwały

okres politycznego prześladowania i gnębienia. Było to w r. 1848: rewolucya w Wiedniu, rewolucya na Węgrzech, cesarz w Innsbrucku, istnienie monarchii, że tak powiem, zakwestyonowane. Kraje korony czeskiéj mogły się wówczas stać punktem wyjścia dla stłumienia ruchu rewolucyjnego, zagrażającego istnieniu monarchii i dla przywrócenia prawidłowych stosunków w cesarstwie. I byli wówczas wśród nas politycy, którzy w dobrze zrozumianym interesie narodu czeskiego, chcieli owe chwile krytyczne wyzyskać na to, ażeby dla ziomków swoich zdobyć zasługę, że w chwili stanowczéj ujęli się za dynastyą i całością cesarstwa. Hrabia Leon Thun był namiestnikiem Czech. Chodziło o to, żeby krajom korony czeskiéj na drodze legalnéj zapewnić stanowisko samodzielne i pozyskać głos decydujący wobec ruchu rewolucyjnego w innych częściach monarchii. Z Pragi do Innsbrucka udała się deputacya i wyjednała tam u cesarze Ferdynanda zamianowanie prowizorycznego rządu w Czechach i zwołanie czeskiego sejmu konstytucyjnego. Sejm ten byłby się wówczas łatwo stał sejmem generalnym krajów korony czeskiéj, a rząd tymczasowy w Czechach mógłby sobie był również łatwo zdobyć niezapomnianą zasługę, że w sposób lojalny ujął się za dynastyą i całością cesarstwa. Ów rząd prowizoryczny w połączeniu z sejmem generalnym krajów korony czeskiéj, wtedy, gdy w cesarstwie austryackiém wszystko było zakwestyonowane, mógłby był odegrać tak decydującą rolę w losach monarchii, że nawet najdaléj sięgające pretensye narodu czeskiego byłyby się ziściły całkowicie, a powątpiewanie o nich albo odmowa ich zaspokojenia byłyby się odtąd stały niemożebne. I wszystkie te świetne widoki w roku 1848 nierozważny radykalizm obrócił w niwecz!

Kiedy deputacya czeska 19 czerwca 1848 r. powróciła z Innsbruka do Pragi, wtedy w Pradze od 12 czerwca srożyło się powstanie z barykadami, które właśnie w tym dniu po krwawych walkach ulicznych zostało już zgniecione siłą zbrojną. Patenty cesarskie, przystające na ustanowienie rządu prowizorycznego i zwołanie sejmu, zostały złożone do archiwum namiestnictwa, zamiast tego wszystkiego, ogłoszono w Pradze stan oblężenia i naród czeski został w swych świetnych nadziejach haniebnie zawiedziony.

I jeżeli się zapytamy, dlaczego w chwili tak stanowczéj, kiedy najdaléj sięgające plany narodu były tak bliskie urzeczywistnienia, musiało w Pradze wybuchnąć powstanie, które udaremniło wszystkie patryotyczne usiłowania rozważnych polityków, to odpowiédź na to pytanie może brzmiéć tylko bardzo niepochlebnie dla dojrzałości politycznéj narodu czeskiego, wśród którego wówczas nierozum polityczny i nierozważny radykalizm, dobrze obmyślane plany dojrzałych polity-

ków, z niczém nie dającą się usprawiedliwić płochością, pokrzyżował i zburzył. A jeżeli się spytamy daléj, czego właściwie radykalizm chciał dopiąć przez owo powstanie, to możemy tylko powiedziéć, że prawdopodobnie sami radykaliści czescy nie zdawali sobie wówczas z tego sprawy i możnaby co najwyżéj twierdzić, że chcieli oni właśnie tylko powstania z barykadami. Świadomość działania posiadali naturalnie właściwi sprawcy powstania, t. j. emisaryusze madziarscy i inni ajenci partyi rewolucyjnéj, którym radykaliści czescy z całą gotowością oddali się za narzędzie ich potajemnych planów. Wysłańcom madziarskim chodziło wówczas o to, ażeby przeszkodzić formalnemu zamknięciu obradującego w Pradze kongresu słowiańskiego i to im się zupełnie powiodło. Kongres słowiański miał być zamknięty uroczystém oświadczeniem, że Słowianie austryaccy chcą solidarnie poręczyć całość cesarstwa, że jednak żądają oni dla siebie równouprawnienia politycznego z innemi narodami Austryi i wskutek tego odpychają wszelką supremacyę Niemców i Madziarów. Oświadczenie to nie było na rękę rewolucyonistom madziarskim i dlatego należało udaremnić formalne zamknięcie kongresu.

Ajenci zaś inni partyi rewolucyjnéj mieli wówczas tylko jeden interes, mianowicie podsycać wszędzie ruch rewolucyjny; powstanie zbrojne i barykady były wszędzie dla nich celem jedynym: o wszystko inne wcale się nie troszczyli.

Jeżeli teraz powiem, że dzisiejsi nasi młodoczesi ciągle dowodzą, iż powstanie czerwcowe w Pradze było i właściwe i usprawiedliwione, to powiedziałem mniéj więcéj wszystko, co potrzebne do ich scharakteryzowania; mógłbym co najwyżéj dodać jeszcze, że ludzie ci od roku 1848 niczego nie zapomnieli, ani się téż niczego nie nauczyli. Ta, tak zwana partya polityczna i dziś jeszcze gotowa wyciągać dla innych kasztany z ognia, nie zważając na to, że właściwie naród czeski może sobie przytém fatalnie palce poparzyć. Dobrze zrozumiane korzyści narodu czeskiego stają się przytém rzeczą zupełnie podrzędną. Dziś, jak i wówczas, widzimy to samo nieuwzględnianie danych warunków, ten sam nierozum polityczny, tę samą płochość postępowania, to samo lekceważenie rzeczywistych i żywotnych interesów narodu, a zarazem ten sam brak określonego i osięgalnego celu. Politykę prowadzi się jak sport, gwoli przyjemności osobistéj, a sam hałas przytém jest rzeczą główną. Jedyna różnica pomiędzy epoką dzisiejszą a ówczesną jest ta, że rewolucyoniści z r. 1848 swą nierozwagą zniszczyli tylko świetne nadzieje narodu czeskiego, gdy tymczasem dziś burzliwi młodoczesi swoją przewrotną polityką narażają na poważne niebezpieczeństwo to, co już zostało zdobyte. Stan oblężenia mamy dzisiaj tak sa-

mo jak i wówczas i to jest bodaj jedyna zdobycz polityki młodoczeskiéj.

Młodoczeski ruch radykalny, można niemal powiedziéć — rewolucyjny, który obecnie ogarnął większość narodu, stoi na zupełnie przeciwnym biegunie, aniżeli rozważna, umiarkowana polityka zachowawcza dawniejszéj, tak zwanéj staroczeskiéj partyi narodowéj i pytanie właśnie, który z tych kierunków przysłużył się lepiéj żywotnym interesom narodu czeskiego.

Będąca dziś w mniejszości partya staroczeska miała przed sobą tylko jeden jasny i określony cel, mianowicie podniéść Czechów z ich poniżenia narodowego i, o ile można, zdobyć dla narodu jakąś powagę polityczną w cesarstwie austryackiém. Od r. 1848 niejednokrotnie robiono téj partyi zarzut, że dla narodowości poświęca ona swobodę polityczną, i zarzut ten znajdował niejakie usprawiedliwienie w téj okoliczności, że dążenia téj partyi były zupełnie wyraźnie skierowane ku temu, iżby Czechom zapewnić naprzód swobodny rozwój i trwały byt narodowy i że wskutek tego w narodowym programie działania wolność polityczna została tymczasem odsunięta na drugi plan, przez co jednak nie była ona zapomniana. Program ten brzmiał: naprzód chcemy rzeczywiście istniéć, jako naród czeski, a dopiéro wtedy pomyślimy i popracujemy nad tém, jakie stanowisko zająć wobec politycznych kwestyi postępu narodowego i państwowego. Partya staroczeska nie poświęciła przeto bynajmniéj swobody politycznéj dla narodowości, lecz uczyniła jedynie to, co w danéj chwili nakazywało jéj uczynić i położenie rzeczy i rozsądek, mianowicie — naprzód zapewnić Czechom byt narodowy, a dopiéro potém zająć się kwestyą, jakie stanowisko mógłby i powinien zająć naród czeski w życiu politycznem narodów europejskich. Naprzód musimy rzeczywiście istniéć, a dopiéro potém przyjdzie pytanie, jakimi chcemy być i czém możemy być.

Otóż, jeżeli się zastanowimy, że przed r. 1848, a więc niespełna przed 50 laty, naród czeski znajdował się w stanie takiéj niemocy i poniżenia, że całkiem słusznie można było uważać Czechy za kraj niemiecki, że wówczas żywioł niemiecki nietylko w stolicy, ale niemal w całym kraju mógł być uważany za niezaprzeczenie panujący, że wówczas w Europie, że tak powiem, nie wiedziano nic o istnieniu narodowości czeskiéj, że całe życie publiczne w Czechach było nawskroś niemieckie, że język niemiecki niezaprzeczenie nietylko przemagał, ale był zupełnie panującym zarówno w szkole jak i w urzędzie, — to wypadnie przyznać, że program działania partyi staroczeskiéj nie mógł być innym, tylko właśnie takim, jakim był.

I jeżeli daléj, oceniając przedmiotowo ówczesne stosunki, rozwa-

żymy małe i rzeczywiście drobne początki naszego wzniesienia się narodowego, to musimy się zgodzić, że partya staroczeska zniewolona była dla poparcia swych usiłowań, szukać sobie sprzymierzeńców i powitać z upragnieniem wszelką pomoc w swéj mozolnéj pracy. Drobną, mozolną tę pracę narodową staroczesi musieli wziąć na swe barki, to też nie byli oni w możności występować dumnie i butnie odpychać pomoc, z któréjkolwiek strony im ją ofiarowano. I nastały lata gotowéj do poświęceń działalności, wytrwałéj i pod względem materyalnym bynajmniéj nie opłacającéj się pracy, lata zmiennych kolei, lata przygnębiającego zniechęcenia, cichéj rezygnacyi, a także rzeczywistego prześladowania, które niejednego bojownika narodowego doprowadziło do złożenia broni wśród walki beznadziejnéj, lata, w których szeregi zapaśników narodowych przerzedzały się, a ten i ów dla korzyści materyalnéj, przechodził do obozu przeciwników, a nawet były w tych latach chwile, kiedy można było przypuszczać, że wszystko zostało bezpowrotnie stracone, — i pomimo tego wszystkiego, owa dziś tak pomiatana i przez młodoczeską większość narodu nie uznawana partya staroczeska wytrwała na stanowisku, dopóki znowu nie nastały lepsze czasy i nie odzyskała możności podjęcia nanowo pracy narodowéj w sposób skuteczniejszy.

A w jakiż to świetny sposób owi, dziś przez młodoczeską większość formalnie wyklinani staroczesi wykonali swój program działania! Jakiemikolwiek zdobyczami możemy się dziś poszczycić na polu narodowém, wszystko to jest jedynie i wyłącznie dziełem staroczechów, ich rozważnéj i dobrze obmyślanéj działalności. Jeżeli naród czeski stoi dziś, jako uznana przez całą Europę indywidualność narodowa, jako poważany w monarchii czynnik polityczny, to jestto wyłącznie i jedynie zasługą staroczeskiéj partyi narodowéj. Jeżeli dziś w kraju zdobyliśmy zarówno w urzędzie jak i w szkole i w całém życiu publiczném powagę dla swéj narodowości, jeżeli posiadamy dziś nietylko średnie ale i wyższe szkoły czeskie, jeżeli językiem urzędów publicznych i sądów nie jest już wyłącznie niemczyzna, jeżeli Czech w swoim kraju nie potrzebuje się już wypiérać swéj narodowości, ażeby otrzymać jakieś stanowisko w życiu publiczném, to jest to wszystko dziełem i zasługą staroczechów. I jeżeli cała Europa przygląda się z podziwem temu bezprzykładnemu wzlotowi narodowemu Czechów, to jestto zasłużoném uznaniem rozważnéj polityki staroczeskiéj partyi narodowéj.

Partya ta, uwzględniając stosunki, panujące w parlamencie wiedeńskim, połączyła się z temi stronnictwami, których zasady na ogół dały się pogodzić z jéj dążeniami; wraz z Polakami, Słowianami po-

łudniowymi i zachowcami niemieckimi utworzyła ona większość, z któréj pomocą okazało się dla niéj możebném zaspokoić najbardziéj naglące potrzeby i wymagania narodowości czeskiéj. Cokolwiek osiągnęła ona w parlamencie dla swego narodu, to się stało z pomocą tych sprzymierzeńców. A że nie mogła osiągnąć wszystkiego, co naród czeski uważa za swe słuszne prawo i uznaje za pożądane do utrwalenia swego bytu narodowego, to nie jest jéj winą, lecz wynika z okoliczności i warunków, których nie było możności zmienić lub usunąć. Ale nie odrazu Kraków zbudowano, i dalszą część pracy narodowéj staroczesi mogli ze spokojném sumieniem pozostawić swym następcom. Bądź co bądź, Czesi, jeżeli sobie choć trochę chcieli przypomniéć drobne początki swego podźwignienia narodowego, mogli być zupełnie zadowoleni z wyników działalności partyi staroczeskiéj i mogę stanowczo twierdzić, że wszyscy rozsądni i uczciwi ludzie wśród narodu czeskiego byli i bez żadnego skrupułu mogli być zadowoleni.

Partya staroczeska osiągnęła niezaprzeczone rezultaty przez swą rozważną, umiarkowaną politykę. Trzymała się ona przedewszystkiém zasady, że naród czeski tylko w obrębie cesarstwa austryackiego może swobodnie i pewno rozwijać się pod względem narodowym, i że zatém utrzymanie całości tego cesarstwa musi stanowić konieczny postulat polityki czeskiéj. Wskutek tego była uzasadniona zarówno skłonność staroczechów do łączenia się ze wszystkiemi żywiołami zachowawczemi w cesarstwie, jak i ich odraza do działania wspólnego ze wszystkiemi żywiołami wywrotowemi lub rewolucyjnemi, które w nowszych czasach wyłaniają się pod rozmaitemi postaciami. Jako tacy, staroczesi są z przekonania, a więc z zasady wiernymi i zupełnymi zwolennikami monarchicznéj formy rządu i panującéj dynastyi i nie znają pod tym względem żadnych płochych zastrzeżeń myślowych. A ponieważ, zważając przedmiotowo dane warunki, byli oni całkiem przekonani, że dla narodu czeskiego nie da się osiągnąć nic środkami przemocy, i ponieważ daléj nie mogli hołdować płochéj zasadzie, że opozycya przeciwko istniejącemu rządowi ma zawsze jakąś wartość sama przez się, więc byli oni zupełnie gotowi do utworzenia większości rządowéj z innemi stronnictwami parlamentu, których zasady dały się pogodzić z ich zasadami, ażeby tym sposobem przysłużyć się interesom narodowym swych ziomków i przyczynić się wedle możności do urzeczywistnienia ich pragnień. Powiedziałem już, że, dzięki takiemu postępowaniu, naród czeski osiągnął nieskończenie dużo, i jeżeli mówię „nieskończenie dużo”, to muszę zauważyć, że tych dwóch wyrazów nie napisałem bez namysłu; owszém, pamiętając stosunki przed r. 1848, nie mogę się inaczéj wyrazić bez obrażenia prawdy.

Partya staroczeska musiała właśnie w parlamencie wiedeńskim

pokonać i usunąć bardzo ciężkie, istniejące wówczas przeciwko Czechom uprzedzenia i przesądy, ażeby tym sposobem zdobyć dla swych rodaków poważne i szanowane stanowisko w radzie ludów austryackich. Jeżeli wówczas dla Polaków żywiono tylko sympatyę, to Czesi wzbudzali tylko antypatyę. Zaprowadziłoby mnie to daleko, gdybym chciał objaśnić to uczucie względem Czechów, fakt jednak jest niezaprzeczony. Sam wiem nieco o tém, gdyż przebywałem w Wiedniu od r. 1854 do 1863. Ludność Wiednia była osobliwie uprzedzona przeciwko Czechom, uważając ich nietylko za klasę ludzi niższych pod względem kultury, ale także za żywioł niebezpieczny pod względem socyalnym, i wskutek tego nie była ona bynajmniéj skłonną do uznania Czechów za czynnik, któryby pod względem politycznym można było postawić na równi z innemi narodami, a zwłaszcza z Niemcami. Podobnież i Polacy nie byli bynajmniéj gotowi do powitania deputowanych czeskich z otwartemi ramionami, jako braci-Słowian i do zawarcia z nimi nierozerwalnego związku przyjacielskiego. Pamiętam bardzo dobrze wcale nie ukrywane niedowierzanie, z jakiém nasi polscy koledzy z parlamentu trzymali się zdala od nas, i które dopiéro stopniowo, dzięki umiarkowanemu, pełnemu taktu i konsekwentnemu postępowaniu posłów czeskich, mogło się zamienić na zaufanie, a ostatecznie i na stałą przyjaźń.

Zupełnie stanowczym przeciwnikiem Czechów w wiedeńskiéj radzie państwa była niemiecko-liberalna, wówczas tak zwana zjednoczona lewica (tworzyła ona opozycyę), w któréj posłowie niemieccy z Czech odgrywali rolę wybitną i w tym kierunku, że tak powiem, nadawali ton. Zjednoczona lewica niemiecka konsekwentnie głosowała zawsze przeciwko wnioskom Czechów. Ale nawet wobec tego stanowczego przeciwnika wszelkich pretensyi narodowych i można niemal rzec, samego bytu narodowości czeskiéj nasza dawna partya narodowa okazywała ciągle rozsądne umiarkowanie i przy każdéj sposobności wskazywała konieczność przyjaznego porozumienia i spokojnego pożycia wspólnego Niemców i Czechów w królestwie czeskiém. Ponieważ staroczesi zawsze się liczyli tylko z danemi warunkami i politykę swoją opiérali zawsze na mocnym gruncie istniejących faktów, więc nie byli oni nigdy skłonni do dumnego przeceniania sił własnego narodu; i dlatego byli zupełnie przekonani o tém, że urzeczywistnienie ich programu politycznego, to jest osiągnięcie rozległego samorządu królestwa Czech i połączonéj z tém koronacyi królewskiéj da się wywalczyć jedynie w porozumieniu z Niemcami czeskimi, a stąd zawarcie formalnego pokoju z Niemcami musi stanowić niezbędny uprzedni warunek urzeczywistnienia samego programu. I nie byłaż

droga, obrana przez staroczechów, najwłaściwszą dla dopięcia zamierzonego celu?

Niemcy czescy, którzy jeszcze w r. 1861 zachowywali się całkiem odpornie względem wszelkich narodowych pretensyi i życzeń Czechów, a polityczną hegemonię swego szczepu uważali za podstawę istnienia monarchii austryackiéj, i którzy wskutek tego jeszcze w roku 1883-im przemawiali i głosowali w parlamencie przeciwko założeniu uniwersytetu czeskiego w Pradze, przyszli jednak ostatecznie do przekonania, że istnienia narodowości czeskiéj niepodobna dłużéj zaprzeczać, a chociaż kwestyonowali ciągle zupełne równouprawnienie polityczne Niemców i Czechow, to jednak w końcu oświadczyli swą gotowość do zawarcia z Czechami pokoju i do położenia tym sposobem kresu przykréj rozterce narodowościowéj, zgodnie z życzeniem samego cesarza. I tak oto w r. 1890-ym przyszło w Wiedniu do rokowań ugodowych, których wynikiem był podpisany przez oba stronnictwa, protokół, zawierający 11 punktów, które miały służyć za podstawę pokoju narodowego w Czechach. Owe punkta nie były bynajmniéj niewzruszoném prawem, według którego miały być bezwarunkowo regulowane wszelkie stosunki pomiędzy Niemcami a Czechami, lecz były to jedynie projekta, co do których miały się naradzić oba stronnictwa narodowe w sejmie czeskim, były to tylko ogólne zasady, których postanowienia szczegółowe i przeprowadzenie praktyczne miały zależéć dopiéro od uchwał reprezentacyi krajowéj, a więc prawowitych przedstawicieli Niemców i Czechów. Przypuśćmy zatém, że trzej przedstawiciele staroczescy (rząd nie zaprosił do rokowań ugodowych żadnego młodoczecha) nie dopilnowali, jak należy, spraw narodowości czeskiéj; toć jednak i wtedy nic nie było stracone, i można było jeszcze powetować to, o czém w toku obrad zapomniano.

Rzecz jednak nie miała się tak źle. Już niejednokrotnie omawiałem w niniejszych listach owe punkta ugodowe i udowodniałem, że większość ich dla narodu czeskiego była stanowczo korzystną. Że zaś nie każdy z owych 11-tu punktów mógł oznaczać zwycięstwo narodowe Czechów, to się chyba rozumié samo przez się.

Dokonanie dzieła pokoju narodowego w styczniu 1890 r. było wypadkiem, który wszyscy szczerzy i rozważni patryoci czescy uważali oddawna za nieuniknioną konieczność i który oczywiście powitali z radością. Atoli radość ta narodu czeskiego nie była wówczas na rękę młodoczechom, którzy właśnie w owéj chwili byli bardziéj niż kiedykolwiek usposobieni do zagarnięcia w swe ręce politycznego kierownictwa narodu. Czytelnicy niniejszych listów wiedzą przecież, jak powstała tak zwana partya młodoczeska. Głowa jéj dr. Juliusz

Gregr nie był człowiekiem skłonnym do podporządkowania swych zachcianek egoistycznych wymaganiom powszechnego dobra swego narodu. Miał on tylko dosyć dumy, ażeby odegrać samemu rolę wybitną w życiu publiczném; odgrywał ją téż przez długi czas, a nawet już dograł, albowiem jako człowiek, złamany na ciele i duchu, zrzekł się on już wszelkiéj działalności publicznéj i obecnie jest tylko jeszcze właścicielem „Narodowych listów”, których nawet nie redaguje. Zakres jego działalności publicznéj jest przeto skończony, i dziś można już wypowiedziéć o niéj wyrok ostateczny, który brzmi dla niego nie bardzo pochlebnie, a który można streścić w tych oto słowach: dr. J. Gregr był jedynie burzycielem, ale nie stworzył nic prócz smutnego i beznadziejnego położenia, w którém się dziś naród czeski znajduje. To jest jego dziełem, poza tém—nic. Zburzył on tak niezbędną zgodę w narodzie czeskim, zburzył dawniejszą organizacyę naszych partyi politycznych, zburzył wszelkie sympatye, jakie staroczesi swém rozważném i umiarkowaném postępowaniem zdobyli, rzec można, wszędzie dla czeskiéj sprawy narodowéj.

Dr. J. Gregr pokonał w r. 1890 partyę staroczeską i zepchnął ją na stanowisko mniejszości; nie wyniszczył jéj jednak, gdyż w czasie wyborów do parlamentu 40% wyborców staroczeskich stało naprzeciwko 60% wyborców młodoczeskich. Dr. J. Gregr wmówił w naród czeski, że przez ugodę z Niemcami staroczesi zdradzili sprawę narodową swych ziomków, i większość narodu temu uwierzyła. Że twierdzenie to bynajmniéj nie odpowiada prawdzie, tego nie potrzebuję dowodzić. Ażeby pozyskać większość w narodzie czeskim, nie wzdrygał się p. Gregr przed żadnemi środkami, nie gardził żadnymi sprzymierzeńcami. Najprzód wmówił on w naród, że partya staroczeska wcale nic dla niego nie zdobyła, i temu mogli uwierzyć ludzie młodzi, którzy właśnie dzięki usiłowaniom i zdobyczom staroczechów wyrośli już w takich warunkach, że mogli się czuć i występować w życiu publiczném jako Czesi, i którzy nie wiedzieli nic o głębokiém poniżeniu narodowém, z którego naród czeski podniósł się do świadomości dzięki tylko pełnéj zaparcia siebie działalności staroczechów. Powtóre, starał się on świetnemi obietnicami pozyskać dla siebie wszystkich tych, którym postęp narodu wydawał się zbyt powolnym, i którzy, nie znając i nie uwzględniając istniejących warunków, mogli przypuszczać, że naród jest już tak silnym, żeby mógł urzeczywistnienie swych pretensyi narodowych przeprowadzić z większą energią, a bodaj nawet przemocą. Wreszcie wziął on pod swą opiekę wszystkich tych, którzy w swych dążeniach ambitnych czuli się pod jakimkolwiek względem upośledzonymi, i zapewnił im zaspokojenie wszystkich pragnień

osobistych, jeżeli się zaciągną pod jego chorągiew. Połączcie się ze mną przeciwko staroczechom, a dziennik mój rozgłosi wasze uzdolnienie polityczne i zabezpieczy waszą opinię, — tak brzmiała obietnica, która mu zjednała wielu stronników. I tym oto sposobem naprzeciw partyi staroczeskiéj zgromadził on w narodzie większość, która jest zgodną tylko w przeczeniu, ale któréj nie łączą bynajmniéj jednakowe zasady i dążności polityczne. Chciał on zjednać także dla siebie socyalistów; ponieważ wszakże robotnicy posiadają swoją własną organizacyę międzynarodową, więc mu się téż nie udało zrobić z nich Gregrowskich młodoczechów.

Walka przeciwko staroczechom ciągle jeszcze stanowi jedyną działalność pozytywną partyi młodoczeskiéj, utworzonéj przez d-ra Gregra. Porzucono drogę, na któréj partya staroczeska zdobyła tak dużo dla narodu, wzgardzono środkami, jakiemi partya ta pracowała tak skutecznie dla sprawy czeskiéj; pod kierunkiem młodoczeskim naród nasz idzie innemi drogami, pracuje on z pomocą innych środków, dotychczas jednak nie może się poszczycić dalszemi zdobyczami narodowemi, i wielkie pytanie, czy będzie mógł poszczycić się niemi w przyszłości.

Jeżeli dawniéj trzymano się niewzruszenie zasady, że Czechowie tylko w obrębie cesarstwa austryackiego mogą uzyskać swobodny rozwój i zapewnione stanowisko bytu politycznego, i że z tego powodu austryacki sposób myślenia i austryacki patryotyzm winien stanowić istotną część składową programu politycznego Czechów, to dziś, według doktryny młodoczeskiéj, austryacki sposób myślenia i patryotyzm austryacki są wzbronione niemal pod grozą kary i bywają piętnowane jako przekonania międzynarodowe. Tym sposobem oczywiście i lojalność względem dynastyi panującéj została niebezpiecznie zakwestyonowaną. Usposobienie monarchiczne z zasady i przekonania stało się wśród młodoczechów rzeczą podrzędną, do któréj sojusz z republikanami francuskimi nie pozwala przywiązywać wielkiéj wagi.

Jeżeli przedtém w dobrze zrozumianym interesie narodowym uważano za właściwe iść wedle możności ręka w rękę, z rządem austryackim i w połączeniu z żywiołami zachowawczemi cesarstwa podtrzymywać większość rządową, z któréj pomocą życzenia narodowe Czechów możnaby zbliżyć ku ich spełnieniu, to dziś opozycya *quand même* stała się najgłówniejszém zadaniem działalności parlamentarnéj, i wszelki związek z żywiołami zachowawczemi jest z zasady odrzucany. Związek ze szlachtą poczytuje się za przeciwnarodowy i reakcyjny, a duchowieństwu katolickiemu przeciwstawia się husytyzm.

Jeżeli dawniéj równouprawnienie Niemców i Czechów uchodziło

za cel naszych dążeń narodowych, to dziś szowinizm młodoczeski domaga się zwierzchnictwa żywiołu czeskiego w kraju i zamiast zwalczanéj przez staroczechów i prawie już zupełnie usuniętéj germanizacyi Czech, stawia na widoku czeszczenie całego kraju. Przykra historya z tabliczkami ulicznemi w Pradze, przez którą zasada równouprawnienia narodowego została w sposób lekkomyślny i nie dający się niczém usprawiedliwić, pogwałcona i która prawdododobnie skończy się zupełném fiaskiem, miała, według mądrości państwowéj młodoczechów, stanowić pierwszy etap w tym kierunku. Dowodzi to oczywiście zarazem, że dawniejsze dążenia partyi staroczeskiéj do spokojnego i przyjaznego pożycia z Niemcami młodoczesi prawie jakby porzucili i wolą natomiast podtrzymywać i rozpowszechniać szowinizm narodowy wśród swoich ziomków.

A zatém walkę przeciwko staroczechom, przeciwko dynastyi, rządowi, szlachcie i duchowieństwu, oraz przeciwko Niemcom, pielęgnowanie nastroju rewolucyjnego i narodowego szowinizmu, możnaby w każdym razie uważać za program polityczny partyi młodoczeskiéj, gdybyśmy zarazem nie byli zmuszeni wyznać, że, właściwie mówiąc, nie mamy tu do czynienia z partyą polityczną, albowiem to chwilowe zjednoczenie tak różnorodnych żywiołów, z konieczności nosi w sobie zarodek rozpadnięcia. Biédy narobił już ten związek niemało.

Jeżeli staroczeska partya narodowa przez swe rozważne postępowanie zjednała sobie zaufanie rządu i żywiołów zachowawczych i jeżeli doprowadziła do tego, że w Austryi naród czeski poważano i uwzględniano, jako czynnik polityczny, to natomiast młodoczechom udało się w krótkim czasie wszystko to zburzyć, i jeżeliby miało iść daléj tak samo, to wtenczas Czesi będą poczytywani w cesarstwie austryackiém za żywioł niebezpieczny.

Nic przeto nie zyskał naród czeski i nic nie może zyskać przez radykalizm młodoczechów, a jeżeli nie nastąpi wkrótce jakiś zbawienny przełom w usposobieniu polityczném tego narodu, to będzie on zmuszony poczytywać najnowszą erę młodoczeską za wielce dla siebie zgubną.

D-r Gabler.

RZECZPOSPOLITA BABIŃSKA.[1]

V.

Postawmy sobie teraz pytanie, czém była mniemana organizacya Babina za czasów Jakóba i Adama Pszonków. Pan Windakiewicz starannie podkréśla w aktach wszelkie wyrażenia, mające dowodzić téj organizacyi. I rzeczywiście, spotykamy w jedném miejscu: „*Respublica duxit prout statuit et decrevit*", w drugiém „*de privilegio ex actis Babinensibus*", w trzeciém mowa jest o „*speciale privilegium authenticum*". Z innych zapisek znowu dowiadujemy się o jakichś „instrumentach", o wakującém pisarstwie, o introdukcyi na urząd według dawnego zwyczaju" o fundacyi babińskiéj, o „starodawnościach babińskich", o „generalném zjechaniu urzędników" i t. d. Ale przyglądając się bliżéj tym wszystkim wyrażeniom, musimy je uważać jedynie jako mniéj lub więcéj dowcipne zwroty, któremi babińczycy starali się podnosić humor swych zapisek. Nigdzie bowiem nie znajdujemy śladu potwierdzenia, iż organizacya rzeczywiście istniała. Czasami jest mowa o jakichś „innych księgach" prócz Regestru, a więc w nich może było to, czego w Regestrze nie ma? Należy jednak o tém bardzo wątpić, bo najprzód samo położenie przed Rejestrem opisów Sarnickiego i t. d. dowodzi poniekąd, iż Rejestr był jedyną księgą Babina, powtóre, sami babińczycy o tych innych księgach czy-

[1]) Patrz zeszyt czerwcowy r. b., str. 290.

sto humorystycznie się wyrażają. Księciu Aleksandrowi Pruńskiemu (zapiska 175) nie dano niby urzędu, ponieważ prawdopodobnie urząd już miał, a nie było pod ręką „ksiąg kanclerza wielkiego";—dziwném więc byłoby najprzód, aby księgi takie trzymano po za Babinem, a powtóre, cóż szkodziło dać urząd Pruńskiemu, jeżeli wolno było mieć w rzeczypospolitéj po kilka urzędów, a zapiska 17 zaznacza nawet wyraźnie, że „dwa urzędy miecz" jest dozwoloném. Pewnego razu dano p. Czapskiemu urząd komornika ziemskich i grodzkich ksiąg, ponieważ już Akta babińskie „większego schowania potrzebują". A więc są akta? — ba! kiedy mówi daléj zapiska, że się „naznaczy miejsce do leżenia i chowania księgom" i mówi coś o jakichś „wierzbach", na których leżéć mają i że komu wyciągu z aktów będzie potrzeba, to „muszą komornicy na strych chodzić", na co są owe wyżéj przytoczone „instrumenta". Żart tu widoczny od początku do końca. Wreszcie nieznany z nazwiska gość babiński notuje w Regestrze (zap. 103), że „są jeszcze w Babinie takie księgi, które się otwiérają raz na tysiąc lat i dodaje, że „we Włoszech na ulicy Weneckiéj 5 tysięcy Polaków z Babina mieszka, co te księgi drukują". Zdaje się, że te żarty o księgach babińskich zbyt wyraźnie wskazują, co o ich istnieniu sądzić należy. Regestr był jedyną księgą i to niezbyt szanowaną, bo dopiéro Adam Pszonka zdobył się na oprawienie go w pergamin i to najwcześniéj dopiéro w dziesięć lat po objęciu rządów w Babinie, gdyż kazał na oprawie wybić litery A. P. CH. CHM, był już więc chorążym chełmskim, a wiemy, że został nim dopiéro w r. 1643.

Jeżeli byłaby wogóle jakakolwiekbądź organizacya w Babinie, to przedewszystkiém podstawa rzeczypospolitéj, rozdawnictwo urzędów, miałoby pewne formy przepisane. Tymczasem widzimy, że tak jeden jak i drugi Pszonka rozdaje urzędy na prawo i na lewo, nikogo się nie pytając, jako samowładny rządca i pan rzeczpospolitéj. Nietylko, że sam rozdaje, ale Tomaszowi Zamojskiemu pozwala (zapiska 79) urzędy rozdawać, konfirmować arcybiskupy, biskupy, inne urzędniki duchowne i świeckie introdukować i wreszcie „wszystek inssi reimenth babinsky odprawowacz." Czasem w Regestrze znajduje się akt mający pewne formy prawne, dowodzące niby jakiéjś organizacyi. Tak np. w roku 1620 trzech komisarzy najjaśniejszéj rzeczypospolitéj babińskiéj przybywa na rewizyę grodu babińskiego, a towarzyszy im woźny Alon *„qui dicitur błazen Balon"*. Wszystko znaleźli w porządku—twierdza była dobrze zaopatrzona (prawdopodobnie w beczki wina). Akt rewizyi podpisali komisarze *„semper Augustae Reipublicae Babinensis"* i ów Alon, „woźny komisarzom grodzkim do łgarstwa". Ale czyż ten akt spisany w Regestrze nie dowodzi najprzód, że nie

było innéj księgi prócz Regestru, a powtóre, kilka tylko podobnych aktów wpisanych w ciągu lat 70-ciu świadczy jasno, że to były zwykłe żarty, podobne do innych, a nie wyniki jakiéjkolwiekbądź organizacyi. Gdyby ta organizacya istniała, tobyśmy się przecie spotykali często z otwiérającemi się wakansami, a tymczasem raz na lat 70 mianowano kogoś arcybiskupem, raz na lat 70 utworzono na razie jednego dnia pełny sąd babiński, raz jedyny mianowano podkanclerzego i t. d. Czyżby wszyscy babińczycy byli tak długowieczni? I owe „starodawności” babińskie, którym nawet wybrano konserwatora redukują się do tego wielkiego kielicha „wilkiem” zwanego — o innych bowiem starodawnościach nie słychać. I zdaje się, iż cała organizacya babińska, wszystkie jéj tradycyjne zwyczaje, polegały tylko na tym kielichu, z którym proszono ostrożnie się zachowywać, „ochraniając *antiquitatem*” (zap. 256).

Przypatrzmy się teraz z kolei dowcipowi babińskiemu. Materyału mamy sporo, bośmy wyciągnęli z aktów wszystko, co wyciągnięcia było warte. Rozpocznijmy od porachowania tego dowcipu... na sztuki.

Wszystkich zapisek jest 413. Można ich ilość nieco powiększyć, zważywszy, że w niektórych zapiskach znajduje się po parę, a nawet po kilka owych (jak chcą niektórzy) „pereł humoru”. Ale takich zapisek jest zaledwie kilka. Co najwyżéj więc można ilość wszystkich zapisek oznaczyć na 440.

Z téj liczby odetnijmy najprzód jakich 40 zapisek, w których jest tylko sucha wzmianka o nominacyi. P. Ostroróg teolog babiński, p. Cieszkowski przewodnik i t. d.—więcéj nic w nich nie ma. A więc te „perły” mogą iść do kosza.

Z pozostałych 400 odciągnąć należy pewną ilość rymów, z których dowiadujemy się tylko np. że p. Wilczogórski pił w Babinie i dostał w prezencie charta, że pili również jak on p. Raszewski, p. Kitnowski i inni panowie. Czasem znowu zapiska notuje tylko wychylanie kieliszków, nie podając nawet przez kogo, np. zapiska 404 brzmi w całości „*coronatur rozis et stipatur kieliskami*”. Albo znowu inna (214): „Tenże Jegomość pod temże actem powiedzial”... — i co powiedział, nie wiemy. W tym rodzaju zapisek mamy z pewnością przynajmniéj 30. Zostaje więc ich 370.

Ale nie na tém jeszcze koniec odejmowania. Jest przynajmniéj kilkanaście dowcipów po parę lub kilka razy się powtarzających. Trzy razy zachwycał się Babin owym ślepym, starym dzikiem, który trzymał się zębami młodego za ogon. O reperacyi zégarów w jeden i ten sam sposób znajdujemy aż cztery zapiski. Dwa razy mówią ba-

bińczycy o polowaniu na zające przy świécach, dwa razy o olbrzymiéj kiełbasie, kilka razy o karocach, co same biegają, dwa razy o rozpłatywaniu żywych ryb, dla przekonania się, czy są tłuste i t. d.

Kiedyśmy rozpoczęli odejmowanie, musimy iść konsekwentnie daléj i odłączyć z dowcipu babińskiego wszystkie relacye nadesłane lub opowiedziane, których znowu jest dość znaczna liczba. Czasem burgrabia babiński wpisuje nawet do księgi to, co sam gdzieindziéj usłyszał. I tak owa podana przez nas w całości zapiska o czépcu, który narobił tyle kłopotu p. Biesiekierskiemu, pochodzi z pobytu Jakóba Pszonki w Radomiu.

Czasami znowu otrzymywano nominacyę całkiem niezasłużenie—brano za kłamstwo i koncept rzeczy wypowiedziane na seryo. Oto kilka przykładów.

P. Drohojowski opowiadał, iż w Niderlandach puszczają na wodę skrzynie z kaczkami chowanemi, nasypawszy hreczki na ponętę i w ten sposób dzikie kaczki chwytają. Nic w tém nieprawdopodobnego i zdaje się, że Drohojowski niezasłużenie został ptasznikiem.

Ktoś inny kaszlącemu radził zjeść śledzia surowego, wypić małmazyi i zapocić się. Receptę zupełnie podobnego rodzaju słyszeliśmy parokrotnie z ust poważnych lekarzy.

Andrzéj Ruszkowski widział gołębie, które nosiły listy. Babińczycy śmiali się z tego, ale chyba do śmiechu nie mieli powodu. Nie śmiał się jedynie ks. Piotr Mieszkowski, sufragan kujawski, który opowiadał, że, będąc w Holandyi, widział jak pewien dziad przenosił w brodzie sekretne listy do Maurycego ks. Oranii. I znowu nie wiadomo dlaczego babińczycy wybuchali śmiechem na to opowiadanie. Wpisano je do Regestru, lecz Mieszkowski dodał własnoręcznie: „z prawdy fałsz, z fałszu prawda skore być zawsze”, a tém samém zaznaczył, iż w Babinie często z prawdy fałsz robią. Śmiano się i z polowania przy lanych świécach, ależ owe świéce nie były to dzisiejsze stearynowe czy łojowe, lecz pochodnie [1]). Wielcy panowie

---

[1]) Samuel Maskiewicz w pamiętnikach swoich, opisując klęskę cecorską, wspomina, że Żółkiewski rozkazawszy świéc lanych tak wiele, ile ich miał na ten czas w obozie, zapalić dla światła, aby go wszędzie widzieć można przy nocy, sam na koń wsiadł i jeździł po wszystkim obozie od pułku do pułku, od roty do roty, aby go widziano, animując ich i dodając serca swym“. Pamiętniki S. M-cza, str. 108. Linde pod wyrazem świéca cytuje: „Sposób robienia kul i świéc lanych, których ani wiatr, ani dészcz nie zagasi“. Jako źródło podaje Artiller, co zapewne oznacza „Archelią albo artylleryą“ Diega Uffano, wydaną w Lesznie w roku 1643, tłómaczoną z niemieckiego przekładu przez Jana Dekana.

miewają fantazye, a czyż wielu było większych panów na świecie od Konstantego Ostrogskiego, wojewody kijowskiego, najbogatszego obywatela rzpltéj. A on to właśnie, nie kto inny, przy owych lanych świécach „lasy niemi ostępując” miał w nocy polować według relacyi babińskiéj.

Albo znowu sprawa z zégarami. Cztery razy aż opowiadano, że gdy zégar iść nie chce, można przez uderzenie nim dalszy ruch jego wywołać. Może babińczycy mieli słuszność żartując z opowiadających, a może jéj nie mieli, bo jest rzeczą wiadomą, że kiedy zégar nakręcony stanie, często silne nim uderzenie lub potrząśnienie wystarcza, aby daléj spełniał swe funkcye. Marek Zwiartowski został referendarzem, ponieważ referował prawa miasta Jaworowa takie, „iż tam w tém mieście są stawy bardzo głębokie, w których wolno łowić mieszczanom, a jeżeli ktory z rybitwów utonie, powinni według prawa tamecznego jego sukcesorowie dać grzywien dziesięć”. Potwierdził to ks. Aleksander Brzeski i został konserwatorem rybitwów. Tymczasem wesołość babińczyków w tym razie miała małą podstawę, gdyż i Zwiartowski i ks. Brzeski byli bliskimi prawdy [1]).

Jeszcze jeden przykład. Piotr Zawisza opowiadał o bobakach żyjących na Ukrainie. Mówił, że mają swój rząd, że koleją straż odprawiają, że kradną sobie dzieci „i za niewolniki mają”, na których grzbiecie „żywność, którą sobie na zimę gotują, to jest siano, korzonki, etc., jako na sankach nałożywszy wożą”, a bywa tych bobaków „w kupie i kilka tysięcy”. Za to opowiadanie najniewinniéj w świecie otrzymał Zawisza godność strażnika — jeżeli bowiem było w niém co fantazyi, to nadzwyczaj mało. Współczesny mu Beauplan w opisie Ukrainy podaje o bobakach to, co na własne oczy widział, nad przypatrywaniem się czemu „trawił godziny”. Bobaki, według niego (co zresztą jest rzeczą przez naturalistów stwierdzoną), żyją gromadami, stanowią prawdziwą rzeczpospolitę; w jesieni zamykają się w swych norach na całą zimę, na którą w lecie składają zapasy, do czego używają „jakoby niewolników”. Wywracają ich grzbietem na dół, ładują na nich suche zioła, które leżące bobaki obejmują i trzymają łapkami, a następnie chwytają ich za ogon i ciągną do jamy. Po-

---

[1]) W notatach moich mam dosłowne prawie potwierdzenie praw jaworowskich, tyczących się rybołóstwa — przez przeoczenie jednak nie zanotowałem źródła. W „Starożytnéj Polsce“ Babińskiego i Lipińskiego prawo to opiewa: „Wolno mieszczanom będzie... łowić ryby i jeżeli który bezpotomnie umrze (a więc i taki co „utonie“) wszystko co po nim zostanie, na nas spadnie“, II, 564. Prawo zaiste ciekawe i bliskie babińskim opowiadaniom.

twierdza też Beauplan, że gdy wychodzą na żer, zawsze jeden stoi na czatach. Inne szczegóły podane przez Beauplana pomijamy [1]).

Jeżeli zatém od pozostałych 370 dowcipów odejmiemy i te jeszcze, które się powtarzały i dowcipy nie babińskie, a tylko w księgi Babina wpisane i wreszcie te nominacye niezasłużone, to dobrze rachując, wszystkich dowcipów babińskich, lepszych i gorszych, znajduje się w Rejestrze co najwyżéj 320.

Trzysta dwadzieścia dowcipów na lat 70 czy to trochę nie za mało? Bądźmy jednak sprawiedliwi i przyznajmy, że była kilka razy przerwa w działalności rzeczypospolitéj, że od roku 1622 do 1634 panowało *interregnum*, w którém akta pomnożyły się zaledwie o 15 zapisek. Odtrąćmy więc wspaniałomyśnie całe lat 20 i te kilkanaście zapisek z czasu bezkrólewia, a przyjdziemy do obliczenia, że na 50 lat wypowiedziano w Babinie 300 dowcipów. Pomińmy już nawet to, że znaczna ich część nie jest oryginalną, że sam wydawca „Aktów" często przytacza ich źródła, że gdyby warto było zachodu, to przejrzawszy całą ówczesną literaturę żartobliwą, a zwłaszcza wszystkie fraszki napisane przez lepszych lub gorszych poetów i liczne broszury treści zabawnéj, przejrzawszy wreszcie rękopisy, co je Lasem rzeczy *(Silva rerum)* dziś zwiemy, przekonalibyśmy się niejednokrotnie, że wiele dowcipów babińskich nie w Babinie miało swe miejsce urodzenia.

A więc 300 dowcipów na lat 50, czyli na rok dowcipów sześć. Strasznie marny omłot, jeżeli się jeszcze zważy, ile to głów na owe dowcipy się składało i sadziło!

A może nie wszystkie zapisywano? „Może — ale trudno temu

---

1) Niemcewicz, „Zbiór pamiętników historycznych o dawnej Polszcze", wydanie lipskie, 1839, tom III, str. 278. O Bobaku (*Arctomys Bobac*) wszyscy naturaliści dość szeroko piszą jako o zwierzęciu ciekawych obyczajów. Bobak należy do rodzaju świszcza. X. Remigiusz Ładowski w tłómaczonym z francuskiego „Dykcyonarzu historyi naturalnéj" (Kraków, 1783) podaje o nim wiadomość pod wyrazem *Marmotte*. Potwierdza w części to, co mówił o nim p. Piotr Zawisza i co pisał Beauplan. Oto ustęp odnośny: „jedni kopią (robiąc sobie mieszkanie), a drudzy noszą mech. Utrzymują niektórzy, że każdy z nich koleją kładzie się na wznak, a drudzy napakowawszy na niego prowiantu, albo mchu, ciągną za łapki do jamy i dlatego grzbiet mają zawsze wytarty... Jeden z nich stoi na warcie i przestrzega całą trzodę o niebezpieczeństwie; skoro gwiźnie tak zaraz wszystkie bobaki uciekają do swoich jam, a szyldwach za nimi dopiéro ostatni" (II, 54). Tenże Ładowski w „Historyi naturalnéj Królestwa Polskiego" (wyd. 1804, I, 39) nie wyraża się już, „utrzymują", ale wprost twierdzi o wożeniu w opisany sposób siana przez bobaków „i dlatego trafiają się bobaki ze grzbietem wysmulanym". Rzączyński w swéj „Historia naturalis" pisze o bobaku pod *Mus alpinus*.

uwierzyć. Gdyby każdy z tych dowcipów był rzeczywiście dowcipem, to możnaby przypuszczać, że tylko najlepsze weszły do Rejestru. Ale kto go przejrzy, ten stanowczo to przypuszczenie odrzuci. Babin nic nie wykluczał, brał wszystko co się dało, bez wszelkiego wyboru. Podziwiać raczéj należy, z jaką zapamiętałością gonił za dowcipami. Upatrywał je wszędzie; najnaiwniejsze kłamstwo już go radowało. P. Trzemeski widział tak roslego wieprza, że dano za niego sto talarów i zaraz Pszonka, czy inny z babińczyków, chwyta za pióro i dowcip ten uwiecznia. Władysław Leszczyński, późniejszy wojewoda łęczycki, słysząc, że jakiś sługa głośno w sieniach rozprawia, powiedział o nim, że byłby dobrym na woźnego — i zaraz musiał własnoręcznie ten dowcip wciągnąć do Regestru. Adam Janczewski czytał opis Babina pióra Sarnickiego — było to już dostateczne, aby go zrobić lektorem babińskim. Pani Pieniążkowa, jak to już wiemy, kazała wypić Gładyszowi duszkiem trzy beczki wina—a ten dowcip od siedmiu boleści dał jéj urząd cześniczki. A dowcipów tego rodzaju, przynajmniéj mało co lepszych, jest bezwarunkowo trzy czwarte w całym Rejestrze. Nie, doprawdy nie do uwierzenia, jakie małe wymagania od odwcipu miała ta sławna rzeczpospolita. Dziwić się tylko należy, że ten co przypadkiem kichnął nie otrzymał *stante pede* urzędu puszkarza, a nie byłby to dowcip najgorszy, kto wié, czyby się nawet nie wyróżniał z powodzi innych.

Czyż jednak nie ma w Aktach babińskich zupełnie nic a nic dowcipnego? Tak twierdzić byłoby oczywiście przesadą. Z trudem, ale można na upartego wyszukać kilkanaście niezłych dykteryjek, lub dowcipów i kilkadziesiąt zwrotów dość uszczypliwych. Ależ kilkanaście niezłych dowcipów, to znaczy jeden na lat cztery, kilkadziesiąt zwrotów uszczypliwych, to znaczy zaledwie jeden na rok. Wolno tedy powinszować rzeczypospolitéj jéj humoru, ale do zazdroszczenia go nie ma chyba żadnego powodu.

Czémże bowiem to wszystko jest wobec choćby tego humoru, który się z w. XVI i XVII w druku do nas przechował. Ileż tysięcy lat potrzebowałby istnieć Babin, ażeby na kartach swoich zapisał tyle i takiego dowcipu, ile się go znajduje w „Figlikach" Reja lub „Fraszkach" Kochanowskiego. A Jagodyński, Kochowski, Morsztyn, a „Dworzanin" Górnickiego, a „Fraszki" Smolika! Nie wspominamy już nic o poważnéj satyrze, lub o paszkwilach dowcipem wyposażonych, ależ ileż jest jeszcze broszur z tych czasów, wypełnionych dowcipami i anegdotami. A toż cały dowcip babiński wygląda przy tém wszystkiém jakby jakieś nędzne pokurcze przy człowieku apollinowych kształtów i herkulesowéj siły.

Po co nawet iść tak daleko? Jedna dobra fraszka Kochanowskiego, to sztuka złota najlepszéj próby przy kilku babińskich srebrnych groszach, kilkunastu miedzianych szelągach i pełnéj torbie sieczki. Mieli więc słuszność i Wiszniewski i Maciejowski, wyrażając się niepochlebnie o drugiéj epoce Babina — miał zupełną słuszność i prof. Tarnowski, pisząc, iż po przejrzeniu „Aktów babińskich" doznał „rozczarowania"...

Zdaje się, że i współcześni nie wiele sobie robili z Babina. Sam fakt, że tylko dwóch panegirystów pisało o nim i to z okazyi godów weselnych w Babinie, że w całym wieku XVII-ym i to już po upadku rzeczypospolitéj babińskiéj, zaledwie dwa razy powtórzono opis Sarnickiego i to bez żadnego uzupełnienia, dowodzi, jak mało kto zajmował się wesołą kompanią panów Pszonków. I gdyby R e g e s t r u przypadkowo nie odnalazł w Szwecyi Biernacki, nie domyślalibyśmy się nawet, iż rzeczpospolita babińska dotrwała aż prawie do schyłku XVII wieku, myślelibyśmy, że Kmita i Wrześnianin swymi panegirykami nagrobek jéj napisali [1]).

Obojętność współczesnych dla Babina wprost zdumiewająca, gdyż nie znajdujemy wzmianki o jego istnieniu nawet tam, gdzieby z natury rzeczy spodziewać się jéj należało. Mamy na to dowód nie zwykły. Znakomity poeta, Szymon Szymonowicz, zostawał w bliskich stosunkach z Janem Zamojskim, był nauczycielem młodego Tomasza Zamojskiego, przebywał często i długo w Zamościu i Lublinie, przez czas dłuższy wreszcie mieszkał pod Lublinem w Błotlicach — jeżeli kto więc, to on powinien był kiedyś zawitać do Babina, jeżeli ten Babin był rzeczywiście „salonem towarzyskim inteligencyi", jeżeli Zamojscy otaczali rzeczpospolitę swoją protekcyą, jeżeli wielki Jan był *spiritus movens* towarzystwa babińskiego (Windakiewicz). Tymcza-

---

[1]) Jeden tylko Wespazyan Kochowski pomiędzy swojemi fraszkami podaje krótki wiersz p. t. „O babińskiéj monarchii", który jednak nie przynosi nic nowego i zdaje się być napisany po przeczytaniu Sarnickiego. Albo może przejeżdżał Kochowski przez Babin, na co-by wskazywał początek wiersza:

Toć to knieja, te pola i ta jest równina
Sławnego w dziejach polskich n i e k i e d y Babina.

Owo n i e k i e d y znaczące dzisiejsze n i e g d y ś może także służyć za dowód, że rzeczpospolita nie była już sławna za Kochowskiego, a przecież trwała jeszcze za jego czasów. Epigramata Kochowskiego wyszły w roku 1674 („Nie próżnujące próżnowanie"), Adam zaś Pszonka umarł w r. 1677. Z treści wiersza widać, że Kochowski nie wstępował w podwoje Babina, a inne jego fraszki dowodzą, iż przekładał nad Babin r z e c z p o s p o l i t ę w a ś n i o w s k ą, któréj aż trzy razy pióro swoje poświęcał.

sem, jak w aktach babińskich nie ma o Szymonowiczu ani śladu, tak nie ma téż ani śladu o Babinie w obszernéj korespondencyi Szymonowicza. Ale nie to nas jeszcze mogłoby zdumiewać, może to być bowiem dziełem prostego przypadku — inny fakt zdumienie wywołuje. W roku 1610 Wacław Zamojski ożenił się z Zofią Pszonkówną, córką Jakóba, burgrabiego babińskiego, a Szymonowicz fakt ten upamiętnił pięknym wierszem polskim. Jeżeli gdzie, to tu był poeta zmuszony prawie do słów pochlebnych dla Babina, łatwo bowiem zrozumiéć, iż tego rodzaju wiersz okolicznościowy nie mógł się obyć bez komplimentu dla kojarzących się rodzin. Tymczasem Szymonowicz „cieszy się uprzejmie z przedsięwzięcia" Wacława, życzy mu aby „domu godne pociechy oglądał", pisze o przyszłym jego potomku, który powinien być godnym przedstawicielem swego wielkiego rodu i t. d. O Babinie zaś nic, nawet nazwisko Pszonków nie jest wymienione. Dopiéro przy końcu zdobywa się Szymonowicz na zdawkowy frazes:

Staw się w domu ludzi zacnych, tam cię wzajem czeka
Serce życzliwe, Tobie przejźrzane od wieka.

I to wszystko — „zacny dom" i basta! A jakikolwiekbądź byłby ten dom, to przecież nie mógł Szymonowicz odmówić mu przynajmniéj zacności, choćby przez sam wzgląd na Zamojskiego i jego narzeczoną. Niepodobieństwem było więcéj zbagatelizować Pszonków i ich rzeczpospolitą.

Ale jest w listach Szymonowicza do jego pupila, Tomasza Zamojskiego, jeden ustęp, który bodaj czy nie odnosi się do babińczyków. Stawiającego pierwsze swe kroki Tomasza ostrzega Szymonowicz przed zgrają fałszywych przyjaciół. „Całe legiony (pisze) kręto-sporno-łgarsko-sprzedajno-krzywoprzysięgło-wiarołomkowiczów rzuciły się na ciebie. Muchy nie lgną tak do mléka, jak oni do twojéj młodości. Odpędzaj tę zarazę, trzeba ci będzie zaradzić" [1]. Może nie o babińczykach myślał Szymonowicz, zauważyć jednak należy, iż w aktach babińskich spotykamy raz tylko Tomasza Zamojskiego i to nie w Babinie. Złapał go wtedy Pszonka na sądzeniu spraw trybunalskich w Lublinie i tam mu dał urząd tutumfackiego po ojcu.

Jeżeli jednak jest tak mało o Babinie drugiéj epoki we współczesnéj mu literaturze, to za to o Pszonkach i o niektórych babińczykach mamy wiadomości z niedawno wydanych dokumentów. W „Rokoszu Zebrzydowskiego", stanowiącym ostatni tom „Biblioteki ordyna-

[1] Tłómaczenie Bielowskiego w monografii o Szymonowiczu, str. 147. List z dnia 18 maja 1616 r.

cyi Krasińskich" — „Muzeum Świdzińskiego", spotykamy się kilkakrotnie tak z Jakóbem Pszonką, jak i z jego bratem, Stanisławem. Ale nie zaszczytne to zaiste dla nich spotkanie, bo pomimo wszelkiéj obrony ze strony Szmitta, rokosz Zebrzydowskiego jest jedną z najczarniejszych plam naszéj przeszłości. Około postaci dumnego i mszczącego się za mniemane krzywdy Mikołaja Zebrzydowskiego, zebrali się ludzie swawolni, zuchwali i rozpustni „wszystkie męty religijne i społeczne" i doprowadzili do bratobójczéj walki pod Guzowem. Od czasów walczących ze sobą książąt Piastowskich, był to jeden i jedyny wypadek bitwy stoczonéj pomiędzy swoimi, nie wskutek zewnętrznych wpływów lub pomocy. Panowie Pszonkowie grali w rokoszu wybitną rolę i doprawdy podziwiać trzeba, kiedy się czyta „o atmosferze podniosłéj" Babina, lub pochwałę dla „ściśle określo-ślonéj jego tradycyi politycznéj". Tak jest, była to tradycya, ta sama tradycya, która założycielowi Babina dała nazwę „warchoła", o czém późniéj wspomnimy i która ostatniego z Pszonków Adama, syna rokoszanina Jakóba, zaprowadziła, jak wiemy, do obozu Karola Gustawa. Nie, niech tam sobie co chcą prawią wielbiciele rzeczypospolitéj babińskiéj, burgrabiowie jéj i najbliżsi przyjaciele nie mogli służyć za wzór dobrych obywateli kraju [1].

Czy jednak i ci wszyscy, których Pszonkowie gościnnie przyjmowali w Babinie, byli bardzo zachwyceni rzeczpospolitą i nadanemi im urzędami? Zdawałoby się, iż co do tego nawet wątpliwości być nie może, boć przecie kto zajechał do Babina, wiedział, co go czeka i prosta grzeczność nakazywała z dobrą miną stosować się do zwyczajów rzeczypospolitéj. A jednak, wprawdzie bardzo rzadko, trafiali się ludzie wymawiający się od zaszczytów babińskich. *Frater Vladislaus Dobrossołowsky* nie chciał przyjąć urzędów, co swoją drogą mu nie pomogło (zap. 205 i 206); Jan Poniatowski, choć był złączony z burgrabią „nietylko sąsiedztwem, ale i związkiem przyjaźni", gdy go pytano dlaczego dotąd na urząd nie zarobił „ochronnym się być zawsze w téj mierze powiedział"; Szczęsny Stoiński „umyślnie na urząd nie chciał zarobić"; Paweł Sawicki kpił sobie najwyraźniéj z Babina, kie-

---

[1]) Na aktach rokoszu podpisywali się Pszonkowie Babińskimi: Stanisław Pszonka Babiński, Jakób Pszonka Babiński. „Rokosz Zebrzydowskiego", str. 197, 253, 254. Jakób brał nawet udział w poselstwie rokoszan do króla, był *allegatus*, jak sam o tém wspomina w swoim pamiętniku, wydanym przez Bielowskiego. Z pamiętnika tego przeziera człowiek może niezły, ale zwarcholony. Rokosz uważał jako *ultimum remedium reparandae libertatis*. Wszelkie podatki mocno go gniewają. Kiedy po klęsce cecorskiéj król na gwałt ściągał wojska, Jakóbowi Pszonce wydawało to się zamachem na wolność.

dy „urzędy babińskie koniom rozdawał". Co więcéj, ktoś zapewne duchowny wpisał do Regestru babińskiego następującą bardzo ostrą naukę:

„*Sicut Rempublicam conseruare ita mendacia extirpare solus Dei labor, iuxta illud: „Perdes omnes, qui loquuntur mendacium" Psalmo quinto.*

i dodał jeszcze czterowiersz téj saméj treści:

Conseruari equidem quamuis respublica potest
Viribus humanis, ast eget ope Dei
Vt detestetur mendacia; namque Deus vult
Omnem perdere, qui mendacium loquitur.

A więc i w Babinie nie u wszystkich kłamstwo popłacało, nie każdy chciał zarobić na urząd i przejść jako łgarz do potomności. A wszakże kłamstwo było główną podstawą rzpltéj! Tak jest, nie dowcipem, lecz kłamstwem, czasem tylko w dowcipną formę ubraném, żyła i przedłużała bez celu swe życie rzeczpospolita babińska. Nie wstydziła się tego bynajmniéj, owszem, sama do „łgarstwa" się przyznawała.

Ale nie kłamstwo wyłącznie było przyświecającą jéj ideą, bo drugim jéj fundamentem była na wielką skalę pijatyka. Nie gołosłowny to zarzut, bo stwierdzony aż nadto aktami babińskiemi.

Wstyd mnie Lublanina
Żem nic u Babina
Dotąd nie otrzymał
Chociem łgał i pijał,

— pisze w „Aktach" Zbigniew Sługoski, a przed nim Morsztyn stwierdza, że

.... w tym domu szklanki i kieliszki
Tańcują zara jako im zagrają
I ścigają się chociaż nóg nie mają.

P. Kitnowski świadczy:

Słyszałem ja to dawno o sławnym Babinie:
Ktoby chciał być w tych księgach, kielich go nie minie,
Kielich, który wypiwszy głowa w koło chodzi...

Przypomnijmy tu sobie jak podczas bytności Morsztyna w Babinie p. Orzęcki po półkach tańcował, p. Wysocki w stodole na słomie koziołki wywracał, a Kitnowski w nocy patrzał na kompas, aż legł pod nim strudzony.

Ba! bo też kielich babiński nie był to taki drobiazg, aby myśléć,

że przy winie „i szkło się połknie”. Mamy o jego wielkości wiarogodne świadectwa. P. Piotr Raszewski w ten sposób go opisuje:

Wypiiali babinski kielich piianicy,
Pili go też lubelscy grodcy urzędnicy,
Kielich babiński, podszywszy futręm,
Grozi noclegiem y pijanem iutręm,
Bo nachyliwszy, głowa w niego wchodzi,
Ociec potomka podobnego rodzi.

To też nie wszyscy byli w stanie sprobować się z tym kiélichem. Nie wypił „powinnéj szklenicy” Jan Dąbrowski, zaco został „mitręgą”. Za to sędzia ziemi lubelskiéj, Iżycki, wypił kiélich, bo „tylko złe wino szkodzi oczom”. A musiano w dniu tym pić dobrze i długo, kiedy p. Daniel Węgliński mówił, że „jak tylko świta, to zaraz oczy jego do spania się biorą”. Stanisław Krasowski, lubo wiele mówił o dzielném wychylaniu kiélichów, „nie ochotnie” wypijał kiélich babiński, „ale go bardzo dzielił”. Aleksander Stanisław z Babina (potomek rodziny, która dawniéj była Babina właścicielką) pisze o sobie wierszem, iż jest w „aktach babińskich pijanicą sławnym”. Ks. Wawrzyniec Pieczątkiewicz oburzał się na tych, co w kompanii babińskiéj tylko po pół kiélicha wina wypijali, a pisał, jak sam zaznacza, „po tych świętach bachusowych”. Ks. Zbąski stwierdza wierszami:

Kto być chciał przedtem pisany w Babinie,
Musiał się pierwéj dobrze kąpać w winie.

Inny niewiadomy Babińczyk dwoma wierszami takie o sobie wydaje świadectwo:

Świadkiem te gluzy i babińskie ściany,
Że ten wiersz pisał śpiący i pijany.

„Odleżane”, to jest niewypite kiéliszki nazywały się w Babinie d z i c z k i (zap. 398). Kiedy ktoś opowiadał, że dla pewnego towarzystwa dość było dwóch kwart wina, aby się upić, proszono go, aby w Babinie „według starego postępował trybu”. Kiedy Lasocki chciał wcześniéj z Babina wyjeżdżać, p. Jan Potocki zatrzymał go „dekretem”, iż w Babinie „powinna rzecz każdemu gościowi upić się i spać”. Musiał być dobrze „zmęczony” p. Paweł Robertowski, kiedy go przestrzegano, aby kiélicha nie upuścił i nie stłukł, czém obrażony, oświadczył, że się obawiać nie potrzeba, gdyż ma ten zwyczaj, „choćby najwięcéj pił, gdy się jegomość obalić ma, wprzód kiéliszek postawi”. A nie był jednak w stanie ten sam p. Robertowski wypić „wilka” inaczéj, jak dopiéro za trzykrotném do niego przyłożeniem się, co

swoją drogą „applauz” wywołało. Cóż więc dziwnego, że wobec dowodów męstwa Babińczyków przy kiéliszku, p. Krzysztof Plecki radził im po „fatydze”, rozbiérać się i wytarzać w kopie rozrzuconego siana.

„Wilk” był nietylko „starodawnością” Babina, ale i jego największą świętością. Jan z Polanowic Polanowski „powinności téj zacnéj Babińskiéj rzeczypospolitéj i prawom *in ea sancitis* wygadzając, vilcomem kiélich wielki dobrego wina wypił”. Przy takiém zapatrywaniu się na powinności, zupełnie są w porządku rozsiane licznie w Rejestrze anegdoty o bohatérskich czynach na polu pijatyki.

Zakończmy rzecz o pijaństwie babińskiém dwuwierszem nieznanego babińskiego autora (zap. 84).

Ręka pióro piastuje, druga kielich spory:
Pijem, piszem, oraz to dojdzie swojéj pory.

Dość tych cytat, aby poznać ducha panującego w Babinie. Babińczycy łgali, pili i pisali nie zawsze w trzéźwym stanie. Wydawca ich aktów, „tego prześlicznego pomnika życia i humoru”, zaznaczył iż bywają zapiski pośpieszne „złym atramentem i widocznie w chwilach pewnego podniecenia umysłowego czynione”. Czy to było podniecenie „umysłowe”, niech oceni ogół czytający.

* * *

Znamy już organizacyę, znamy dowcip Babina i zasady jakiemi się kierował. Pozostaje jeszcze do rozstrzygnięcia, czy prawdą jest, iż górował on życiem towarzyskiém, iż zgromadzała się w nim inteligencya, jeżeli nie całego kraju, to przynajmniéj tego województwa, w którém leżał, tych najbliższych okolic, w których miał dzierżyć sztandar życia towarzyskiego. Akta babińskie muszą być naszym przewodnikiem w rozstrzygnięciu tego pytania, bo innych świadectw nie mając, na nich jedynie opiérać się możemy.

Weźmy się znowu do rachunku. Odtrąćmy lata zaniku życia towarzyskiego w Babinie, a więc, jak poprzednio, przyjmijmy tyko okrągłe 50 lat działalności Babina w drugiéj jego epoce

Na te 50 lat mamy niespełna 400 zapisek. Wiemy już dobrze że nie każdą z nich innego dnia zaciągniono do Rejestru, że często za jedném zebraniem się gości w Babinie wpisywano po parę, a nawet po kilka odrazu konceptów. Jeżeli weźmiemy jeszcze na uwagę różne relacye i koncepty, wpisane przez Pszonków, kiedy nikogo z gości nie było, to rachując jaknajwzględniéj, przekonamy się, że posiedzeń babińskich, zanotowanych w Rejestrze, było co najwyżéj 200

na lat 50, czyli cztery posiedzenia na rok. Trudno zaś przypuszczać, aby mogły być posiedzenia, podczas których nikt, choćby najgłupszéj facecyi na poczekaniu nie stworzył. Wszak mamy wyraźne dowody, że naumyślnie silono się, aby powiedziéć jakiś nonsens i zanotować go w Rejestrze.

Gdzież to życie, gdzież ten zjazd obywateli, gdzie ten salon towarzyski, jakiego w kraju, jak długi i szeroki, nie było?

A przecież właścicielom Babina łatwiéj było, niż komu innemu, gromadzić u siebie liczne zastępy gości ze wszystkich stron kraju. Nie idzie tu o ich samo położenie materyalne; zamożność domu nie była tu decydującą. Przy ówczesnym stanie komunikacyi, nawet największy magnat nie mógł ciągle podéjmować u siebie gości z dalekich okolic i musiał poprzestawać na przyjmowaniu sąsiedztwa. Wyższość Babinowi zapewniał Lublin. Miasto to do połowy XVII-go wieku, zanim odwiedzili je Szwedzi, Kozacy i Tatarzy, było jednem z najludniejszych i najzamożniejszych miast rzeczypospolitéj. Liczyło 40 tysięcy ludności, miało kilkanaście kościołów, wielcy panowie stawiali w nim swe pałace. To mało, Lublin był miastem trybunalskiém; cała Małopolska zjeżdżała się do niego, bo któryż magnat lub szlachcic nie uciekał się pod opiekę trybunału, lub nie był przedeń wezwany? Zbyteczna zaś chyba wyjaśniać, czém były owe trybunały, jakie budziły życie, jakie podczas ich funkcyonowania odbywały się zjazdy. Babin, oddalony o dwie mile od Lublina, leżał na trakcie ku Krakowu. Stąd też właściciele jego mieli wyjątkową sposobność zadawalniania odczuwanéj przez siebie potrzeby gościnności staropolskiéj. I widzimy jasno z aktów babińskich, że Lublin rzeczywiście dostarczał Pszonkom znaczną ilość kompanów do kiélicha. Na każdéj prawie karcie spotykamy się z sędziami grodzkimi, ziemskimi, urzędnikami i duchownymi lubelskimi, z marszałkami i deputatami trybunału. Prócz tego, często ten i ów zapisuje w aktach, iż „zjechał” z Lublina, powraca z niego, lub w nim czasowo przebywa. Są też ślady, że burgrabia babiński robił wycieczki do Lublina i zabiérał do siebie, kogo się dało.

A jednak, jak zauważyliśmy, Akta babińskie przeczą, jakoby w ścianach babińskiego grodu płynęło pełnem korytem życie towarzyskie. Sądząc po nich, po ilości posiedzeń, możemy przypuszczać, że każdy sąsiad Babina cieszył się równą jak Babin, a może większą od niego liczbą gości i przyjaciół.

Ale nietylko o ich ilość, lecz i o jakość iść nam powinno. Gdybyśmy się opiérali na indeksie osób, ułożonym przez p. Windakiewicza, mógłby się Babin dość świetnie zaprezentować. Ale przyjrzyjmy się nie indeksowi, lecz samym aktom. Spotykamy w nich pierwszorzędne

nazwiska, ale po większéj części są one tylko wymieniane, bo właściciele ich nogą nie postali w Babinie. Są wzmianki o dwóch Ostrogskich: Konstantym, wojewodzie kijowskim, i Januszu, kasztelanie krakowskim, o Jędrzeju Opalińskim, biskupie poznańskim, o dwóch Sapiehach: Kazimierzu, podkanclerzym litewskim i drugim nieznanego imienia, o dwóch Radziwiłłach, wojewodach wileńskich: Krzysztofie i Mikołaju Siérotce, oraz o Albrychcie, kanclerzu litewskim i t. d.,—ale ich nigdy Babin nie oglądał, opowiadali o nich tylko goście babińscy. Trzebaby zaś spisać całą olbrzymią litanię nazwisk, ażeby wyliczyć te znakomitsze w rzeczypostolitéj osobistości, o których nawet wzmianki nie było w Babinie. Charakterystycznem jest np., iż nie ma śladu, aby zajrzał do niego Aleksander Tarło, wojewoda lubelski, a więc największy dygnitarz tego województwa, w którém Babin się znajdował.

Bywali jednak w Babinie i ludzie głośnych nazwisk. Zajrzał raz do niego Jerzy Lubomirski, marszałek wielki koronny, rokoszanin, odwiedzili też Jakóba Pszonkę Jan Ostroróg, wojewoda poznański, i Mikołaj Wolski, marszałek koronny — możnaby wreszcie wyliczyć jeszcze ze trzydzieści nazwisk ludzi bardzo wybitnych w dziejach, albo wysokiego rodu czy stanowiska, których Babin ugaszczał w swoich ścianach. Lecz i tu trzeba zrobić ważne zastrzeżenie. Spotykamy się naprzód z Zamojskimi i Myszkowskimi, ale wiemy, że tak jedni jak i drudzy połączyli się z Pszonkami węzłami rodzinnemi, a więc przybywali krewni do krewnych. Zresztą, co się tyczy Zamojskich, to z nich bywali w Babinie tylko sami młodsi, nie zajmujący jeszcze albo nigdy żadnego wybitnego stanowiska. Osobną katagoryę stanowią ludzie, którzy zasłynęli w kraju, lub doszli do wysokich stanowisk, ale dopiéro później; za pobytu swego w Babinie należeli do ludzi przyszłości. Taki np. Stanisław Łubieński, późniejszy biskup płocki, spotkał się z „wilkiem" babińskim, będąc dopiéro proboszczem gnieźnieńskim. Jakób Sobieski, późniejszy kasztelan krakowski, ojciec króla Jana, został urzędnikiem babińskim, mając lat dwadzieścia kilka i nosząc tylko czczy tytuł wojewodzica lubelskiego. Andrzéj Morsztyn, wpisując swój wiersz do regestru urzędników babińskich, był dopiéro stolnikiem sandomirskim i 30 lat jeszcze oddzielało go od podskarbstwa. Jan Stanisław Zbąski, późniejszy biskup warmiński, przyjaciel i towarzysz w bojach króla Jana, przyjął kapelaństwo babińskie, będąc zwykłym księdzem, a może co najwyżéj kanonikiem. Poprzestajemy na tych kilku nazwiskach, lubo moglibyśmy ich wyliczyć znacznie więcéj. Czegóż one dowodzą? Oto tego, że w Babinie bywali przedewszystkiém ludzie młodzi, rozpoczynający karyerę, lub dopiéro w jéj środku (a pomiędzy nimi sporo było znanych rokoszan i warchołów), wyjątkowo tylko mógł Babin się poszczycić od-

wiedzinami ludzi, mających w kraju władzę, powagę i znaczenie. Ale tych wyjątków było zaledwie kilkanaście, a więc jeden na lat kilka, Można więc śmiało przypuszczać, iż każdy zamożniejszy dom w Polsce witał w swych progach raz na lat kilka, jeżeli już nie hetmana, kanclerza, lub prymasa, to przynajmniéj jakiego biskupa, wojewodę, lub kasztelana.

Kończąc więc nasze uwagi nad aktami babińskiemi, musimy przyjść na ich podstawie do następujących wyników:

a) Rzeczpospolita Babińska za czasów Jakóba i Adama Pszonki nie miała żadnéj organizacyi, nie była téż instytucyą humorystyczną, lecz zabawką właścicieli Babina, polegającą na niewyszukaném kłamstwie.

b) Dowcipu w Babinie w téj epoce było niesłychanie mało, a za to od czasu do czasu sporo pijatyki.

c) Babinem współcześni wcale się nie zajmowali, bo głucho o nim wszędzie, nawet tam, gdzieby się wzmianki o nim spodziéwać należało.

d) Nie był on nawet jakiémś wybitném ogniskiem towarzystwa, gdyż dość rzadko zgromadzał u siebie szlachtę i inteligencyę, choć miał nadzwyczajną łatwość potemu.

e) Stosunki właścicieli Babina z wybitniejszymi ludźmi ich czasów niczém się nie różniły od stosunków, jakie miéć musiał każdy *bene natus et possessionatus.*

Trudno więc wobec tego mówić, że Babin był salonem obywatelskim, najstarszym i najznaczniejszym w dawnéj Polsce (Windakiewicz), a trzeba miéć chyba olbrzymi polot fantazyi, aby sądzić, że oddziaływał on na społeczeństwo w kierunku obywatelskim i cywilizacyjnym.

Co do samych Aktów babińskich, przeszedłszy do porządku dziennego nad ich nadzwyczaj naiwnym dowcipem, opartym na nużącém jednostajnością, często trywialném, a prawie zawsze pospolitém, dziwnie jałowém kłamstwie, — nie można nie odmówić pewnéj, lubo nadzwyczaj małéj wartości. Wszystko, co nam mówi o przeszłości, jest już samo przez się ciekawe. Przy ubogich źródłach do dziejów naszych obyczajów, ma wartość każda zapiska, która nam o nich cokolwiek bądź wspomina. Wprawdzie z wielkim trudem, ale można ułowić w Aktach pojedyńcze rysy stosunków towarzyskich. Nie będą to drogie kamienie, wzbogacające skarbnicę naszych wiadomości, będą to tylko okruchy szlachetnych metali, ale zawsze będą. Może najważniejszą zdobyczą są luźne wzmianki o udziale kobiét w życiu towarzyskiém. Przyzwyczailiśmy się ciągle powtarzać za panią matką (lubo

dość znamy już faktów, aby się tego oduczyć), że kobiéty nasze aż do ostatnich czasów były jakby niewolnicami, które tylko domu strzegły i kądziel przędły, kiedy mężowie się bili i bawili. Otóż z Aktów babińskich przybywa temu nowe zaprzeczenie. Rzadko w nich wprawdzie występują kobiéty, ale dotrzymują towarzystwa „tyranom” i chętnie pomnażają zbiór kłamstw babińskich, za co téż otrzymują stosowne urzędy. Wprawdzie na temat białogłów tworzą babińczycy często niezbyt przystojne żarty, ale nie ma w nich nic ubliżającego płci pięknéj, nic, coby wskazywało na jéj podrzędne stanowisko. Owszem, widzimy, iż taka p. Niedrwicka, wyszedłszy za Krzysztofa Stadnickiego, była nieczułą na wszelkie jego prośby, ażeby porzuciła herezyę i ustąpiła dopiéro przed tak silnym argumentem, jak groźba spalenia żywcem. Jak szanowano pamięć zmarłych małżonek, niech na dowód służy fakt, że pomiędzy 22 września 1614 a 5 lutego 1615 r. nie zapisano nic w Aktach babińskich, a to z powodu, iż w tymże czasie chorowała i umarła (8 października) żona Jakóba Pszonki [1]). Nie jest to zresztą tylko przypuszczenie, bo burgrabia własną swą ręką wpisał do Regestru: *luctus compescit omnia joca.*

Prócz drobnych rysów obyczajowych, znajduje się w aktach sporo jędrnych zwrotów, które przyjemność sprawiają każdemu zwolennikowi staropolszczyzny.

Ale owa wartość Aktów nie ma nic wspólnego ze stanowiskiem rzeczypospolitéj Babińskiéj, nie uratuje też jéj sławy, nie wzbudzi dobrego mniemania o jéj dowcipie. Nie chcemy zaś nawet silić się na odpiéranie twierdzenia, jakoby Babin przyczynił się do rozwoju nowelistyki w naszym kraju, bo musielibyśmy chyba spisywać olbrzymi rejestr drukowanych w Polsce w XVI-ym i XVII wieku wierszem i prozą fraszek, figlików, anegdot, dykteryjek i facecyi, z któréj każda, lubo jéj jeszcze daleko do noweli, jest przecie do niéj dziesięć razy więcéj zbliżoną, niż wszystkie razem wziąwszy, zapiski babińskie. Smutna to zaiste byłaby nowelistyka, któréjby źródła poszukiwać trzeba było w aktach babińskich.

VI.

Pozostaje jeszcze jedno do rozstrzygnięcia pytanie, a mianowicie, czy rzeczpospolita Babińska z czasów Jakóba i Adama Pszonki była

---

[1]) W Pamiętniku jego, wydanym przez Bielowskiego, znajduje się piękny napis nagrobkowy, jaki poświęcił zmarłéj małżonce.

karykaturą pierwszéj swéj epoki, czy téż nieodrodną córą téj rzpltéj, którą założył Stanisław Pszonka i Piotr Kaszowski, o któréj pisał Sarnicki, któréj wielki Zamojski miał być czynnym członkiem i zwolennikiem, a która miała nawet zwrócić na siebie uwagę Zygmunta Augusta.

Rzecz napozór do rozstrzygnięcia bardzo trudna. Prof. Tarnowski przypuszcza wprawdzie, jak to już wiemy, iż może w swoich początkach Babin był ożywiony myślą głębszą i był trafną satyrą, może, dopóki kwitł, nie dbał o to, aby zapisać się na papiérze, może zresztą nie był on już i wówczas wesoły do widzenia przez swoją lekkomyślność, ale przez naiwność swoją, przez samorodny popęd wesołości był sympatyczny. Wszystkie owe może bardzo już dużo mówią, bo wzbudzają podejrzenie. Słuszność zaś tego podejrzenia postaramy się udowodnić rozumowaniem, opartém na tém, co wiemy i czego nie wiemy o pierwszéj epoce Babina. Złośliwy krytyk niech się nie uśmiécha na to, że chcemy budować także na niewiadomości, bo właśnie brak wszelkich wiadomości tam, gdzie, według prostéj logiki, być powinny, jest w tym wypadku bardzo silnym argumentem.

Ponieważ Sarnicki jest jedyném źródłem do historyi pierwszéj epoki Babina, musimy więc zastanowić się przedewszystkiém nad jego opisem rzpltéj. Już p. Windakiewicz, lubo na tym opisie polega i wierzy mu, zauważył przecież, iż jest on „zdradliwy". I dobrze zauważył.

Pisze Sarnicki, że wybiérano w Babinie króla, a jednocześnie podaje anegdotę o Zygmuncie Auguscie, z któréj wynika, że króla nie wybiérano. Autentyczność zresztą téj anegdoty już powyżéj zachwialiśmy.

Przesada Sarnickiego jest widoczna, kiedy mówi, iż w Babinie byli tak wyborni znawcy ludzi, iż żaden lekarz nie rozpoznałby lepiéj od nich ludzkich skłonności, że żaden profesor etyki nie wytłómaczyłby tak dobrze wad i obyczajów, żaden fizyognomista nie poznałby tak dokładnie natury ludzkiéj z mowy gestów i postaci.

Omnis homo mendax miał powiedziéć jakiś Babińczyk i dodać, że kłamstwo jest fundamentem i istotą rzpltéj Babińskiéj. Widzimy, iż fundament ów przechował się ściśle w drugiéj epoce Babina, że więc pod tym względem rzplta Jakóba i Adama Pszonków była dalszym ciągiem rzpltéj Stanisława Pszonki. Stosownie téż do tego fundamentu, udzielano nominacyi za kłamstwa, co nie było przecież satyrą, lecz żartém. Jakże z tém pogodzić nominacye, przytaczane przez Sarnickiego, z których wypływa, iż starano się, aby każdy otrzymał godność, stosownie do wad swoich, a więc przeciwną przymiotom od téj godności wymaganym. Nie za kłamstwa, lecz za swe wady dostawano no-

minacye na arcybiskupów, hetmanów, inkwizytorów — toć to oczywista satyra, gdzie się tu da pomieścić maksyma *omnis homo mendax*. Wyraźna sprzeczność, słusznie „zdradliwym" nazywa Sarnickiego p. Windakiewicz.

A teraz zastanówmy się nad podaniem Sarnickiego, iż prawie wszyscy najwykwintniejsi dygnitarze musieli przyjmować nominacye babińskie, bo inaczéj narażali się na wyśmianie. Gdyby to szło o proste kłamstwo, możnaby jeszcze wierzyć temu podaniu, ale jeżeli szło o satyrę, wszelka wiara ustąpić musi. Wyobraźmy sobie, że znajduje się gdzieś dzisiaj grono ludzi podrzędnych stanowisk, a takimi byli wszakże Babińczycy, którzy nietylko kpią sobie odważnie z ludzi, zajmujących wysokie pozycye, ale jeszcze mają śmiałość drwiny te przenosić na papiér w formie nominacyi i wręczać je ofiarom swoich żartów. To by i dziś nie uchodziło: delegaci z nominacyą najczęściéj znaleźliby się za drzwiami, traktowanoby ich bowiem, jako zwyczajnych impertynentów. A przecież dziś jesteśmy więcéj przyzwyczajeni do satyry, więcéj otrzaskani z bolesnym żartem, a nawet paszkwilem. Czyż książę kościoła, dumny hetman lub wojewoda nie mieliby tyle mocy, aby wyprosić z komnat swoich wysłańców jakiegoś pana Pszonki, przychodzących do nich w ubliżającém im bądź co bądź poselstwie [1]). Jeżeli więc były wydawane owe nominacye, to przypuszczać się godzi, iż Babin wydawał je jedynie gronu swoich osobistych przyjaciół i znajomych, którym towarzyskie stosunki obrażać się nie dozwalały. Ależ w takim razie gdzież jego znaczenie, gdzie ta satyra polityczna, któréj echo miało się rozlegać po całéj rzeczypospolitéj nie Babińskiéj, lecz Polskiéj. Babin zatém stawał się zwykłą zabawką ograniczonego kółka swoich przyjaciół, był tém samém, czém w drugiéj swojéj epoce za czasów Jakóba i Adama.

A dodajmy jeszcze, iż postać samego Stanisława Pszonki jest bardzo niewyraźna i to tak niewyraźna, iż można podać w wątpliwość nawet ową wielką popularność, jaką miał się cieszyć wśród szlachty. Monografiści Babina opuszczają dyskretnie jeden fakt wiele o nim mówiący. Czacki w swoich „litewskich i polskich prawach", pisząc

---

[1]) Górnicki, któremu chyba nikt nie odmówi znajomości własnego społeczeństwa, w „Dworzaninie", wyszłym za czasów pierwszéj, téj niby świetnéj, epoki Babina, radzi być bardzo ostrożnym z „uszczknieniem trefnowania, aby człowiek wiedział, kogo dojechać ma... Więc i tych, którzy miłość a zachowanie mają tykać nie trzeba, zwłaszcza możnych, bo igrzysko z nimi jest niebezpieczne" „Z takimi — mówi daléj — można kunsztować i niedostatki ich strofować, którzy nie są tak.. wielcy, iżby najmniejszy ich gniew mógł nam uczynić wielką szkodę".

o pojedynku, przytacza w przypisku ciekawy dokument z r. 1550, tyczący się Stanisława Pszonki de Babin, a więc założyciela rzeczypospolitéj. Dokument ten jest ostatnim śladem istnienia w Polsce pojedynków, odbywanych za królewskiém pozwoleniem. Pszonka ubliżył słownie Mikołajowi Brzostowskiemu de Galczica, a wyzwany na pojedynek, nie stawił się. Przeto Zygmunt August wydał dekret, w którym go ogłaszał za burdę i tchórza. Dekret ten, znajdujący się w archiwum główném warszawskiém, widział w oryginale W. A. Maciejowski [1]).

Burda i tchórz, to nie bardzo zaszczytne epitety, zwłaszcza, jeżeli stwierdzone podpisem królewskim. Wprawdzie to nie wystarcza nam do zupełnego potępienia Pszonki, opiérać się na jednym dekrecie nie można. Mógł Pszonka odzyskać stracony honor, mógł się wytłómaczyć z niemożności stawienia się do pojedynku — ale, bądź co bądź, dopóki nie ma przeciwnych dowodów, musimy się liczyć z dekretem Zygmunta Augusta. A licząc się, musimy powątpiéwać o popularności Pszonki między bracią szlachtą, a przynajmniéj pomiędzy jéj częścią poważniejszą, inteligentniejszą, stanowiącą wówczas rdzeń społeczeństwa. To nam znów pozwala poprzéć zarzut, stawiany Sarnickiemu, a tyczący się wiarogodności jego podań.

Ale kto to był sam Sarnicki? Nie może to być nam obojętném, bo im pisarz poważniejszy, znakomitszy, prawdomówniejszy, tém większą wiarę przywiązuje się do słów jego. Sarnickiego wszyscy nasi historycy literatury lekceważą, a Julian Bartoszewicz charakteryzuje jego wartość w dwu słowach: „nędzny pisarz”. I nie ma w téj charakterystyce przesady. Wszak *Annales* Sarnickiego należą bezsprzecznie do śmietnika naszéj historyografii. Polacy się w nich Sarmatami, prowadzącymi ród swój od Assarmota, synowca Noego w szóstém pokoleniu. Zacząwszy od tego Assarmota, a więc od Noego, gdzie mu już tak blisko było do Adama i Ewy, ciągnie Sarnicki naprzód dzieje polskie (?) od tych czasów, aż do bajecznéj historyi Lecha, Krakusa i t. d., którego to ostatniego wywodzi od rzymskiego Tyberyusza Gracha. W taki sposób zapisuje pięć ksiąg swoich roczników, a dopiéro w trzech ostatnich na 105 kartach *in folio* streszcza w sposób kronikarski dzieje narodu od Mieczysława do Stefana Batorego, wypisując żywcem całe ustępy z poprzedników. I w tém dziele, za które słu-

---

[1]) Czacki, wyd. z 1801, II, 147, Maciejowski, „Piśmiennictwo polskie“, t. III, str. 559. Czacki źle odczytał dokument, np. zamiast de Galczica, podaje de Gulezicza i późniéj Pszonkę robi Mikołajem, przez zamianę imienia z Brzostowskim.

sznie mu się należał tytuł historyka babińskiego, poświęcił Sarnecki przeszło trzy stronice rzeczypospolitéj babińskiéj, to jest użyczył jéj więcéj miejsca, aniżeli niejednemu całemu panowaniu, a tyleż, co panowaniom Bolesława Chrobrego i Zygmunta Augusta, z których każde streszcza Sarnicki na trzech stronicach. Tą proporcyą, zachowaną w *Annales*, uwydatnił sam Sarnicki swoją charakterystykę, jako pisarza [1]).

Co go zmusiło do tego logicznie biorąc, czystego absurdu? Znajdujemy ku temu niejaką wskazówkę. Wiemy, że Sarnicki z wielkim szacunkiem odzywa się o Piotrze Kaszowskim, kanclerzu babińskim, właścicielu Wysokiego w Krasnostawskiém, a sam Sarnicki, urodzony w ziemi chełmskiéj, blisko Krasnostawu, przebywał często w okolicach rodzinnych, bywał na synodach w Lublinie, a wreszcie Zygmunt III-ci mianował go wojskim krasnostawskim. Nie ulega przeto wątpliwości, że znał Kaszowskiego, co zresztą popiéra wzmiankę o tém, że Kaszowski „dotąd żyje i że ma nadzwyczajne przymioty towarzyskie”. Nietylko zresztą znajomość łączyła Sarnickiego z Kaszowskim. Paprocki pisze: „Kaszewscy [2]) tamże w tym kraju (w województwie lubelskiém), z których jeden, wieku mego, Piotr, był sędziem ziemie lubelskiej, człowiek cnotliwy, chociaż był *alienus a fide catholica*”. Otóż mamy dalszą część nici, prowadzącéj do kłębka, Sarnicki bowiem był również *alienus a fide catholica*. Łączyła więc tych dwóch ludzi nietylko prosta znajomość, ale łączyło wspólne wyznanie i to w chwili, kiedy wyznania walczyły z sobą z największą zaciętością. Nieocenione jest dla zromumienia téj łączności owe chociaż Paprockiego: Kaszowski był człowiekiem cnotliwym, chociaż był akatolikiem! Według zatém katolika Paprockiego, cnota z akatolicyzmem pogodzić się nie dała, a Kaszowski był tylko wyjątkiem. Naturalnie akatolicy odpłacali pięknem za nadobne, a co za tém idzie, trzymali ze sobą, wzajemnie się chwalili, reklamowali. Stąd przypuszczenie, samo się nasuwające: gdyby Kaszowski nie był akatolikiem i nie żył w bliższych stosunkach z Sarnickim, nie mielibyśmy w jego *Annales* tak dziwnie

---

[1]) Opiéramy się na wydaniu pierwszém z r. 1587. Opis Babina znajduje się na str. 395—398.

[2]) Zwykła zamiana w heraldykach końcówek *szowski* i *szowicz* na *szewski* i *szewicz*—lub odwrotnie. Dziś *e* stale zwyciężyło i tylko chcący się popisać starożytnością rodu są *szowskimi*, *szowiczami*, tak jak i ci, co *y* zamiast *j* używają, niepomni, że dawniéj wszyscy się przez *y* pisali, tak dobrze, jak Zamoyski, jak Rogoyski, Gorayski i t. d. Właściwie, jeżeli ma być już starożytnie, to należałoby pisać: Zamoysky, Goraysky, Cziesskowskj zamiast Cieszkowski i t. d.

od całości dzieła odbijającego i nieproporcyonalnie wielkiego, a raczéj olbrzymiego ustępu o rzeczypospolitéj Babińskiéj.

Była to zatém prawdopodobnie reklama dla swego znajomego, współwyznawcy, a co za tém szło, wówczas i przyjaciela politycznego. Dziś taką reklamę łatwiéj odczuć, a przecież czyż nie spotykamy się co chwila w dziennikach z wynoszeniem pod niebiosa różnych „salonów”, „ognisk życia towarzyskiego”, w których to ogniskach nikomu nigdy ciepło nie było, albo z uchylaniem czoła przed „cichemi cnotami”, które rzeczywiście były tak ciche, że o nich właściciel ich nawet nic nie wiedział, albo pochwałami dla mecenasów i znawców, którzy kupują obrazy na licytacyach, a znają się na ramach, albo wreszcie z szaloną reklamą dla najnędzniejszych ramot, wyszłych z pod pióra „przyjaciół politycznych”. Sarnickiemu łatwiéj przecież było reklamować Babin, bo nikt téj reklamie nie mógł nazajutrz zaprzeczyć, jak to dziś uczynić bylibyśmy w stanie. A przyjaźń jego, jako akatolika z Babinem miała silny grunt pod sobą. Charakterystyczném jest np., że kiedy o innych Pszonkach wspomina się, iż umiérali *catholica morte*, to Sarnicki pisze, o Stanisławie, iż zeszedł z tego swiata *christiana morte*. Z Sarnickiego téż wiemy, iż wyśmiéwano w Babinie gorliwych wyznawców kościoła katolickiego, albo téż innéj sekty (*alterius sectae*, a nie *religionis)* i mianowano ich inkwizytorami. To téż w Babinie jeszcze na początku wieku XVII-go, za czasów Jakóba Pszonki spotykamy sporo akatolików, a pierwsza w Regestrze zapiska opowiada o pijaństwie w zakrystyi. Te stosunki z akatolikami, ta tolerancya, jak się wyraża wydawca Aktów babińskich, mogą nam w części wytłómaczyć i udział Pszonków w rokoszu Zebrzydowskiego, do którego, jak wiadomo, churmem rzucili się akatolicy. Byłoby rzeczą niesłuszną, dziś zwłaszcza, oskarżać pojedyńcze osobistości, lub ogół na podstawie wyznania, ale trudno zaprzeczyć faktom historycznym, które poświadczają, iż we wszystkich rokoszach, nieporządkach i kłótniach domowych, we wszelkiéj opozycyi władzy, a nawet w opuszczaniu sztandarów własnych, przeważny, stosunkowo do swéj ilości, brali u nas udział akatolicy. Był w tém nawet pewien system, pewna teorya. Tak np. kalwińskich członków rodziny Radziwiłłów za czasów Pszonków widzimy wszędzie, gdzie dobry obywatel znajdować się nie był powinien, zacząwszy od rokoszanina Janusza, walczącego pod Guzowem (a byli w tym rokoszu i pp.: Jakób i Stanisław Pszonkowie), a skończywszy na Januszu i Bogusławie, co służyli Karolowi Gustawowi (a służył mu i p. Adam Pszonka).

Wracajmy jednak do Sarnickiego. Świadectwo tego pisarza, jakeśmy się przekonali, nie wiele warte. Najprzód opowiadanie jego

o Babinie jest bałamutne, „zdradliwe”, następnie on sam jako „nędzny pisarz” nie bardzo na wiarę zasługuje, a wreszcie widocznêm się wydaje, że pisząc o rzeczypospolitéj miał na myśli reklamę dla swego przyjaciela i współwyznawcy, a zarazem dla téj szlachty, która sympatyą otaczała nowinki genewskie i nie dwuznacznie żartowała z ludzi gorącéj wiary. Sarnicki więc jako świadek należy do tych, od których przed trybunałem nie odbiéra się przysięgi.

Potrzeba poszukać świadków innych, którzy, jeśliby nam nie powiedzieli coś pewnego o pierwszéj epoce Babina, to przynajmniéj stwierdziliby, iż rzeczpospolita cieszyła się uznaniem w szerokich a poważnych kołach szlachty. Zdaje się, że o takich świadków nie powinno być trudno, boć wszakże Jan Achacy Kmita pisze wyraźnie:

w tvm cechu znaczny
Miodopłynny pisorym Kochanowski zacny
Był y w tey komitywie Rey w polski rym łacny,
Trzecieski y Paprocki y Sęp wierszem smaczny
Miał vrząd nieposledni w tym sławnym Babinie [1]).

A więc idźmy za wskazówką Kmity i zajrzyjmy do tych pisarzy co byli „znacznymi w cechu”. Jeżeli rzeczywiście należeli do przyjaciół Babina, piastowali urzędy babińskie, toć przecież w pismach ich powinny być jakieś ślady tego stosunku. Ale napróżnobyśmy ich szukali!

Jestto rzecz zaprawdę godna zastanowienia. Pomińmy już Trzycieskiego i Sępa, bo rodzaj literatury, któremu się oddawali, uwalniał ich od wzmianek o Babinie. Aleć Rej i Kochanowski do takiego Babina, jaki nam przedstawia Sarnicki, należéć rzeczywiście byli powinni i mogli. Wszak obaj ubiegali się za dowcipem, wszak sami należeli do najdowcipniejszych ludzi swéj epoki, wszak Kochanowski pisał „Fraszki”, a Rej dla powiększenia ilości swoich „Figlików” robił wycieczki wszędzie, do wszystkich literatur obcych. Przytém Kochanowski zbiérał apoftegmata (anegdoty), a Rej całém swém życiem, usposobieniem, tak przyrastał do Babina, że jeżeli rzeczywiście do niego zaglądał, to musiał w jego sali siadywać na honorowém miejscu,

---

[1]) Wrześuianin wylicza także między babińczykami Reja, Kochanowskiego i Trzycieskiego, następujący jednak w nim zaraz obszerny ustęp o Kmicie, dowodzi, że czerpał poprostu z jego utworu. Naodwrót i Kmita pisze aż dziesięć wierszy o Wrześniowskim (Wrześnianinie), — stąd rzecz jasna, iż obaj natchnieni ślubem Katarzyny Pszonkównéj ze Stradomskim, jednocześnie powzięli myśl uwiecznienia tego faktu i wzajem sobie w pracy pomagali, czego dowodzi rażące podobieństwo obu utworów. Stąd wiersze ich są dla nas jednêm źródłem, a nie dwoma.

to burgrabiowie, kanclerze i cały świat urzędniczy babiński pełnił przy nim obowiązki paziów i szambelanów. Wiemy też skądinąd, że Rej znał osobiście Pszonkę, był bowiem arbitrem w sporze jego z bratanicą Kaszowską [1]), żoną kaclerza babińskiego, wiemy, że miał dobra w pobliżu Lublina, że w nich nietylko gościł, ale i stale przebywał, że wreszcie kiedy pośredniczył w sprawie Kaszowskiéj, to musiał znać i jéj męża, z którym go łączyła nawet wspólność wyznania. Co do niego więc, nie ulega zdaje się wątpliwości, że był „w komitywie" z Babinem, jak się wyraża Achacy Kmita. A te wszystkie okoliczności powiększają zdziwienie, że w pismach Kochanowskiego, a zwłaszcza Reja, nie odezwało się ani razu wspomnienie Babina.

Jeden jedyny z przytoczonych przez Kmitę Paprocki wiedział, że Babin istnieje, ale Babin miejscowość, a nie rzeczpospolita. W swoich „Herbach rycerstwa" pisze o Pszonkach: „Wieku mego był to dom znaczny w województwie lubelskiém, a pisali się *de Babin*". I to wszystko! Na wzmiankę o Piotrze Kaszowskim zdobył się Paprocki, nie zdobył się jednak na wzmiankę o Stanisławie Pszonce, ani o téj sławnéj rzpltéj, do któréj sam miał należéć, którą miał się zajmować nawet Zygmunt August i Zamojski, około któréj miały się grupować „wszystkie znakomitsze imiona", która miała miéć „potężny wpływ wśród ówczesnych zaognionych stosunków religijnych" (Windakiewicz) [2]).

Lecz jeżeli ci wszyscy pisarze przez dziwną, przypadkową jednozgodność zapomnieli o Babinie, to był przecież jeden taki, któremu zapomniéć o nim nie było wolno, jeżeli Babin rzeczywiście rej wodził w życiu towarzyskiém prowincyi i trzymał berło satyry i humoru. Myślimy o Górnickim. Prawda, że wziął on swojego Dworzanina „z ksiąg Grofa Balcera Kastygliona", ale przecież nie tłómaczył go

---

[1]) Pamiętnik Jakóba Pszonki, wydanie Bielowskiego.

[2]) Wypada nam wspomniéć, choć w przypisku, o mniemanym a wielkim udziale Jana Zamojskiego w Babinie, bo dla p. Windakiewicza „nie jest hypotezą, ale faktem, iż Zamojski był *spiritus movens*" Babina. Otóż ten fakt polega na jednéj wzmiance w „Aktach", że Tomasz Zamojski został po ojcu totumfackim babińskim, przez co Pszonka nadawał mu prawo nominacyi urzędników. Wiemy, iż T. Z. nietylko tego prawa nie wykonywał, ale nie zajrzał ani razu do Babina, nawet nominacyi udzielił mu Pszonka... w Lublinie. Jakiż dowód, że wielki Jan Zamojski nie był takim samym totumfackim, jak jego syn, że nietylko miał tytuł, ale i z niego korzystał? Tytuł ten nie obrażał, owszem, był pewném pochlebstwem, zaznaczeniem, iż w państwie Zamojski wszystko brał na swoje barki. Był to tytuł dowcipny, ale nic więcéj — nie można z niego wyciągnąć żadnych wniosków o udziale Zamojskiego w rzpltéj babińskiéj, a cóż dopiéro nazywać go na téj podstawie *spiritus movens* Babina.

dosłownie, „tego abo owego nie włożył”, nie jedno „odmienił” i jak to powszechnie jest znane, sporo swojego dodał, a zwłaszcza rozmaitych anegdot czysto polskich. Sprawy dowcipu „trefności”, traktował obszernie w księdze drugiéj i tam téż najwięcéj dokładał swego. Wyliczał wszelkie rodzaje dowcipu i na każdy z nich dawał przykłady. Poznajemy się tam z dowcipem lub żartami Tenczyńskiego, Tarnowskiego, Ocieskiego, Kmity, Reja, Białobłockiego, Bogusza, Ryłskiego, Maika, Zembockiego i t. d. Co więcéj, są tam dowcipy w rodzaju Babina; jest mowa o ziemianinie, „co na karasiu jesdża, a w szczuce nalazł jastrzęba, a on kuropatwę skubie”; są nawet nominacye *à la* Babin, bo Stanisław Białobłocki, mówiąc o siedmiu braciach Karnickich, nazywał ich kuchmistrzami, gdyż „niemal z przyrodzenia mają, iż każdy sobie umie rozkazać dobrze uczynić jeść”, a jeden tylko między nimi najmłodszy Jakób jest podczaszym, bo go „ludzie za tego wzięli jakoby go trunek nie miał mierzić”. I w tym Górnickim, który z urzędu, że tak powiemy, powinien był wiedziéć i pisać o Babinie, nie ma o nim ani jednego słowa.

I w całéj literaturze współczesnéj epoki cisza o Babinie zupełna. A nietylko w literaturze, ale i wszędzie. W żadnym zbiorze wydanych, a pochodzących z wieku XVI listów, nie odzywa się najlżejsze echo Babina. Przeglądaliśmy, o ile możności, wszystkie współczesne pamiętniki, relacye i t. p. i zawsze z tym samym skutkiem, to jest raczéj bez skutku. Istnieje cała np. literatura składająca się z relacyi nuncyuszów i legatów papieskich, przebywających w Polsce; wielu z nich szczegółowo opisywało zwyczaje, obyczaje i oryginalniejsze szczegóły z ustroju społecznego i towarzyskiego naszego kraju, a żaden nie wspomniał o sławnéj rzeczypospolitéj, która miała udzielać godności prawie wszystkim senatorom duchownym i świeckim. Gdzież się podziały wreszcie te tysiące dyplomów babińskich, pisanych na pergaminie i opatrzonych pieczęciami — chyba jakiś wróg zacięty Babina wykradał je wszystkie i niszczył, aby żaden nie przeszedł do potomności.

Pozostaje wciąż jako wyłączne źródło wiadomości złego i dobrego jeden jedyny Sarnicki.

Czegóż to wszystko dowodzi? Oto chyba tego, że Babin w swojéj pierwszéj epoce był zupełnie taki sam, jak za czasów Jakóba i Adama Pszonków, że wszystkie wnioski, jakie wyciągnęliśmy z „Aktów” babińskich, dadzą się zastosować i do téj pierwszéj epoki. Sam wydawca „Aktów” twierdzi, że druga epoka (Jakóba) miała być najświetniejsza, a wiemy jaką była. Bawiono się prawdopodobnie tak samo i za pierwszéj epoki w Babinie mniéj lub więcéj niewinnemi dy-

kteryjkami, opartemi na kłamstwie, prawdopodobnie „wilk” przechodził z ręki do ręki, kto lubił wypić przybywał chętnie do Babina, ale nikt się nie chwalił, zwłaszcza drukiem stosunkami z najjaśniejszą rzeczpospolitą babińską. Jeden tylko Sarnicki był bardziéj naiwny, uwierzył przechwałkom Pszonki czy Kaszowskiego, którzy jako wyćwiczeni w kłamstwie nagadali mu, co im na myśl przyszło, a on jako pisarz bezkrytyczny, a może jak przypuściliśmy, dla przypodobania się przyjacielowi Kaszowskiemu, obdarzył świat wiadomością o akademii humoru i satyry, która była zwykłą towarzyską zabawką grona sąsiedzkiego, a co więcéj, bynajmniéj nie oryginalną i bynajmniéj nie wyjątkową.

Tak jest, towarzystw tego rodzaju, co babińskie, było na świecie i nawet w Polsce dużo, tylko mało o nich pisano i tylko gdzieniegdzie jakaś drobna wzmianka we współczesnych broszurach, listach, lub epigramatach zaznacza ślad istnienia. Dr. Piotr Chmielowski rodowód Babina prowadzi z Włoch, gdzie podobne humorystyczne związki oddawna były znane; rodowód ten jest bardzo prawdopodobny, wiemy bowiem, iż do Polski w pierwszéj połowie XVI wieku ciągnęli Włosi jakby sznur żórawi: na dworze królewskim roiło się od nich i dopiéro odjazd Bony zatamował ten przypływ. P. Windakiewicz przytacza ze źródeł francuskich nazwy dwóch takich towarzystw *La Mère folle* w Dijon i *Royaume de la Basoche*, które znacznie wcześniéj istniały we Francyi, a miały również urzędników, opiérały się jak Babin na fikcyjnych przywilejach i parodyowały miejscowe urządzenia [1]). W roku 1450-ym spotykamy w Polsce *Fraternitas sacerdotum*, rezydującą w Łańcucie [2]). Stanisław Górski w życiorysie Krzyckiego wspomina o Korybucie Koszyrskim, szlachicu z ziemi sochaczewskiéj, który należał do najdowcipniejszych ludzi swego czasu. Koszyrski ten za Zygmunta Starego powołał do życia wesołe towarzystwo, złożone z obojéj płci hulaszczéj i nie liczącéj się z moralnością, które wyprawiało orgie, a podkasany dowcip w wysokiéj miało cenie [3]). Za tegoż Zygmunta Starego widzimy inne towarzystwo, *Sodalitium*, którego węgłami byli Dantyszek, poeta, późniejszy biskup warmiński, dworzanin królewski Jan Zambocki i Mikołaj Niepszyc z królewskiéj kance-

---

[1]) „Akta“, str. 7.

[2]) Windakiewicz z Ulanowskiego „Analecta ad hist. iuris can. in dioec. Praemislensi“.

[3]) Do towarzystwa tego należał poeta Andrzéj Krzycki, który w utworach swoich wiele korzystał z dowcipu Koszyrskiego. Prof. Morawski sądzi, iż Krzycki zwalał tylko na Koszyrskiego autorstwo. Patrz rozprawę prof. M. „Z dworu Zygmunta Starego“ („Przegląd polski“, r. 1887, str. 537).

laryi; Zambocki nazywał członków bractwa *bibones et comedones* [1]). Z przytoczonych poprzednio słów Górnickiego widzimy, iż było w zwyczaju żartobliwe nadawanie urzędów i że krążyły między szlachtą dowcipy w rodzaju babińskich. Aleksander Weryha Darowski w swoich „Przysłowiach" wyraża się, iż mieliśmy kilka rzeczypospolitych podobnych do babińskiéj. Bezimienny autor cytowanéj poprzednio broszury: „*Beschreibung des Ursprungs des Alabander*" przytacza z podobnych towarzystw naszą rzeczpospolitę babińską *andere zu geschweigen*, a więc były współcześnie i inne. Wespazyan Kochowski, jedyny z późniejszych poetów, który w pismach swoich wspomina o Babinie (w „Niepróżnującém próżnowaniu"), większą przecież kładzie wagę na rzeczpospolitą waśniowską, bo

Tu *Raggion di statto* jak wieść o tém słynie:
W Waśniowie rząd pospólstwa, monarchy w Babinie.

„Przeciw waśniowskiéj rzeczypospolitéj" dla Kochowskiego „wszystko fraszką i cieniem"—wobec niéj niczém Sparta, Rzym i Ateny. To téż oprócz dłuższego wiersza w „Lirykach" p. t. „*Encomium* miasta Waśniowa" [3]) poświęca jeszcze téj rzeczypospalitéj dwie fraszki p. t. „Waśniów" i „*Votum* Waśniowskie", które jeżeli są w pomyśle produktem Waśniowa, dobrze świadczą o téj rzeczypospolitéj, bo mają w sobie więcéj dowcipu niż połowa zapisek babińskich. W końcu doszła do nas jeszcze wiadomość o rzeczypospolitéj kleczewskiéj. Ks. Lewandowski nadesłał do „Wspomnień Wielkopolski" E. Raczyńskiego artykuł o miasteczku Kleczewie, który kończy w te słowa „Od niepamiętnych czasów posiadacze pojedyńczych wiosek w téj okolicy składają stowarzyszenie, które rzeczpospolitą kleczewską nazywają. Nie mogliśmy dociec, jaki początek tego przezwania, które dotąd w brzmieniu swojém w całéj mocy się utrzymuje" [4]).

Z czasem zapewne wykryje się więcéj towarzystw tego rodzaju co Babin, wszystkie jednak będą o tyle nieszczęśliwe, że żadne z nich nie miało swojego Sarnickiego. Rzeczpospolita babińska będzie mia-

---

1) Tamże, str. 540.

2) Przysłowia, 115.

3) Kochowski, „Liryki", ks. I, XXIII, w wydaniu Turowskiego, str. 49. Waśniów, niegdyś miasteczko w Opatowskiém — w pobliżu niego leżał folwark Gaj, miejsce urodzenia i pobytu Wespazyana Kochowskiego. Patrz „Słownik geograficzny".

4) „Wspomnienia Wielkopolski" E. Raczyńskiego 1842 — 1843, II, 423. Kleczew leży w powiecie słupeckim w Kaliskiém.

ła jeszcze tę wyższość nad innemi, że pozostawiła po sobie swoje akta i weszła w ten sposób do literatury i historyi życia towarzyskiego.

Przechowała się ona nawet w paru przysłowiach. Kiedy ktoś puszczał się na kłamstwa, opowiadał rzeczy nieprawdopodobne, mówiono, że „po suchych miejscach pływa", lub że „musiał to słyszéć w Babinie". Ludzi tchórzliwych znowu, „śmiałych gębą", nazywano „rycerzami z babińskiéj wyprawy". Oba te przysłowia nie są zaiste zbyt pochlebném dla Babina świadectwem.

„W czépku się urodziła rzeczypospolita babińska" — napisaliśmy na początku naszéj rozprawy i pozwolimy sobie sądzić, iż dowiedliśmy tego założenia. Pozostawiła po sobie stokroć lepszą pamięć, aniżeli zostawić była powinna—żyje już trzy wieki sztuczną reklamą, któréj tylko lękliwą gdzieniegdzie stawiano opozycyę. Pierwszy prof. Tarnowski usiłował sprowadzić jéj znaczenie do właściwych rozmiarów, ale czynił to połowicznie, i skutkiem tego zapewne zapatrywania jego pokryły tylko lekką zmarszczką spokojne potęgą swéj tradycyi wody Babina. Czy usiłowania nasze w tym kierunku będą skuteczniejsze, czy zdołaliśmy rozwiać iluzye otaczające Babin, a wciąż pokutujące w naszéj literaturze—przesądzać nie możemy, a zresztą nie do nas należy ocena siły naszéj argumentacyi.

Kazimierz Bartoszewicz.



PRERAFAELICI ANGIELSCY.

Są ludzie, co ciągle jeszcze odkrywają Amerykę. O niemałe zdziwienie, a często o niemałą wesołość przyprawia to starszych i doświadczeńszych. Widoczném jest, że pomimo zbliżenia się do siebie społeczeństw, pomimo coraz poufalszéj wymiany pomiędzy niemi opinii, idei, sympatyi, zarówno jak naukowych odkryć i artystycznych tendencyi, widoczném jest, powiadamy, iż istnieją jeszcze pomiędzy narodami zapory, rodzaj chińskiego muru, a nie bacząc na szybkość komunikacyi i „zelektrycznienie“ świata, jak mówi Patmore, potrzeba długiego przeciągu czasu, zanim pewne cywilizacyjne prądy, co się wyrobiły u jednego społeczeństwa i nawskroś je przeistoczyły, będą poznane i ocenione u drugiego. To, co się oklepanką już stało u jednych, o czém dawno tam rozprawiać przestały umysły wykształcone i wyrafinowane, jest dla innych, dla sąsiadów o miedzę, przedmiotem podziwu, polem do szerokich komentarzy i pozyskuje im u swoich reputacyę, gdy o tém rozprawiać zaczynają, bystrych spostrzegaczy. Rasa Huronów, z któréj się Voltaire naśmiéwał, nie wyginęła jeszcze widocznie do szczętu, a owa wszechstronna cywilizacya, owa arystokracya inteligencyi, któréj naturę świéżo wyłuszczyło pióro p. Berenger'a, musi liczyć daleko liczniejszy poczet członków i uczestników, aniżeli pochlébiali sobie optymiści.

Uwagę powyższą nasunęły nam częste od jakiego roku lub półtora wzmianki o prerafaelitach angielskich i studya nad datującą od nich współczesną szkołą sztuki angielskiéj. Zdawaćby się mogło, że to zjawisko całkiem nowe, dotąd nieznane, że pisarze, co się nimi teraz zajmować przychodzą, wprowadzają czytelnika w jakiś las dziewiczy, do którego głębin nigdy jeszcze nie przeniknęła stopa europejskiego wędrowca. A przecież mamy tu do czynienia z całą grupą cywilizacyjnych faktów o odrębnéj najzupełniéj fizyognomii, faktów, które pociągnęły za sobą wielostronne odrodzenie społeczeństwa brytańskiego pod względem etycznym tak samo i więcéj jeszcze, aniżeli estetycznym. Owa sztuka angielska, któréj zarozumiali i wiecznie z siebie zadowoleni Francuzi raczą przyznawać teraz nietylko narodową samoistność, ale, o dziwy! nawet pod pędzlem tych lub owych mistrzów, poetyczną wielkość, na gruncie francuskim nieznaną, owa sztuka angielska nie kryła się pod korcem, gdzieś w zakątku, ale stała w swéj samorodnéj piękności przed całym światem, co najmniéj od lat czterdziestu. Pojąć nie można, że są ludzie, uważający się za wykształconych, którzy nie czytali dotąd dzieł Johna Ruskina, owego olbrzyma, co stworzył modłę artystyczną dla całego świata anglosaskiego, co podług niezapomnianego słowa, ulepił po raz wtóry duszę angielską; pojąć nie można, że są artyści, że są dyletanci, rozwojem sztuki współczesnéj interesujący się w Europie, u schyłku XIX-go stulecia, którzy nie znają obrazów Ford Madox Brown'a, Holman Hunt'a, Watts'a, którzy nie widzieli artystycznych kompozycyi Dante Gabryela Rossetti'ego, albo nie czytali jego poezyi. Trzeba było nadzwyczajnego rozgłosu, jaki sobie pozyskały obrazy sir Edwarda Burne-Jones'a, epigona szkoły prerafaelitów onegdajszych, ażeby otwarły się oczy, potrójną dotąd zasklepione łuszczką, ażeby postawiono sobie pytanie: czém téż istotnie są, albo raczéj byli owi artyści i jaką wartość posiadają ich dzieła, jaka myśl zasadnicza, jaki moralny ideał na ich dnie spoczywa.

Wątpić, niestety, nie można, że Europa posługuje się przedewszystkiém w swych odkryciach na drodze umysłowego rozwoju, piśmiennictwem francuskiém. Gdyby równą poczytność posiadało niemieckie, które już oddawna szkołę artystyczną angielską drugiéj połowy naszego stulecia było zbadało i oceniło, albo gdyby się po informacye udano do samego źródła, do Anglii, gdzie, jak się samo przez się rozumié, jest do tych studyów moc dokumentów nieprzebrana, i co więcéj znaczy, gdzie są w pewnym komplecie utwory tych artystów, to sztuka ta i ruch ten cały, tak pociągający, tak du-

chowo-skrzydlaty, oddawna byłyby zdobyły sobie popularność. Ale do téj skarbnicy nie chciano albo nie umiano sięgnąć. Obecnie jednak, gdy cała czereda francuskich pisarzy, Robert de la Sizeranne, Jean Lahor, Andrzéj Chevrillon, Gabryel Mourey i t. d., przyniosła czytającéj publiczności snopy swych wrażeń i uwag, można być przygotowanym, że będą pochwyceni w lot i że znajdą się w innych piśmiennictwach pisarze i komentatorowie, co ich będą nicować, przerabiać i rozmaitemi sosami przyprawiać, tak jak to dotąd czynili ze skąpem studyum Edw. Roda. Jeżeli te prace z drugiéj ręki doprowadzą do źródłowych, nie będzie się miało potrzeby na nie uskarżać i pozostanie pocieszyć się francuskiém przysłowiem: *mieux vaut tard que jamais!*

Jest naszym zamiarem naszkicować tutaj w zasadniczych rysach, skoro ciekawość publiczna ku téj dziedzinie artystycznéj się zwraca, zamknięty już dzisiaj okres prerafaelizmu angielskiego. Nie mamy nadziei powiedziéć wiele nowego w stosunku do tego, cośmy na stronicach tego pisma napisali już przed jedenastu laty: *magnum aevi spatium!* Powtórzyć niektóre poglądy owego szkicu tém mniéj się wahamy, że je dalsze spostrzeżenia, na miejscu czynione, utwierdziły prawie bez wyjątku, a nikt ich sobie zapewne, prócz autora, dzisiaj nie przypomina. Praca, o któréj mówimy, p. t.: „Estetyzm w Anglii", drukowaną była w tomie II-gim „Ateneum" za rok 1884. Skréśliliśmy tam właściwie cały przebieg sztuki angielskiéj, który doprowadził do epizodu daleko właściwiéj przez wielu historyków sztuki nazwanego estetyzmem, aniżeli prerafaelizmem. Ostatnia nazwa jednakże tak się obecnie utarła, że nie ma powodu jéj się wyrzekać. Podejmując raz jeszcze przedmiot, wielokrotnie traktowany, nie widzimy potrzeby robić dalekich wycieczek w przeszłość artystyczną Anglii. Dla wyświetlenia powstania prerafaelizmu wystarczy przypomniéć, jaki tam był stan sztuki w drugiéj połowie naszego stulecia.

Hogarth, sir Joshua Reynolds, Gainsborough, te trzy wielkie postaci sztuki angielskiéj zeszłego wieku zniknęły, nie wytworzywszy szkoły. Ani nastrój narodowy, ani okoliczności zewnętrzne, ani niski poziom artystycznego wykształcenia u społeczeństwa nie pozwalały spodziéwać się innego dodatniego rezultatu. U kolébki swéj sztuki Anglia posiadła była tych olbrzymów, ale tylko w legendzie Twardowscy z piasku bicz kręcić potrafią. Przy braku wszystkich organicznych warunków do samoistnego a systematycznie prowadzonego rozwoju sztuki plastycznéj, mogła ona rozniecić mrok swój chwilowemi błyskawicami, ale stałego światła jéj

brakowało. Artyści, jak sir Thomas Laurence, używali wielkiéj sławy, uchodzili za twórczych geniuszy; nie trzeba lepszego świadectwa powszechnéj miernoty. A był on istotnie wielkim w porównaniu do innych malarzy w pierwszéj ćwierci stulecia—Eastlaków, Wardów, Ettych, Mulreadych, Wilkie'ch. Gdy się przebiega w *National Gallery* sale, gdzie są rozwieszone płótna tych najpierwszych przedstawicieli sztuki angielskiéj onegdajszéj, można zrozumiéć tragiczny wykrzyk Constable'a w r. 1821: „za jakie lat trzydzieści nie będzie już zupełnie sztuki angielskiéj!"

Wprawdzie żył już wtedy i tworzył w ukryciu i odosobnieniu swe arcydzieła Turner, ale nikt się o niego nie troszczył, nikt owych wizyi nadziemskich, nikt owéj poetycznéj interpretacyi natury, takiéj, jaka się jemu objawiała, nie rozumiał i rozumiéć nie mógł. Trzeba było kilku dziesiątków lat postępu, całéj edukacyi narodowego ducha, trzeba było krucyaty Ruskina, ażeby jego dzieło zostało ocenione i postawione na wyżynach. A nawet dzisiaj jeszcze pomimo pośmiertnéj apoteozy w r. 1851, można powiedziéć, że postać Turner'a stoi samotna, niepojęta, do naśladowania niepodobna. Nie paradoks to żaden, że możnaby napisać sumienną i wierną historyę sztuki angielskiéj, a to wielkie, to jedyne imię całkiem pominąć, tak oddzielnym był prąd, którym płynął, tak wysoko ów w słońcu rozkochany orzeł szybował: o ziemi, a przedewszystkiém o prozaicznéj, o skostniałéj w sztywnym konwencyonalizmie Anglii, nic wiedziéć nie chciał.

Szare, bezbarwne, pospolite toczyło się tedy życie, pretendujące do sztuki. Protestacya społeczeństwa przeciwko uraganowi, co wstrząsnął jego posadami w końcu XVIII-go stulecia, trwała w zachowawczym świecie angielskim dłużéj, aniżeli na stałym lądzie. W sferze politycznéj bill reformy 1832 r. jest dopiéro sygnałem nowo rozbudzającego się życia. Romantyzm poetyczny Walter Scott'a, lorda Byrona, Shelley'a, Keats'a odradza niebawem ducha spętanego letargiczną odrętwiałością i pełna żywotności, niewyczerpana w swéj płodności literatura wypowiada głośno i zuchwale nowe ideały, nowe poglądy. Wié społeczeństwo, czego chce, dokąd zmierza, co uważa za słuszne i za sprawiedliwe. Nieprzerwaną smugą kroczą reformy w życiu publiczném, w życiu gospodarczo-ekonomiczném. Zdobycze wiedzy z gruntu zmieniają wygląd i charakter świata zbiorowego. W jednéj atoli dziedzinie, w sferze sztuki plastycznéj, było głucho i pusto. Jeżeli duch nowy tam kołatał, to wrót mu otworzyć nie chciała tradycya klasycyzmu. Stare formy, zużyte typy, zwietrzałe symbole, rutyna mechaniczna w technice

tak się były zagnieździły, tak długo narzucały powszechnemu smakowi, iż wydawało się czystém niepodobieństwem wypowiedzieć im posłuszeństwo. Ażeby takiéj reformy dokonać, dwa warunki były niezbędne: teoretyczne udowodnienie, że owa sztuka o klasycznéj modle przestała odpowiadać potrzebom etycznym chwili obecnéj i faktyczne stworzenie dzieł nowych, o innėm natchnieniu i innych ideałach, a równie doskonałych w swoim rodzaju, jak tamte były dawniéj. Zadanie było skomplikowane i trzeba było przy braku jednéj potężnéj indywidualności, coby taki ruch buntowniczy podjąć była w stanie, czekać na współdziałanie grupy ludzi o jednolitych tendencyach i jednokierunkowéj działalności. Gdy się ogrom trudności bierze na uwagę, z jakiemi miało się tu do czynienia, to, zaiste, dziwić się nie można, iż narodziny prerafaelizmn tak długo na siebie czekać kazały.

Ten sam rewolucyjny przewrot, który, jak dopiéro co powiedziano, dokonał się wcześniéj w innych dziedzinach zbiorowego życia. nastąpił w dziedzinie sztuki wogóle, a malarstwa w szczególności pod hasłem prerafaelizmu. Jak łatwo zrozumiéć, musi on miéć ten sam charakter protestacyi przeciwko dotychczasowym kierunkom i tendencyom, przemagającym w sztuce. Protestacya ta wyraża się w bezwarunkowém potępieniu szkoły klasycznéj, w odrzuceniu jéj doktryn, jéj modły, jéj symbolów, jéj techniki: wielcy geniusze malarstwa, których imiona same stały się od wieków przedmiotem czci powszechnéj, uznani zostali przez tych zacietrzewionych romantyków za potęgi złowieszcze, w których ręku zmarniała, skamieniała sztuka i którzy żywą pod grobowym złożyli kamieniem. Ażeby nanowo trysnął zdrój artystycznéj twórczości, należało odwrócić się od Rafaela, Leonarda, Michała Anioła, Tycyana, Pawła z Verony, zostawić ich w ich bezdusznéj doskonałości plastycznéj, a zawiązać nowe węzły z ich naiwnymi, szczerymi, o głębokiéj duszy poprzednikami. Cimabue, Giotto, Fra Angelico, Botticelli, Donatello: oto najwyższe twórcze postaci sztuki na ziemi, co jéj kolébką w świecie nowożytnym się stała i ten tylko artysta potrafi w swém łonie świętą iskrę rozżarzyć, który ją bezpośrednio od nich otrzyma.

Ideał prerafaelitów angielskich nosi tedy podwójną cechę: romantyczną i ascetyczną. Z góry wiedziéć można, że musi być jednostronnym, dziwacznym, naprężonym, bo jakichże ogromnych trzeba będzie wysiłków, aby nawiązać nanowo nić, starganą od wieków, wskrzesić tendencye i prądy duchowe, całkiem dzisiejszemu światu obce! Artyści, którzy szkołę tę uosabiać będą, odrębną od środowiska powszechnego, nie napotkają sympatyi u masy, do poję-

cia ich niezdolnéj; wyśmiani, uważać się będą za męczenników i trzeba będzie niemałego czasu, ażeby społeczeństwo, odróżniwszy w ich żniwie plewy od ziarna, wydało o nich sąd bezstronny, wprowadziło ich jak niezbędne ogniwo do łańcucha sztuki narodowéj. Nie mamy zaiste najmniejszego prawa wyrzucać społeczeństwu angielskiemu, iż się okazywało niesprawiedliwém dla grona utalentowanych artystów, rozmiłowanych w świetlanym, eterycznym ideale. O sprawiedliwości podczas zapasów mowy być nie może. Azaliż sami prerafaelici byli sprawiedliwymi dla olbrzymów epoki Odrodzenia? azaliż pomimo wszystkich ich paradoksów, ludzkość przestanie kiedykolwiek uwielbiać wielkich mistrzów, nad którymi się pastwili? Wiemy dzisiaj, gdy gwar bitwy scichł, że dla prerafaelitów angielskich nieprzyjacielem prawdziwym nie byli bynajmniéj ci hegemonowie, ale owi ohydni, płascy, poziomi artyści, fabrykanci obrazów, wśród których im samym żyć przypadło. Chcąc ich dotknąć i stawić pod pręgierzem, rzucali błotem na mistrzów, pod których ta nędzna hałastra się podszywała. Za tę przesadę, za te gwałty surowo odpokutował już prerafaelizm angielski. Nie należy nigdy tych okoliczności spuszczać z oka, gdy się rozwój téj szkoły pod uwagę bierze.

Jak ona powstała i jakie przechodziła koleje wiadomo dziś szczegółowo, chociaż systematycznie skreślonego obrazu jéj historycznego nikt dotąd nie napisał, a oddawna zapowiedziana i tak gorąco przez miłośników sztuki oczekiwana praca Teodora Watts'a, prawdopodobnie nigdy ogłoszoną nie zostanie. Chociaż istotnym twórcą szkoły téj był Ford Madox Brown, to aureola poety i malarza, otaczająca Dantego Gabryela Rossetti, takie olśniewające miała blaski, iż on jest stawiany zazwyczaj jako typowa osobistość całéj téj grupy. Ruskin przyznaje mu prawo do przodownictwa i przeciwko téj najwyższéj powadze nikt nie podnosi protestacyi. Dla historyi jestto zresztą rzeczą całkiem podrzędną: jednostki znikają wobec całości grupy. Powtarza się z okazyi Rossettiego, co się nieraz już wydarzyło w sztuce: teoretyk, pisarz, a jak w obecnym razie, poeta, łatwiéj jest zrozumianym przez masę, pozbawioną technicznego uzdolnienia do oceny jego sztuki, aniżeli właśnie ta specyalna sztuka. Lubo tedy Rossetti, jako malarz, nie posiada owych niezaprzeczonych zalet, jakiemi błyszczał Madox Brown, jakie posiada dziś jeszcze Holman Hunt, a szczególniéj Edw. Burne-Jones, to poezya jego tak przedziwnie sformułowała modłę etyczną i estetyczną całéj szkoły, że do niéj uciekano się w razach wątpliwości po interpretacyę i że same jego obrazy zyskały przez to na sławie.

Powiedziano słusznie, że tak samo nie ma powodu pytać się, czy czy byłby ruch prerafaelitowski wszczął się w Anglii, gdyby nie było Rossettiego, jak nie ma powodu stawiać pytania, czyby była purytańska rewolucya wybuchła w braku Cromwella, pierwszy bill reformy w braku lorda J. Russell, albo filozofia ewolucyjna w braku Darwina. Każde głęboko poczute dążenie i pragnienie społeczeństwa znajduje i znaléść musi działaczy w danéj chwili psychicznéj.

Nie przestano się atoli zajmować rozstrzygnięciem zagadnienia, dlaczego wszystkie promienie sławy ześrodkowały się na Rossetti'm, zamiast otoczyć świetną aureolą artystę niezaprzeczenie odeń wyższego, mianowicie Ford Madox Browna. Te skargi na niesprawiedliwy rozdział sławy dały się przedewszystkiém słyszéć w roku 1893-im, gdy śmierć tego artysty pozwoliła ocenić całość dokonanego przezeń dzieła. Różnica pomiędzy mistrzem a uczniem staje się dla oczów profana nawet widoczną. Nie można wprawdzie zaprzeczyć, że Madox Brown był, w pewnéj przynajmniéj epoce swego życia, prerafaelitą, ale poetyczny jego geniusz żadnemi szrankami nie dał się ścieśnić i przekroczył wszystkie te, w które sekciarstwo i wyłączność się zamykają. Wzniósł się on oddawna do stylu, a w swych freskach, szczególniéj w tych dwunastu, którym kilka dziesiątków lat swego życia poświęcił, a które znajdują się w ratuszu miasta Manchester, zajął on jedno z tych miejsc na wyżynach sztuki, którego nikt zaprzeczyć mu nie potrafi. Czy w historyczném, czy w religijném malarstwie błyszczał on zawsze szerokiém natchnieniem, potężną oryginalnością i doskonałością techniki, z któremi żaden z prerafaelitów, chociaż byli jego uczniami, nigdy mierzyć się nie mógł. Wobec jego dzieła, Rossetti istotnie nie jest niczém więcéj, jak fantastą o genialnym nastroju, jak kunsztownym improwizatorem, zdradzającym bezustanku brak elementarnéj znajomości swéj sztuki. Madox Brown, to kolosalna postać, odosobniona; nie gonił on za poklaskiem tłumu, szyb w oknach nie wybijał, ażeby zwrócić na siebie uwagę, i w ciągu długiego swego żywota bardzo rzadko brał udział w wystawach corocznych. A pomimo tego hołd artystycznéj rzeszy biegł do niego bez wahania. Nie należy zapominać o tym jedynym fakcie, że przed kilku laty malarze angielscy, chcąc ofiarować galeryi narodowéj płótno artysty, który podług ich kompetentnego zdania najwięcéj do krajowéj wielkości w malarstwie się przyczynił, bez najmniejszego wahania wybrali Madox Browna. W chwili, gdy w młodych ich umysłach kiełkowały pierwsze zarody ideału estetycznego, gdy entuzyaści

szukali mistrza, w którymby się ich wizye, mgliste jeszcze, skrystalizować mogły, wtedy Rossetti i Hunt pod jego dyrekcyą pracować zaczęli. Będzie to ich chlubą. Że obaj, a przedewszystkiém pierwszy z nich, stanęli na pierwszym planie, jest aż nadto łatwém do pojęcia. Przyszłość, jak powiedzieliśmy, każdego na właściwém postawi miejscu. A miejsce prerafaelitów nie będzie, bądź co bądź, poślednie.

Jeżeli prerafaelici rozpłomienili się do sztuki, patrząc na młodociane obrazy o ośm lat zaledwie od nich starszego Madox Browna, jeżeli od niego otrzymali chrzest artystyczny, a mimo tego nigdy się on do ich bractwa nie zapisał, to to samo powtarza się z drugim ich duchowym rodzicem — Ruskin'em. Jak już dostatecznie wykazaném zostało, jego pierwsze tomy „*Modern Painters*" sformułowały nowe estetyczne *credo*, wypowiedziały dosadnie to, co się luźnie i sporadycznie majaczyło w umysłach wielu utalentowanych adeptów sztuki. Ta książka mało znanego wówczas pisarza stała się rodzajem objawienia, rodzajem nowego zakonu. Odtąd drogę mieli przed sobą wytkniętą, a Ruskin stał się wobec publiczności niebawem ich obrońcą, i zasłaniał ich powagą swoją, którą zdobył sobie natychmiast i którą dalszemi pracami po dziś dzień niewzruszenie zachował. Madox Brown pchnął ich ku romantyzmowi i nauczył, jak się z moczarów stęchłego klasycyzmu wydobyć należy, wracając do natury, jako wiecznie tryskającego źródła, jako wiecznie młodéj mistrzyni. Ruskin postawił przed nimi ów ideał etyczny, owo podnoszenie ducha w podniebne szlaki, owo urzeczywistnienie dobra i prawdy przez piękno, które były od chwili, gdy się postawił jako reformator społeczny, fundamentami jego doktryny. Nietylko gotycyzmu, ale i ascetyzmu od niego się nauczyli. Ruskin tedy dał im sztandar i hasło; on pasował ich na rycerzy piękna. Wszelako, i on także nie został członkiem ich bractwa, i zostać nim nie potrzebował. Dla niego, myśliciela, teoretyka, moralnego prawodawcy, nie przystawało takie stanowisko; dla nich, nowatorów, jedynym środkiem wybicia się na jaśnię było spleść się ramię do ramienia i bezsilność jednostki zastąpić solidarnością grupy.

Znany jest skład bractwa prerafaelitów i charakter jego. Datą jego jest rewolucyjny rok 1848-my. Członkami pierwszymi byli młodzieńcy jeszcze nie pod wąsem, Dante Gabryel Rossetti, Holman Hunt i John Everett Millais, malarze i Tomasz Woolner, rzeźbiarz. Oni to przeglądając w domu Millais'a ryciny, odtwarzające freski w *Campo Santo* Pizy, rozpłomienili się do owéj sztuki

całkiem odmiennéj od téj, któréj ich uczono w akademii i postanowili podjąć nić piękna na punkcie, gdzie się ono wykolejać zaczęło. Wkrótce przyłączyło się do téj garstki jeszcze trzech innych młodzieńców: Jakób Collinson, Fryd. G. Stephens i Michał Rossetti. Nie trzeba stowarzyszenia tego artystycznego uważać za jakieś urzędowo zorganizowane ciało, działające w myśl jakichś statutów, zobowiązane do pewnych obowiązków. Byłby to sąd całkiem fałszywy. Byli to po prostu młodzi akademicy, o wysoce rozbudzonéj fantazyi, o delikatném poczuciu artystyczném, poeci, pisarze, próbujący sił swoich w różnych kierunkach, skorzy do krytyki nieubłaganéj, nie zawsze zdolni do urzeczywistnienia w czynie swoich własnych teoryi. Było to ognisko duchowe, z którego wyszedł w następstwie nie jeden talent oryginalny, przy którém ogrzéwały się i wykluły liczne indywidualności wyższe. Znaczenie tego grona dla duchowego rozwoju społeczeństwa angielskiego w sferze intelektualnéj jest potężne, chociaż nie było żadnych licznych manifestacyi bractwa jako takiego. Jedynie wymienić można wydawnictwo peryodycznego pisma — *The Germ* — które skończyło się na kilku numerach i istniéć przestało, oraz na podpisywaniu pod obrazami członków trzech liter P. R. B., nad czém się pastwiła filistyńska publiczność dłużéj, aniżeli taki drobiazg zasługiwał. Moralnie, umysłowo, artystycznie to szczupłe grono zapaśników odegrało rolę doniosłą, chociaż rozprysnęli się w rozmaite strony i wyrobili sobie w ciągu późniejszego życia pierwiastki, których nie widać było zrazu.

Najbardziéj wojowniczą osobistością był Dante Gabryel Rossetti. Syn włoskiego wygnańca politycznego, osiadłego w Londydynie, entuzyasty, przyjaciela Mazziniego, profesora literatury włoskiéj w Kings College, wzrastał w atmosferze wysoko umysłowéj kultury. Od ojca swego przejął się czcią dla Danta, którego w ciągu całego życia zarówno jak Szekspira studyować nie przestawał. Wszyscy członkowie téj nadzwyczajnie uzdolnionéj rodziny ród swój wiedli od Apollina. Starsza jego siostra, Marya-Francesca, była autorką poematu „Cień" Dantego; młodsza, Krystyna, zmarła przed kilku miesiącami, uchodziła za najpierwszą z poetek angielskich, zanim nie popadła w dewocyę: jéj poemat *Princess Progress* zachowa trwałe miejsce w piśmiennictwie; brat, William Michał, także poeta, jedyny dziś żyjący z tej świetnéj drużyny, zbladł nieco w świetle sławy Dantego Gabryela, i przedewszystkiém znany jest jako pierwszorzędny krytyk w dziedzinie literatury i sztuki. On jako towarzysz brata i znajdujący się z nim w zupełnéj harmonii

ducha, tak samo jak genialnie usposobiona siostra, Krystyna: oto gniazdo, w którém nie dziwota, że się jego wyobraźnia wcześnie rozbujała. Waha się, czy się poświęcić ma poezyi, czy malarstwu, i uprawiając jedno i drugie, udowodnił, że obu natura jego ducha podołać była w stanie. Ci, co twierdzą uszczypliwie, że w malarstwie był poetą, a w poezyi malarzem, nie są w stanie zdać sobie sprawy z jednolitości jego natchnienia, które rozmaitemi posługując się formami, zawsze jeden wspaniały ścigało ideał. Nigdy nie stygnący wulkan gorzał w jego piersi. Że poczesne miejsce zajął w poezyi, nie ma potrzeby przypominać. Jego sonety i ballady, tak samo jak poemat *The blessed Damozel* znane są każdemu nawet najpowierzchowniéj w nowoczesnéj poezyi angielskiéj oczytanemu. Najpierwsi z dzisiejszych poetów krajowych, Karol Swinburne i William Morris, przyznają się otwarcie, że on był dla nich mistrzem; krytycy jak Hall Caine, jak Józef Knight, i wielu, wielu innych zaopatrzyło jego poezyę w komentarze, świadczące o miejscu, jakie on na parnasie ojczystym zajmuje.

Za daleko-by nas jednak zawiodło rozbiéranie jego utworów poetyckich. Nawet gdy się innym na tém polu hołduje ideałom, przez prostą sprawiedliwość wypada przyznać, że dosięgnął on nieraz owego plastycznego piękna, dla którego urzeczywistnienia żyć się zdawał. Poezya była dla niego jednym ze środków. Nie lekceważył on swych poezyi. Azaliż może być lepszy dowód znaczenia, jakie do nich przywiązywał, niż w owém słynném odgrzebaniu ich z grobu swéj żony. Zrozpaczony jéj śmiercią, gdy go odumarła po dwuletniém zaledwie pożyciu, złożył do jéj trumny wszystkie poezye, których ona była idealną gwiazdą. Przez lat czternaście rękopisy te spoczywały pod całunem zanim je wydobyć pozwolił. Nie było to świętokradztwo, ani wiarołomstwo względem umarłéj, któréj uwielbiać nie przestawał, ale nowym dla niéj hołdem, tak samo jak oznaką, iż w owych poetycznych utworach złożone było jądro jego duchowych aspiracyi.

W obronie ich walczyć nie przestawał. Wszyscy jego biografowie, wszyscy przyjaciele i towarzysze, co go do dzisiaj przeżyli, niestrudzeni są w wykazywaniu, że był on przedewszystkiém agitatorem i szermierzem. Zaledwie z lat dziecięcych wyszedłszy, porywał całe swe otoczenie swoim zapałem, tym ogniem wewnętrznym co zeń buchał. Nie było żadnéj nadzwyczajnéj wymowy w jego słowie, ale tyle szczerości, takie przekonanie o konieczności, o bezwzględnéj prawdzie tego a nie innego kierunku twórczości, że gromadził słuchaczy i do wspólnego dzieła porywał. Życie co-

dzienne, swary polityczne, zagadnienia ekonomiczne nie zaprzątały go bynajmniéj. Postawiwszy przed sobą modłę prawdy i piękna, nie pozwolił się od niéj odwiéść nikomu i niczemu. Ten ogiéń, co zeń tryskał, wskazywał jego włoską naturę. Potrzeba go było do stopienia w jedną bryłę tych różnorodnych czynników, które w skład tego ruchu wchodziły. Podczas całego ścisłego trwania bractwa prerafaelickiego, a najwyżéj można powiedziéć, że istniało ono przez lat dziesiątek, pomiędzy 1850 a 1860 rokiem — agitacya, prozelityzm, wychodzi od niego. Żaden z jego kolegów, ani on sam się nie łudził, że pod względem techniki były w jego obrazach większe niedostatki, aniżeli u tamtych — pochodziło to z niedostatecznego wykształcenia elementarnego w szkole rysunku p. Cary i następnie w akademii sztuk pięknych — a mimo to, artystyczna jego indywidualność musiała każdego znawcę uderzać. Za dowód można znowu przytoczyć Ruskina, który, w chwili gdy stanął w obronie napastowanych prerafaelitów, znał jedynie Hunta i Millais'a, a o Rossetti'm nic nie wiedział; następnie jednak, spostrzegłszy, że on przedewszystkiém wiernie się trzyma gościńca, z którego jedni w prawo, a drudzy w lewo odbiegli, zbliżył się do niego i ukochał go. Bogaty Ruskin zakupywał także, jak szczodrobliwy mecenas, cały szereg jego studyów i obrazów, na których publiczność jeszcze się wtedy nie była poznała.

Powiedziano już treściwie, jaki ideał artystyczny postawił przed sobą Rossetti i jego towarzysze, trzeba określić go bliżéj.

Nie ulega zapewne już obecnie najmniejszéj wątpliwości, że świetny rozkwit sztuki plastycznéj w epoce znanéj pod nazwą renesansu był z natury swéj pogański. Cała cielesna strona przyrody ludzkiéj, trzymana w karbach przez kościół, zajmujący w wiekach średnich stanowisko wszechwładne, stłumiona i sprowadzona do milczenia przez ascetyzm i dogmatyzm, wyzwoliła się wówczas pod wpływem rozmaitych prądów i okoliczności, zbyt dobrze znanych, ażeby je nawet wyliczać było trzeba. Przez powrót do studyów nad światem klasycznym dokonał się ów radykalny przewrót w umyśle ludzkości, który na ziemi włoskiéj wyraził się w bałwochwalczym kulcie dla piękności zmysłowéj. Ludzkość rozkochała się ponownie sama w sobie. Przewaga pierwiastku materyalnego nad duchowym w sztuce epoki Odrodzenia, nie może być pominięta nawet przez najzapaleńszych jéj stronników. Nie było już mowy o żadnéj wyższéj misyi sztuki, o stawianiu przed oczami człowieczeństwa cudownych wizyi, podnoszących ducha w wyższe sfery, o rozpłomienianiu w sercu czynników szlachetnych. Sztuka stała

się czarem dla oka, łechtała przyjemnie zmysły, zajmowała wyobraźnię. Naturalnym rzeczy przebiegiem coraz więcéj zajmowała się formą, stworzyła konwencyonalne typy i chłodny symbolizm.

Łatwo zrozumiéć, że oślepione blaskiem téj sztuki, te i owe społeczeństwa nie spostrzegały w niéj niczego prócz jéj piękna zewnętrznego, a o brak jéj skry duchowéj się nie troszczyły. Wytworzyła się doktryna o sztuce, będącéj sobie saméj celem, o pięknie wyzwoloném z wszelkiego etycznego charakteru. Ale gdy się cała nić z tego kłębka wysnuła, gdy w pierwszéj połowie naszego stulecia najbardziéj naprzód posunięte społeczeństwa zdały sobie sprawę z trudności rozwiązania skomplikowanych zagadnień życiowych, gdy zaczęto troskliwie szukać środków pomocniczych w spuściźnie wieków dawniejszych, gdy wysoko wybujał romantyzm o niezaprzeczenie idealistycznym nastroju, wtedy znowu na sztukę inaczéj zapatrywać się zaczęto i odmienne postawiono przed nią żądania. Nietylko igraszką dla oka, rozkoszą zmysłową, nietylko anegdotyczną zabawką stać się miała ona, ale mistrzynią ducha, kapłanką ideału, ucieleśnieniem niewygasłych pragnień, nieuchwytnych idei. Były to może przesadzone wymogi, ale, bądź co bądź, im to zawdzięcza sztuka naszego czasu rozkwit religijnego i historycznego malarstwa, korzystnie odbijający od bezdusznéj rutyny paru ostatnich stuleci.

U narodów szczepu łacińskiego, gdzie krew gorętsza, poczucie plastycznego piękna silniejsze, gdzie namiętności nad czystemi ideami górują, ten zwrot ku bardziéj spirytualistycznemu nastrojowi sztuki mógł być mniéj wybitny. Ale u germańskiego, u anglo-saskiego objawił się on dosadnie. W Niemczech, kraju racyonalistycznéj metafizyki, zapanowało wówczas malarstwo Overbecka, Corneliusa, Steinle-Bendemann'a, malarstwo przeważnie chłodne, głęboko naukowe, abstrakcyjne, ale pozbawione wielu warunków niezbędnych dla sztuki pięknéj jako takiéj. W Anglii, gdzie czynniki religijne ukształtowały były duszę narodową i gdzie etyczne potrzeby szukały bezustanku zaspokojenia, było naturalném, że prądy romantyzmu wyrażające się w sztuce plastycznéj szukały dla siebie takiego samego łożyska. Ażeby odpowiedziéć swemu zadaniu, artyści nie mogli wzorować się na sztuce epoki Odrodzenia, z całą jéj wspaniałością materyalną, a ów hymn tryumfalny dla ciała nietylko ich raził, ale, rzec można, zawstydzał. I stało się logiczną nieledwie koniecznością, że, szukając dla siebie mistrzów, owi romantycy pędzla, wychowani na poezyi Keats'a, Colridge'a, a późniéj

Browninga i Tennysona, rozmarzeni legendami narodowemi, które w czarodziejskiéj swéj prostocie stanęły przed nimi, odwrócili się z niesmakiem od owéj sztuki, co nie przemawiała bynajmniéj do ich indywidualnego temperamentu, a uważając wiek XV-ty za epokę upadku i rozbestwienia pogańskiego, stanęli jednym skokiem przed sztuką, co ją poprzedziła, przed protagonistami XIII i XIV wieku i pierwszéj połowy XV-go.

Tam odrazu znaleźli dla siebie środowisko pokrewne. Wiek XIII-ty daje im Cimabue, Duccio i Giotto, a kończy się już tak znakomitym, wszechstronnym artystą, jak Orcagna. Następny dał Fra Angelico, jego najgenialniejszego ucznia Benozzo Gozzoli i całą plejadę innych, pomiędzy którymi błyszczy przedewszystkiém Masaccio, Fra Lippo Lippi, Botticelli i nakoniec Mantegna. Donatello i Perugino stoją jako słupy graniczne téj pierwotnéj epoki rozwojowéj. Nie ma wątpienia, że są to wszyscy mistrze naiwni, szczerzy, o głębokiéj wierze, niczém nie zamąconéj, o gołębiéj prostocie i kreślą ręką niepewną jeszcze, od wewnętrznego wzruszenia drżącą, dzieła, które tém większy podziw w nas budzą, im bliżéj się im przypatrujemy. Święte postaci, takie jak je kościół w żyjących typach z mistycznéj wyciosał legendy, posiadają w ich oczach realną rzeczywistość. Żaden podmuch sceptycyzmu nie kazi téj wiary. Są niestrudzeni w malowaniu Najświętszéj Dziewicy, która jest dla nich najwznioślejszém uosobieniem piękna duchowego. Gdy kiedyś, w przyszłości, historycy pisać będą bezstronnie dzieje religijnego rozwoju świata chrześciańskiego, oddadzą prawdopodobnie owym religijnym artystom wieków średnich hołd zasłużony: nie ma wątpienia, że przyczynili się oni do ugruntowania w sercu i sumieniu mas narodowych wiary żywéj i płomiennéj, która łatwiéj przez ich dzieła, aniżeli przez scholastykę i przez abstrakcyjny dogmatyzm przenikała najgbłębsze posady natury ludzkiéj. Wszystko dla nich na około, w otaczającym ich świecie było odblaskiem pierwiastku boskiego. Dlatego także spoglądają na przyrodę poważnie, studyują ją drobiazgowo, z zadziwiającą wiernością. Jedném słowem, jest wewnętrzna harmonia, najzupełniejsza synteza pomiędzy treścią a formą w téj sztuce. Bije od niéj łuna prawdy, a nie można w niéj dostrzedz maniery, afektacyi, a tém mniéj konwencyonalizmu późniejszego. Symbole nie były dla nich martwém a użyteczném narzędziem, bezmyślnym znakiem, czém się stały późniéj, ale posiadały same w sobie potęgę wewnętrzną.

Nie dziwota, że grono młodych entuzyastów angielskich rozkochało się w téj pełnéj poezyi sztuce. Oni także nie troszczyli się

o żadne praktyczne problemata społeczeństwa, wśród którego żyli; nie rozumieli jego gwaru, zżyć się nie mogli z jego duszącą atmosferą. Rwąc się w świat wyższy, czystszy, pełen harmonii niezakłóconéj, przylgnęli do owych prerafaelitów, co po usianéj liliami mlecznéj drodze, znaleźli ideał piękna duchowego. Dobro i zło, życie i śmierć, dusza i ciało przestały być tam antynomiami. Sztuka pod ich ukształtowana natchnieniem zdawała się im jedynie zdolną podnieść poziom etyczny i estetyczny społeczeństw, wywrzéć trwały wpływ na uduchowienie świata.

Można się nad naiwnością prerafaelitów średniowiecznych litośnie naśmiewać i płaski filistynizm nieraz téż sobie téj taniéj uciechy pozwolił. Coraz jednak rzadsze są te okazy umysłowéj ciasnoty w naszém stadyum rozwoju umysłowego, które żadnych wysiłków nie skąpi, ażeby znaléść właściwą perspektywę do „stanów duszy" najbardziéj nawet od naszych dzisiejszych się różniących. Zaszczytne miejsce, jakie w muzeach i zbiorach sztuki wyznaczono tym właśnie jéj okazom, cały szereg sumiennych studyów krytycznych nad pierwotnymi artystami, świadczą o zmienionych pod tym względem poglądach. Nie mała zasługa w tym zwrocie należy się Rossetti'emu i artystycznéj drużynie, co się wraz z nim do tego wspólnego zaprzęgła dzieła.

W każdéj manifestacyi artystycznéj istotnie wyższéj, niezbędném jest mieć ideę przewodnią, znać zasadę teoretyczną, któréj się służy, ale jednocześnie, ale przedewszystkiém należy owładnąć formą w sposób taki, ażeby się owe ideały jasno i całkowicie w dziele artysty wypowiadały. Nie tendencyami swemi, ale jedynie obrazami wymalowanemi, wyciosanemi posągami, wzniesionemi gmachami ujawnia się sztuka plastyczna. Są w jéj historyi artyści o wyjątkowém wykształceniu teoretyczném, a zajmują nie mniéj przeto podrzędne miejsce, bo brakło im siły do stworzenia formy nieposzlakowanéj. Niepodobna utaić, że takie jest właśnie położenie prerafaelitów angielskich. Ich aspiracye były podniosłe i eteryczne i jednoczyły w sobie czysto etyczne pierwiastki z wysoką kulturą umysłową. Nie szczędzili trudów, ażeby ucieleśnić te duchowe swe rojenia i widziadła w odpowiedniéj im formie i ażeby uczynić ją w całém słowa tego znaczeniu — piękną. Gdyby celu swego byli dopięli, nie byłoby dla nich dość wysokiego miejsca w królestwie sztuki plastycznéj. Ale gdy się ich sądzi bezstronnie, to tłumiąc sympatyę, którą się do nich uczuwać musi, dochodzimy do poczucia u każdego z nich pewnych indywidualnych braków a u grupy całkowitéj pewnych namacalnych technicznych ułomno-

ści, które o urzeczywistnieniu ideału piękna mówić nie pozwalają. Bądź co bądź, nie są to artyści, przed którymi schylają się mimowiednie czoła i kolana, od których tworów bije niebiańska łuna. Jest coś połowicznego, chorobliwego w nich i zrozumiéć można oskarżenia o afektacyę i manieryzm, które im stawiali ci, co nie zadawali sobie pracy wniknąć w ich duchową naturę, a sądzili tylko *corpus delicti*. Ten przedział pomiędzy tém, czém być chcieli a czém byli istotnie, sprawia, że sąd o nich będzie raz przychylniejszy, raz surowszy, stosownie do większego uwzględnienia ich przewodniéj doktryny, lub téż ich obrazów takich, jakie stoją przed nami.

Nie wątpimy, że do wniosku tego dojdzie każdy wytrawniejszy znawca, zbadawszy ich dzieła. Braknie nam miejsca wchodzić tu w szczegóły, ale nawet ten, kto, nie mogąc widziéć tych obrazów w oryginałach, poprzestać musi na sądzeniu ich z rycin, albo fotografii, uderzony zostanie niektóremi znamiennemi ich rysami.

Dwie cechy wspólne charakteryzują szkołę prerafaelitów: jestto najprzód żywość kolorytu, i nietylko żywość, ale pewna jego wyłączność, polegająca na spotęgowaniu barw na palecie, a pominięciem prawie zupełném niektórych innych, jestto następnie wyrazistość postaw i ruchów, nazwana przez nieprzychylnych krytyków gorączkową, a zmierzająca do położenia nacisku na osnowę kompozycyi. Każdy z artystów téj szkoły posiadał, jak się samo przez się rozumié, swoje indywidualne znamiona, ale te dwa znajdują się u wszystkich.

Rozpatrując bliżéj koloryt tych artystów, trzeba sobie przypomniéć, że podnieśli oni właśnie rokosz przeciwko owéj tak trwale przemagającéj modzie ciemnych barw. Zdawało się malarzom, że jedyny sposób wywołania światła na obrazie jest przeciwstawienie mu zakopconych, czarnych cieniów. Tę ciemną harmonijną patynę, którą czas jedynie i wpływ atmosfery nadaje obrazom dawnych mistrzów, uważali za warunek niezbędny piękna artystycznego i starali się natychmiast pozyskać ją dla swych utworów. Dlatego nadużywali ziemnéj smoły i wogóle, jak powiedziano trafnie, malowali w zamkniętéj piwnicy. Przeciwko téj rutynie należało głos podniéść stanowczy. Za radą Madox-Browne'a rzuciło się prerafaelickie bractwo do malowania jasnego, przejrzystego, świetlanego. John Millais wykluczył zupełnie ziemną smołę ze swéj palety, Holman Hunt malował na białém płótnie. Szkoła *plein-air*, przejrzystego powietrza, barw takich, jakie się wytwarzają bezpośrednio pod promieniem słonecznym, wytwarzania cieniów takich tylko, ja-

kie się w danėm oświetleniu naturalnie ukazują: oto cały sekret ich kolorytu. Obecnie, po całkowitym tryumfie tėj metody w malarstwie, zdaje się nieledwie niepojętėm, iż przed paru dziesiątkami lat uchodzić to mogło za herezyę.

Druga właściwość ich na mniėj bezwzględną zasługuje pochwałę. I tutaj także słuszne spostrzeżenie wywołało reakcyę. Nie ulegało wątpliwości, że malarstwo ówczesne straciło wszelką oryginalność, wszelki charakter indywidualny, wszelką wyrazistość. Konwencyonalność ruchów, póz, grup była taka, że przestała już wyrażać cokolwiek. Im szło o to, ażeby myśl swoją wypowiedzieć jasno, ażeby każdy zrozumiéć musiał przedmiot ich obrazów. Chcieli malować nie drewniane maryonetki, ale żyjących ludzi, okazujących w swych ruchach, wyrazie twarzy, co czują, czego pragną, kim są i czém są. U naiwnych średniowiecznych artystów nieraz „legenda“ objaśniała ową osnowę obrazu; oni postanowili się bez niėj obejść, a mimo to być dla każdego widza zrozumiałymi. Przesadzili naturalnie i wysiłek jest widoczny. Są niektóre obrazy Rossetti'ego, jak „Paolo i Francesca“, jak *Beata Beatrix*, gdzie mimo nadzwyczajnych zalet poetycznych kompozycyi, przesada gestu jest taka, iż sprawia nieledwie komiczne wrażenie zamiast tragicznego. Studyowanie żywego modelu tak wierne, że go żywcem przenoszono na płótno, doprowadziło u niektórych z tych artystów do takich samych nadużyć, jakie powstały u innych z chorobliwego nieledwie usiłowania stworzenia postaci abstrakcyjnych, doskonale ucieleśniać mających pewne typy.

Możnaby długo i szczegółowo rozbiérać teorye prerafaelitów angielskich o sposobie interpretowania natury, o niewolniczéj względem niéj wierności i o innych punktach ich estetyki. Ale daleko jaśniejsze da się o nich wyobrażenie, rzucając okiem na same dzieła, co z pod pędzla ich wyszły i w jakiéj formie skrystalizowali swoje ideały religijne, swoje widzenia średniowieczne i jak wyobrazili w formie plastycznéj owe postaci, stworzone przez poetów, będących dla nich ciągłą podnietą do natchnienia.

Nie ma powodu przypuszczać ani cienia hypokryzyi w religijnych obrazach Rossetti'ego. Wprawdzie wiara jego nie mogła posiadać téj ascetycznéj wyłączności, jaka gorzała w naiwnych sercach pierwotnych malarzy włoskich, ale nie darmo czytał i wczytywał się w Dantego. Nastrój jego owionął i jego ducha. Biblijne postaci dla rozbudzonéj jego wyobraźni stanęły, jako typy doskonałe owéj duchowéj piękności, za którą gonił. Chcąc wyobrazić w formie plastycznéj wpływ ducha na powłokę cielesną i harmonijne podnie-

sienie téjże do wysokiéj eterycznéj potęgi, nie potrzebował gdzieindziéj szukać tematów. Powiedziano, że w każdym obrazie Rossetti'ego tak widoczna jest dusza, iż ciało schodzi do podrzędnéj roli. Tego rodzaju pochwała byłaby go oburzyła, bo miał on wysoce wyrobioną cześć dla piękna cielesnego, ale chciał, ażeby przez nie ujawniało się piękno ducha. Ten podniosły nastrój sprawia, że nawet obrazy, które nie są zaczerpnięte z biblijnéj legendy, tchną religijnością. Wszędzie jest widoczną głębia uczuciowości, cierpienia. Gdy maluje Madonnę, nie staje przed nim postać tryumfującego macierzyństwa, jak u Rafaela, ale wybranéj dziewicy, uginającéj się naprzód pod ogromem czekającego Ją zadania udzielenia życia Zbawcy ludzkości, a potém upadającéj pod brzemieniem niewysłowionéj boleści. Dość będzie przytoczyć jego obraz *Ecce Ancilla Domini!* Cały szereg artystów o wielkich imionach, począwszy od Fra Angelico aż do Rafaela, Tintoret'a, Rembrandt'a, malowali ową scenę Zwiastowania. Żaden nie pojął jéj tak czysto, tak eterycznie, jak Rossetti. Nie ma w jego obrazie świetnych ram, ani śladu królewskości. Jest za to młode, zaledwie dojrzéwające dziewczę, w białych lnianych powłokach, o rozpuszczonym włosie, powstające na pół z dziewiczéj swe skromnéj pościeli, gdy przed nią staje biała postać zwiastującego anioła, z lilią w ręku, bez skrzydeł, bez złotogłowiu, postać także idealnie duchowa. Gdy święta dziewica schyla czoło i tuli się drżąca do ściany na to zjawisko niebiańskie, najobojętniejszy widz czuć się musi przejętym, wzruszonym tą nadzwyczajną prostotą motywów przy wielkości motywu. Nadzwyczajna jasność kolorytu przyczynia się także do wywołania wrażenia niebiańskiéj czystości.

Nie paradoks to wcale, gdy jest mowa o religijnym nastroju Rosetti'ego w jego obrazach, co nie są religijnéj osnowy. Należy brać pojęcie religijności, jako jednoznaczne z duchowością, z życiem wewnętrzném, z mistyczną głębią uczucia. Jego „Proserpina", ta postać wspaniała, uosabiająca boleść, żal za utraconém szczęściem, zawieszona pomiedzy ziemią, do któréj należy, a niebem, do którego ma prawo, jest symbolem wszystkich cierpień rasy ludzkiéj i nie potrzeba długo się w nią wpatrywać, aby się samemu do łzawéj dostroić melancholii, pojąć znikomość ziemskich rozkoszy, wzbić się w zaświaty. „Sen Dantego", albo „Dante w rocznicę śmierci Beatryxy" drżą także wewnętrzną boleścią, *Sancta Lilias*, powszechnie znana jako *Blessed Damozel* z siedmiu gwiazdami we włosach i liliami w ręku, „Oblubienica", „Paolo i Francesca" i nakoniec owa *Beata Beatrix*, jedyne dzieło sztuki, w którém artysta potrafił uchwycić

na uczynku efemeryczną sekundę życia, przechodzącego w śmierć— co to za szereg oryginalnych obrazów wybitnie, przeważnie wypowiadających w plastycznéj formie burze ducha, tortury, jakie dręczą serca, rozkochane w ideałach. A powtarzamy, że nie ma w obrazach Rossetti'ego żadnéj jednostronności, żadnego chorobliwego zachwytu przed ascetycznym, cierpiącym fizycznie typem; ci, co mówią o szkieletach z pogrobową cerą, widocznie nie znają jego obrazów. Zmysłowo czysta postać Lukrecyi Borgii, albo pełnych kształtów Lilith, albo Kobiéta z wachlarzem, same jedne byłyby w stanie przekonać, że artysta, jak Rosetti, wcale się w ciasnym nie zamknął typie. Piękność i namiętność, oto boginie, do których rydwanu się zaprzągł; prawda tylko, że namiętności były uraganami duchowemi, przezierającemi nieledwie przez cielesną szatę.

Ale gdy mowa o nastroju religijnym ducha grupy prerafaelitów, szczególniéj ma się na uwadze drugiego jéj przedstawiciela, Wiliama Holmana Hunta. Uczyniliśmy już o nim wzmiankę, jako o rówieśniku i towarzyszu młodości Rossetti'ego, który wraz z Johnem Millais obejmuje trójcę malarską. Urodzony w r. 1827, syn rodziny kupieckiéj, przeznaczony do sprzedawania perkalików, energią woli złamał jedne po drugich przeciwności i poświęcił się wyłącznie sztuce. Zaczął od niewolniczego, drobiazgowego kopiowania natury, od przerzucenia żywcem na płótno modelu, z którego malował. Niezadługo jednak rozszerzył się jego ideał, złagodniała surowość jego palety i stanął, jako jeden z najsamodzielniejszych artystów. Po nadzwyczajnie trudnych początkach, Holman Hunt, całkiem nieznany szerokiéj publiczności, znalazł sympatyczną ocenę u braci artystów, którzy nie mogli nie spostrzedz w jego obrazach, obok coraz doskonalszéj techniki i nadzwyczajnéj sumienności wykonania, głębi pomysłu, poważnego obmyślenia każdego szczegółu, każdego drobiazgu, przyczyniającego się do uwydatnienia myśli, co nim kierowała przy kompozycyi. Ten poważny nastrój, który w sztuce kazał mu widzieć kapłaństwo ducha i środek do podniesienia etycznego poziomu społeczności, popychał go, jak zrozumieć łatwo, do tematów religijnych. Jak tylko jego obrazy sprzedawać się zaczęły, Holman Hunt udał się do Ziemi Świętéj; kolébka wiary miała dać pomazanie jego artystycznéj wyobraźni. Tam téż wymalował pierwszy swój piękny obraz religijny: „Światło świata“. Przedstawia on Chrystusa w białéj szacie kapłańskiéj, z koroną królewską, cierniem przepleconą, pukającego w nocy do zamkniętych zaryglowanych, bluszczem i trawami przysłoniętych drzwi domostwa. W ręku trzyma zapaloną latarnię. Symbol

był jasny: Chrystus, niosący światło do zamkniętego świata duszy, rozbudzający śpiące sumienie. Mistyczna alegorya została pojętą przez publiczność, która względem dzieł sztuki nie miała zwyczaju tak wysokich stawiać wymagań. Wystawiany często od r. 1854, w którym był namalowany, rozpowszechniony rylcem, obraz ten posiada dzisiaj wszechświatową sławę. Nie zaćmił go żaden z późniejszych religijnych, ale znalazł w nich godnych następców. A są pomiędzy niemi doprawdy mistrzowskie. Jeżeli świetném wykonaniem, nadzwyczajném bogactwem szczegółów rozpryska się religijne wrażenie, jakie wywoływać musi „Chrystus w synagodze pomiędzy rabinami“, to nawet tego zarzutu nie można uczynić jego słynnéj kompozycyi, znanéj pod nazwą „Cień śmierci“. Przedstawia ona Zbawiciela w Jego ziemskim zawodzie, jako cieślę, pracującego w swoim warsztacie. Naokoło niego są narzędzia ciesielskie. Przez otwarte okna, na tle wzgórz Galilei, widać purpurę zachodzącego słońca. Strudzony pracą robotnik podnosi się, wyciąga i w téj chwili cień jego, na mur padający, przybiéra formę krzyża, ku przerażeniu klęczącéj na ziemi Maryi, która ma niejako wizyę zgonu swego Boskiego Syna. Obraz ten, który kosztował Holmana Hunta kilka lat pracy w Palestynie, zakupiony za sumę 10,000 f. szt. do galeryi w Manchester, podniósł jego sławę do zenitu i ustalił raz nazawsze. Nigdy tryumf nie był zasłużeńszy. Wszystkie komentarze i poemata na tle jego napisane, nie są w stanie wypowiedziéć wrażenia, jakie wywrzéć musi na najmniéj do tego przygotowanym widzu. Zarzut melodramatyczności, który uczyniono temu obrazowi, tak samo jak wprzódy „Światłu świata“, jest o tyle tylko usprawiedliwiony, że Holman Hunt, tak samo jak Rossetti, kładzie ogromny nacisk na ruchy i gest swych figur. Chcąc ucieleśnić myśl swoją, zdarza mu się ją przesadzić.

Ostatnie wielkie dzieło religijne tego oryginalnego artysty, wystawione na widok publiczny w 1885 r., kosztowało go, jak wiadomo, całych siedm lat pracy. W takiém skupieniu ducha pracowali tylko owi malarze średniowieczni, do których on natchnieniem się zbliża! Mozolna praca jego przypisana być musi także owemu realistycznemu nastrojowi, który zawsze umysł jego zaprząta. Nie ma szczegółu najdrobniejszego, któregoby nie wystudyował wszechstronnie, nie oświetlił wybitnie, nie odmalował wiernie. Jestto nieraz z uszczerbkiem harmonii i złośliwi krytycy twierdzili, że to nie malarstwo, ale mozaika. Oryginalność jego polega właśnie na tém połączeniu akcesoryów codziennych, prozaicznych nawet z wysokim polotem imaginacyi i mistycyzmem religijnym. Najwybitniejsze są

tego ślady w tym ostatnim jego obrazie, nazywającym się „Tryumfem niewiniątek“. Ruskin powiedział o nim, iż jest to najbardziéj religijny obraz, jaki wymalowano w naszém stuleciu. Przedstawia on ucieczkę do Egiptu. Na małym osiołku siedzi Matka Chrystusa ze świętém Dzieciątkiem. Artysta nie upoetyzował ani Jéj postaci, którą przedstawił, nie wiedziéć dlaczego, jak podżyłą matronę, ani postaci Józefa, wiodącego osiołka: jest on prostym robotnikiem, jak o tém worek z rzemieślniczemi narzędziami świadczy. Ale im zwyczajniejsze są wszystkie te szczegóły, oryginalniejsza jest wizya, jaka, niedostrzeżona dla innych, prowadzi święte Dzieciątko po Jego drodze. Przed niém ściele się jakaś mléczna droga dziecięcych postaci, niewiniątek, przez Heroda zgładzonych. Jak są wymodelowane te ciała anielskie, jak błyszczące ich barwy odbijają od pierwszych blasków świtu, jakie materyalne trudności pokonać musiał Hunt, ażeby myśl swą oddać jasno, opisaném było dokładnie przez wielu krytyków. Jeżeli mimo wszystkich swych nadzwyczajnych zalet, pomimo już ustalonéj pozycyi artystycynéj Hunta, publiczność nigdy do tego obrazu sercem przylgnąć nie mogła, przypisać to należy nietyle niezwykłemu widowisku, jakie przed nami roztoczył malarz i które oddał w formie, do jakiéj nie wdrożyła nas jeszcze sztuka plastyczna, ile owemu mistycyzmowi, który się stał rdzeniem jego własnego ducha. Do niéj społeczność współczesna nie jest w stanie się wznieść. Pomiędzy Rossetti'm a Holmanem Huntem była pod względem religijnego usposobienia różnica niezaprzeczona. Pierwszy w Starym i Nowym Testamencie widział poprostu najwznioślejsze ze znanych mu poematów i czerpał w nich natchnienie tak jak w pokrewnym im Dancie; drugi widział w nich nie poemat, nie legendę, ale rzeczywistość, prawdę i tylko jedyną rzeczywistość, jedyną prawdę, po za sferą któréj żadnéj innéj nie było, nic nie istniało. Jak p. Forsyth zauważył, w pierwszym były ślady katolicyzmu—drugi jest purytaninem surowym, ścisłym, wyłącznym. Nie bacząc na głosy, co się za nim, a mniéj jeszcze na te, co się przeciwko niemu podnoszą, stoi Holman Hunt dzisiaj jeszcze na stanowisku, które zajął przed pół wiekiem. Moglibyśmy rozpisywać się długo albo o jego symbolicznych obrazach, jak kozioł ofiarny nad wybrzeżami morza Martwego, jak Zbudzone Sumienie, albo o innych, jak Claudio i Izabella. Możemy się tu jednak zatrzymać, mniemając, że charakterystyka Hunta rzuci na grupę prerafaelitów światło wystarczające, nawet taka, jaka tu podjęta została.

Jest jeszcze trzeci malarz, i malarz wielki, potężny, genialny, prawie doskonały, który zaliczany bywa zazwyczaj do grupy prerafaelitów. Jestto John Everett Millais. Całemu światu wiadomo, iż jest on dzisiaj najpierwszym z żyjących malarzy angielskich, że jest oddawna członkiem Królewskiéj Akademii sztuk pięknych, że prawdopodobnie zostanie jéj prezesem, że mianowany został baronetem, że zlały się na niego wszystkie honory i dostojeństwa. Gdy wysławianą bywa jego wielkość, a wysławianą słusznie, służy ona nie jednemu z krytyków za usprawiedliwienie win i ekscentryczności grupy prerafaelitów. Skoro taki pierwszorzędny artysta wykluł się z tego jajka, to nie musiało ono prawdopodobnie być tak zatrutém, jak się temu i owemu zdawało. Inni znowu, jeszcze mniéj mądrzy, urzędową wielkością dzisiejszego sir Johna Millais, biczują i młodego buntownika i rewolucyjnych jego kolegów.

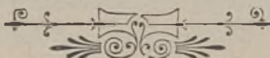
Biorąc rzeczy ściśle, Millais prerafaelitą był tylko wypadkowo, przelotnie i ani na srom ani chwałę z tego powodu nie zasługuje. Młodszy o lat kilka od Rossetti'ego i od Hunta, dziecko cudowne, rysujące nieposzlakowanie w piątym roku życia, otrzymawszy złote medale w dziesiątym, wykluczony z kursów Akademii z powodu zbytniéj młodości, był on jedną z tych wyjątkowych natur artystycznych, w których nie było skazy. Rzucił się z zapałem do sekty prerafaelitów, bo go nęcić musiała szczerość, zapał, prawda, cześć dla piękności, które tam wyznawano. Chociaż krótko w pośród nich przebywał, dużo im zawdzięcza i z ust jego słyszeliśmy wdzięczność dozgonną, jaką dla nich czuć będzie. Ale było w jego fizycznéj naturze męskiéj i dziarskiéj, w jego otoczeniu szlacheckiém i wyrafinowaném, w ułatwieniach i sympatyi, jakie wszędzie znajdywał, wszystko, co potrzeba do zrobienia optymisty, a nic, coby wiodło do ascetyzmu. Szekspir, Walter Scott, oto pisarze, ku którym lgnął od młodości; natura, oto świątynia, w któréj się modlił. Od prerafaelickich swych kolegów nauczył się w nią wpatrywać; oni tchnęli weń ów szeroki harmonijny realizm, który w mistrzowskiéj technice, od pierwszéj nieledwie chwili zdobytéj, się wypowiedział. Jego „Ofelia“ albo „Hugonota“, to może jedyne obrazy, dokonane w pełni powinowactwa duchowego z nimi, a z religijnych ów „Chrystus w warsztacie ciesielskim“, który swego czasu (1850 r.) tyle wrzawy wywołał. Ale potém węzły stają się luźniejszemi. Byłoby obelgą dla Millais'a, gdyby się powiedziało, że odwrócił się od prześladowanych kolegów dlatego, że Akademia powołała jego, 24-letniego młodzieńca, do swego grona. Prześladowań istotnych nie było, a tylko artystyczna opozycya. Rossetti i Hunt, jeżeli

o sprzedaż obrazów chodzi, mieli powodzenie wielkie i zarobili krocie. Większym, prawdopodobnie osobistym powodem oddalenia było, że żona Johna Ruskina, owego proroka, prawodawcy i protektora prerafaelitów, opuściła swego męża i oddała swą rękę p. Millais, którego do dziś dnia jest nieposzlakowaną żoną. Ale poprostu opuścił on koteryę dla całości, strumyk poboczny dla wielkiéj rzeki; gdy owoc dojrzeje, sam spada z drzewa. I Millais od lat trzydziestu, nie dbając o zakon żadnéj szkoły, maluje portrety, krajobrazy, sceny historyczne, rodzajowe, fantastyczne, i zawsze jest sam sobą, zawsze jest pełnym życia, werwy, czerstwości, siły. Tak ściśle jest ze współczesném malarstwem angielskiém spleciony, tak potężne indywidualne swe wycisnął na niém piętno, że nie będzie go można nigdy od niego odłączyć. Jeżeli dwóch najznakomitszych malarzy angielskich, Madox Browne, dopiéro co zmarły, i żyjący jeszcze Watts, nie byli prerafaelitami, choć pierwszy był ich mistrzem, a drugi bez przerwy ich promienną aureolą swego poetyckiego, głębokiege talentu ogarniał i krzepił, to i Millais także uboczne stanowisko względem nich zajmuje.

Pozostawałoby jeszcze wspomniéć o czterech innych towarzyszach bractwa. Ale odgrywali oni w niém tylko rolę drugorzędną. Tomasz Woolner, rzeźbiarz, posiadał talent, ale żadnego wielkiego dzieła nie stworzył. Porzuciwszy rzeźbiarstwo, aby szukać złota w kopalniach Australii, zerwał nić, łączącą go z rzeszą artystyczną. Brat Rossetti'ego, Wiliam Michał i Fryd. Stephens służyli bractwu jako krytycy, jako pisarze estestyczni i obaj do dziś dnia sprawie téj służą. Samo się przez się rozumié, że czynnéj roli nie grali; byli sympatyczném echem, ale nie samodzielnym głosem. Ostatni z nich nakoniec, Jakób Collinson, próbował w prawdzie swych sił w malarstwie, ale po kilku niefortunnych występach zaniechał go i opuścił szeregi, które liczebnie tylko swą osobistością był zasilił.

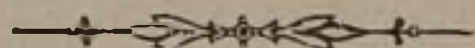
Oto historya prerafaelityzmu. Niedoceniany, albo przeceniany przez czas długi, zajmuje on w historyi estetycznego rozwoju Anglii miejsce wybitne. Historya to nieskończona jeszcze, bo jest, pomiędzy innymi, jeden przynajmniéj potężny malarz, który do téj grupy się przyłączył i z jéj plastycznemi ideałami zsolidaryzował. Mówimy o Sir Edwardzie Burne-Jones'ie. Zasługuje on jednak na oddzielne studyum, które zostawiamy sobie do sposobnéj chwili.

D-r M. E. Trepka.



SŁÓWKO W KWESTYI OBNIŻENIA SIĘ

CEN ZBOŻA.



Obecne obniżenie się cen zboża jest dla rolnictwa zjawiskiem tak groźném, że zaprząta sobą najpoważniejsze umysły. Piśmiennictwo zagraniczne żywo zajmuje się tym przedmiotem i posiada obfite w tym kierunku prace źródłowe. W szkicu niniejszym starałem się ująć w jedną całość niektóre z nich, a także zebrać cyfry statystyczne wytwórczości zbożowéj głównych naszych konkurentów. Ponieważ jednak dla hreczkosieja, zagrzebanego na wsi, nie łatwą jest rzeczą zebrać potrzebny materyał, z natury rzeczy bardzo obfity, w szkicu więc niniejszym czytelnik znajdzie nie jedną lukę, którą może kto zechce zapełnić. Jestto tém potrzebniejsze, że w tak groźném położeniu, w jakiém się obecnie znajdujemy, musimy przyłożyć wszelkich sił w celu jaknajdokładniejszego rozpoznania przyczyn, wywołujących obecne przesilenie; bo bez rozpoznania wroga nie może być mowy o zwycięźeniu go.

Rozpatrzmyż te przyczyny.

Dane statystyczne wykazują, że obecny spadek cen zboża na rynkach miarodajnych nie jest rzeczą nową. Następująca tablica najlepiéj nas o tém przekona:

Ceny pszenicy we Francyi:

a) ceny na targu w Grenette de Bourg:

		za hektolitr pszenicy
Okres zniżki i długiéj stagnacyi cen w XVIII wieku	1741 — 1745 . .	8 60 franków
	1746 — 1750 . .	13.90 "
	1751 — 1755 . .	10.30 "
	1756 — 1760 . .	12.90 "
	1761 — 1765 . .	9.80 "
	Przeciętna . .	11.10 franków
Okres nagłéj zwyżki w końcu XVIII wieku	1766 — 1770 . .	17.50 franków
	1771 — 1775 . .	16.50 "
	1776 — 1780 . .	14.90 "
	1780 — 1785 . .	15.50 "
	1786 — 1790 . .	17.10 "
	Przeciętna . .	16.30 franków
	1791 — 1795 . .	27.50 franków
	1796 — 1800 . .	20.80 "

b) ceny urzędowe dla całéj Francyi:

	1801 — 1805 . .	21.76 franków
	1806 — 1810 . .	18.14 "
	1811 — 1815 . .	24.08 "
	1816 — 1820 . .	25.33 "
	Przeciętna . .	22.93 franków
Pierwszy okres raptownego i stałego obniżenia się cen w XIX-ym wieku	1821 — 1825 . .	16.45 franków
	1826 — 1830 . .	20.25 "
	1831 — 1835 . .	18.21 "
	1836 — 1840 . .	19.86 "
	1841 — 1845 . .	19.61 "
	1846 — 1850 . .	19.87 "
	Przeciętna . .	19.04 franków
	1851 — 1855 . .	22.92 franków
	1856 — 1860 . .	21.76 "
	1861 — 1865 . .	20.31 "
	1866 — 1870 . .	23.19 "
	1871 — 1875 . .	25.37 "
	Przeciętna . .	22.71 franków
	1876 — 1880 . .	22.36 franków
	1881 — 1885 . .	19.48 "
	1886 — 1890 . .	18.28 "

Ponieważ jednak w rozmaitych czasach we Francyi nakładano na pszenicę cła wwozowe, podaną więc wyżéj tablicę musimy uzupełnić następującą:

a) Przeciętne ceny oficyalne pszenicy we Francyi w latach, kiedy cła jeszcze nie było lub je znoszono:

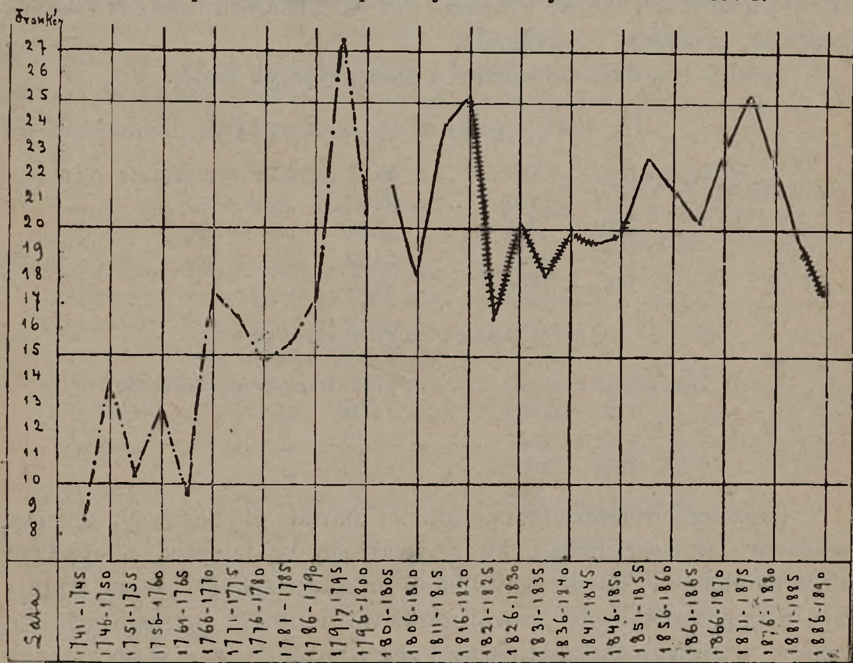
1801 — 1820 (20 lat) . . .	22,28 franków
1847 (1 rok)	29.01 „
1853 — 1858 (6 lat)	25.40 „
1861 — 1884 (24 lata) . . .	21.91 „
Przeciętna dla 51 lat . . .	22.60 franków

b) Przeciętne ceny oficyalne pszenicy we Francyi w latach, kiedy działała „*échelle mobile*", lub nakładano cło 3 i 5 franków:

1821 — 1846 } 1848 — 1852 } 31 lat	18.47 franków
1859 — 1860 (2 lata)	18.49 „
1885 — 1891 (7 lat)	18.26 „
Przeciętna dla 40 lat . . .	18.43 franków

Dane powyższe pozwalają nam ułożyć następującą tablicę graficzną:

Wahania się cen hektolitra pszenicy we Francyi od 1740 do 1890 r.



—.—.— Ceny na targu w Grenette de Bourg.
——— Ceny w latach kiedy cła na pszenicę nie było.
┼┼┼┼ Ceny w latach kiedy działała „*échelle mobile*", lub nakładano cło 3 i 5 fr.

Z przytoczonéj wyżéj tablicy widzimy, że w rozpatrywanym okresie pierwsze podwyższenie cen pszenicy we Francyi datuje się od drugiéj połowy przeszłego stulecia. Zjawisko to daje się zauważyć nietylko we Francyi, ale również w Anglii i Prusach, a prawdopodobnie i szerzéj. Jednocześnie w proporcyi analogicznéj wzrosły i ceny na główne wytwory gospodarcze, jak na mięso, mléko, masło, dróbʼ, zwierzęta pociągowe i t. d. Podwyżka cen na wytwory rolnicze odbiła się na cenie ziemi i na cenach dzierżawnych. Nadzwyczaj jednak charakterystycznym jest fakt, że ceny robocizny i pensye nie podwyższały się w téjże proporcyi. Dopiéro w r. 1790-ym, t. j. w chwili obniżania się cen na zboże, ceny robocizny zaczęły się raptownie podwyższać i trwało to aż do początków restauracyi.

Drugi raptowny okres zwyżki poczyna się mniéj więcéj od roku 1810 i trwa aż do r. 1819-go. Równocześnie wzrastają ceny zboża w Anglii i Prusach.

Od roku jednak 1819 zaczęto sygnalizować coraz większy wywóz zboża z Rosyi. Ceny na nie zaczęły spadać, czemu nie przeszkodziły ani wysokie cła, oddawna wprowadzone w Anglii, ani pierwszy raz ustanowione w r. 1820 we Francyi. Cła na zboże wprowadziły również Sardynia, Hiszpania i Portugalia.

Spadek cen daje się widziéć z następujących tablic:

1) Ceny pszenicy w Anglii.

W latach	1801 — 1810	. . .	36.41	franków za hektolitr
„	1811 — 1820	. . .	39.27	„ „
„	1821 — 1830	. . .	25.70	„ „
„	1831 — 1840	. . .	24.44	„ „
„	1841 — 1850	. . .	24.00	„ „

2) Ceny pszenicy w Prusach.

W latach	1816 — 1820	. . .	27.55	franków za hektolitr
„	1821 — 1830	. . .	17.25	„ „
„	1831 — 1840	. . .	15.12	„ „
„	1841 — 1850	. . .	21.00	„ „

Przesilenie rolnicze tém dotkliwiéj dawało się uczuwać, że ceny robocizny, zamiast spadać, utrzymywały się na miejscu, albo nawet lekko podnosiły. To téż ceny ziemi i dzierżaw spadły. Jedną z przyczyn tego przesilenia był rozwój rolnictwa w Rosyi; wzrosło zaś ono wskutek wielkiego zapotrzebowania zboża na Zachodzie w początkach bieżącego stulecia. Wojny wielkiéj rewolucyi i pierwszego cesarstwa były tak niszczące i niesprzyjające rolnictwu, że prawie cały Zachód musiał w znacznéj mierze posiłkować się zbożem wschodniéj

Europy. Po kongresie wiedeńskim rolnictwo na Zachodzie spotkało się z silném współzawodnictwem zboża wschodniego, co musiało się odbić na jego cenach.

Jedyny ratunek w owych czasach widziano w nakładaniu, lub też podwyższaniu ceł ochronnych. W tym też kierunku skierowała się agitacya. Doprowadziła ona rzeczywiście w r. 1832 do podwyższenia ceł, ale przewidywania rolników nie sprawdziły się: ceny spadały w dalszym ciągu. Z biegiem jednak czasu współzawodnictwo zboża wschodniego na rynkach zachodnich przestaje być strasznêm, a ceny zboża stopniowo wzrastają. Były co prawda wahania, bardzo nawet znaczne, były lata, w których ceny spadały prawie do poziomu dzisiejszego, ale lat takich mieliśmy w bieżącém stuleciu tylko 2, a mianowicie: rok 1851 i 1852. Lata 1834 i 1835 też były ciężkie, ale lepsze od tamtych. Od r. 1875 spotykamy się z stopniowym spadkiem cen zboża, a w r. 1894/5 mamy ceny najniższe, jakie były w bieżącém stuleciu.

Na zjawisko to, jak na każde zjawisko społeczne, złożyło się wiele przyczyn. Jedną z nich jednak, jak się zdaje, jest wszechświatowe współzawodnictwo na rynkach zbożowych, a głównie współzawodnictwo Stanów Zjednoczonych. Znany amerykański statystyk, Wood Davis, podaje tablicę przestrzeni pod głównemi roślinami kłosowemi i kartoflami na całym świecie (w akrach):

	w r. 1870	w r. 1880	w r. 1890	Przestrzeń powiększyła lub zmniejszyła się absolutnie	w odsetk.
Było pod pszenicą	153,362,000	177,310,000	181,474,000	+28,112,000	+11.8%
„ żytem	109,076,000	108,345,000	108,364,000	— 712,000	— 0.7
„ jęczmien.	45,386,000	43,480,000	44,650,000	— 736,000	— 1.6
„ owsem	78,700,000	90,903,000	104,888,000	+26,128,000	+33.3
„ kukurydzą	84,178,000	110,377,000	127,832,000	+43,654,000	+52.0
„ kartoflami	21,765,000	23,616,000	25,839,000	+ 4,074,000	+18.7
razem	492,467,000	554,031,000	593,048,000	+100,580,000	+20.4%

Jak widzimy, w dziesięcioleciu 1870—1880 przestrzeń zajęta pod uprawę głównych roślin wzrosła o 61,564,000 akrów, w następném zaś dziesięcioleciu tylko o 39,016,000 akrów. Z ogólnéj ilości wzrostu na Stany Zjednoczone przypada w pierwszym okresie 84.7%, a w drugim 77% wzrostu!

Co się tyczy uprawy pszenicy, to następująca tablica wykazuje nam przestrzeń zasiewów tego zboża w następujących krajach (w akrach):

	w r. 1870	w r. 1880	w r. 1890
w Stanach Zjednoczonych	18,922,591	37,986,717	36,087,184
w Rosyi	28,743,390	28,947,011	28,882,440
we Francyi	15,802,568	16,993,292	19,652,790
we Włoszech	11,550,918	10,951,340	10,886,000
w Węgrzech	4,986,019	5,955,731	7,351,000
w Niemczech	4,950,698	4,483,618	4,832,409
w Australii	1,187,134	2,753,629	3,877,748
w Austryi	2,436,494	2,455,355	2,876,000
w Anglii	3,773,663	3,065,895	2,483,595
w Kanadzie	1,646,781	2,342,355	2,450,000
w Szwecyi	985,844	1,086,741	1,095,954
w Holandyi	208.663	228,682	210.429
razem . .	95,264,763	117,250,366	120,685,549

A więc przestrzeń, zajęta pod pszenicę, powiększyła się w pomienionych tu krajach w r. 1870—1880 o 21,985,603 akry, a w roku 1880—1890 o 3,435,183 akry.

Ponieważ z przytoczonych wyżéj danych widzimy, że Stany Zjednoczone są w obecnéj chwili najsilniejszym naszym współzawodnikiem na rynku zbożowym, musimy więc najprzód poznać siły tego współzawodnika i zbadać jego siłę wytwórczą w obecnéj chwili i w najbliższéj przyszłości.

S t a n y Z j e d n o c z o n e. Powierzchnia tego kraju wynosi około 780,000,000 hektarów (za wyłączeniem Alaski). Stany Zjednoczone leżą pomiędzy 49^0 a 25^0 szerokości geograficznéj, a więc bardziéj na południe, niż Europa (71^0—36^0). Pomimo to klimat jest umiarkowany, zimy jednak są tam chłodniejsze, jak w Europie, a lata gorętsze. Wysokość kolumny opadów atmosferycznych zmniejsza się stopniowo ze wschodu na zachód i z południa na północ. Przy ujściu Missisipi wynosi ona 1,300 mm., w Saint-Louis — 1,000, w Milwaukee — 700, a u stóp gór Skalistych zaledwie 400 mm. Suchość powietrza zachodnich równin amerykańskich jest dla nich charakterystyczną. Dészcze tam rzadkie, mgły i rosy nieznane. Cyklony zdarzają się często. Przelatują one w kierunku z zachodu na wschód z szybkością 40 — 60 kilometrów na godzinę. Często sprawiają one straszne spustoszenia, szczególnie w zimie, kiedy towarzyszą im trąby śnieżne.

Klimat płaskowzgórza gór Skalistych jeszcze jest surowszy od klimatu porzecza Missisipi. Newada, Utah, Arizona, Nowy-Meksyk—to prawdziwe pustynie bez lasów, trawy, bez zwierząt. Wogóle przestrzeń około 300,000,000 hektarów posiada tak mało wilgoci, że uprawa jest tam w obecnych warunkach niemożliwa. Stany wschodnie posiadają

wilgoci dość, najwięcéj jednak położone nad zatoką Meksykańską. Florida i stany z nią sąsiadujące mają charakter tropikalny.

Sieć kolei żelaznych wynosiła w Stanach Zjednoczonych 1 stycznia 1891 r. około 263,000 kilometrów, t. j. przenosiła sieć kolei całéj Europy. Oprócz tego, rzeki służą tam jako doskonałe arterye komunikacyjne. Do r. 1860 panowała w Stanach Zjednoczonych gorączka w kierunku kopania kanałów. Wykopano tam do tego czasu do 6,000 kilometrów, następnie zaś oddano pierwszeństwo kolejom. Stare jednak kanały uzupełniano i poprawiano, stosując je do nowych potrzeb.

Prawie $^{1}/_{3}$ ogólnéj przestrzeni Stanów Zjedn. jest w ręku rolników, ale uprawa nie zajęła jeszcze całéj przestrzeni, będącéj w posiadaniu prywatném. Stosunek ziem uprawnych *(improved land)* do ogólnéj przestrzeni ferm wynosił w 1860 r. 40 : 100; w r. 1870 — 46.3 : 100; a w r. 1880 — 51 : 100. Statystyka urzędowa z r. 1891 podaje, że z ogólnéj przestrzeni Stanów Zjedn. 280,000,000 hektarów, a więc 37% ogólnéj przestrzeni jest zajęta przez rolników, z tego 140,000,000 hektarów znajduje się pod pługiem.

Ludność Stanów Zjedn. z 3,929,000 głów w r. 1790 wzrosła w r. 1880 do 50,150,000, a w r. 1890 do 62,600,000 głów. W okresie 1820 — 1890 roku Stany Zjedn. otrzymały 15.5 miliona wychodźców.

Do zoryentowania się w tamtejszych stosunkach wielkiéj dostarczają nam pomocy urzędowe spisy. Oto rezultat prac XI-go spisu, dokonanego w r. 1890-ym, a obok dla porównania wynik X-go spisu z r. 1880-go:

	w r. 1879/80	w r. 1889/90	W porównaniu z r. 1879
Ilość oddzielnych gospodarstw albo ferm . . .	4,008,907 jednostek	4,564,641 jednostek	+13.86%
Ogólna ich przestrzeń . .	556,081,835 akrów	623,218,619 akrów	+15.67%
Przestrzeń ziemi uprawnéj	284,771,042 „	357,616.755 „	+25.57%
Wartość ferm wraz z budynkami i ogrodzeniem .	10,197 mil. dolarów	13,279 mil. dolarów	+30.2%
Wartość maszyn i narzędzi rolniczych	406.5 „	494.25 „	+21.6%
Wartość żywego inwentarza	1,500.33 „	2,208.75 „	+47.2%
Wartość wytworów roln. .	2,212.25 „	2,460 „	+11.2%

Pod uprawą roślin kłosowych było w r. 1889 w całych Stanach Zjednoczonych 140,217,545 akrów. Dały one 3,518.8 miliona buszli ziarna, a mianowicie:

	akrów	buszli	% w roku 1879	% w roku 1889	rożnica
kukurydza	72,087,752	2,122.3 milionów	52.6	51.4	— 1.2
pszenica	33,579,514	468.4 „	29.9	23.9	— 6.0
owies	28,320,677	809.3 „	13.6	20.2	+ 6.6
jęczmień	3,220,834	78.3 „	1.7	2.3	+ 0.6
żyto	2,171,604	28.4 „	1.5	1.6	+ 0.1
gryka	837,164	12.1 „	0.7	0.6	— 0.1
razem	140,217,545	3,518.8 milionów	100.0	100.0	—

Przestrzeń zajęta pod kłosowe zwiększyła się od r. 1879-go o 21,585,766 akrów, t. j. 18.2% na korzyść 1889 r. Powiększenie się to, chociaż znaczne, nie odpowiada jednak powiększeniu się ludności, która w tym samym okresie wzrosła o 24.9%. W r. 1880 na głowę ludności wypadało 2.37 akra ziemi, zasianéj kłosowemi, a w r. 1890 tylko o 2.24 akra, t. j. o 0.13 akra mniéj!

Z przytoczonych wyżéj i poprzednich danych widzimy, że ilość ziemi, zajmowanéj w Stanach Zjedn. pod uprawę, stale wzrasta, chochociaż w ostatnich czasach nie tak nagle, jak w latach poprzednich. Zmniejszenie się tego wzrostu daje się zauważyć już od r. 1885-go, a w ostatnich latach tylko uprawa owsa się zwiększyła na niekorzyść pszenicy i kukurydzy. Widocznie jednak swobodnych ziem, zdatnych do uprawy, musi być w Stanach Zjedn. już mało, kiedy ceny ziemi, pomimo spadku cen na zboże, wzrosły w ostatnich czasach o 20 — 25%, a partye przesiedleńców czekają czasami po kilka miesięcy, zanim otrzymają swoje nadziały. W r. 1887-ym rząd sprzedał 26,000,000 akrów za 12,289,000 dolarów (61.5 miliona franków). Od r. 1887 — 1891 jeszcze sprzedano 47 mil. akrów. Co prawda, posiada jeszcze rząd 232 mil. hektarów, ale trudno określić, jaka część téj przestrzeni zdatna jest dla kolonizacyi. Przestrzeń ta składa się z rezerw indyjskich, rezerw publicznych, z pustyń, gór i olbrzymich, nagich, nieprodukcyjnych płaskowzgórzy.

Za dowód braku zdatnych pod uprawę przestrzeni może służyć także fakt tworzenia się towarzystw w celu ulepszania warunków fizycznych pewnych okolic kraju. Zajęto się osuszaniem przestrzeni nizinnych i bagnistych, chociaż bardzo urodzajnych, ale dotychczas zaniedbanych z powodu prac, których wymagały. Najwięcéj jednak kapitałów rzuciło ją ku nawodnianiu w okolicach ciepłych, ale suchych. Prace te głównie zostały podjęte w stanach: Kalifornia, Kolorado, Nowy-Meksyk, Wyoming, Utah, Arizona, Texas, Idaho i Montana.

Oto przestrzeń, pokryta kanałami w ostatnich czasach:

	Ogólna przestrzeń	Z tego pod uprawą
Do r. 1889	12,765,304 akry	5,000,000 akrów
„ 1890	16,367,794 „	7,577,600 „
„ 1891	18,286,207 „	8,001.526 „

Oprócz tego, wywiercono 13,695 studni artezyjskich, z których każda zrasza przeciętnie 20 akrów (8 hektarów). Tworzy to przestrzeń 274,000 akrów.

Komitet „*Public Land Commission*" przypuszcza, że z pomocą téj ilości wody, jaka obecnie jest do rozporządzenia, da się nawodnić około 30 mil. akrów, ale prace takie wymagają dużo czasu i olbrzymich nakładów. Zresztą, rezultat tych prac nie zawsze daje odpowiednie rezultaty. W latach np. 1887 — 1890 widzieliśmy, że wiele z tych kanałów z powodu suszy wyschło, a woda rzek i rzeczek zaledwie wystarczała na nawodnienie tylko przestrzeni, znajdujących się w górnych częściach tych rzek. Podobne zjawisko miało miejsce wzdłuż koryta rzek: Arkanzas, Rio-Grande, Cimorone, etc. Egzystuje, co prawda, projekt użycia w celach nawodnienia na wielką skalę wód zaskórnych, ale próby, dokonane w tym kierunku, pomimo olbrzymich nakładów, dały wynik ujemny.

Przystąpmy teraz do kwestyi żyzności tamtejszych pól.

W r. 1893-im mówiono dużo o wyniszczeniu gleby w Stanach Zjedn. Powodem do tego był nieurodzaj 1893 r. O ile się jednak zdaje, nieurodzaj ten był następstwem suchego lata, co stwierdzają dane meteorologiczne. Nie ulega wątpliwości, że wiele pól w stanach wschodnich, wskutek rabunkowego gospodarstwa lat przeszłych, obecnie już kosztów produkcyi nie opłaca. Do niedawnych jeszcze czasów nawożenie w Stanach Zjedn. nie było stosowane. W ostatnich jednak czasach wzięto się tam do prawidłowszéj gospodarki, wprowadzono czarny ugor, prawidłowe płodozmiany i uprawę koniczyny. Liczne stacye doświadczalne pracują energicznie w celu podniesienia uprawy rolnéj i nie bez korzyści. Głównym jednak naszym współzawodnikiem są stany środkowe, a w części zachodnie. Bogate ziemie tych stanów, powstałe ze zwietrzenia skał formacyi kredowéj, mają znaczną głębokość warstwy ornéj o marglowatém podłożu. Ziemie te z natury swéj mają taką masę pożywnych pierwiastków, że nie prędko zjałowieją. Obecnie orzą tam na 5—7 cali, ale dość orkę pogłębić, żeby rolę wzbogacić. Jedno co może grozić tym ziemiom, to zubożenie w potas, na co mamy już pewne wskazówki.

Wytwórczość pszenicy, ziarna głównie nas obchodzącego, była podług prof. Woltmann'a, w Stanach Zjedn. następująca:

W 1850 r. zebrano	100.5 mil. buszli	W 1886 r. zebrano	457,1 mil. buszli
1860 „ „	173,0 „ „	1887 „ „	456,3 „ „
1870 „ „	282.0 „ „	1888 „ „	415.9 „ „
1880 „ „	459.5 „ „	1889 „ „	490.6 „ „(?)
1881 „ „	383.3 „ „	1890 „ „	399.3 „ „
1882 „ „	504.2 „ „	1891 „ „	611.8 „ „
1883 „ „	421.1 „ „	1892 „ „	519.5 „ „
1884 „ „	512.8 „ „	1893 „ „	396.1 „ „
1885 „ „	357.1 „ „		

Jak widzimy, rok 1892 dał bardzo dobry urodzaj, a 1891 — nadzwyczajny.

Rozpowszechniło się u nas przekonanie, że wytwórczość pszenicy w Stanach Zjedn. kosztuje niesłychanie mało, bo ziemia bardzo tam tania, o więc renta niska, a robocizna niewiele kosztuje, bo wszystko robi się maszynami. Mniemanie to na nasze szczęście nie jest słuszne. Rzeczywiście, ziemie, sprzedawane przez rząd, niewiele kosztują. Zwróćmy jednak uwagę na to, że ziemie te są w stanie dzikim, bez budowli i t. d. i że co lepsze grunta już są dawno wykupione. obecnie wyprzedają się ziemie najgorsze. Ziemie uprawne znacznie są droższe. Cena ta, rzecz naturalna, stosownie do warunków miejscowych, musi się wahać bardzo. Przeciętną jednak ceną akra ziemi dla całego państwa w 1880 r. było 18.33 dolara, a w 1890 r. 21.30 dolara (około 42 rs. 75 kop. w złocie za morg). Jeżeli do tego dodamy, że w r. 1880 ogólna przestrzeń ziemi w fermach miała się do ziemi uprawnéj, jak 100 : 51, a w 1890 jak 109 : 57 (a według innych źródeł—100 : 50), i że ziemie, sprzedawane przez rząd, prawie nic nie kosztują, to cena ziemi uprawnéj wzrośnie znakomicie. Obecnie ceny ziemi jeszcze poszły w górę.

Co się tyczy maszyn i narzędzi, to rolnik amerykański nie ma ich do zbytku, bo wartość ich wynosiła w 1890 r. zaledwie 1.35 dolara na akr.

Mylném jest także rozpowszechnione u nas przekonanie, że w Stanach Zjedn. każdy fermer ma swój kawałek ziemi. Na ogólną cyfrę 4.5 miliona ferm w 1890 r. 1.5 miliona, czyli 33.33% było wydzierżawionych.

Żałuję mocno, że nie mogę w téj chwili odszukać urzędowych danych, tyczących się kosztów wytwórczości zboża w Stanach Zjedn. Prof. Woltmann podaje dla północnéj Dakoty, głównego stanu pszenicznego, cyfrę 45 centów amerykańskich, jako koszt wytworzenia 1 bu-

szla pszenicy przy średnim urodzaju. Nie wlicza on jednak w tę cyfrę ryzyka i kosztów utrzymania fermera. O ile mię pamięć nie myli, to dane urzędowe wykazują znacznie wyższą cyfrę.

Kiedy więc za buszel pszenicy brano około dolara, jak było w ósmym dziesiątku lat bież. wieku, a nawet 1 dolar 11 centów, jak było w 1879 r., albo wreszcie 95 centów (w 1880 r.), to uprawa pszenicy sowicie się opłacała. Kiedy jednak cena pszenicy spadła w 1882 r. do 88 centów za buszel, to w następnym już roku przestrzeń zasiewów pszenicy się zmniejszyła. W 1884 r. nastąpiło ponowne zniżenie się cen pszenicy do 65 centów za buszel i w następnym roku przestrzeń pod zasiewami pszenicy zmniejszyła się do 34,189,246 akrów. W latach: 1886, 1887 i 1888 cena pszenicy podniosła się o 3 centy na buszlu, a w 1889 r. podniosła się jeszcze o 1 cent, w następnym więc zaraz roku przestrzeń pod pszenicą wzrosła do 36,087,184 akrów. Przestrzeń ta jednak prawie o 2,000,000 akrów mniejsza, niż w 1880 r., a jeżeli wziąć na uwagę, że ludność Stanów Zjedn. wzrosła w tym okresie (1880—1890 r.) o 12.25 milionów, to zmniejszenie się téj przestrzeni wyda się nam jeszcze poważniejszém.

Faktem jest stwierdzonym przez statystykę, że w r. 1884 i następnych, wskutek niskich cen na pszenicę, nastąpiło wiele bankructw dużych przedsiębiorstw rolniczych, a drobne z téjże przyczyny musiały uprawę pszenicy zmniejszyć, niektóre zaś nawet zaniechać. Kiedy więc uprawa pszenicy nie opłacała się przy cenie 65—68 centów za buszel, to cóż mówić o stanie rolnictwa w Stanach Zjedn. przy cenach obecnych?

W raporcie urzędowym podano średnią cenę pszenicy w 1893 r. dla całego państwa 53.8 centów za buszel, ale w 7 stanach cena była niższa od 50 centów, a mianowicie: w Yowie 49 c., w Missuri 48 c., w Waszyngtonie 48 c., w południowéj Dakocie 44 c., w północnéj Dakocie 43 c., w Kanzasie 42 c., w Nebrasce 40 c. [1]. Wobec więc nieurodzaju w 1893 r. wielu fermerów wpadło w długi, a r. 1894 mógł tylko pogorszyć ich stan.

A kredyt nie jest zbyt tanim w Stanach Zjedn. Banki ziemskie pobiérają w Stanach zachodnich od pożyczek na hypotekę ferm 7—8%, a na ziemie nowo zajęte nawet 10%. Wszelkie starania, podjęte

---

[1]) Musimy tu jeszcze dodać, że sprawozdania Departamentu rolnictwa St. Z. wykazują znaczną różnicę pomiędzy cenami, otrzymywanemi przez rolników, a cenami targowemi. Różnica ta wywołaną jest przez znaczną ilość pośredników (*midlemen*), którzy naznaczają rolnikom ceny często dowolne. Olbrzymi syndykat rolniczy „Farmers' alliance“ pomiędzy swemi celami ma za zadanie walkę z pośrednictwem i zbliżenie producentów z konsumentami.

w celu zmniejszenia stopy procentowéj, dały nietylko rezultat ujemny, ale nawet pogorszyły stan rolników.

Jak widzimy, stosunki rolne w Stanach Zjednoczonych nie są świetne. To téż nie od dziś daje się zauważyć zwrot w gospodarstwach Stanów Zjedn. z kierunku zbożowego ku hodowli zwierząt. Spisy podają nam następujące cyfry:

W roku	Koni roboczych	Mułów i osłów	Krów mlecznych	Innego bydła rogatego	Owiec	Świń
1870	7,145,000	1,125,000	8,935,000	14,885,000	28,487,000	25,135,000
1880	10,357,000	1,813,000	12,443,000	23,482,000	35,192,000	47,682,000
1885	12,078,000	?	45,511,000		48,322,000	46,092,000
1890	14,057,000	?	52,895,000		43,431,000	50,625,000
1892	15,498,000	2,315,000	16,416,000	37,651,000	44,938,000	52,398,000

Cyfry te przekonywują nas o ogromnym wzroście hodowli w Stanach Zjedn. Wzrost ten daje się zauważyć nietylko w stanach zachodnich, gdzie olbrzymie preryе ułatwiają hodowlę, ale widzimy go również w środkowych stanach rolniczych. To téż już teraz zaczynają się obawiać, że wkrótce Ameryka zaleje Europę mięsem i nabiałem, jak to zrobiła już z pszenicą. Faktem jest, że hodowla zwierząt, a głównie nierogacizna i przetwory nabiału, dzielnie pomagają Amerykanom do przetrzymania obecnego przesilenia rolnego.

Przytoczone fakta przekonywują, że warunki ekonomiczne stopniowo ograniczają możność konkurencyi Stanów Zjedn. na rynkach zbożowych Europy. Davis i Sheldon przypuszczają, że w obecnéj chwili współzawodnictwo Stanów Zjedn. doszło do szczytu. Jeżeli weźmiemy na uwagę wzrost ludności w tym kraju, przypuszczenie to wyda się nam bardzo prawdopodobném. Obliczają mianowicie, że obecnie Stany Zjedn., przy ludności około 65,000,000, spotrzebowują około 370,000,000 buszli pszenicy (104,062,500 korcy). Jeżeli ludność tam będzie wzrastać w tym samym stosunku, co dotychczas, to za lat 10 będzie ona spotrzebowywać 460 mil., a za lat 20 — 575 milionów buszli. Gdyby przewidywania te się sprawdziły, to w krótkim stosunkowo czasie musielibyśmy się obawiać konkurencyi Stanów Zjedn. tylko w latach wyjątkowego urodzaju. W latach zaś nieurodzaju musianoby się posiłkować obcą pszenicą. W przewidywaniu tego faktu ceny ziemi w sąsiednim Meksyku idą już w górę.

Co prawda, przewidywania te mogą się nie sprawdzić, bo chociaż, jakeśmy to widzieli, Stany Zjedn. swobodnéj ziemi, zdatnéj pod

uprawę, posiadają już mało, ale pozostają Amerykanom ulepszenia w technice gospodarczéj, nad czém poważnie już tam myślą.

Indye angielskie. Drugim z rzędu co do siły współzawodnikiem zamorskim są Indye angielskie. Mniéj więcéj dopiéro od lat 20 słyszymy o uprawie pszenicy w tym kraju. Wobec jednak kolosalnych postępów, jakie kraj ten robi w ostatnich czasach, musimy się obawiać jego współzawodnictwa, które z czasem może zająć miejsce północno-amerykańskiego.

Dotychczas Indye, posiadające około 250 mil. mieszkańców, peryodycznie cierpiały głód z powodu częstych posuch, trapiących Indye od najdawniejszych czasów. Najstarożytniejsza kronika sanskrycka, Paorana, powiada, że na żadnym z trzech światów: w niebie, na ziemi i w piekle, nie doznano nic dobrego bez wody. To téż każdy człowiek rozumny i wykształcony powinien się starać, żeby budowano zbiorniki wody, kopano stawy, studnie i t. p.

Anglia, zmuszona wstrząśnieniami, wywołanemi przez głody, przejęła się zasadami Paorany i stała się „rozumnym i wykształconym człowiekiem". Statystyka urzędowa wykazuje nam w 1889—1890 r. następujący w Indostanie obszar pól nawodnionych:

Kanałami państwowemi	3,683,642	hektary
„ prywatnemi	437,088	„
Zbiornikami	2,160,807	„
Studniami	4,035,895	„
Z pomocą innych źródeł	901.840	„
Ogółem	11,219.272	hektary

Oprócz tego Bengal posiada około 405,000 hektarów nawodnionych.

Ponieważ woda, używana do nawadniania, często posiada masę mułu, działanie więc jéj jest nadzwyczaj użyzniające. Kanały, przeprowadzone w Indyach od r. 1877, przechodzą co do swéj rozległości wszystkie znane prace w tym kierunku, nawet włoskie. Najnowsze kanały są zaopatrzone w śluzy w celu umożliwienia żeglugi i są w stanie unieść statki parowe o 300—400 tonnach. O długości tych kanałów może dać pojęcie fakt, że z Kurrachee, położonego na zachodzie, można płynąć na wschód do Suddye, t. j. na odległość 4,000 kilometrów, a na południe do Tanjore, t. j. na odległość 5,000 kilom. Oprócz tego rozgałęzienia są nadzwyczaj liczne. Dość powiedzieć, że na cele nawadniania rząd wydał w 1868—1878 r. 261 mil. franków. Oprócz tego rząd nie zapominał o kolejach żelaznych. W r. 1870 sieć kolei wynosiła 7,683 kilometry; w 1880 r. podniosła się ona do

15,000, a w r. 1890 doszła do 24,000 kilom. Obliczają, że Indye, oprócz Bengalu, posiadają około 169,000,000 hekt. ziemi, zdatnéj pod uprawę, z tego zajęto dotychczas tylko 60,360,000 hekt.; 5,569,000 jednak hekt. daje więcéj jak jeden zbiór rocznie.

Dla całości obrazu dołączam tu dane, tyczące się liczby zwierząt domowych i głównych narzędzi rolniczych.

Krów i wołów	49.635,590	Owiec i kóz	28,452,162
Bawołów	13,507,743	Wozów	2.099,032
Koni	947,492	Pługów	10,885,381
Osłów i mułów	969,468	Statków	121,843

Z przytoczonych tu danych możemy wywnioskować, że w stosunku do olbrzymiéj przestrzeni kraju uprawa rolna, bardzo dotychczas ścieśniona, i może jeszcze długie lata się rozwijać. Z drugiéj jednak strony widzimy, że, sądząc z ilości zwierząt domowych, uprawa zajętych pól bardzo jest intensywna. W rzeczywistości charakter rolnictwa w Indyach bardzo przypomina uprawę chińską, t. j. że uprawa ogrodowa przeważa. Wpływa na to gęstość ludności w zajętych pod uprawę miejscach i brak stosunkowy komunikacyi. Warunki fizyczne roli nie sprzyjają rolnictwu w Indyach. Dotychczas olbrzymia część kraju albo zanadto wilgotna i potrzebuje osuszenia, albo zanadto sucha (a to trafia się częściéj) i potrzebuje nawodnienia. Jak widzieliśmy, rząd miejscowy krząta się na tém polu usilnie. To téż z czasem możemy oczekiwać tam ogromnego rozwoju rolnictwa i co zatém idzie większego napływu zboża indyjskiego na rynki europejskie. Zanim to jednak nastąpi, przypatrzmy się tamtejszym stosunkom rolnym w chwili obecnéj.

Z ogólnéj przestrzeni 25,000,000 hekt., które według M. Sagnier'a, mogłyby być zajęte w obecnym czasie pod kłosowe, mniéj jak $^1/_3$ część zajęta była w 1889—1890 r. pod uprawę pszenicy, a mianowicie:

W Madras	7,600	hekt.
Bombay i Sind	925,000	„
Nord-Ouest	1,348,000	„
Audh	543,000	„
Pendżab	2,575,000	„
prowincyach środkowych	1,638,000	„
górnéj Birmanii	6,400	„
Berar	332,000	„
Ajmere, Merwara i Pargana	4,300	„
dolnéj Birmanii, Assam, Coorg	0.000	„
Ogółem	7,378,700	hekt.

Ponieważ pod pszenicą w 1886 r. było 7,617,000 hekt., więc przestrzeń, zajęta pod uprawę tego zboża, zmniejszyła się o 360,000 hekt. Wobec jednak ogromnych z roku na rok wahań się przestrzeni zajętéj pod pszenicę, trudno wyciągać z tego wnioski stanowcze.

Wydajność pól waha się stosownie do roku, gatunku ziemi, lepszego lub gorszego nawodnienia i stosownie do prowincyi. Najurodzajniejsze ziemie posiada Pendżab i Audh. Pierwsza z tych prowincyi miéwa sprzętu do 18 hektolitrów z hektara, a druga do 20 hektol. Najniższe urodzaje bywają w Bombay i Berar, gdzie spadają one do 5 hektol. z hektara. Za przeciętny jednak urodzaj dla całago kraju uważają 11.5 hektol.

Robocizna w Indyach kosztuje nadzwyczaj mało. Dzień roboczy męski kosztuje dziennie 0.25—0.30 franka.

Trzy porty skupiają wywóz indyjski: Bombaj, przez który przechodzi około 1/2 wywozu, Kurrachee i Calcutta. Wywóz pszenicy z Indyi był następujący:

W 1881—1882 r.	9,931,000 kwintalów	W 1887—1888 r.	6,769,000 kwintalów
1882—1883 „	7,072,000 „	1888—1889 „	8,805,000 „
1883—1884 „	10,478,000 „	1889—1890 „	6,899,000 „
1884—1885 „	7,915,000 „	1890—1891 „	7,160,000 „
1885—1886 „	10,530,000 „	1891—1892 „	15,151,000 „
1886—1887 „	11,131,000 „		

Najbardziéj zmniejszył się wywóz z portu Kurrachee w Sind przy ujściach Indu. Z 6,241,000 kwintalów w r. 1885—1886 spadł on w następnym roku na 2,613,000, a w 1887—1888 r. na 660,758 kwint. Ponieważ Kurrachee jest głównym portem Pendżabu, jednéj z najbogatszych co do gleby krain Indyi, to tak znaczne wahania się w wywozie dowodzą, jak uprawa pszenicy jest tam jeszcze zawodna. Wahania się te zależne są nietylko od warunków atmosferycznych, ale i od przestrzeni, zajętéj pod pszenicę. Jedną z przyczyn, zniechęcających tamtejszego robotnika do uprawy pszenicy, jest trudność zbytu tego towaru. Trudność ta zależna jest od miejscowych warunków handlowych i rolnych. Miejscowi rolnicy, chcąc się zabezpieczyć od niestałości pogody, zwykle wsiewają w pszenicę proso, jęczmień i t. p. z tém wyrachowaniem, że jeżeli jedno przepadnie, to drugie może urodzić. Ponieważ siewy te tak są obliczone, że w jednym czasie rośliny dojrzewają, więc zbiéra się właściwie nie pszenicę, lecz mieszaninę rozmaitych zbóż, które często trudno nawet rozdzielić. Ponieważ oprócz tego młocka odbywa się na miejscu w polu, najczęściéj za pomocą trato-

wania bydłem, otrzymany więc produkt zmieszany bywa z piaskiem, ziemią, a nawet z odchodami zwierząt. Produkt taki sprzedaje się drobnym handlarzom, którzy, jeżeli kupione zboże wyda się im zanadto czystém, naumyślnie go zanieczyszczają w celu powiększenia wagi. Pszenica taka zanim dojdzie do portu, przechodzi przez kilka rąk. Kupcy portowi sami zboża nie oczyszczają, lecz od oka strącają pewien procent na oczyszczenie i w tym samym stanie, w jakim je kupili, wysyłają na rynki europejskie. To też zboże takie mało ma nabywców, a ci, co je kupują, strącają 5—7% na oczyszczenie.

Ponieważ kwestya wywozu pszenicy z Indyi ma dla miejscowego rządu pierwszorzędne znaczenie, bo w razie powiększenia się wytwórczości powiększają się zarobki kolei państwowych, a oprócz tego wzrost wytwórczości pozwoliłby na nałożenie większych podatków, a zabezpieczenie materyalne zmniejsza obawę tak częstych w Indyach rewolucyi, rząd miejscowy usilnie się stara o wynalezienie rynków zbytu i ulepszenie warunków handlowych. Prace te jednak nie dały dotychczas rezultatu. Rokowania, prowadzone z młynarzami angielskimi, dały rezultat ujemny, bo z liczby 732 młynarzy, z którymi rokowano, 348 dało zupełnie odmowną odpowiédź. Okazało się, że zaledwie 48 młynarzy ma odpowiednie maszyny i przyrządy do czyszczenia zboża na taką skalę, że mogą korzystać z pszenicy indyjskiéj. Pszenica ta ma tę jeszcze wadę, że wskutek zanieczyszczenia odchodami wołów ułatwia rozmnażanie się owadów. Bywały wypadki, że niszczyły one do 11% ziarna. Dla uniknięcia tego, pszenica indyjska musi być natychmiast spożywana, co nie zawsze jest dogodne, ani nawet możliwe. Oprócz tego odchody te wzbudzają obawę przenoszenia chorób zaraźliwych, tak częstych u bydła indyjskiego.

Wymienione tu warunki nie pozwalają obecnie rozwinąć się rolnictwu indyjskiemu. Co prawda, tworzą projekty budowy w głównych portach tamtejszych olbrzymich elewatorów, zaopatrzonych w odpowiednie przyrządy do czyszczenia zboża, ale sam ten środek nie jest w stanie usunąć złego, bo jest ono nie jedno. Ulepszenia w tym kierunku mogą iść tylko powoli i stopniowo. Że to jednak z czasem nastąpi, za to nam ręczy znana energia Anglików i zaangażowanie ogromnych kapitałów, wyłożonych na ulepszenia.

Australia. O rolnictwie australskiém posłyszeliśmy dopiéro w ostatniéj ćwierci bieżącego stulecia. W ciągu jednak ostatnich lat zrobiono tam stosunkowo tak znaczne postępy, że pominąć ich milczeniem nie można.

Australia z Tasmanią i Nową Zelandyą liczy do 8,180,000 kilometrów □ z 3.5 miliona mieszkańców. Z zestawienia tych cyfr widzimy, że jestto dopiéro kraj przyszłości. Dotychczas zaledwie 40 milionów hektarów, t. j. około 6—7% ogólnéj przestrzeni Australii znajduje się w rękach prywatnych. Z liczby téj jednak zaledwie 8% zajęto pod uprawę. Przestrzeń, wynajęta pod pastwiska, znacznie jest większa, ale ziemie te zajęte są czasowo i mogą być sprzedane kolonistom, gdyby się ci znaleźli. Wogóle rząd miejscowy stara się tworzyć własność ziemską drobną, nie zaś większą.

Dotychczas pasterstwo, a w niem chów owiec przeważa w Australii. W stanie Victoria, najruchliwszym i najbogatszym, pastwiska są podzielone na kawałki, mogące wyżywić 1,000—4,000 owiec, albo 150—500 sztuk bydła. Kawałki te są wydzierżawiane na lat 14 po 1 fr. 25 c. za owcę i 6.25 fr. za sztukę bydła. Na owce obliczają 4 hektary.

Ziemie, zdatne pod uprawę lub łąki, są podzielone na kawałki, które nie przewyższają 400 hekt. Działy te są wydzierżawiane na lat 14 po cenie 0.20—0.40 fr. za akr. Po wyjściu dzierżawy kolonista ma prawo otrzymać od rządu wynagrodzenie za zrobione wkłady. Wynagrodzenie to jednak nie może przewyższać 30 fr. za hektar. W czasie trwania dzierżawy kolonista nie ma prawa sam sprzedawać swoich produktów. Ma on jednak prawo wybrać z całego działu 14 hekt. i nabyć na własność. Tytuł własności otrzymuje on po wypłaceniu w przeciągu 6 lat po 1.25 fr. za akr., a po tym czasie wolno mu jednorazowo zapłacić 17.50 fr. za akr, lub nadal płacić rocznie 1.25 fr. aż do summy 2.5 fr. za akr. System ten zaprowadzono dlatego, żeby ziemie dostawały się w posiadanie rolników z zawodu, żeby nie stwarzać wielkich posiadłości ziemskich i żeby uniemożliwić spekulacyę ziemią.

Pierwszą koléj żelazną zbudowano z Sydney do Paramatta 1855 r. W r. 1870 sieć kolei wynosiła 1,528 kilometrów, w 1880 r. — 7,803, a w d. 1 stycznia 1889 r. sieć kolei wynosiła już 16,790 kilom. Roboty te kosztowały przeszło 2.5 miliarda fr.

Dotychczas nawodniono w okolicach rzeki Murray około 20,000 hektarów, ale prace te prawdopodobnie będą rozszerzone.

Tablica następująca wykaże nam najlepiéj rozwój rolnictwa i pasterstwa w Australii:

Lata	Pszenica Przestrzeń w 1000 hektarów	Pszenica Zbiór w 1000 hektolitrów	Inne zboża Przestrzeń w 1000 hektarów	Inne zboża Zbiór w 1000 hektolitrów	Konie w 1000 sztuk	Bydło w 1000 sztuk	Owce w 1000 sztuk	Świnie w 1000 sztuk
1856	—	1,650	—	—	400	3,146	17,124	—
1871	—	5,020	—	—	782	4,713	49,773	737
1884	1,539	13,620	209	9,465 (?)	1,279	8,273	—	940
1888	—	—	—	—	1486	9,107	96,121	1,072

Wywóz wełny, który wynosił w 1856 r. 26,000 ton (po 1,000 kilogr.), przeniósł w 1884 roku 223,000 ton.

Następująca tablica tyczy się 1888 roku i uzupełnia poprzednią. Cyfry, oznaczone znakiem (?) nie są urzędowe.

Stany	Pszenicy hektolitrów	Koni	Bydła	Owiec	Świń
New South Wales	508,000	411,368	1,622,907	46,503,469	248,583
Victoria	4,655,000 (?)	328,115	1,341,177	10,805,682	242,275
South Australia	6,000,000 (?)	168,420	389,726	6,696,406	163,807
Western Australia	113,000	41,390	95,822	2.112,392	25,083
Queens land	63,700 (?)	324,326	4,654,932	13,444,005	68,994
Tasmania	286,800	29,238	142,019	1,430,065	43,227
New-Zealand	3,069.605	187,382	853,358	15,122,133	277,901
Fiji Islands	—	684	6,754	6,996	1,903

Największym wrogiem rolnictwa i pasterstwa w Australii są susze. Dziesiątkują one stada, a plony zboża doprowadzają czasem do *minimum*. To też prawidłowe rolnictwo stanie się możliwém dopiéro w przyszłości. Wyjątek pod tym względem stanowi Nowa Zelandya, gdzie umiarkowany klimat i ziemia powstała ze zwietrzenia skał wulkanicznego pochodzenia, bardzo sprzyjają rolnictwu.

O wywozie zboża z Australii trudno powiedzieć coś stanowczego, bo waha się on bardzo. Obliczają jednak, że przeciętnie może Australia wywozić około 3,270,000 hektolitrów.

Rzplta Argentyńska. Z poważniejszych naszych współzawodników pozaeuropejskich pozostała jeszcze do rozpatrzenia Argentyna.

Powiérzchnia tego państwa wynosi około 290 mil. hekt., ludność zaś na niéj wynosi zaledwie około 4,000,000 głów. Nadmienić tu jednak musimy, że sąsiednie Paraguay i Uraguay mają warunki bardzo zbliżone do argentyńskich, mogą więc również brać udział w koncercie współzawodniczym.

Siéć kolei wynosiła w Argentynie 1 stycznia 1889 r. 8,252 kilom., a 4,546 kilom. w budowie.

Rolnictwo właściwie rozpoczęło się tam dopiéro około 1870 r., a w r. 1889 już następująca przestrzeń była zajęta pod uprawę:

Pod kukurydzą	832,601 hektarów	Pod winnicami	26,931 hektarów
„ pszenicą	824,099 „	„ trzciną cukrową	21,053 „
„ lucerną	379,816 „	„ innemi roślinami	158,161 „
„ lnem	117,237 „		
		Razem	2,359,948 hektarów

a zatém mniéj, niż 1% ogólnéj przestrzeni był zajęty pod uprawę.

Rozwój rolnictwa w Argentynie wykazuje się z następujących cyfr:

Było zajęte pod uprawę:		
W roku 1854		154.500 hektarów
„ 1864		208,350 „
„ 1874		341,380 „
„ 1889		2.359.958 „
„ 1891	około	3,000,000 „

Wywieziono z Argentyny:

		w 1878 r.	w 1888 r.	w 1890 r.
Pszenicy		2,547 ton	237,866 ton	395,000 ton
Mąki		2,920 „	5,401 „	—
Kukurydzy		17,064 „	361,844 „	707,000 „
Lnu		104 „	81,202 „	30,000 „
Lucerny		8,417 „	12,375 „	19,000 „
Wełny		81,894 „	131,743 „	118,000 „
Skór owczych		—	28,055 „	27,000 „
„ bydlęcych		—	3,670,000 sztuk	4,560,000 sztuk
Mięsa		—	44,000 ton	63,000 ton
Łoju		—	14,000 „	18,000 „
Żywych zwierząt	bydła	—	94,700 sztuk	150,000 sztuk
	owiec	—	29,400 „	174,700 „

Obliczano, że w r. 1889 Argentyna posiadała następujące ilości zwierząt domowych: bydła 21,963,930, owiec 66,701,007, koni 4,262,917 sztuk.

Ponieważ jednak statystykę w Argentynie zaprowadzono niedawno, cyfry więc powyższe trzeba przyjmować z zastrzeżeniem. Trzeba jednak przyznać, że dane, zbiérane przez konsulów drogą nieurzędową, niewiele się różnią do powyższych.

Z zestawienia cyfr powyższych widzimy, że dotychczas w Argentynie przeważa pasterstwo. Kraj ten posiada olbrzymie pastwiska.

La Pampa pokryta jest twardemi i wysokiemi gatunkami traw, które przygłuszają gatunki delikatniejsze. Pastwiska takie mało jeszcze pożywne i zdatne są tylko na chów koni i bydła. Następnie dopiéro, kiedy pod wpływem długiego spasania, flora pastwisk się zmienia, idą one na użytek owiec.

Brak rąk roboczych i trudności finansowe, przez jakie przechodzi obecnie Argentyna, nie pozwalają rozwinąć się tam rolnictwu. Napływ atoli ludności wzrasta tam z każdym rokiem. Warunki jednak klimatyczne i gleby każą przypuszczać, że kraj ten ma olbrzymią przyszłość przed sobą; że z czasem może być najpoważniejszym naszym współzawodnikiem na rynku zbożowym.

Europa zachodnia. Spadek cen na zboże odbił się i na rolnictwie europejskiém, pomimo zastosowanych w większości państw ceł wwozowych.

Z tablicy ogólnéj wytwórczości pszenicy widzieliśmy, że tylko we Francyi i na Węgrzech uprawa pszenicy znacznie wzrosła, w innych zaś państwach uprawa ta albo trzymała się mniéj więcéj w mierze, albo nawet upadła.

Rolnictwo we Francyi cieszyło się oddawna szczególną opieką rządów. Z poprzednich tablic widzieliśmy, jak często tam naznaczano cła wwozowe i jak w ten sposób sztucznie wytwarzano wewnątrz kraju wyższe ceny zboża. Wywoływało to sztuczny rozwój rolnictwa, pozwalało na przeznaczanie coraz to większych przestrzeni pod uprawę pszenicy i na forsowniejszą uprawę. To téż wytwórczość pszenicy we Francyi wzrosła w okresie 1831—1890 r. z 67 milionów hektolitrów na 104 miliony, t. j. o 55%. Ilość ziemi pod uprawę pszenicy wzrosła w tym okresie z 5,300,000 na 7 mil. hektarów, t. j. o 32%, reszta więc, t. j. 23% wzrostu wytwórczości, przypada na rzecz podwyższenia się wydajności pól.

Na Węgrzech ilość ziemi, przeznaczonéj pod pszenicę, wzrosła w okresie 1870—1890 r. o 49.5%, a w Anglii spadła w tym samym okresie o 34.2%.

Jakież będą dalsze losy rozwoju rolnictwa w Europie zachodniéj?

Losy te w znacznéj mierze będą zależały od polityki celnéj. Dziś w większości państw panuje kierunek ochronny, może się on jednak ze zmianą systemu rządów zmienić, jak się to zdarzyło np. w Anglii. Wszelkie cła, to miecz obosieczny. O ile system ten, stosowany do ochrony nowéj gałęzi przemysłu, może dać wynik dodatni, o tyle, stosowany do już rozwiniętéj gałęzi, jest legalną grabieżą, wyławianiem pieniędzy z kieszeni jednych współobywateli na rzecz drugich. Bo mylnem byłoby mniemanie że cło opłacają wytwórcy towaru; wła-

ściwie głównie opłacają je spożywcy i jeżeli cła te nie są różniczkowe, to wielkiéj szkody wytwórcom nie przynoszą.

Rozumowanie to najlepiéj da się zastosować w stosunku do rolnictwa na zachodzie Europy. Stoi ono w porównaniu z rolnictwem krajów wywożących tak wysoko, że dużo wody upłynie, zanim kraje te dojdą do téj saméj doskonałości. Liczne szkoły rolnicze rozmaitego stopnia, stacye doświadczalne i t. p. instytucye rozpowszechniają oświatę i uzdolniają ludność do postępów na drodze techniki rolnéj. Obfitość kapitału i taniość kredytu ułatwiają wprowadzanie w życie tego, czego szkoła uczy. Wysoki wreszcie stan przemysłu fabrycznego daje rolnictwu dobre i tanie maszyny i narzędzia rolnicze. Rozwój środków komunikacyi ułatwia zbyt towaru. Wszystko to sprzyja podniesieniu jakości i ilości plonów. Wytwory wreszcie rolnictwa, ponieważ spożywają się na miejscu, w kraju, kosztów więc dalekiego przewozu nie ponoszą. Czyż wobec tego nakładanie ceł ochronnych na zboże nie jest „smarowaniem tłustego połcia", sztucznem śrubowaniem jednéj gałęzi przemysłu kosztem innych?

To też na Zachodzie nie od dziś wre zacięta walka przeciwko agraryuszom. Czém się zaś ona zakończy?... Kto dożyje — zobaczy.

Rosya. Podług danych, ogłoszonych przez Departament rolnictwa i przemysłu rolnego, Rosya europejska wyprodukowała w 1887 r. 329 milionów czetwerti zboża, a mianowicie:

Żyta	125 mil. czetw., co stanowi	38%	ogólnéj wytwórczości
Owsa	104 „ „ „	31.5%	„ „
Pszenicy ozimej i jaréj	47 „ „ „	14·5%	„ „
Jęczmienia	28 „ „ „	8.5%	„ „
Innego ziarna	25 „ „ „	7.5%	„ „

Podług danych, postarczonych przez „Wiestnik Finansow", wywieziono za granicę od 1 stycznia do 18 grudnia 1888 r. 55 mil. czetwerti ziarna, wagi 470 mil. pudów, a mianowicie:

Pszenicy	19.5 mil. czetw., stanow.	41%	urodzaju 1887 r., a	35.5%	ogóln. wyw.
Owsa	14 „ „ „	13.5%	„ „	25.5%	„ „
Żyta	11 „ „ „	9%	„ „	20%	„ „
Jęczmienia	8 „ „ „	około 30%	„ „	14.5%	„ „
Innego ziarna	2.5 „ „ „	10%	„ „	4 5%	„ „

Ogółem wywieziono w 1888 r. zagranicę około 17% plonu roku 1887.

Z danych tych widzimy, że ludność 50 gubernii, składająca się mniéj więcéj w owym czasie z 81 milionów głów obojga płci i zajmująca 433 miliony dziesięcin, wyprodukowała w 1887 r. na każdego

mieszkańca 4 czetw. ziarna, z czego sama spotrzebowała po 3.4 czetwerti na głowę, a wywiozła po 0.6 czetw. A więc wywiezioném zbożem możnaby było wyżywić około 16 mil. ludności.

Dla porównania przytoczymy tutaj cyfry wytwórczości ziarna w Stanach Zjedn. z r. 1884/5.

Ludność, składająca się w tym roku z 55,719,000 mieszkańców, wyprodukowała 502 mil. czetw., a mianowicie:

Kukurydzy	301	mil. czetw.,	stanowiących	60%	całego plonu
Owsa . .	98.5	" "	"	19.6%	" "
Pszenicy .	86	" "	"	17.1%	" "
Jęczmienia	10	" "	"	2.0%	" "
Żyta . .	4.5	" "	"	0.9%	" "
Gryki . .	2	" "	"	0.4%	" "

Z téj ilości wywieziono:

Pszenicy	22.25	mil. czetw.,	stanow.	26.0%	plonu, a	67.4%	ogólu. wyw.
Kukurydzy	10.00	" "	"	3.3%	"	30.3%	" "
Żyta, owsa, jęczmienia	0.75	" "	"	0.012%	"	2.3%	" "

A więc ludność Stanów Zjedn. wyprodukowała w 1884/5 roku na każdego mieszkańca po 9 czetw. ziarna, z czego spotrzebowano na miejscu 8.4 czetw. na głowę, a o 0.6 wywieziono.

Z przytoczonych tu danych widzimy, że wywóz z Rosyi i Stanów Zjednoczonych, w stosunku jednostki ludności, jest mniéj więcéj równy.

Jeżeli jednak weźmiemy na uwagę ogólną wytwórczość i ten fakt, że w Rosyi 90% ogólnéj ludności zajmuje się rolnictwem, a w Stanach Zjedn. zaledwie 44%, to okaże się, że wytwórczość pracy mieszkańca Stanów Zjedn. jest 4 razy większa, aniżeli wytwórczość pracy mieszkańca Rosyi europejskiéj.

Przy porównaniu cyfr wytwórczości zboża w Rosyi z jego wywozem, zastanowi nas przedewszystkiém fakt nadzwyczaj małego wywozu żyta w porównaniu z jego produkcyą. Fakt ten nie odnosi się wyłącznie do roku 1887/8, lecz powtarza się corocznie. Obliczają, że cała wytwórczość żyta w Europie wynosi przeciętnie około 454,250,000 hektolitrów rocznie (około 216,222,000 czetw.), z czego mniéj więcéj połowa przypada na Rosyę. Oprócz tego Królestwo Polskie wytwarza około 14,536,000 hekt. (około 6,919,000 czetw.), a Findlandya około 3,634,000 hektol. (około 1,730,000 czetw.). Liczą, że Rosya łącznie z Królestwem i Finlandyą wytwarza przeciętnie około 116,760,000 czetw. żyta rocznie i zajmuje co do wytwórczości tego ziarna pierwsze miejsce na całym świecie. Spotrzebowuje go ona jednak tak dużo, że

stosunkowo niewielka ilość idzie na wywóz. Według „*Mark-Lane Express*" w Londynie wytwórczość i wywóz żyta z Rosyi były następujące:

	wytwórczość	wywóz
w r. 1886	225,330,000 hektolitrów	17,400,000 hektolitrów
„ 1887	253,750,000 „	21,025,000 „
„ 1888	258,050,700 „	21,750,000 „
„ 1889	199,375,000 „	15,950,000 „
„ 1890	244,687,500 „	16,240,000 „
ogółem	1,181,193,200 hektolitrów	92,365,000 hektolitrów
przeciętnie	236,238,640 „	18,473,000 „

Podług tego obliczenia zaledwie około 7.8% plonu żyta idzie w Rosyi na wywóz.

Wobec tego trzeba przypuszczać, że przy wysokim wzroście ludności, jakim się Rosya odznacza, wkrótce kraj ten przestanie wysyłać żyto na rynki europejskie. Mogłyby temu zaradzić albo rozszerzenie uprawy téj rośliny, albo wyższa technika rolnicza, co zdaje się nie będzie łatwém do przeprowadzenia.

Jeżeli więc Stany Zjedn. nie rozszerzą uprawy żyta, to stosunkowo w niedługim czasie ceny tego zboża muszą wzrosnąć.

Z przytoczonéj powyżéj tablicy widzieliśmy, że wywóz zboża z Rosyi, stosownie do ilości każdego poszczególnego gatunku, da się ułożyć w następującéj skali: 1) pszenica, 2) owies, 3) żyto i 4) jęczmień.

Jeżeli przyjąć za zasadę, że wytwórcy wysyłają swe zboże zagranicę najbliższą drogą, t. j. przez najbliższe od siebie porty i przez najbliższe od siebie punkty suchéj granicy, to ludność porzeczy morza Baltyckiego, oceanu Północnego z morzem Białem i morza Kaspijskiego będzie tworzyć jedną grupę wytwórców, a gubernie południowe, leżące w porzeczach rzek morza Czarnego—drugą grupę. Otóż wywiozły one od 1 stycznia do 18 grudnia 1888 r. następujące ilości zboża w tysiącach czetwerti:

grupa	pszenicy	owsa	żyta	jęczmienia
I	762	12,771	5,336	1,514
II	18,777	1,150	5,700	6,535

Z tego widzimy, że głównymi wytwórcami zboża, a przynajmniéj cenniejszych jego gatunków, są gubernie południowe, a mianowicie: Woroneska, Charkowska, Połtawska, Kijowska, Wołyńska, Podolska, Jekaterynosławska, Taurycka, Chersońska, Besarabska i Kraj wojska dońskiego. Przestrzeń tych gubernii równa się około 68 milionom

dziesięcin i posiada ludność 22³/₄ miliona. Gleba tych gubernii z małemi wyjątkami czarnoziemna o rozmaitéj jednak grubości warstwy rodzajnéj. Ogólnie jednak mówiąc, są to ziemie bardzo urodzajne z wyjątkiem chyba północnych części gub. Wołyńskiéj (tak zwanego Polesia) i Kijowskiéj. Warunki jednak atmosferyczne mniéj są sprzyjające. Im daléj mianowicie posuwamy się na wschód, tém bardziéj kolumna opadów atmosferycznych się zmniejsza. To téż długotrwałe susze powodują tu straszne klęski. Dość np. powiedzieć, że w południowéj części Podola w r. 1888 — 1892 oziminy z powodu posuchy w wielu miejscowościach prawie nie powschodziły. Brak wilgoci wpływa jeszcze na morfologiczne zmiany kłosa i ziarna. Znanym jest fakt, że pszenica bezostna z biegiem czasu przemienia się tam na ościstą, a biała na szklistą. Zwyrodnienie takie najprędzéj daje się zauważyć na sandomierce. Zjawisko to skierowuje w pewnym wyłącznym kierunku gospodarstwo zbożowe i walka z tém byłaby próżną stratą czasu i kapitału.

Brakowi wilgoci mogą z czasem zaradzić projektowane nawodnianie i zalesianie pewnych okolic. Że z biegiem czasu to nastąpi, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Dużo jednak tak pożądanéj tam wody upłynie, zanim projekty te wejdą w życie. Na dzisiaj pozostaje ulepszenie techniki rolnéj, które może zrobić bardzo wiele. Obecnie przodują pod względem rolnictwa gub. Podolska i po części Kijowska. Trzeba przyznać, że w wielu miejscowościach tych gubernii technika rolna stoi już bardzo wysoko, szczególniéj w gospodarstwach buraczanych. Ponieważ jednak warunki gleby i klimatu są tam zupełnie odrębne, zachodnia nauka rolnictwa, która bądź co bądź w znacznéj mierze jest jeszcze nauką eksperymentalną, musi tam być stosowana z wielką ostrożnością, a często nawet może dawać rezultat ujemny. Wytwarza to potrzebę organizowania stacyi doświadczalnych, samoistnych badań i zamiany myśli między inteligentnemi, a wykształconemi jednostkami. W obecnym czasie lichy stan komunikacyi, a szczególniéj brak dróg podjazdowych, i nieuregulowanie służebności,—są to najważniejsze teraz zapory w rozwoju rolnictwa.

Powracając jeszcze raz do cyfr, wytwórczości i wywozu zboża w Stanach Zjedn. i Rosyi, zauważymy ogromną różnicę co do spożycia wewnętrznego tych krajów. Stany Zjedn. spotrzebowują około 8.4 czetwerti na głowę, a Rosya zaledwie 3.4. Różnica ta pochodzi stąd, że znaczna część ziarna w Stanach Zjedn. spożywana jest przez zwierzęta domowe, hodowla tam bowiem stoi już bardzo wysoko, a rozwija się z każdym rokiem. Zestawienie tych cyfr wykazuje nam, jak jednostronném jest rolnictwo w Rosyi, a więc jak mało odpornem na

warunki ujemne. Rolnictwo tutaj skierowało się prawie wyłącznie w kierunku zbożowym, ale i na tém polu zaszło niedaleko. Dojść przejrzéć ceny targowe na rynkach europejskich, żeby się przekonać, jak nisko jest notowaném zboże ruskie. Przyczyną tego jest niski gatunek ziarna i jego zanieczyszczenie. Zwrócenie działalności rolników w kierunku polepszenia tych warunków może zrobić jeszcze wiele.

Powstały, co prawda, w ostatnich czasach gospodarstwa nasienne, ale działalność ich stosunkowo jeszcze bardzo mała. Gospodarstwa te głównie trudnią się przyswajaniem zagranicznych odmian i bodaj czy się nie mylą w swym kierunku. Przenosząc ziarno z warunków lepszych od gorszych, z klimatu morskiego do klimatu prawie lub zupełnie kontynentalnego, z okolic cieplejszych do zimniejszych, możemy oczekiwać tylko stopniowego zwyrodnienia ziarna. Zdawałoby się, że odpowiedniejszém będzie brać za punkt wyjścia do uprawy selekcyjnéj ziarno z okolic północno-wschodnich, bo takie trafiając na południo-zachodzie na warunki klimatyczne bardziéj sprzyjające, może w następnych pokoleniach tylko się uszlachetniać.

Oprócz jednak wyjątkowych urodzajów w r. 1891, a po części i w r. 1892 w Stanach Zjedn. i ogólnego wzrostu rolnictwa na całym świecie i inne czynniki wpłynęły na obniżenie się cen zboża. Rozpatrzmyż je.

Jedną z ogólnych przyczyn obniżenia się cen zboża w Europie jest rozwój środków komunikacyjnych na całym świecie i obniżenie cen przewozu.

Powyżéj pomieściłem cyfry, tyczące się zwiększania z każdym prawie rokiem sieci kanałów i kolei we współzawodniczących z nami krajach. Rozwój ten pozwolił daleko taniéj dostawiać zboże do portów, a w miejscowościach, w których uprawa przedtém się nie opłacała, pozwolił powstać rolnictwu. Powiększenie objętości statków i coraz większy rozwój parowców na niekorzyść żaglowców znakomicie wpłynął na obniżenie kosztów przewozu z krajów pozaeuropejskich. Cena przewozu 1 kwintala zboża w okresie 1880—1890 roku spadła:

z San-Francisco do Havru lub Liverpool'u	na 3.13	franków
z Indyi „ „ „ „	„ 1.85	„
z Odessy „ „ „ „	„ 0.26	„

Widzimy tedy, że spadek cen zboża w krajach pozaeuropejskich w znacznéj mierze pokrywał się zmniejszeniem kosztów przewozu. U nas zaś prawie nie miało to miejsca.

Drugą ogólną przyczyną obniżenia się cen zboża jest ogólny spadek cen na wszystkie towary i wszechświatowy kryzys monetarny.

W początku téj pracy zaznaczyliśmy, że parokrotnie w ciągu ostatnich lat 150 ceny wszelkich produktów wzrastały lub téż spadały. Podwyższenie ceny produktów najwybitniéj dawało się widzieć w końcu XVIII stulecia i w okresie czasu 1850—1873 r. Od roku 1873-go weszliśmy w okres ogólnego spadku cen. „*Statist*" angielski podaje obszerne opracowanie tego przedmiotu pióra M. Sauerbeck'a, a następująca tablica przedstawia nam wahania się cen głównych 45 towarów. Obrachowanie zrobiono tak zwaną metodą „*Index Numbers*".

Wahania się cen w Anglii podług M. Sauerbeck'a:

lata	koefficienty	lata	koefficienty
1867 — 1877 . .	100	1885 . . .	72
1877 . . .	111	1886 . . .	69
1878 . . .	87	1887 . . .	68
1879 . . .	83	1888 . . .	70
1880 . . .	88	1889 . . .	72
1881 . . .	85	1890 . . .	72
1882 . . .	84	1891 . . .	72
1883 . . .	82	1892 . . .	68
1884 . . .	76		

Jakaż może być przyczyna tego faktu?

Tak dla czasów przeszłych, jak i obecnych, zdaje się być stwierdzoném, że wahania się cen są zależne od większéj lub mniejszéj możliwości kupna szlachetnych kruszców. W pierwszéj połowie XVIII stulecia stosunkowa ich rzadkość podniosła ich cenę. Ceny towarów spadają, ponieważ potrzeba mniejszéj ilości metalu, srebra lub złota, żeby nabyć taką samą ilość towaru. Od r. 1760 widzimy zjawisko przeciwne. Odkryto nowe kopalnie i eksploatacya ich rzuca na rynki europejskie masę metalu, który w téj chwili przetapiają na monetę. Oto wykaz całkowitéj ilości metalów, wydobytych na całym świecie:

okresy	złota	srebra
1701 — 1720	256,000 kilogramów	7,111,000 kilogramów
1721 — 1740	381,000 „	8,622,000 „
1741 — 1760	492,000 „	10,881,000 „
1761 — 1780	414,000 „	13,053,000 „
1781 — 1800	355,000 „	17,578,000 „
1801 — 1810	177,000 „	8,940,000 „
1811 — 1820	114,000 „	5,406,000 „

Z tablicy téj widzimy, że wydobywanie szlachetnych kruszców w okresie 1700—1740 r, pomimo wzrostu ludności, powiększa się bardzo powoli. Następnie jednak do 1800 r. wzrost ten postępuje bardzo szybko.

Musimy tu zaznaczyć z naciskiem fakt, że napływ szlachetnych kruszców znacznie poprzedza podniesienie się cen towarów. Zjawisko analogiczne widzimy następnie w przeciwnym kierunku. W okresie 1801—1820 r. napływ złota i srebra raptownie ustaje, ceny jednakże, wskutek warunków politycznych, które utrudniały wymianę i ograniczały wytwórczość przemysłową i rolniczą, wskutek wreszcie złych urodzajów, nie obniżają się. Po roku 1820-ym następuje to raptownie.

Przypatrzmyż się, jaka była dalsza produkcya złota i srebra?

okresy	złota		srebra	
1821 — 1830	142,000	kilogramów	4,604,000	kilogramów
1831 — 1840	202,000	„	5,963,000	„
1841 — 1850	547,000	„	7,803,000	„
1851 — 1855	996,000	„	4,429,000	„
1856 — 1860	1,008,000	„	4,524,000	„
1861 — 1865	925,160	„	4,505,000	„
1866 — 1870	974,000	„	6,694,000	„
1871 — 1875	869,000	„	9,845,000	„

Obniżenie ilości wydobywanych kruszców do r. 1840 bardzo jest wybitne, a okres obniżenia się cen zupełnie odpowiada temu zjawisku. Od r. 1840 zaczyna napływać złoto z Kalifornii, a chociaż produkcya srebra się zmniejsza, ale zmniejszenie to z lichwą pokryte zostało złotem. Dość powiedzieć, że w okresie 1851 — 1855 r. wydobyto złota za sumę 3,400 milionów fr., a okres 1856 — 1860 r. dał jeszcze wyższą sumę.

Od r. 1873 weszliśmy w nowy okres monetarny. Niemcy odjęły srebru znaczenie monety, a wkrótce Szwecya z Norwegią i Dania poszły za tym przykładem. W r. 1876 bicie monety srebrnéj zostało zaniechaném we Francyi. Nastąpiła kompletna rewolucya monetarna. Żeby ją zrozumiéć, konieczném jest kilka słów wyjaśnienia.

Przed r. 1873-im, a szczególniéj przed 1876-ym, srebro i złoto miały prawdziwą i ogólną wartość pieniędzy, a stosunek srebra do złota był jak 1 : 15.5. Nietylko długi prywatne, ale nawet międzynarodowe płacono złotem lub srebrem i oba te kruszce, połączone stosunkiem 1 : 15.5, tworzyły masę monetarną. Dzięki temu, że złoto w określonym stale stosunku, zawsze można było wymienić na srebro i odwrotnie, srebro nie było

t o w a r e m, a l e m o n e t ą m i ę d z y n a r o d o w ą. Jedném słowem, panował system bimetaliczny. Kraje azyatyckie, które są monometalistami srebrnymi, miały łączność z Europą, dzięki wspólnéj monecie.

Niemcy zburzyły ten odwieczny system. Dziś jedno tylko złoto pozostało monetą międzynarodową, ten jeden tylko metal może pokrywać długi międzynarodowe, ten jeden tylko metal ma znaczenie p i é n i ę d z y.

Można temu zarzucić, że jeszcze do dziś srebro krąży między publicznością i przyjmowane jest jako moneta. Że krąży, to prawda, ale nie jako moneta międzynarodowa, jeno jako moneta wewnętrzna, zdawkowa, jak np. krąży nikiel i miedź. Wartość takiéj monety jest tylko nominalna, a wartość jéj realna znacznie jest mniejsza. Moneta np. 5-cio frankowa srebrna warta w obecnéj chwili tylko 2.75 franków i wartość ta realna waha się stosownie do wartości srebra, jako towaru.

Rewolucya ta monetarna odbiła się na wszystkich bankach europejskich. Srebro spadło na 47% w swojéj cenie, a banki europejskie straciły na tém około 2,484 mil. franków. Ogólna ilość monety, zdatnéj do wypłacania długów międzynarodowych spadła na 29%.

Nie może temu zaradzić znaczna produkcya złota, bo ludność i obroty handlowe wzrastają. Wydobywano mianowicie w ostatnich latach przeciętnie rocznie:

w latach	złota		srebra	
1871 — 1875	173,000	kilogramów	1,969,000	kilogramów
1876 — 1880	172,000	„	2,449,000	„
1881 — 1885	149,000	„	2,861,000	„
1886	159,000	„	2,900,000	„
1887	158,000	„	2,991,000	„
1888	165,000	„	3,418,000	„
1889	178,000	„	3,913,000	„
1890	170,000	„	4,142,000	„
1891	181,000	„	4,491,000	„
1892	211,000	„	4,729,000	„

Prawda, że w obiegu rzadko spotykamy złoto, a funkcyę jego pełnią papiéry. Ale papiéry kredytowe, jakąkolwiek-by nazwę nosiły, mają wtedy tylko znaczenie i wartość piéniędzy, jeżeli po za niemi stoi odpowiednia ilość metalu, mającego wartość i znaczenie piéniędzy międzynarodowych. Jeżeli państwo metalu takiego posiada mniéj, to jego papiéry spadają niżéj nominalnego kursu.

Że uczuwa się w obecnéj chwili brak złota, to najlepszym dowodem tego jest fakt podnoszenia dyskonta. Bank angielski w okresie 1883—1893 r. zmieniał 89 razy dyskonto. Był on zmuszony w r. 1891 pożyczyć 75 milionów w złocie w Banku francuskim. W ostatnich czasach to samo miało miejsce ze skarbem państwa Stanów Zjednoczonych.

Co prawda, posiada Europa wielką ilość złota i w normalnych warunkach masa ta na cele handlowe prawdopodobnie-by wystarczyła. Złoto to jednak w obecnéj chwili uwięzione w bankach państwowych, bo przeznaczone na cele wojenne. Dlatego téż zrozumiałą jest zazdrość każdego z rządów względem sąsiada, posiadającego więcéj złota, a gromadzenie w skarbcach tego metalu uważane jest za działalność patryotyczną. Wywołuje to sztuczny brak złota, a tymczasem ludność i obroty handlowe z każdym rokiem wzrastają, zapotrzebowanie więc tego metalu coraz jest większe. Brak złota wywołuje niejasność w stosunkach handlowych, powiększa w nich ryzyko, wywołuje wahanie się kursów papiérów państwowych i zmusza w ten sposób ludzi do mimowolnéj gry na giełdzie. To téż każdy, kto nie chce być zależnym od wahań kursów, musi oznaczać cenę swego towaru w złocie i w tym metalu żądać wypłaty. A takie zapotrzebowanie podnosi cenę złota.

Brak miejsca nie pozwala mi obszerniéj i bardziéj wyczerpująco rozbiérać omawiany przedmiot. Nie mogę jednak pominąć jednego faktu, tyczącego się bezpośrednio i Rosyi.

W chwili podrożenia złota kursy papiérów państw, które tego metalu posiadają za mało, spadają. Wywołuje to w tych państwach fikcyjne podniesienie się cen na towary i wywóz ich czasowo się wzmaga. Miało to miejsce także i u nas. Z biegiem jednak czasu, wskutek wykupywania za pomocą towarów swoich papiérów, umieszczonych zagranicą, kurs ich się wzmaga. Może w części temu zapobiedz kupno papiérów i wywóz ich napowrót za granicę tego państwa. Ponieważ jednak każde państwo jest zainteresowane w tém, żeby jego papiéry stały jaknajwyżéj, używa więc środków w celu podniesienia swego kursu. Rosya wprowadziła u siebie ograniczenia w handlu swemi papiérami na wywóz, a w jesieni przeszłego roku byliśmy świadkami nagłego podwyższenia się kursu rubli o 15 marek na 100 rs., a to wskutek braku papiérów ruskich na giełdzie berlińskiéj na wypłaty miesięczne. Utrudnienia w wywozie papiérów wywołuje ich wyższy kurs, a co za tém idzie, odnośny spadek cen na towary w papiérach danego państwa.

Sumując wszystko co powiedziano wyżéj, dochodzimy do wniosku,

że następujące przyczyny głównie wpłynęły na obecne obniżenie cen zboża:

1) Wszechświatowe współzawodnictwo na rynku zbożowym.

2) Rozwój komunikacyi i obniżenie cen przewozu w państwach współzawodniczących z nami.

3) A bodaj czy nie najważniejszym powodem jest ogólne obniżenie się cen towarów wskutek odjęcia srebru wartości monetarnéj i wskutek niejasnych politycznych i handlowych warunków na całym świecie.

Bolesław Wydżga.



PRZYSŁOWIA.

KARTKI Z DZIEJÓW LITERATURY I KULTURY POLSKIÉJ.

Wśród dziedzin wiedzy, których gorliwą uprawą wyróżnia się nasz wiek od przeszłych, stoi ludoznawstwo, folklor, na celniejszém miejscu. Od wyłącznego badania pomników piśmiennych zwrócił się dopiéro wiek dziewiętnasty ku liteturze tradycyjnéj, wydobył, po Herderze zresztą, skarby poezyi ludowéj, zajął się z braćmi Grimm bajką, tradycyą, przesądem, zebrał w końcu wszystkie szczegóły z życia i zwyczajów ludu, od ubioru do zabaw.

Dla dawniejszéj literatury, zarówno dla uczonéj jak dla nadobnéj, świat ludowy nie istniał; ignoruje go ona zwykle zupełnie, na obiektywne przedstawienie nigdy się nie zbierze. Jeśli dla własnéj zabawy, powtórzy bajki i klechdy, to przyprawi je humorystycznie, jak Musaeus, lub sparodyuje je, nasza Peregrinacya Maćkowa (z r. 1612); o pieśni ludowéj wspomni chyba, jeśli na jéj nutę własną ułoży, lub całkiem przygodnie, jak np. Górnicki, mówiąc o kmieciu, który „w gorące dni śpiéwając sobie o lipce, mało pracej a potu czuje”, lub Klonowicz, u którego „burmistrz naprzód śpiéwa onę piosnkę oracką — pospólstwo opiéwa”. O zwyczajach ludowych mówiono tylko, jeśli się jakim nadzwyczajnym szczegółem wyróżniają, opisywano więc przeważnie zwyczaje ludów dzikich, albo dalekiego wschodu i również chętnie je przedstawiano, jeśli opis okrasić można było erudycyą biblijną lub

klasyczną; opis obiektywny zwyczajów ludowych, jak w dziele Aubana, Niemca z Czech w XVI-ym wieku, jest zjawiskiem niezwykłém. Najczęściéj jeszcze wspomni ksiądz z kazalnicy lub moralista w dziełku na poły ascetycznem o zwyczaju, rzadko, żeby go pochwalić, najczęściéj, by go surowo zganić.

I.

Dla jednéj gałęzi literatury tradycyjnéj robi się przecież wyjątek: ona jedna znalazła łaskę przed oczami nawet średniowiecznych kaznodziejów, moralistów, poetów. Owe krótkie zdania, które przysłowiami zwiemy, owa moneta zdawkowa mądrości wiekowéj, doświadczenia życiowego, naiwnéj a trafnéj obserwacyi, wywołała pierwsza, a na długie czasy sama jedna z całéj skarbnicy umysłowości ludowéj, słuszną ocenę, uznanie, a co za tém niechybnie idzie, zajęcie się nią i zbiéranie. Z powodu formy, dla prac umysłowych przyjętéj, pisarze średniowieczni musieli się z przysłowiami ludowemi zetknąć. Przeciętny bowiem pisarz średniowieczny nie odważy się nawet takiéj wielkiéj prawdy, jak że na słońcu ciepło, albo że w nocy ciemno, podać bez cytaty, bez powołania się na powagę, którą jest tak samo Wergiliusz, jak i św. Augustyn, „filozof pogański" jak i ewangelia. W tém ciągłém przeplataniu toku mowy cytatami i sentencyami, w tém stałém zbiéraniu „kwiatów" *(flores)* z ojców kościoła lub poetów rzymskich, musiał autorytet tak powszechny, zdanie ogółu *(communis, vulgaris)*, jakie się w przysłowiu ludowém wyrażały, tém rychléj znaléść uznanie, im szczuplejszy był zasób przysłów, które w jedynych wzorach, t. j. w literaturze łacińskiéj, znajdowano. W przeciwstawieniu bowiem do literatury greckiéj, nadzwyczaj w przysłowia, „paremie", bogatéj, posiadającéj liczne ich zbiory od czasów przedchrześciańskich, literatura rzymska ma sentencye, przypowieści, ale nie ma przysłów; przysłowia łacińskie, jeźli nie tłómaczone z greckich, są w przeważnéj ilości wyrobem średniowiecznym, nieraz tłómaczeniem z przysłów ludowych, romańskich lub germańskich.

Nie należy też zapominać, że przysłowia tworzyły jedyną gałąź twórczości ludowéj, która treścią swą i formą nie obrażała uczuć chrześciańskich, ani wystawiała się na śmiéch i wzgardę ludzi poważnych. Pieśni ludowe, nawet najniewinniejsze, potępiono, jako resztki pogaństwa; w baśniach widziano tylko plotki i wymysły bab i mamek — chociaż je ceniono w szacie łacińskiéj, z dowolnie przypiętym ogonem moralnym; do tradycyi sięgano tylko, by nią luki w historyi zapełniać

przyczém ją nielitościwie fałszowano, by ją do celów własnych naginać, jak to np. mistrz Wincenty (Kadłubek) czynił. Tylko w przysłowiu nie było nic pogańskiego, niemoralnego, śmiésznego; nie dziw więc, że stosunkowo rychło zaczęto je zbiérać i zapisywać w brzmieniu pierwotném lub w tłómaczeniach.

I tak naprzykład, gdy szlachetny pan i sędzia Jeremiasz da Montagnone w Padwie około r. 1290 układał swoje *Compendium moralium notabilium* w pięciu księgach, niby encyklopedyą moralną, w któréj rubryki wtłaczał zapasy obfitéj lektury autorów starych i nowych, świeckich i duchownych, nie zaniedbywał on do łacińskich cytacyi na końcu każdéj rubryki dodawać włoskich przysłów. Że właśnie to dzieło przytaczamy, które dziś chyba filologa romańskiego interesuje, czynimy to z kilku przyczyn. Nie dlatego wprawdzie, że po dziśdzień posiada biblioteka jagiellońska odpisy tego dzieła, przywiezione z Włoch i Konstancyi, np. przez sławnego rektora i obrońcę Polaków przeciw Krzyżakom, Pawła Włodkowica; ani dlatego nawet, że właśnie przysłowia włoskie niegdyś w Polsce bardzo popłacały, że nadrabiano niemi chętnie w piśmie i w mowie. Np. Jan Piotrowski, pisząc listy do marszałka Opalińskiego o ekspedycyi pskowskiéj, używa ich chętnie, między niemi i jedno słynne dziś jako świadectwo „mitologiczne" *(gia fu il tempo che Berta filava* — dawne czasy, kiedy Berta przędła, Berta, niby bogini germańskiego olimpu). Albo np. IMP. wojewoda mazowiecki, Stanisław Kryski, gdy się na sejmie konwokacyjnym r. 1587 obrady leniwie wlokły, mówił w radzie: „wezwano mię tu do stołu nakrytego na godzinę pewną, a jeszczem potrawy żadnéj nie widział, jeszczem nie jadł, nie bardzoć temu swemu gospodarzowi (arcybiskupowi gnieźnieńskiemu) dziękuję. Jest przypowieść u Włochów: *chi fa il conto senza il hoste bisognia che facia il conto altera volta con il hoste.* U nas tego nie masz w Polsce, bo częstokroć gość, nie żeby się miał z gospodarzem porachować, a zapłacić mu dobrze, ale stłucze gospodarza i niedopłaciwszy, pojedzie precz. Czemu? *libertas* nasza. Ale w porządnych miastach, w Niemczech, we Włoszech, gdy się gość u gospodarza naję, porachuje sobie sam w kącie, wiele strawił, to za kapłona 4 gr., za mięso 2 gr., za pieczenią 3 gr. i t. d. Przyjdzie sam gospodarz, pocznie rachować, kładzie *in duplo*, gdzie 4 gr., tam 8 położy. Przeto, kto bez gospodarza rachuje, musi z gospodarzem znowu rachować — także i bracia nasi (posłowie) bez nas (rad, senatorów) stanowią, ba, na to przyjdzie, że się z nami znowu porachować będą musieli".

Zbiór Jeremiasza przytoczyliśmy raz dlatego, że jest typowy — w podobny sposób, wywołane zbiorem sentencyi obych, więc niby do-

datkowo tylko, powstały liczne dawne zbiory przysłów ludowych. Tak powstał np. u nas, żeby cztery wieki przeskoczyć, zbiór przysłów Jabłonowskiego, o którym niżéj kilka szczegółów podamy. Powtóre wywołało dzieło Jeremiasza bezpośrednio zapisywanie przysłów czeskich (i polskich).

W średnich wiekach przodują Czesi, na każdém polu, nam, a nieraz nawet innym; wyprzedzają nas więc, a może i Niemców, i na polu paremiografii. Najdawniejsze przysłowia, jeszcze z XIII-go wieku, zapisał poeta-anonim, autor „Aleksandreidy”, poematu o czynach Macedończyka, treścią, myślą i formą najznakomitszego utworu całéj średniowiecznéj poezyi słowiańskiéj. Moralizujące, dydaktyczne tendencye poety przebijają w przysłowiach, gnomach, sentencyach, któremi tok opowiadania ciągle przeplata, lecz nie zawsze łatwo odróżnić, co sam ukuł, a co z ust ludu przejął, ciągle czytamy u niego np., „jak kto umié, tak śpiéwa, kret w dobrych łąkach rad ryje, wilk na owce rad zawżdy wyje, a zawistnik złością tyje”, lub „złe koło najwięcéj skrzypa, mały gad najwięcéj syka, a chłopstwo najwięcéj łyka (pożąda)”, lub „lekarz oczekuje sieczy (walki, by rany goił), ptak rad słyszy, gdzie co skrzeczy, sługa wierzy ślubnéj rzeczy (obiecance)”, lub „cierń się z młodu ostro pęczy, sam się wćwiczy charcik rączy, szlachta się wżdy ku czci łączy” i t. d. Również w tak zwanym Dalimilu, w rymowanéj kronice czeskiéj z początku XIV-go wieku, znajdziemy niejedno przysłowie wplecione — lecz dopiéro w czeskich przeróbkach owego dzieła Jeremiasza przysłowia, podają się w formie, jak je lud prawił.

Mnich Konrad z Hali czy z Halberstadtu przerobił w Pradze dzieło Jeremiasza w XIV-ym wieku, może w drugiéj jego połowie; włoskie przysłowia oryginału zastąpił czeskiemi; dzieło jego przepisywano w Polsce w XV-ym wieku, cztery odpisy posiada np. biblioteka jagiellońska; odpisy zachowały niejedno z tych przysłów, np.: „łatwiéj z wozu miotać, niż na wóz miotać”, „Ucz się, a będziesz księdzem (przypomina Batorego: *disce puer latine faciam te Mościpanie)*”, tak prawi sowka sobie rzyć łowka”, „bez pieniędzy na targ, bez soli do domu”, „co z oczy to z myśli” i inne, lub zwrot żartobliwy, jak: „zajęczego skoku, marmurowego oleju, dzwonowego dźwięku dobądź, będziesz zdrów” (dzwonowym dźwiękiem nazywano jednak późniéj oliwę, sadzę z dzwonów kościelnych, używaną do leków w Czechach i Polsce, jak z synodu klechów podgórskich z r. 1607 widzimy). Myślę, że w praskich odpisach dzieła Konrada, których dotąd nie widziałem — Czesi o tém dziele nie wiedzą nic—będzie przysłów więcéj.

Prócz tego posiadają Czesi z końca XIV-go wieku zbiór dwustu kilkudziesiąt przysłów, w późniejszym przepisie nazwany zbiorem pana Smila Flaszki, czeskiego magnata i poety, zabitego r. 1405; w zbiorze tym (nieraz drukowanym) odnajdziemy niejedno polskie przysłowie. Tak dawnych zbiorów nie posiada nasza literatura; średniowieczne przysłowia polskie są tylko tu owdzie rozrzucone, najwięcéj po kazaniach, czasem dopisane po innych dziełach, niestety, najczęściéj w łacińskim przekładzie, wyjątkowo w brzmieniu oryginalném. Przytoczymy kilka przykładów.

Najdawniejszy znaleźliśmy w zbiorze kazań z r. 1407, gdzie ksiądz poucza: „Weź sobie prosty przykład, kiedy się łyka drą, wtedy je drzy", — tak samo czytamy po dwustu latach u Rysińskiego, stary Czech zaś mówił: „když się łyka drą, tu na nie i z dziećmi". W innych zbiorach kazań czytamy: „kruk krukowi oka nie wykłuje, a pies psu zębów nie uje", „nie jegojski to kęs był, musiło mu go przesieść" (kęs nie na jego usta, musiał porzucić), „bogobojnemu dobrze do skończenia wieków, ale niebojana psy kąsają"—u Rysińskiego „nieboja" psi kąsają. Co wtedy uszy znosiły, widzimy ze wstępu do kazania o N. P. Maryi, w którém ksiądz wyprawia: „do wypowiedzenia Jéj doskonałości rozum mój tak się ma, jak osioł do liry (przysłowie łacińskie) i jak do promienia słonecznego świnia, która, wedle przysłowia, „daléj pysku nie widzi"; „woła i do jadła naganiać trzeba", „kto w młynie służy, trudzo się nie umączy", „mowa się da mówić, a chleb jeść — podobnie u Czechów: „mowa się mówi, a piwo się pije" (lub chléb się jé), tyle co: „gadać łacno, ale czynić trudno". W jednym z odpisów kroniki mistrza Wincentego czytamy notkę łacińską: wedle przysłowia polskiego, które opiéwa, że książętom (panom) nie brak krewnych.

Oto wiązanka najdawniejszych przysłów naszych; inne opuściliśmy, by nie obrażać uszu, lub ponieważ nie wiemy, czy to właśnie polskie przysłowia; inne wreszcie kaznodzieja widocznie rozszérzał, np. mówiąc o małżeństwie na temat ewangelii o godach w Kanie, radzi nie żenić się z tą, któréj matka pijaczka („korczakowi, t. j. kieliszkowi się kłania", jak on się wyraża), bo „ta przywara ku córkom przywira", radzi daléj: nie żeń się oczyma, ale uszyma [1]), byś nie został na lato bez grochu", t. j. byś się nie zawiódł. Zwroty przysłowiowe, podobne ostatniemu, można znaleść i w innych zabytkach

[1]) Przysłowie znane w licznych odmiaknach, żeń się oczyma i uszyma, żonę obiérać uszyma nie rękoma, żonę pojmuj oczyma, uszyma i rękoma i inne, — podobnie u innych Słowian, u Czechów, Serbów i t. d.

XV-go wieku, np. w dyalogu o śmierci: „ale gdy przyjdzie sąd Boży, sędzia w miech piszczeli włoży”, t. j. zamilknie, zwrot ulubiony i Reja; „wszytki na swéj stawiam sparze” — zwrot z łowiectwa ptaszego wzięty; „rzucęć się, jak kot na myszy”; „odechceć się z miodem tarnek”; „nie bój się dziś mojéj szkoły, nie dam ci czyść (czytać) epistoły”; z łacińskiego przetłómaczone: „bowiem przeciw śmiertnéj szkodzie nie najdzie ziela w ogrodzie” i inne.

II.

Na koniec wieku XV-go a początek XVI-go przypadają pierwsze drukowane zbiory łacińskie i w innych językach; z nich wszystkich zaważył najwięcéj, wprawdzie niesystematyczny, ale bardzo obfity, na setki (centurye) podzielony zbiór przysłów klasycznych i innych, „Adagia”, w drugim tomie dzieł Erazma z Roterdamu (z Czerwonéj Groblej, jak go nasi tłómacze nazywają) zawarty. Nadzwyczajna powaga największego humanisty-filologa XVI-go wieku zdobyła pracy jego rozgłos, sięgający przez wieki; przez cały wiek XVI-ty i XVII-ty cytują wszyscy „Adagia” Erazma — dla nas mają one znaczenie tém większe, że posłużyły na fundament do najobszerniejszego dzieła poetyckiego, jakie literatura nasza obok Pocztu herbów posiada. Autorem tego dzieła — sam autor Pocztu, Wacław Potocki, który w swéj podgórskiéj Łużnéj wolne chwile — a było ich niemało, szczególniéj, gdy dom mu osierociał, temu dziełu poświęcał, w zimie przed gośćmi nim się zasłaniał a w lecie przed gwarem w domu nad stawek z niém uchodził, gdzie go raz omal strzelec miasto kaczki nie ubił. Ponieważ dzieło to za obszerne, by można na wydanie jego liczyć, a w literaturze o niém głucho, nie zawadzi zdać sprawę nieco dokładniejszą, dołączyć jednę i drugą próbę.

Jak wszystkie własnoręczne rękopisy W. Potockiego, tak i ten posiadał Załuski, a z jego zbioru przeszedł on do Ces. Biblioteki Publicznéj (pod znakiem: Polskie XIV, folio n-r 1). Jestto dobrze zachowany foliant, o niemal 1,500 stronicach, pisany po największéj części pięknym charakterem Potockiego. Tytuł dał mu następny: „Moralia abo rzeczy do obyczaiow nauk y przestrog w kazdym stanie zywota ludzkiego z łacinskich y z polskich przypowieśći oyczystym krotko napisane wierszem. Część 1, księgi 1. przekładania z greckiego języka Erazma Roterodama przez Wacława Potockiego podczaszego krakowskiego, r. p. 1688.”

Od str. 1—1,000 idzie pięć części pierwszéj księgi, p. t.: „Przypowieści część wtora”, „Przypowieści część trzecia” i t. d., każda część po 200 stronic zajmując. Następuje z nową paginacyą wtóra księga p. t.: „Przypowiesci Sentencyi do cnot y obyczaiow żywota ludzkiego należących Xięga (oddarte, czytaj: wtora) z roznych authorow łacińskich zebrana y wierszem polskim pisana przez Wacława Potockiego podczaszego krakowskiego r. p. 1695 die 25 Octobr. poczęta. Przypowieści xięgi wtorej część pierwsza str. 1 i następne”. Śmierć nie dała poecie dzieła dokończyć; pierwszych 83 kart téj części pisze on jeszcze sam, późniéj pojawia się obca ręka, od k. 181 widać, że to nie ostateczny przepis na czysto, jak przedtém, lecz robota niewykończona, poprawiana i t. d., urywa się też niebawem, k. 191 wydarta; na k. 192—204 mieści się rejestr tylko do pięciu części pierwszéj księgi.

Cóż zawiéra ten olbrzymi foliant, nad którym sędziwy poeta do ostatnich dni życia, przy końcu tak samotnego i opuszczonego, a przecież zawsze jeszcze pracowitego, poświęconego nauczaniu, przestrzeganiu, a choćby zabawianiu bliźniego, się trudził? Czy to znowu tylko coś w rodzaju Pocztu herbów, który mimo błysków zdrowéj myśli, jędrnego wysłowienia, satyrycznych wycieczek, jednostajnością tonu i treści najwytrwalszego czytelnika w końcu znuży i odepchnie, jeśli wprzód nie uśpi?

Bynajmniéj. Zawistny tylko los zrządził, że drukiem właśnie słabsze dzieło ogłoszono, a ciekawsze ze wszech miar zostało w ukryciu. Potocki Adagia Erazma pokolei wypisuje, tłómaczy je nieraz jędrném polskiém przysłowiem, potém omawia każde obszernie, albo moralizując na temat, albo ilustrując je obszerniejszém opowiadaniem lub krótszą anegdotą; bogactwo inwencyi a łatwość wysłowienia, starcza gadatliwość też, u niego tak wielkie, że zazwyczaj nie zadawala się jednym wykładem tematu, lecz wraca do niego po kilka razy, przedstawia go z téj i z owéj strony, trafniéj lub nie, zawsze jednak w owym niezrównanym języku, malowniczym, dobitnym, bogatym.

Czerpane z najrozmaitszych opowiadania i anegdoty źródeł, z facecyi, nowel, dziejów, jakie przeplatają wiersze moralizujące, powstały jednak wcześniéj, nie były napisane dopiéro dla Moraliów umyślnie; poeta wybrał je z prac dawniejszych i poprawiwszy, wygładziwszy miejscami, wcielił do nowego zbioru. Tym dawniejszym zbiorem był ów „Ogród ale nie plewiony Bróg ale co snop to inszego zboża Kram rozlicznego gatunku” i t. d., którego rękopis, znowu ręką poety pisany, znowu ze zbiorów Załuskiego, Ces. Biblioteka Publiczna (pod znakiem: Polskie XIV, folio n-r 33) przechowuje. Pięć części „Ogrodu” obejmuje na 1,000 stronicach wiersze najrozmaiszéj treści: religijne, teolo-

giczno-polemiczne, polityczne, satyryczne, moralne, skargi i żale, opowiadania i żarty, przygody własne i obce, anegdoty z książek i życia, wszystko pisane w ciągu lat kilkunastu. Otóż „Narracye" (opowiadania) tego zbioru, albo „Przypowieści" włączył poeta do późniejszego zbioru Moraliów. Wspominamy o tém tak obszernie, by zwrócić uwagę przyszłego wydawcy Ogrodu — a na wydanie Ogród zasługuje bardzo, jako najciekawsze poetyckie dzieło całéj dawnéj Polski — że „przypowieści" Ogrodu drukować należy wedle tekstu poprawionego, ustalonego przez poetę samego w Moraliach; litera P, wpisana przy poematach Ogrodu, charakteryzuje je jako „przypowieści".

Tu, gdzie o przysłowiach mówić mamy, liczniejszych prób z „Moraliów" Potockiego przytaczać nie możemy; zwracamy więc tylko uwagę na niewyczerpaną ich obfitość i zadawalamy się przytoczeniem kilku wierszy, zawierających rodzaj literackiego *Credo* poety, wycieczki przeciw kobiétom-autorkom, utyskiwania nad niewyrobionością mowy polskiéj, dziwne w ustach tego, który nią władał jak, prócz Reja, nikt przed nim, mało kto po nim.

W czwartéj części „Moraliów", na stronie rękopisu 645 i następnych, omawia Potocki w siedmiu poematach sentencyą „*Aquam bibens nihil boni paries*" (Pijąc wodę nic dobrego nie spłodzisz), którą tłómaczy przysłowiem: „Wodę warząc woda będzie", a stosuje do weny poetyckiéj, któréj inny napój się godzi. Z poematów tych przytaczamy najbardziéj charakterystyczne wiersze:

Myślę, czemu dziś nowi stanieli poeci,
Bo co żywo, i małe piszą wiersze dzieci...
Darmo je pisać, darmo wiersze dawać w druki,
Zwłaszcza polskie, bo gdzie się sylaba nie uda,
Chcąc przybrać jéj podobną, kawi [1]) drugi cuda...
Nic nowego, nic swego nikt dziś nie napisze:
Tłumaczymy bez wszelkich konceptów łacinę,
Własząc [2]) ją i chcąc ludziom udać za nowinę.
Ale kto łacińskiego wiadomy języka:
Ono do pomarańcze, ten rzecze, przytyka.
Ani się każda z każdym materyja zgadza:
Co w tym języku pięknie, to w inszym przeszkadza,
Mianowicie też w polskim, kędy wszystkie giną
Kwiatki, które w łacińskim na cały świat słyną,
Przez co gust najpiękniejsza historyja roni,
Jakbyś trawę do nosa przytykał bez woni:
Lepiejby bajkę, jaką Mamki z swojéj głowy
Dzieciom prawią, o królu pisał i królowie...

---

[1]) kawić cuda tyle co wydziwiać. — [2]) przywłaszczając sobie.

Błazeństwo: drogie wino, wiersze w Węgrzech tanie,
Ba i w Polsce już dzisiaj nikt nic nieda za nie.
Choćci młótem prześmiardną, o koszyckiéj brzeczce [1])
Abo o hanyżowéj piszmy gorzałeczce..,
Kąpię się Węgrzyn w winie:..
Przecież wierszów nie pisze: a ja znam prawdziwie
Zacnych w Polsce poetów na Lelowskim piwie [2]):
Wszystko do horyzontu swojego się składa,
Polak wiersze po winie pisze, Węgrzyn krada...
Niewczymci [3]) się dziś Damy jęły wierszów pisać
Chcąc przy nich wina wedle przysłowia porysać?
To im, że nie umieją, wadzi, po łacinie;
Lepsze męskie o wodzie niźli ich o winie,
Które jeśli zowiemy poetyckim koniem,
Kiedy nań nie wsiadają, cóż niewiastom po niem?...
Cnotliwa, trzeźwa żona — nie smiejcie się, panie —
Za koncept, papier, pióro, za kałamarz stanie:
Choć sama nic nie pisze, dość, że nie przeszkadza,
Nie kłóci, nie hałasi, mężowi dogadza...
Kilką słów sentencyą w łacińskim zawartą
W polskim języku trzeba opisować kartą.
Filozofom dać pokój, gdyż to każdy przyzna,
Że temu nie wydoła uboga polszczyzna,
Jakbyś téż chciał tłumaczyć wierszem astronoma
Abo téż teologa: czego niemasz doma,
Nie kupisz, nie pożyczysz. Przeto, czym kto zdole,
Tym niech robi, trzyma się w zamierzonym kole...
Nie przymusisz, kiedy się nie przyda, sylaby
Insza rzeczy, insza są do pisania słowa:
Tam wystarczyć mogą, tu ginie ich połowa.
Nie wyrażą subtelnych konceptów argucyj:
Któżby się podjął, wierszem wydawać minucyj [4])?

Dzieło, liczące około 40,000 wierszy, kończy Potocki omówieniem sentencyi „*Magnus versator in re pusilla*" (niby „Wielki człowiek do małych interesów), którą tłómaczy „Wielki rozwód w małéj rzeczy":

Zaprzéć trudno, w sprawocie niechybnie ulęgę,
Tak wielką w rzeczach małych napisawszy Xięgę.
Więc że na mnie przypowieść pomieniona kracze,
Przyznaję, że są w każdym rzemieśle partacze,
I między poetami, gdzie — sam sobie wieszczę —
Gdzie się ja téż, z lepszymi stosowany, zmieszczę.
Cóż czynić? Choć nie z orłem, przecież latać sroce,
Która na wszystko, czemu nie zdole, rzegoce.

---

[1]) brzeczka = braha. — [2]) aluzya do Kochowskiego, Młoszewskiego i innych. — [3]) naprawdęż? — [4]) minucje = kalendarze.

Jako lić [1]) kiedy spadnie, choćby struga licha,
Na rzekę przetworzywszy z brzegów ją wypycha...
Odpuść, proszę, kto czyta, że deszczem podparty
Mój herbowną Śreniawą Potok [2]) zalał karty...
Odpuść, gdzie się kilkakroć jedna rzecz powtarza:
Niepamięć winna, że się podobieństwem zdarza
Przypowieść z przypowieścią. Odpuść i Erazma,
Nie mnie, winuj, jeśli gdzie urazi sarkazma.

Już z tych kilku wierszy można się przekonać, co za znaczenie mają „Moralia" Potockiego dla zbioru przysłów, jakie to nieprzebrane ich źródło pierwszorzędnéj wagi; niestety, nikt przed nami dziełem tém się nie zajął. Zwróciwszy więc tylko uwagę na tę kopalnią nie wyzyskaną, cofamy się z XVII wieku do XVI, któryśmy na chwilę, dla Erazma-Potockiego, opuścili.

III.

Na zbiéranie i wydawanie przysłów we wszelakich językach złożyły się w XVI-ym wieku rozmaite wpływy. W pierwszym rzędzie decydowała zawsze jeszcze dążność moralna, dydaktyczna: wówczas gdy ślepo wierzono, że trochę bibuły i czernidła starczy, by głupich mądrymi, a złych dobrymi uczynić, zbiór przysłów, karcących, przestrzegających, wiodących ku dobremu, wydawał się już dzielną dźwignią moralną, niezbędną mianowicie przy kształceniu młodzieży; pedagogiczno-dydaktyczne stanowisko zajmują niemal wszyscy, którzy w XVI i XVII wieku wydają przysłowia. Przyłączają się jednak i względy innego rodzaju.

Po średniowiecznem zaniedbaniu formy, języka, kładzie humanizm właśnie nacisk na szatę zewnętrzną, na ozdobność, poprawność, wykwintność w wyrażeniu i stylu; osiąga je między innymi i staranném zbiéraniem lokucyi łacińskich, przeważnie z języka komedyi Terencyusza. Wymagana dla łaciny forma przenosi się na język własny: gdy średniowieczna literatura zadowalała się tłómaczeniem dosłownem, tak, że oryginał łaciński nierównie łatwiéj zrozumiéć niż tłómaczenie np. polskie, wymagają teraz, nie by słowo słowu, lecz by sens sensowi odpowiadał; przysłowia łacińskiego np. nie przetłómaczą teraz, jak dawniéj bywało, dosłownie, lecz postarają się odnaléść własne, któreby z łacińskiém się zgadzało. Zbiérają więc teraz przysłowia i zwroty ludowe, by niemi tłómaczyć łacińskie; dają je młodzieży

[1]) ulewa. — [2]) Potocki herbu Śrzeniawa = rzeka w polu.

do rąk, by ją przyuczyć do wzorowéj łaciny i trafnego wysłowienia w języku narodowym, starszym zaś, by wykazać bogactwo własnego języka, który klasycznym sprostać wydoła, by ich ubawić i pouczyć.

Przedmowy do zbiorków XVI-go stulecia wyrażają dokładnie te zamiary; mijając inne, wspomnę o rękopiśmiennym czeskim, z czasu około 1570 r., którego autor na wstępie przytacza takie dawniejsze mylne tłómaczenia dosłowne, których się teraz wystrzegać należy, a przez które trafna lokucya łacińska stawała się nietrafną czeską; radzi np., żeby dla oddania łacińskiego przysłowia o „kołaczach bez pracy" obrać czeskie o leniwym, który, leżąc pod drzewem, czeka aż mu śliwka sama do ust wpadnie i t. p.

Łatwo więc zrozumiéć, dlaczego właśnie wszystkie podręczniki dla młodzieży, ówczesne wokabularyusze, słowniczki, gramatyki i t. p. poświęcają osobne karty zbiéraniu i tłómaczeniu przysłów, a późniéj pojawiają się i samoistne ich zbiory. Tak np. wydaje r. 1582 mistrz Jakób Srnec dla uczącéj się młodzieży „*dicteria seu proverbia bohemica*", etc., dzielone na centurye, bez jakiegokolwiek układu, każde przysłowie czeskie (razem jest ich 350) z licznemi cytacyami, głównie z klasyków, porównane, objaśnione co do morału, czasem i co do powstania swego, co do przypadku, z którego urosło; zbiorek doczekał się czterech wydań. Niemal podwójną liczbę przysłów obejmuje, również niesystematyczny, zbiór rękopiśmienny, o którym wyżéj wspomnieliśmy, dwóch Braci Czeskich, Czerwenki i Blahoslawa: wspominamy umyślnie o obu zbiorach, ponieważ nam wyjaśniają pewne polskie przysłowia, których pochodzenie byłoby niezrozumiałe, nasi zbieracze jednak tych źródeł nie uwzględniali. O wiele obszerniejszym był zbiorek sławnego pedagoga-myśliciela Komeńskiego pod tytułem: „Mądrość starych przodków za zwierciadło wystawiona potomkom": gdy w zbiorkach poprzednich przysłowia zrzucone bez porządku i nieraz się powtarzają, Komeński dzieli je wedle dziedzin, z których wzięte, z przyrody, z rzomiosł, z dziejów i t. d., lecz zbiór jego wydano dopiéro r. 1849-go.

U nas szły rzeczy tym samym trybem; najpierw znajdujemy przysłowia polsko-łacińskie przy i po słowniczkach i wokabularzach, np. we „*Formulae colloquiorum*", w „Wokabularzu niemiecko-polskim", w „Namowach rozlicznych dla użytku nauki dziatek wyłożonych" z r. 1527, w rękopisie biblioteki jagielońskiéj z r. 1570 i in.; późniéj wydają pierwszy Salomon Rysiński r. 1618, po nim Grzegorz Cnapius r. 1632, zbiory ich samoistne. Ograniczamy się do tego pobieżnego wyliczenia, ponieważ mamy zapewnienie, że dzieje, stosunki, znaczenie tych zbiorów omówi niebawem kto inny; nadmieniamy tylko dla ciągłości naszego

przedstawienia, że przysłowia Rysińskiego, tym mniéj Cnapiusza, nie są czerpane z ust ludu, lecz z książek i z mowy potocznéj warstwy wykształconéj, t. j. szlachty; że brak nieraz wszelkich wyjaśnień, tak, że możnaby niemal wątpić przy jedném i drugiém przysłowiu, co właściwie ma oznaczać; że przysłowie nie podane zawsze w pierwotném lub właściwém brzmieniu.

Od XVII-go wieku mnożą się zbiorki przysłów, które wszystkie po rękopisach zostały; kilka mniejszych lub większych posiada Ces. Biblioteka Publiczna, głównie z pierwszych lat XVIII wieku, ze zbiorów Załuskiego, który sam w przysłowiach się lubował i zbiérał je, odnośne raptularze jego przechowuje Biblioteka również; ze zbiorów tych nikt dotąd nie korzystał. Najciekawszym pozostanie zbiór Jabłonowskiego, dotąd nie drukowany w całości, lecz znany z licznych wyciągów w trzech tomikach Wójcickiego, „Przysłowia narodowe” (Warszawa, 1830 r.). Wójcicki korzystał z rękopisu p. Kozłowskiego, który część Bibliotece uniwersyteckiéj odstąpił, część zatrzymał; ponieważ nie wiem o dalszych losach rękopisu, wymieniam tu inny, którym w Petersburgu znalazł, kompletny i bardzo pięknie przechowany. Zbiór Jabłonowskiego bowiem ważny dlatego, że po Rysińskim i Knapskim, przytaczających przysłowia zwykle gołosłownie, pierwszy obszerniejsze objaśnienia daje. Wypisów właściwych jednak nie robię, gdyż Wójcicki wiele ustępów dosłownie do swego dziełka wcielił, podał np. i całą przedmowę autora; przytaczamy tu tylko najważniejsze szczegóły.

Gdy JMP Wojewoda na Kienigsztajnie, rozmyślając o zmienności ludzkich kolei, *pour tuer le temps*, jak sam się wyraża, do poezyi się zwrócił, wytłómaczył on najpierw „Telemaka” wierszem polskim, jak przed nim Potocki „Argenidę”—lecz, gdy bramy fortecy wciąż jeszcze przed nim się nie otwierały, zabrał się do nowéj pracy. Wpadła mu do rąk książeczka włoskich przysłów; nadelektowawszy się niemi do woli, zaczął je przepisywać, tłómaczyć i polskiemi objaśniać, nie omijając przytém i ruskich, jako Mazur zrodzony na Rusi; po włoskich dodał od siebie kilka „historycznych” przysłów polskich z objaśnieniami pochodzenia, np. Kiszka w sobolach, (tłucze się jak) Marek po piekle, wykręcił się sianem i in.; podobne objaśnienia, anegdoty i t. d. przytaczał i przedtém. Całemu zbiorowi dał tytuł: „Politika włoska y polska albo przysłowia włoskie po włosku zebrane y na polski ięzyk przetłumaczone, polskiemi y ruznemi (!) reflexyami y przysłowiami przyczynione, w ktorych naywybornieysze wszelkim stanom y kondycyom ludziom (!) pokazuią się, oraz y krotkiemi explicacyami: co się znaczą te przysłowia y do czego się applikowac mogą: Polakom

na naukę, sobie na zabawę, Bogu y N. Pannie na chwałę. W Konigstaynie anno 1715." Ces. Biblioteka Publiczna posiada staranny odpis (pod znakiem Różnych języków, III, Quarto, nr. 6).

Zbiór poprzedzony wychwalaniem nacyi włoskiéj, jéj dowcipu i animuszu, jakie się najtrafniéj w przysłowiach objawiają, które szczególniéj zaleca. Objaśnienia, krótsze przy początku, stają się późniéj coraz dłuższe, obfitsze i uwzględniają statecznie polskie stosunki. Mówiąc np. o woskowym nosie prawa, które nakręcać się da jak kto chce, dodaje, nigdzie tak jak u nas, co my konstytucye konstytucyami mażemy: gdy Lucyper z nieba spadał, rozbiło się ciało jego, głowa upadła na hardych Hiszpanów i obżartych Niemców, nogi na tańczących Francuzów, ręce na drapieżnych Tatarów i Turków, serce na obłudnych Włochów, ale na Polaków tablica, kreda i gąbka: piszcie i mażcie prawa. Przytacza nieraz anegdoty, np. gdy sługa Stadnickiego (Dyabła) prosi Pstrokońskiego w imieniu pana o piéniądze, pyta go biskup: ma wasz pan dyabła? ma, a my co mu służymy dwóch; bije on piéniędzy? bije, i dlatego się go nie trzymają, ale ty biskupie głaszczesz je i dlatego je masz. Anegdoty o błaźnie Jana Kazimierza, który po abdykacyi po koronę wraca, bo król błazeństwo mu zabrał, o Janie Kazimierzu i Warszyckim, utyskiwań na polski nierząd w wojsku i t. d. nie powtarzamy; brata prymasa, Olszowskiego, słudzy witają tak niskim ukłonem jak króla, a przedtym go ani znali; skąpy a bogaty duchowny pyta sług, kto po nim dziedziczyć będzie — żaden nie zgadł, prócz tego, który powiedział: dyabeł; dykterye o szlachcicu, który przed wiejską gromadką Wirgiliusza po łacinie cytował, o dłużniku, który wierzycielowi Bóg zapłać powiedział — na co wierzyciel: nie Bóg ma mi płacić, ale ty i t. d. Dziś, gdzie się tyle rzeczy drukuje, wartoby może i „Politykę" przedrukować.

Nie wadzi zaznaczyć jedno: historyczne objaśnienia, które Jabłonowski daje, są nieraz z gruntu mylne; zaznaczamy to zaś dlatego, że to błąd ogólny. Nie dopiéro w naszém lub w przeszłém stuleciu, ale już w XVI-ym wieku podawano nieraz „historyczne" objaśnienia, to znaczy, łączono całkiem dowolnie, przypadkowo, dane przysłowie z sytuacyą jakąkolwiek, istotną, historyczną, albo i zmyśloną, nie zważając, że przysłowie znacznie starsze niż sytuacya. Np. znane przysłowie „Jeden do Sasa drugi do Lasa" odnoszono u nas do stronników Sasa (Augusta II) i Lasa (Leszczyńskiego), tymczasem przysłowie to istniało już w w. XVI-ym (jeden wół ciągnie sasa, a drugi do lasa); albo „Wyrwał się jak Filip z konopi" odnosił już Benedykt Chmielowski do nietrafnego wystąpienia pana Filipa z Konop, choć taki nigdy nie istniał: Filip nazwa zająca, jak Maciek kota, Marcin małpy i t. p. Początek

przysłowia „Kiedy owcę strzygą na baranie (kozie) skóra drży”, odnoszą Bracia Czescy (Czerwenka i Blahoslaw) do następnego zdarzenia: brat przyrodni króla Jerzego Podiebrada, Szternberg, nie chciał go uznać za króla; otóż jadąc raz do Pragi, zdybał posła z miasta i spytał o nowiny; w Pradze onegdaj ścięto dwóch, którzy króla nie uznawali; zawołał též pan Szternberg na woźnicę: nawracaj, owce strzygą a na kozie skóra drży—bajeczka ładna, cóż z tego, kiedy przysłowie starsze niźli Szternbergi, a sytuacya zmyślona! Otóż w ten sam błąd łączenia przysłów z byle jakimiś zdarzeniami albo wymysłami, popada nieraz i Jabłonowski, jeżeli np. przysłowie „Ten to dyabeł co Ruś wiąże”, łączy z wyprawami kijowskiemi Bolesławów i z wiązaniem pojmanéj Rusi, która myśli, że to dyabelska moc wiąże—to taka sama bajeczka, jak ta np., którą stary Bielski zapisał, że przysłowie „Mądry Polak po szkodzie” (porównaj ruskie: „Ruskoj zadnim umom kriepok”) powstało za Ryksy i Kazimierza Odnowiciela.

Pozostanie jednak zasługą „Polityki włoskiéj”, że zachowała niejedną anegdotę, dziś zapomnianą (np. „Chodzi jak cyc pani N.” — tak się zwał wzorowy jéj chłopak służebny i in.), niejeden szczegół obyczajowy, o którym nie wiemy albo nie myślimy, niejeden jędrny zwrot dawnego języka, nam już obcy.

Nad pracami, jakie u nas w XIX-ym wieku na zbieranie i objaśnianie przysłów łożono, nie możemy się dłużéj zatrzymywać; nie będziemy wymieniali poszczególnie, co zawdzięczamy Wójcickiemu, Wurzbachowi, Lipińskiemu, Darowskiemu; co uzbierali z ust ludu Kolberg, Cińciała, Lompa, Cenowa i inni; ile odnośnych rękopisów, nieraz wcale obszernych, Darowskiego, Jachowicza, Kapliczyńskiego i innych, zalega półki naszych bibliotek. Wyróżnić jednak warto zmianę stanowiska wobec przysłów, jak i wobec wszelkich innych gałęzi literatury ludowéj: dziś nie zbiéra się ich jako krótki wykład moralności lub mądrości życiowéj, nie tłómaczy się nimi przysłów klasycznych — bez względu na moralność lub języki klasyczne stały się nam one zabytkami twórczości ludowéj, świadkami jego dziejów, poglądów, doświadczeń, kluczem jego życia duchowego.

Jako zakończenie tych prac na polu paremiografii polskiéj, przedstawia się nam świéżo wyszła „Księga przysłów” pana S. Adalberga, któréj zadaniem było połączyć i przetopić wszystko, co u nas dotąd zdziałano. Na inném miejscu oceniliśmy sami obszerniéj zasługę mrówczéj téj pracy, nie zrażonéj żadnemi trudnościami, wykonywającéj, o co się daremnie dawniéj kuszono, zapełniającéj wielką lukę w piśmiennictwie naszém; ponieważ i „Ateneum” sprawozdanie o „Księdze” już umieściło, nie myślimy rzeczy powtarzać. Główny

brak „Księgi” ten, że nie uwzględniła może wszystkich dawnych źródeł, nie mogła wyczerpać nader bogatéj spuścizny, a co zatém idzie, nietylko brak w niéj pojedyńczych, nieraz bardzo charakterystycznych i ciekawych, pozycyi, ale zachodzą i braki albo myłki w tłómaczeniu, objaśnianiu dawnych przysłów. Otóż „Księga” stała się nam podnietą, abyśmy sami zredagowali materyał, któryśmy przygodnie, badając dawne druki i rękopisy, uzbiérali; kilka odnośnych faktów przytoczyliśmy już wyżéj, do innych przystępujemy teraz.

IV.

Przysłowia, zszeregowane lakonicznie po zbiorach, to jak kwiaty zasuszone; nie trzeba ich szukać, ani się po nie chylać, nie mają téż woni, ani barwy. Właściwe ich miejsce pozostanie zawsze w żywéj mowie, w otoczeniu, które im wyrazistość, wrażenie, siłę zapewnia, gdy zamiast długich omawiań, krótko, dobitnie a malowniczo całą sytuacyą, pobudki działania i skutki jego oświecają, fakt chwilowy z wyżyn doświadczenia wiekowego oceniają lub sądzą. Nie darmo téż starała się „Księga”, cytatami z literatury książkowéj wykazać zastosowanie przysłowia, kto go i kiedy używał, lecz dziwnym trafem pominęła właśnie te pomniki, które materyał, jeżeli nie najobfitszy, to najcenniejszy, zawierają. Po książkach bowiem wymogi stylowe, równy ciąg, spokojny pracy umysłowéj, wreszcie wzory obce albo wykluczają użycie przysłowia, albo je bardzo modyfikują; „Księga” czerpie téż stosunkowo liczniejsze przekłady z ulotnych pisemek, z satyrycznéj literatury, z kazań wreszcie (np. Tomasza Młodzianowskiego lub Stanisława Bielickiego), niż z obszernych dziejów lub poematów; domniemane „przysłowia”, czerpane z ostatnich, np. z Kochanowskich, nieraz wcale nie przysłowia, przynajmniéj nie polskie, lecz tłómaczenia łacińskich sentencyi, jak zbytecznie figurujące w „Księdze” zwroty klasyczne (np. Dwiema i sam Herkules nie zdoła; Hańba bohatyrskie dzieci, co i Rysiński za Kochanowskim powtórzył; Co komu rzecze białogłowa, pisz jéj na wietrze i na wodzie słowa i in.), albo téż przenośnie poetyckie lub sentencye, jakie poeta utworzył, a których nikt nie powtórzył.

Żywego, potocznego języka, zwrotów powszednich, codziennéj mowy nie szukajmy u Kochanowskich lub w Biblii, znajdziemy je raczéj w listach lub w mowach sejmowych, mniéj u poważnych statystów, posłów od urodzenia lub dziedzicznych, jak ich z przekąsem nazywano, lecz u tych, co to „z przełaje” do słowa się dorwawszy im-

prowizowali argumenta, docinki, wyzwiska, u których przysłowie bywało nieraz tylko przejściem do „wywabiania" na rękę. Nie myślimy jednak wertować wszystkich korespondencyi, ani też wszelkich mów sejmowych i pozasejmowych, jakie nas doszły; ograniczymy się do spuścizny najstarszéj, a wyłącznie do wieku XVI-go, a i téj nie wyczerpując, wykażemy materyał przysłowiowy, zawarty tylko w kilku publikacyach mów i listów, a dotąd nietknięty.

Zachodzą jednak różnice między mową a listem: list zachowuje myśl i wysłowienie nietknięte, zupełne — mowy sejmowe przekazano nam często streszczone tak, że ledwie główne myśli zaznaczono najkrócéj. Kto sobie zamierzał ułożyć dyaryusz sejmowy, notował na posiedzeniu samém w pugilaresach główne momenta, poczém w swéj gospodzie zapiski rozszerzał, starał się dostać odpis mowy ważniejszéj, jeśli ją „z karty" czytano — przytém wiele szczegółów ginęło naturalnie, o czém się łatwo przekonać można w takich razach, gdzie posiadamy dwa dyaryusze, niezawisłe od siebie, tego samego sejmu, gdzie kontrolujemy, uzupełniamy jeden dyaryusz drugim, np. dyaryusz podhorecki i petersburski sejmu lubelskiego z r. 1569.

Otóż weźmy kilka dyaryuszów sejmowych, ogłoszonych drukiem, mianowicie dyaryusze sejmów r. 1558, 1562 i 1563, 1569. Nie myślimy układać uzbiéranego materyału wedle jakichś rubryk lub grup — dajemy go wedle prostego następstwa kart, z téj przyczyny, że dyaryusze te nie równomierne, a różnic zaciérać nie chcemy. Nie ograniczamy się też do przysłów w ściślejszém znaczeniu słowa, lecz wymieniamy i charakterystyczne zwroty, przenośnie, wyrażenia przysłowiowe.

Na sejmach piotrkowskich r. 1555 i 1558 wodzą rej ludzie stateczni, jak Hieronim Ossoliński, Mikołaj Siennicki, Rafał Leszczyński, poważni, którzy gminnego przysłowia ani wyrażenia nie użyją; jeżeli przytoczą jaką starą przypowieść, to chyba łacińską; jeżeli nadrabiają cytatami, to chyba biblijnemi—sprawa o wiarę, obawa przed „rzymskim panem" i jego „*dominatus*" nad sumieniami, dążenie do kościoła narodowego „bez rzymskich inwencyi" tworzą podkład każdéj myśli, zabarwiają wszelkie mowy: odczytując je, zdaje nam się nieraz, żeśmy na zgromadzeniu u Braci Czeskich lub Kwakrów i Pietystów. W gruncie rzeczy było to nadużyciem, gdyż sejm nie był przecież miejscem, na którém o sprawach wiary rozstrzygać miano, tu można było wnosić chyba tylko sprawy o „angaryach", uciskach, jakie stan duchowny wywierał, przeciw „statutowi".

Właściwém zaś zadaniem tych sejmów była owa osławiona „egzekucya", o któréj, wedle słów p. wojewody, Marcina Zborowskie-

go, „dawno mówią ludzie i, jako ja pamiętam, że od czterdzieści lat o niei zawżdy burda, jeszcze od sejmu onego, co ji szalonym nazwano", egzekucya praw, „abi to, co w statucie stoi, w klobie swej zostało a szeroko się nie rozciągało", egzekucya, pod którą późniéj wtłaczano wszystko, i porządek elekcyi po śmierci Augusta i unię z Litwą i t. d., przez którą pierwotnie rozumiano, „aby statut od deszczki do deszczki — ten zwrot powtarza się stale — był egzekwowany, niczego nie przestępując". Przedewszystkiém należał tu odbiór dóbr koronnych, rozszafowanych lub pozastawianych przez obu Zygmuntów, „łupieżyja" lub „siekucyja", jak ją przeciwnicy nazywali, do któréj panowie, jako głównie zainteresowani, bardzo nie radzi się zabierali. Gdy się obrady 1558 r. przewlekały, wysłało koło poselskie do panów rad Mikołaja Reja z upomnieniem; użył tam poeta-poseł następnego zwrotu: karzcie się Waszmości, jak to mądrym przystoi, ludzkimi przygodami, iż w każdym zamieszaniu nigdy więcéj nie szukają ani pilnują, jedno starszych a przełożonych onej ziemie, tak jako się o tym wielekroć nasłychamy, a zawżdy łacwiej się utaić cyrance niż kaczorowi" (mybyśmy powiedzieli, kto mniejszy to pewniejszy).

Omawiając porządek elekcyi zawczasu, bo „łacno to baczyć, jako ta panna (t. j. Rzeczpospolita) miałaby natenczas siła gamratów (gachów), jeśliżeby nas pan Bóg osierocić raczył", mówi Siennicki, przytaczają i tłómaczą posłowie w swym projekcie „to stare przysłowie a prawdziwe, *peccatum est fieri per plura quod potest fieri per pauciora*, co może być uczyniono krótcej łacwiej i bezpieczniej, czemu woleć, aby to dłużej a z większą trudnością było." Chodziły wtedy jednak pogłoski, że król zawarł już jakieś pakta z Habsburgami, upominano się o nie na sejmie, co króla bardzo obruszyło; gdy na żądanie jego, by wymienić „powiadacza, kto o tym mówić zaczynał, aby się to swowoleństwo ujęło", posłowie się milczkiem rozchodzić chcieli, rzekł Zygmunt: „widzę, że mi tego żyda chcecie zagrześć (t. z. ukryć, zataić), a ja się chcę o nim dowiedzieć, bo ja nie umiem zdradzać Rzeczy Pospolitej". Przysłowie ma być wzięte od biblijnego Tobiasza, grzebiącego pokryjomu Żydów wbrew zakazowi.

Tylko tyle wyjęliśmy z tego dziennika, dodajemy z mowy dawniejszéj (z r. 1553), gdzie o Wołochach i przyjęciu ich do Korony rzecz idzie: Turka na się oburzyć, a pożytek (ziemię Wołoską) stracić, szalonaby to rada a pewnie mówilibyśmy ono stare słowo, nie nadziewałem się tego; mówca przestrzega przed tym burzliwym elementem, (u Wołochów) każdy woli być panem niż owcza-

rzem. Nakoniec nazywają to posłowie „poczciwym (istnym) straceceniem czasu”, tak długie nasze staranie około elekciej poprawienia jednym a jednym słowem (jako mówią) zganić a swego nic lepszego nie podać.

Na sejmach, piotrkowskim z r. 1562 na 1563 i następnym warszawskim, egzekucya zawsze jeszcze na pierwszym miejscu i połączona z nią rzecz o kwartę, o dochody na wojsko, energiczniéj traktowana teraz i wykonywana po części; wtacza się i rzecz o unii z Litwą. Ciągle mowa o „ogoleniu i rozszarpaniu stolicy królewskiej, że ledwo (królowi) samemu chleba dostaje, nietylko aby miał zkąd obronę potoczną pociągnąć” (utrzymywać); kasztelan Lutomierski twierdzi: trzeba statutu Alexandrowego o dobrach koronnych poprawić, bo nigdy nie był *in usu*, zaniechano go. Równo jako kiedy chłop siekierę kupi, jeszczeć nie jest siekiera *in usu*, aż gdy ją na toporzysko wprawi, tedy już robić nią może, także i ten statut był uczynion, ale *in usu* nie był, jak zdechły, a dopiéroby ji (go) odżywiać... boć to ciężki węzeł: *perdet honorem et pecuniam* (straci cześć i pieniądz).

Kanclerz Jan Ocieski zaczął egzekucyę od siebie, „porzezał listy daniny królewskiej” i obmówił się, że o paktach z Habsburgami nic nie wie, „acz mię w tym ludzie niektórzy pokątnie, przy piwie a łojowym słońcu, dotykają”; jeśliże kto co wie, niech tu wystąpi a mówi — jeśli to prawda, niech mi obu synów na pale wbiją, a mnie samego na trzeci pal podle nich, „a jeśliż też to prawda nie jest, niechajże ten, kto o mnie pokątnie przy łojowem słońcu wieści roznosi, pryskowan (piętnowan) będzie.” Dramatyczne to wystąpienie kanclerza traci jednak nieco przy innném wspomnieniu: po jego rychłym zgonie „okazowało się wiele sum, do których się król nie znał, a znajdowało się tego nie mało, aż ku podziwieniu, i weszło było w przypowieść, że nieboszczyk kanclerz Ocieski, jako był mądry człowiek, nic sobie mądrzej nie począł, jeno że przed tym sejmem umarł, nim się tego sprawy otwarły, etc., ale za nasze nie stało.”

W przemowie do posłów wyświadcza król swą dobrą wolę: siedząc na téj stolicy starałem się zawdy, jakoby wżdy za mego panowania rzeczpospolita w dobrym rządzie postanowiona była, a to co zawadzało i przeszkadzało do dobrego, aby się zepchnąć mogło, bo pomnę dobrze, że to jedni pniami, drudzy kłodami nazywali, ale i jedne kłody pogniły, a drugie zasię na toż miejsce nastąpiły, przedsię dosyć zawad się znajduje do dobrego.” On stara się, żeby po sobie dobre rozumienie u ludzi zostawił, bo wszystko inne ustać

musi, sama dobra sława trwa. A k temu jeszcze, gdy się obaczemy, mała nam tu potrzeba, jeno ziemie na trzy łokcie, a jako ono mówią trochę płótna; dobra powieść, ta ostawać musi. O téj trochę płótna i trzech łokciach wspominają i inni mówcy; w jednéj z najdawniejszych pieśni religijnych, zapisanéj r. 1419, uskarża się umierający: gdzie ma siła, ma robota, głupiem robił po ty lata, pięć miar płótna, ośm stóp w grobie, tylkom sam urobił sobie (w odpisie późniejszym: ośm miar płótna, siedm stóp w grobie, tom tylo urobił sobie).

W projekcie, czytanym przez pana Ossolińskiego, dosyć cytacyi łacińskich i innych; w artykule dziewiątym wymagają posłowie, aby z dóbr duchowieństwa na służbę wojennę wyprawowano, czego się duchowni wzbraniali: nawołują ich posłowie do miłości spólnéj „bez któréj i na ziemi źle i do nieba nie puszczą"; trudno się wy oprzecie, jeźli my upadniem; wskazują na Konstantynopol, gdzie dopiéro wtedy kładli Cesarzowi przed nogi srebro i złoto, kiedy już trudno było za nie ludzi dostać. W. K. M. jako ojcu, nie trzeba się oglądać, iż tego się bronią, ale czynić przystoi, jako dobry Ociec albo matka z dziatkami, która, by najwięcéj dzieci płakało broniąc sobie przykładać jakiego lekarstwa, przedsię jednak iż widzi, że bez przyłożenia zdrowie jego byłoby w niebezpieczeństwie, acz z żałością dzierży mu rączki a przykłada przedsię, które potem gdy ku rozumowi przyjdzie, i dziękuje i zasługuje taką pracą i opatrzność, która się około jego działa." W artykule o szkole główném krakowskiéj żądają czterech deputatów do jéj zreformowania, ale takich, aby mogli *rectum iudicium* o tym rzemiośle czynić, gdyżby próżno szewcom aptekarze rewidować poruczono.

Częste są zwroty tego rodzaju: tym nieprzyjacielom, którzy ze strón na nas oczy swe rozdarli — ludzie, jakom i onegda słyszał, łakome oczy na nas przedarli, iż W. K. M. potomstwa nie masz; trzeba się obawiać, aby pod tym płaszczem powinowactwa nie chciano na nas jakiego kaptura włożyć (t. j. nie chciano nas „zebrać", poniewolić; kapłan, płaszcz, słowo dawne, już w XV-ym wieku spotykane, od Czechów przejęte); niechaj Korona nigdy otworem jako nierządna wieś nie stoi (drogę do wsi na noc zawierano); a iż nam idzie nie o skórę, jako mówią, ale o wszystko bezpieczeństwo tego ciała Rzeczypospolitéj i dobrą sławę i t. d. Wszystkie te zwroty wyjęliśmy z propozycji sejmowej, którą podkanclerzy koronny, ks. Piotr Myszkowski, czynił a pan Jan Kochanowski w Satyrze we wiersze przelał, z jednéj z najznakomitszych mów, jakie nam całe stulecie przekazało. Podkanclerzy kończy mowę tak: a iż

to jest fortunny człowiek, który się ludzkiemi przygodami karze (porównaj wyżéj tenże zwrót) a mówią pospolicie, iż Polak aż po szkodzie mądry, JKM napominać raczy, abyście swych szkód nie czekając cudzemi się karali, a z nich przykład brali, bo czego Panie Boże strzeż, rychłoby po wszystkiém było. Nie masz u nas murów ani zamków, ale my jako Polacy po polu się rozsiawszy a jako oni (t. j. Lacedemończykowie), którzy iż murów około miasta nie mieli, gdy byli na szyderstwo pytani, gdzieby swe mury mieli, oni podniósłszy prawe ręce wszytcy krzyknęli to są nasze mury. Także i my... w samym Bogu, a w sprawie swéj nadzieje nasze pokładać możemy, nieprzyjacielowi się też nie wypłaczemy, ani pieniądzmi odkupimy.

Na propozycyą tę wotują panowie rady, pierwszy arcybiskup Uchański, który między innemi zauważył: co się dotycze sejmowych spraw, kiedyby się wszytko, jako jest z dawna napisano, prowadziło, rychlejbyśmy z deszczek wyszli (por. wyżéj o deszczkach statutu); już pomarli pieczętarze, którzy wydawali listy, wiele jako to zową oduznego brali (oduzdne, tryngielt, temu który konia przyprowadzał); co się religiej dotycze, my xięża stoimy przy wykładzie doktorów starych, odwiewamy plewy; już skręcono, zwierciano prawa, dekreta sobie są sprzeciwne i t. d.

Daléj wotują inni, kasztelan sandomierski Stanisław Myszkowski zwraca uwagę na niebezpieczeństwo, gdyby ten pień (egzekucya) już do końca nie był zwalon, który dawno do dobrego zawadza. Aczci o tem mówiąc ciało się na mnie wzdryga, bo mnie samego dolega, acz nie wiele tego mam; gdy kto mało ma, stoi za wiele gdy mu mało wezmą a wszakoż sobie tego nic nie ważąc proszę abyś WKM. z gościńca tego ubitego zwieść się nie dawał... O obronie trzeba innego sposobu szukać... wszakże nie tak jako Niemcy, którzy pierwej namalują niż co uczynią: kasztelan zdaje się wytyka pedanteryą albo powolność niemiecką. Na wotum kasztelana sędomierskiego zgadza się zupełnie kasztelan małogoski Jan Tarło, a o egzekucyi mówi w takiej przenośni: „Rzeczpospolita nasza jest jako matka, która nas wszytki pod płaszczem swym żywi, chowa, jeno że ten płaszcz już bardzo roztargano, na płaty drobniuchne rozszarpano, tak że już tego płaszczyka mało zostawa, i ona matka nasza bardzo już przeziębła, bardzo zmartwiała, że i chodzić nie może na nogach i rękami nas bronić swemi, a tak ją zasię przystoi ożywić nam jako cnym synom, matce swej płaszcz zszyć a te płaty drobne znieść. Ale trzebaćby, aby wszytko co do kąska znieść aby dziura nie była, bo jeźli najmniejsza gdzie będzie a leda o co się

zawadzi, będzie znowu w tym płaszczu wielka szkoda a rozedrze się do końca.” Gdy pan kasztelan nieco później listy swe podawał „do rewizyi”, obmówił się, że nie radby był sam tego początkiem i przed swaty się wyrwał, bo tu nie o skórę ale o całe mięso idzie; podaje to miłościwemu i sprawiedliwemu rozsądkowi króla. Gdy w dalszym trakcie ekzekucyi król przyznał dożywocie córce wojewody krakowskiego na Bieczu, jęli posłowie szemrać, aż jęli niektórzy z panów pytać, cóż tam? Powiedział pisarz kaliski Przyjemski: mówiąć owdzie coś o bąku a o pająku, obawiając się tego, aby snadź w tej exekuciej pająk nie został a bąk się nie przebił. Temat o bąku a pająku porusza się odtąd, niestety, nieraz; temat prastary, o którym już Solon przenośni o cienkiej przędzy był użył.

19 grudnia 1563 ma rzecz Mikołaj Radziwiłł, wojewoda wileński, od posłów litewskich około uniej, wyraża nadzieję, że po dokończeniu tej unji Bóg nas wszystkich pocieszy jeszcze potomstwem królewskiém „tak iż przyjdzie nam na piosnkę onę której X. Arcybiskup w poselstwie swem zacnem na sejm litewski przed lat kilkiem dołożył słowem onem *Łado Łado*; będzie to z łaski miłego Pana Boga *łado* nam wszem wiernym WKM poddanym ku pociesze i weselu osobliwemu, którego i łagodnej jego harmoniej a zgodnej muzyki pomogą nam i oni, którzy w tenże bunt (złączenie) są od przodków WKM wstawieni, jako JM. Panowie Pruscy. 21 stycznia pan wojewoda znowu wyraził otuchę, że akt się niebawem dokończy „tak że się prędko rozjachać możemy ono nasze stare *łado* zaśpiewawszy, bacząc być ten czas naszego dobrego i dzień on *quam fecit Dominus*.” Łado było przyśpiewem gminnych pieśni polskich i ruskich, szczególniej pieśni świątecznych, wiosennych, weselnych.

Pan Wojewoda mówi zazwyczaj z wielkiém namaszczeniem, cytuje chętnie pismo święte, wyraża się nieraz bardzo szumno np. jakoś teraz WKM miejsce zacnej sprawie tej w pośrzodku prawie szerokich państw swoich nad tą Białą Wodą (t. j. Wisłą) złożyć raczył, którą przodkowie WKM. pijając srodzy nieprzyjacielom swym bywali: racz-że też ich przykładem jako po napiciu wody tej tak czynić i t. d. Ale Pan Wojewoda lubi powtarzać, co mu się raz spodobało albo udało, powtarzał on też bez szwanku owe łado, zato powtarzając inną cytacyę dopytał biedy. 19 grudnia oddawszy list wierzytelny zwrócił się ku Radom i Posłom z mową, w której wskazywał pożytki „buntu” (złączenia) i poparł je cytatą: teraz gdy to zjednoczenie nam dójdzie, chcemy onego hymnu Pruskiej wojny (t. j. starej pieśni o grunwaldzkiej) pomagać, który jeśli dobrze pamiętam taki jest: Hej Polanie z Bogiem na nie... Ale 15 stycznia Pan Wojewoda, chcąc przeciw Padniewskiemu

i Zborowskiemu, którzy o usługach i dobrej chęci Polaków mówiąc na kroniki dawne i na świeże fakta się powoływali, że i litewska uczynność była nie mniejsza, że „pomocy spólne także bywały”, powtórzył ową cytatę i usłyszał czego sobie nie życzył, „czego świadkiem jest on hymn polski starodawny o pruskiej porażce, gdzie przodkowie nasi naprzód się potykali, krew przelewali: Hej Polanie z Bogiem na nie, bo nam Litwy nie dostanie” — tu wtrącił kasztelan krakowski, Marcin Zborowski „Ba, Litwy nie dostawa, bo była uciekła” — na co się wojewoda wileński bardzo zachmurzył, ale nie dając się zbić z tropu, oburzenie swoje na niewinnym kronikarzu wywarł, na Kromerze, zowiąc go „mataczem, który wiela zacnych domów skalował nieprawdziwie”. Hymnu tego pewnie więcej nie cytował. Cytuje i łacińskie przysłowia, ale zawsze skromnie, ustępując „palmy” Polakom, wymawiając siebie i swoich, że u nich pod zimniejszem słońcem umysły tępsze być muszą, u ludzi „z północnego kraju, który *tenuitatem naturae* sprawuje”; raz mówi: widzimy inszę rzecz, niżli jest gdy z sobą mówią udzie jeden z drugim b e z f a ł d o w a n e j t w a r z y.

Marcin Zborowski przytacza, że nie chcieli polscy panowie, zwłaszcza arcybiskup Róża, dopuszczać królowi Aleksandrowi, by ciemiężył Litwę „i oburzył się o to nań król mówiąc k niemu: a nie wieleż to xięże? rychłoś zapomniał dobrodziejstwa mego? Odpowiedział mu na to arcybiskup: nie zapomniałem, ale czynię to, co mi należy. — A cóż? — Uczyniłeś mię arcybiskupem, a ja ciebie królem.” Dalej zaostrza się spór: pan kasztelan twierdzi, że „acz się wyszpociła unia i do prawej wiary swojej jeszcze nie przyszła, ale to zawsze nasza miłość i chuć zakrywała, wiele się milczało, wiele zacierało... co nam podali panowie litewscy około uniej na swem skrypcie, podobniejsze jest m a s z k a r a m, aniželi własnej unii, a niemali być unia, niechajże będzie n a s z e s p e ł n a... przeto już nam WKM racz co dobrego powiedzieć, boć s i ę c z a s e m z k a z a n i a p o l e p s z y c z ł o w i e k. Ale i wojewoda wileński ostrzej się stawia, mówi np. bywa to pospolicie, co się komu śni, że mu się to i na jawie stawa; jakażby to była *majestas* tej *reipublicae* (litewskiej), kiedyby się jej co ująć miało, podobnoby b y ł n a s z s t a w, a i n s z e g o r y b y; chociaż zawsze jeszcze nadrabia skromnością, mówi np. „acześmy *septemtrionales* (ludzie północni) i przyjachaliśmy tu z k r e t o w y m i o c z y m a”, innym razem, gdy ma mówić, oświadcza, że nie potrafi tego tak porządnie „jako JM. Panowie Rada Koronna w radzie siedząc j a k o w i a n e k a głos angielski zgodnie mówić raczyli” — mimo to stoi twardo przy swoich wymogach, a spór obopólny uzmysłowia domowym, litewskim przykładem: „aleć to pospolicie bywa, kiedy mają niedźwiedzia łowić, tedy nań

pierwej psy puszczą, jako dwa tyrani na się, a potem łowca, aby je nań zwiódł i tak go dokonał". Nie brak przymówek, kasztelan zarzuca niemal niewdzięczność Litwie, gdzie wiele Polaków zginęło „i teraz na tę świéżą potrzebę wysłaliśmy prawie jądro z pośrzodku siebie, nie litując braciej i nakładów nie żałując, nie wspominając, że się tam wiele naszych w ten szańc sadziło" (częsty zwrot ówczesny, termin fortyfikacyjny, znaczy: na to niebezpieczeństwo, na ten sztych wystawiało). Wojewoda żąda ciągle głębokiego rozmysłu, bo tu „nie o wioskę idzie", „bośmy nie są od Korony kupieni ani gwałtem wzięci... nie wszyscyśmy kosili siana ani rąbali drew, pozwaliście nas do wolności — jest jarzmo niewoli, ale nie pod ciwunem, nie jako chłop sołtys", potém znowu łagodniéj: „Pan Bóg nas do winnice swojej wezwał i ukazał nam do którego klasztoru a bractwa nas przyłączył a w tym konwencie bracią WM uczynił". Podobne przenośnie z życia klasztornego wówczas nie rzadkie, np. pyta raz pan podskarbi dwóch deputatów, czemu się nie upominali? odpowiada pan Ponętowski: byłem deputatem z panem Kasowskim ale jako mniszy przy opacie (t. z. bez głosu, nie decydując).

Na sejmie 1569 r. dominuje unia nad innemi kwestyami, ale sprawa jéj idzie tak samo, „skrzypiąc", jak przedtém, chociaż nowe osobistości układy prowadzą. Wprawdzie zapewnia kasztelan Sandecki Ossoliński, że „niechcemy my papierem ani woskiem z WM. unią stanowić, jedno sercem braterskiem", ale nowy wojewoda wileński, Mikołaj Radziwiłł (Rudy), choć rad słyszy, „iż z nami nie z papieru ani z wosku unią stanowić chcecie", zastrzega się natychmiast: WM powiadasz, że król polski dawno w Litwie rozkazuje, nie wiem, czy aby już Księdzu Wielkiemu Litewskiemu *requiem* odśpiewano. Te rozmowy mało nie więcéj zburzyły niż zbudowały". Wojewoda przeczy, że darmo czas tracą: nas to barzej dolega, którzyśmy na grzbietach swych nieprzyjaciela odjechali, pragnąc unią stanowić a mówiąc o tym prawieśmy cwałem k niej przypuścili, do któréj kłusem przodkowie naszy postępowali... za czasu i potrzebą, która przodków naszych nie dolegała, bo już to ostatnia Jagła nam dowiera (t. zw. ostatni Jagiełło wiek swój kończy; odtąd imię Jagiełłów nieraz z jagłami zbliżano).

Mikołaj Mielecki, kasztelan wojnicki, odzywając się w młodym wieku pierwszy raz jako rada, mówiąc o unii, twierdzi: „tu chodzimy, jako miedzy dwiema brzytwami, na którą stronę się uchylisz, strzec się trzeba, aby sie nie oberznął" i rozprowadza szeroko to porównanie. Zwięźléj wyraża się o tém kasztelan lubelski, podejrzewa, że nie zwalają na unią—podobno cioska ekzekucya to czyni (myślą ją tém

rozerwać, ale się mylą; cioska, spółimienniczka)... podobno nam przyjdzie na panów Litwinów recesem dowodzić jako na żyda nowym testamentem, bo oni o recesie nie wiedzą. Ostrożny wojewoda wileński, żądając oświadczeń na piśmie, wtacza znany nam już argument: my nie możemy tego wszystkiego pamiętać, bośmy są ludzie zimnych krajów, musimy być do wszystkiego zimniejszy a jako ono szkolska przypowieść (łacińska) pisanie za drugą pamięć stanie i t. d.

W wotach poselskich, gdy Litwa odjechała, wyraża się p. sędzia sanocki: strzeżmy się téj sekwele (argumentacyi): odjechałeś, weźmy mu wieś; gdy wtaczają inne sprawy, Gdańską wojnę, mówi pan podkomorzy chełmski Siennicki: sami to zeznawamy, że chociaż półmisków dosyć, ale pieniędzy mało (wiele do przedsięwzięcia, a środków brak); gdy posłowie żądają, żeby podejrzany im p. Ostafiey (Wołowicz, podkanclerzy litewski) z podlaskich imion przysięgę złożył, broni tego wprawdzie biskup krakowski: wielkać to sekwela: jeśliżeś w podejrzeniu, przysiąż, ale marszałek poselski, pan Czarnkowski, nastaje: byłoby to ku ubliżeniu tym, którzy przysięgli, co by inszego to było, iedno ona przypowieść dawna iż bąk się przebił a muchy powiązły i powtarza rychło: kiedy ten przysięże, wiele ich powlecze za sobą, onoć to co: muchy powięzły a bąk się przebił; ale rzeczy nie postępują naprzód, zawadza, iż ten wrzód panuje między nami—*suspicia* jeden o drugim.

Gdy się posłowie zeszli z pany Radami, napomina ich biskup kujawski: oglądajcie się na swe potomki; jeśli nie zapleciecie warkocza (nie dowiedziecie do końca) tej exekuciej i tey unij, źle będzie; niewierzcie, iż król IM. ugoniwszy swe (swych rzeczy dowiódłszy) innych zaniecha. Biskup płocki „w długich mowach się nie kocha, wszak to *vulgare proverbium* u cudzoziemców, iż *Poloni comiciali morbo laborant* (chorują na sejmowanie), dosyć by to pijanym ludziom sprawować tak, jako my długo sprawujemy a nie obacznie. Pan lubelski każe wpierw oddać każdemu, co jego, inaczéj byłoby to „jako szachowany kapturek” (o obłudności się mówi i niesprawiedliwości). Kanclerz, Dębiński, mniema, że się czas przecież próżno nie trawił, osiągnęliśmy nie jedno, król wieleć dla nas uczynił, Ba godzić się mu podziękować i pocztę wierę dać (t. j. dar, podobnie mistrz Polikarp w wierszu o śmierci z XV-go wieku: chcem do ciebie—śmierci — poczty nosić, aby się dała przeprosić, ale ona nieużyta: chowaj sobie poczty swoje, rozdraźnisz mię tyle dwoje).

Wydatki wielkie, a skarb pusty, więc skargi na poborców, dziwią się, że pobory małe, poradlne przynosi teraz mniéj, niż przed półtoratsa lat, chociaż tyle osiadłości przybyło, zkąd to? Marszałek poselski

objaśnia, że jedni dają (pobory), jako przystoi, a drudzy, jako chcą, poborcy siła sobie biorą, szafarze także, a tak ztąd rzeczypospolitéj szkoda wielka. Inaczéj wyraził to król sam, „że na to baczcie, czemu nie tak wiele przychodzi, ta jest przyczyna, iż *Es Tus Dryja* — ci dają spełna, *Quater* Cynek—już ten co chce, Zes—ten już daje spełna bo na tego wszyscy oczy mają (to się to tak ma rozumiéć: *Es Tus Dryja* ziemianie; *Quater* Cynek panowie bo ich żaden o to niepozowie, choć niedają, i starosta ekzekucjej nie czyni bo sobie folgują; Zes imiona królewskie, bo tym starostowie żadnéj winy nie przepuszczą). Przypowieść tę wziął król od gry w kostki, ale nie wymyślił jéj sam, krążyła ona z odmiankami wtedy po świecie, i tak w czeskim zbiorze przysłów Srneca (drukowanym r. 1582) czytamy: Zíž cyňk nedá, eš tauš nemá, kotr dryge zaplat' a objaśnienie: dworskie to przysłowie, kiedy uboższych a niewinnych o utratę dóbr przyprowadzają i zbytniemi poborami uciskają, bogaczy zaś ochraniają.

W prośbie do króla wyraża się pan sędzia kaliski Potworowski: aby hetmana bez omieszkania dał, bo ludzie bez hetmana jako błędne owce. Coraz częściéj zapisywany w dyaryuszach głos pana Szafrańca z województwa krakowskiego, starosty lelowskiego, późniéj wojewody sandomierskiego, zażywającego wielkiego miru u braci, jemu ofiarował też Rej czwartą część Zwierciadła, ale nieodrodnego od przodków, których ścinano, człowieka niepohamowanego, który też nieraz „z wielką furyą" występuje, na Litwę np. czekać nie chce: Boże uchowaj abyśmy tu mieli czekać, by miało być nic ze wszystkiego, nie będzieć to — wszak każdy ujrzy. Leszczyński przechyla się tym razem do jego mniemania: próżno nas tu zabawiają, wszytko to kulki, bo ja się nigdy nie spodziewam unii, wszytko to my pargaminyśmy pobrali a unij nigdy nie będzie. Szafraniec też protestuje późniéj przeciw odkazywaniu panów rad do posłów, „iż nie może być inaczej: żałosne to są rzeczy Polakom, takowe rzeczy słyszeć – Litewski to strych do nas się przeniósł, bo tam kiedy rzeką nie, to już inaczéj być nie może". On to wykrzykuje „my żadnego poboru nie damy—wolimy zginąć z majętnościami i z dziećmi, niżlibyśmy nad rozkazanie braciej uczynić mieli", mimo to zapewnia, „że nikomu naprzód dać nie chcą okazaniem wierności i poddaństwa swego przeciw IKM i Rzeczypospolitej, choć tak wiele niewykrzykają jako kto inszy..." „wszakoż na majętności swe kilka nas możem nabyć tego co pobór województwa krakowskiego wyniesie a ja sam naostatek, aczżem się nauczył całą gębą chleb jeść, gotówem sobie obroku ująć a ztąd odjechać wolę ubogo z strony majętności a z nieobruszeniem miłości braci swéj

poczciwej, przed którymi nie chciałbym nigdy nieść zapłonionej twarzy, gdyżem im zawżdy zwykł bezpiecznie w oczy patrzyć".

Gdy wołynianie wahają się przysięgać, upomina ich marszałek poselski, mówiąc też: „zawżdy równy z równego się weseli"; Litwini, wracając na sejm, uskarżają się na starostę żmudzkiego, że Wołyń i Podlasie z Koroną złączono: jużeście nam skrzydła osiekli; potwierdza to król przez podkanclerzego do posłów: nie ledacoć się im (Litwie) stało, opłonęłyć im skrzydła a waszmoście swego patrzcie. Daremnie uskarża się starosta żmudzki, iż nas inakszy skrypt potkał od Waszmościów, niżeśmy się spodziewali — owa jako baba rzekła gdy spadła z góry: co dalej to gorzej", posłowie nie chcą nawet, by król z radami namawiali około podania panów Litewskich; wstrzymuje ich jeden sędzia przemyski, by tego nie bronili; zatym posłowie zamilkli, ale wyrwał się przeciw niemu poseł sieradzki, pan Przerębski: była by to zła sekwela na jednym stanąć; i przewiedziono, że poszli z tym do króla i rad, którzy to bardzo niewdzięcznie przyjęli.

Żądanie Litwy, by i ich pieczęć do konfirmacyi nowego króla przykładano, wywołało srogie spory, jeśli że pozwolić tej pieczęci, czyli się rozjechać i nie mieć uniej? Poznańskie województwo radzi słusznie, lepiej pozwolić, niż byśmy się rozjechali a z pargaminem, a nie z unją do braciej przyjechali; również sandomirskie: dosyćeśmy i przodkowie naszy mieli tych skór i tych pieczęci a jednakeśmy uniej nie mieli; również inni, np. sędzia przemyski radzi, „abyśmy nietelko pargamin mieli ale całą unją", inni zaś nie, trzymają z krakowianami, którzy pieczęci nie pozwolili, np. pan Fredro: djabeł mi po tej uniej, kiedy mię doma złupiono. Wołynianie radzą mądrze: teraz, gdy są przygnani do sieci (Litwa), jeśli odpędzicie, pomnijcie Waszmoście na onę przypowieść: kiedy myśliwiec sieci rozrzuca, tedy gdy do sieci zwierz idzie a drugi go odrazi, bywa mu ciężko i iuż myśliwiec biegając nierychło onego zwierza ugoni a niewiem by ugonił; słyszałem tu od pana sędziego przemyskiego, iż przypominał pogodę pana, że ich do sieci żenie, a nie wiem, będzieli drugi za tymi listy chciał tak do sieci przypądzać, radzę, abyśmy już dopądzali a nie odrażali". Krócéj wyrazili to Rej (w Zwierzyńcu) i Cygański (w Myśliwstwie ptaszém z r. 1584), że skłobiony albo skłabiony (spłoszony) ptak ani do klatki ani do piszczałki łatwo się zwabić nie da („bo trudno sklabiony ptak potym wpędzić w siatkę" Rej).

Arcybiskup Uchański zastrzega się, że przeciw sumieniu mówić nie będzie jako ono mówią po staroświecku by mię miał w stuki zrębać, uchowaj miły Panie Boże! Starosta radziejowski powiedział: próżne są to rzeczy abyśmy mówili, kiedy drudzy mówić nie będą, mamy się kłusać darmo, lepiéj poszlijmy do króla i t. d. Wtaczają się różne artykuły o hetmana, mówi p. Przyjemski, nie zda mi się, aby miał przysiędać, gdyż Polacy zawsze wiarę dzierżą. Ale sejm trwał już tak długo, od stycznia do sierpnia, że zdrowie, środki, cierpliwość w końcu wielu sią wyczerpały; odzywa się téż coraz energiczniéj nasz trybun, pan Szafraniec, a słowa jego „przyjmują wdzięcznie i z wdziękowaniem", np. dosyceście już nastawiali tych sideł na wolności szlacheckie, tego wam jeszcze niedostało, żeby się droga otworzyła instygatorowi kłusać majętnościami ludzi poczciwych, bo założywszy leda przyczynkę, żeś niewydał poboru spełna, pozwać go o majętność; dosyć już tych anszlagów, które są zgotowane na swobody ludzkie... jużeście tak wiele napisali, za tymi pismy waszymi wszystkie swobody ludzkie już się zatrząsnęły, i Boże strzeż aby kiedy te pisma nie musiały się krwią oblać". Gdy marszałek poselski ciągle zwlekał, powiedział mu pan Szafraniec: Panie, jużci ja tego pośmiéchu dłużej cierpieć nie chcę; idzie więc przed króla ze starostą radziejowskim, Leszczyńskim, obaj mówią jednomyślnie: już wszystkie rzeczy są namówione, przedsię do brzegu niesporo (Leszczyński; a przedsię ku końcowi niesporo—Szafraniec), nie wiemy kim się dzieje, my się WKM. opowiedamy, że już dalej trwać niemożemy. Gdy się marszałek Czarnkowski przed królem skarży, żem tu jest *accusatus* —wtrąca mu się Szafraniec w mowę: Panie, mów WM. po polsku, wszakżeśmy tu wszytko Polacy — więc marszałek powtórzył słowo po polsku, i dodał: że to tak rozumiem, że na mnie to wszytko przymawiają, żeby się mną ten sejm przewłóczył— ale osadził go zaraz pan Szafrániec: „nie wiem zaprawdę, co pan tak srogiego o twarzy swej rozumie, żeby tak sroga miała być, żeby mu to w oczy się mówić niemiało i z niepochwaleniem, gdyby się to wiedziało że on tego przyczyną jest". Zwrot: „ja z swych koni mówię (t. z. od siebie) powtarza częściéj.

12 sierpnia żegnają posłowie króla, marszałek ich, Czarnkowski, ma dwugodzinną przemowę, poczém król zabiéra głos i w poważnych słowach jego rozbrzmiéwa uznanie za przeszłe starania, a przestrogi na przyszłość; z uroczystéj téj mowy wybiéramy jeszcze dwa zdania: Niech kto jako chce mówi, iż długi sejm był, ale niech się w tym obaczy, iż się wiele na nim dobrego, pożytecznego sprawiło, pamiętając na

onę przypowieść: choć nierychło kiedy z łaski Pańskiej dobrze (inne odmianki tego przysłowia: nierychło, ale dobrze, lub: dość rychło, jeśli dobrze—tłómaczone z łaciny, Lew Sapieha np. w Liście z r. 1586 pisze: więc mi był na pamięć on wierszyk przyszedł *sat cito, si sat bene)*; nakoniec, gdy ma mówić o ustanowieniu obyczaju elekcyi, przestrzega: Na to się waszmoście oglądajcie, iż za czasu wszytka rada dobra bywa (innemi słowy: nie rychło radzić o tém, co się już stało).

(D. c. n.). *A. Brückner.*



SPRAWA WALUTY.

Często można spotkać się ze zdaniem, że sprawa waluty to rzecz najczystszéj teoryi. Jak mechanik, powiadają, oblicza z jakiego materyału najkorzystniéj byłoby zbudować most, podobnie należałoby z punktu czysto technicznego rozwiązywać zagadnienie, jaki kruszec najlepiéj odpowiadałby wszystkim wymaganiom, stawianym przez warunki obrotu. Jeżeli zaś dzisiaj słyszymy poglądy tak różnorodne w téj kwestyi, dzieje się tak tylko dlatego, ponieważ ludziska nie porozumieli się wzajemnie, oraz nie zbadali dokładnie, co jest lepszém, złoto czy srebro. Niestety, zdanie to mylne. Każde rozwiązanie, które rozstrzyga o zagadnieniach społecznych w oderwaniu od interesów istniejących w społeczeństwie, grzeszy, bo tém samém niewłaściwie stawia kwestyę. Tak téż stało się ze sprawą waluty. Istotnie, spójrzmy na programy partyjne i zbadajmy, kto i w jaki sposób broni téj lub innéj zasady monetarnéj. Spostrzeżemy, że wszędzie, w Europie i po tamtéj stronie Atlantyku, ziemianie są nieprzejednanymi wrogami złota i popiérają srebro z namiętnością, nieznaną w naszém swojskiém życiu publiczném. W pobliskich Niemczech nie ma ani jednego wiecu ziemiańskiego, na którymby nie wypłynął bimetalizm, jako zasadniczy punkt programu agrarnego. Nawet w Anglii, która z srebrem rozstała się dawniéj niż jakikolwiek inny kraj, ziemianie odgrzebali z zapomnienia bimetalizm. Przeciwnie, złoto posiada gorących rzeczników w kołach wszelkiego rodzaju rentyerów, w ostatnich czasach w obronie jego stanęła warstwa pracująca. Wogóle, starczy uważniej przej-

rzéć bieżącą publicystykę w sprawie waluty, a przekonamy się, że różne stronnictwa i przedstawiane przez nie warstwy społeczne niejednakowo spoglądają na obchodzącą nas kwestyę. Ta okoliczność dowodzi, że waluta to nie rzecz abstrakcyi, o któréj można mówić z oderwanego, ogólno-społecznego stanowiska, ale że wiąże się ona z interesami dnia i z aspiracyami téj lub innéj klasy. Nasze téż zadanie będzie polegało nie na analizie, jaka postać waluty jest korzystniejsza dla „społeczeństwa”, ale czemu oddzielne warstwy dążą jedne do złota, inne do srebra i nie mogą z sobą się pogodzić w żaden sposób.

* * *

Ażeby zrozumiéć spory o walutę i pojąć powody niejednakowych sympatyi kół ziemiańskich a rentyerskich, wreszcie zachowanie się skarbu państwowego, musimy zatrzymać się nieco nad warunkami produkcyi obu kruszców szlachetnych, dostarczających materyału na monetę.

Należy w téj mierze odróżnić dwa okresy, jeden przed reformą monetarną w Niemczech, kiedy srebro zostało pozbawione swojego dawnego przywileju, drugi zaś—po niéj.

Okres pierwszy. Każdy towar na rynku waha się około takiego poziomu cen, ażeby otrzymana za niego kwota pieniężna zwróciła koszta produkcyi, oraz dała określonéj wielkości odsetki, podaż zaś i zapotrzebowanie są regulatorami, utrzymującemi ceny na tym poziomie. Ale złoto i srebro w r. 1800 — 1871 w wzajemnym do siebie stosunku były wyjęte z pod tego prawa, rządzącego ceną na rynku, bo prawo ustanowiwszy pomiędzy niemi skalę wartościową, wyrażaną przez liczby $1:15^1/_2$ (we Francyi, późniéj w całéj unii łacińskiéj) i 1 : 15.96 (w Stanach Zjednoczonych) i dozwalając na dowolne bicie z obu kruszców monety, oraz przy wypłatach i tranzakcyach równouprawniając oba kruszce w wyłuszczonym do siebie stosunku wartościowym, zniosło tém samém działanie żywiołowych dążności rynku. To téż jakkolwiek w ciągu obecnego stulecia aż do r. 1871 widzimy silne wahanie w rozmiarach produkcyi tego, to znowu drugiego kruszcu, przecież wzajemna ich cena pozostawała bez zmiany. Nie znaczy to jednak, ażeby ich wartość była zawsze tą samą. Nie! Prawo sprzęgło oba kruszce z sobą i utrwaliło ich wzajemną wartość, tak, iż względem siebie były niezmienne. Ale cena tego sprzężenia w stosunku do innych towarów zmieniała się. Kiedy np. odkryto pokłady żółtego metalu w Kalifornii, to lubo wzajemny stosunek sprzężonych z sobą złota i srebra wyrażał się po dawnemu tą samą cyfrą $15^1/_2$, prze-

cież ceny wszystkich innych towarów poszły w górę, t. j. wartość obu metali w porównaniu z wartością innych przedmiotów spadła.

Okres drugi. Po wojnie francusko-niemieckiéj Niemcy zaprowadzają u siebie walutę złotą, Francya zostaje zmuszona zawiesić swobodne bicie w mennicy srebra, Ameryka acz broni srebra, ale równie idzie za tym przykładem, Austro-Węgry i Indye przechodzą do do kruszcu złotego i t. d. Srebro zostaje zepchnięte z uprzywilejowanego stanowiska, jego sprzężenie ze złotem rozerwane, i ono samo staje się zwykłym towarem, podlegającym wszystkim prawom, które rządzą na rynku. Przejście do złota było wywołane w Niemczech względami najprzód politycznemi, powtóre zaś obawą zawikłań finansowych dla skarbu z powodu wzrostu z roku na rok eksploatacyi srebra—wzrostu, który pochodzi z przyczyn stałych, nieprzypadkowéj natury. Istotnie, dobywanie srebra wzmaga się silnie, kiedy złoto pozostało niemal na dawnym poziomie.

	Rozmiary dobytych kruszców (w kilogramach)	
	złota	srebra
przeciętna z lat 1861/5	206,000	904,000
„ „ 1871/5	170,675	1,969,000
„ „ 1881/5	149,000	2,861,000
„ z roku 1893	234,000	5,012,000

A zatém produkcya srebra w ciągu ostatnich lat 30-tu powiększyła się blisko pięć razy, i to pomimo że mennice zawiesiły swobodne bicie i cena białego kruszcu wciąż spadała, aż wreszcie w r. 1893-im w porównaniu z r. 1861-ym stanęła w stosunku 33.12 do 60.59. Ile moglibyśmy wskazać towarów, któreby w tym przeciągu czasu, mimo tak niekorzystnego ukształtowania konjuktur na rynku, tak podniosły swoją produkcyę? I o ile zatém ów wzrost w dobywaniu białego kruszcu byłby większym, gdyby srebro posiadało dawne prawa? Podnosimy to zagadnienie bynajmniéj nie dlatego, ażeby szukać argumentów przeciwko bimetalizmowi, ale celem przedstawienia sytuacyi. Czy wobec takiego wzrostu zasada prawna, sprzęgająca złoto z srebrem, wytrzymałaby próbę? Nie możemy odpowiedzieć na to w sposób stanowczy, ale natomiast możemy z całą pewnością powiedzieć, że gdyby sprzężenie, na przekór warunkom produkcyi, dotrwało, to wartość monety niewątpliwie spadłaby, a może uczyniłaby to nie w stosunku 60.59 do 33.12, lecz w każdym razie „łokieć” monetarny się skurczyłby, i wszystkie towary podskoczyłyby w cenie.

Właśnie bimetaliści dążą do przywrócenia tego sprzężenia. Gdyby zwyciężyli, to skutkiem ich wygranéj mielibyśmy do czynienia

z powszechną zwyżką ceny wszystkich produktów, wyrażaną w sprzężonym metalu: złocie + srebrze.

* * *

A zatém, gdyby przywrócono srebru dawne prawa, to „łokieć" monetarny uległby zmniejszeniu i ta sama wartość sprzedawana lub kupowana wyraziłaby się w większéj liczbie jednostek monetarnych. Jest to założenie, które daje nam klucz do zrozumienia całéj obecnéj walki o walutę, oraz tłómaczy nam sympatye dla srebra ze strony warstw ziemiańskich, niechęć zaś dla niego wśród rentyerów, warstwy pracującéj i skarbu państwowego.

Zaiste, przypuśćmy, że waluta opiéra się na zasadzie bimetalistycznéj i że w ciągu pewnego czasu „łokieć" monetarny skutkiem spadku srebra skurczył się o 25%. Tém samém, cena towarów podniosłaby się o część czwartą, i to tylko w następstwie większéj taniości kruszców, dostarczających materyału na monetę.

Jakie byłyby skutki tego dla ziemian?

Ceny produktów poszłyby w górę, a zatém dochód *brutto* z majątku powiększyłby się cztery razy. Natomiast wydatki bynajmniéj nie uległyby analogicznemu zwiększeniu. Długi i odsetki opłacane pozostałyby niezmienne w dawnéj swojéj nominalnéj wartości, t. j. wynosiłby tyle jednostek monetarnych jak dawniéj. Podobnie stałoby się z podatkami, które wprawdzie zostałyby podniesione, ale to wyrównanie z natury rzeczy opóźniłoby się i obywatel czas jakiś korzystałby z niższéj stopy podatkowéj. Także płaca robocza, acz podniosłaby się z podrożeniem środków żywności, ale uczyniłaby to po pewnym czasie. Wreszcie co do uiszczania długu, faktycznie o 25% mniejsza ilość produktu rolnego byłaby zdolną go zaspokoić. Słowem, jeżeli dochód *brutto* podniósł się, skutkiem skurczenia łokcia monetarnego o 25%, to dochód *netto* wzrósłby w stosunku większym i wraz z tém podobnie zwiększyłaby się wartość majątku ziemskiego.

Podobnie możemy wykazać, że moneta, spadająca w swojéj wartości, t. j. srebrna, jest niekorzystną dla interesów najprzód kasy państwowéj, powtóre zaś wszystkich warstw, żyjących z gotowego dochodu, a zatém rentyerów, przedstawicieli profesyi wyzwolonych, robotników.

Słowem, sprawa waluty jest nawskroś kwestyą antagonistyczną. Warstwy kapitalistyczne, reprentujące ruchomy majątek, klasa robotnicza, wreszcie państwo z natury rzeczy stają po stronie złota, ziemianie zaś sympatyzują z srebrem. Zresztą téj ostatniéj grupie idzie

przedewszystkiém o tani piéniądz i tam gdzie kwestya monetarna, jak np. w Argentynie, przybrała postać zaostrzoną, tam rolnicy gotowi byli posunąć się aż do obrony z orężem w ręku przymusowego obrotu państwowych biletów kredytowych, spadających w swoim kursie. Równie na tém stanowsku stoją „inflacyoniści" w Stanach Zjednoczonych, domagający się nieograniczonéj emisyi papiérów.

Dotychczas zatrzymywaliśmy się w swojéj analizie jedynie nad pojedyńczym krajem i dla niego rozbiéraliśmy dążności monetarne, właściwe oddzielnym kołom ludności. Tém samém usunęliśmy z pod rozpatrzenia czynnik bardzo ważny, mianowicie stosunki międzynarodowe. A tymczasem poszczególne kraje są związane pomiędzy sobą wzrastającą wymianą towarów i ta okoliczność, że w jednych krajach panuje waluta złota, w drugich srebrna, nie omieszkała wywrzéć głębokiego wpływu. Z tego źródła wypływa cały szereg zakłóceń państwowych i prywatnych. Naprzód bowiem każda reforma w kierunku rozszerzenia waluty złotéj przyczynia się do większego obniżenia wartości istniejącego zasobu srebra a tém samém oddziaływa ujemnie na finanse państw, opartych na walucie srebrnéj. Wymownego dowodu dostarczają dzieje Indyi przedgangesowych w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Skarb tego kraju poprostu został zagrożony bankructwem, aż póki nie wycofał się z swego położenia, zawieszając walutę srebrną. Równie w podobném poniekąd położeniu znajdują się obecnie Stany Zjednoczone, które skutkiem nieopatrznych zakupów srebra przez skarb, zawikłały mocno swoje finanse i usiłują je dzisiaj ocalić, namawiając Europę do przywróceniu metalowi białemu jego praw dawnych. Powtóre, istnienie w pojedyńczym kraju obszaru wymiennego różnych zasad monetarnych, wywołuje mnóstwo prywatnych zakłóceń i w ciągu dalszym wikła jeszcze bardziéj sprzeczne w téj mierze interesy. Z wielu wypadków zatrzymamy się chociaż nad następującym, hypotetycznym przykładem. Przypuśćmy mianowicie, że w ciągu lat 1880—1894 cena pszenicy na rynku berlińskim nie zmieniała się i wynosiła dziesięć marek w złocie. Wtedy, odpowiednio do zmian w kursie rubla, cena ta wynosiłaby na nasze piéniądze:

w r. 1881	. . . . .	4.52 rubli
„ 1884	. . . . .	4.85 „
„ 1885	. . . . .	4.67 „
„ 1887	. . . . .	5.55 „
„ 1889	. . . . .	6.66 „
„ 1892	. . . . .	4.90 „

t. j. im niżéj stałby kurs rubla, tém więcéj otrzymywałby za pszenicę nasz obywatel. Jakie byłyby skutki tego na rynku międzynarodowym?

Oto takie, że wywożąc zboże za granicę w latach niskiego kursu i sprzedając ją po cenie niższéj, aniżeli bieżąca na rynku berlińskim, t. j. niżéj 10 marek w złocie za korzec, jeszcze dostawałby on więcéj aniżeli w latach wysokiego kursu. Zyskiwałby przez to jakby premię wywozową. Właśnie taką samą rolę odgrywa srebro w stosunku handlowym krajów eksportowych do importujących. Spadek wartości srebra stanowi jakby premię wywozową dla rolników z krajów, gdzie srebro jest podstawą waluty. Zrozumieli w całéj pełni to niebezpieczeństwo ziemianie niemieccy, którzy dlatego tak energicznie domagają się ustanowienia ruchomych ceł na zboże, przywożone z państw nie posiadających złotéj waluty. Interesy rolników z różnych okolic obszaru wymiennego są więc w zakresie waluty przeciwne sobie: rolnicy eksportujący pragnęliby u siebie zatrzymać srebro, natomiast chętnie zgodziliby się, ażeby złota waluta istniała w kraju, dokąd idą transporty zboża. Równie w takim samym kierunku należy poszukiwać wytłómaczenia owego zwrotu, jaki nastał w poglądach na srebro w kołach przemysłowych angielskich. Bimetaliści usiłują wyzyskać ten fakt, jako dowód, że ich poglądy zwyciężają siłą swojéj logiki, bo fabrykantów i kupców Birminghamu i Manczesteru przerobiły z obrońców złota na zwolenników srebra. W gruncie rzeczy jednak istotną przyczyną zwrotu był tam interes! Anglia wywozi swoje towary prawie wyłącznie do krajów, w których istnieje waluta srebrna. Na tych rynkach, mało jeszcze zależnych od wiru międzynarodowego, cena zależy od mnóstwa okoliczności tradycyjnéj, miejscowéj natury, i mniéj więcéj wyraża się w ciągu lat wielu w téj saméj kwocie jednostek srebrnych, jakkolwiek metal biały spada w swojéj wartości. Towary więc, lubo są sprzedawane według dawnych kursów, w istocie rzeczy jednak są oddawane taniéj, bo otrzymana suma, przełożona na walutę angielską, wynosi mniéj niż ongi. A ponieważ niepodobna marzyć, ażeby Afryka, Południowa Ameryka i Chiny z Japonią przyjęły walutę złotą, przeto wielcy przemysłowcy poczęli agitować na korzyść bimetalizmu, t. j. ujednostajnienia waluty w obszarze wymiennym według zasady, właściwéj mniéj rozwiniętym terytoryom.

* * *

Zatrzymaliśmy się tylko nad punktami wytycznemi. Wykazaliśmy, że sympatye dla tego lub innego kruszcu wiążą się jaknajściśléj z interesami téj lub innéj grupy społecznéj, przytém sympatye owe wyglądają niejednakowo, odpowiednio do tego, czy rozpatrujemy stosunki wewnątrz pojedyńczego kraju lub też ze stanowiska międzyna-

rodowego obszaru wymiennego. Takiém jest jądro sprawy, niekiedy występujące bardzo szczerze w wirze wzajemnéj walki, np. ziemianie niemieccy otwarcie powiadają, że skutkiem zaprowadzenia waluty złotéj zostali okradzeni i że przywrócenie srebra do praw dawnych będzie tylko odwetem dziejowym. Ale taka szczerość bywa rzadką. Każda strona walcząca usiłuje wykazać, że zaprowadzenie tego lub innego systemu monetarnego będzie z pożytkiem dla całego społeczeństwa, nadto zaś sięga po argumenta, zaczerpnięte z techniki dobywania metali, ich obrotu i t. d. Każda z nich obiecuje równie liczne korzyści, zwykle mocno przesadzone. Skutkiem tych argumentów kwestya, już z swojéj natury, bardzo złożona, zostaje jeszcze bardziéj zawikłana aż do tego stopnia, że owo zasadnicze jądro znika zupełnie z przed oczu powierzchownego badacza.

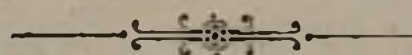
Czy jednak nie istnieją powody, któreby były niezależne od rozpatrzonych względów, a kazały nam oddać pierwszeństwo temu lub innemu metalowi? Owszem, istnieją one, ale niestety nie one stanowią o zwycięstwie tego lub innego kruszcu. Zaprowadzenie waluty złotéj np. w Austryi było nie dziełem względów teoretycznych, ale aktem potęgi politycznéj tych grup, które miały interes w tym systemie monetarnym. Podobnie, gdyby ziemianom niemieckim udało się urzeczywistnić swoje ideały bimetalistyczne, to równie byłoby to przedewszystkiém dowodem ich przewagi politycznéj.

K. R. Żywicki.



Z POWODU STULETNIÉJ ROCZNICY URODZIN

JÓZEFA PAWŁA SZAFARZYKA.



Sto lat upłynęło, gdy w Kobelarowie (Fegepatak) w komitacie Gömer, w Węgrzech, urodził się Józef Paweł Szafarzyk (d. 13 maja 1795 r.). Czechy ocucać się poczęły z uśpienia. Ulegając tym świéżym w narodzie prądom za czasów Leopolda II-go (1790—1792), władze austryackie pozwoliły udzielać lekcyi prywatnych języka czeskiego w gimnazyach. Był to skromny, ale ważny ze względu swych następstw początek. W ślad za nim możni magnaci, hr. Kacper i Franciszek Sternbergowie, krzątali się około założenia muzeum czeskiego, przywiedzionego do skutku w r. 1818. Krytyka naukowa Józefa Dobrowskiego torowała nowe ścieżki w dziedzinie badań historycznych. Lubo w literaturze panował jeszcze kierunek klasyczny i ten wszakże niebawem ustąpił z pola romantykom, skupiającym się pod proporcem Józefa Jungmanna.

Była więc przygotowana gleba dla takich oraczy, jak Józef Paweł Szafarzyk, który, lubo stosując się do woli ojca, Słowaka, gorliwego protestanta konfesyi augsburskiéj, studyował w Käsmarku teologię, jednak, korzystając z chwil wolnych od niemiłego dla siebie przedmiotu, zbiérał pieśni ludowe słowackie i pisywał do czasopism czeskich, a szczególniéj do „Widenských listů" (1813—1817). On i wszyscy spółcześni mu Słowacy, zaliczający się do warstwy, przodującéj oświatą nad innymi współziomkami, nie uznawali swojéj odrębności plemiennéj od Czechów; dlatego téż mowę tych pobratymców za język

literacki uważali. Zmieniły się późniéj pojęcia, które wtedy jeszcze kiełkowały; bo nie było prądów, wytwarzających podobne dążności separatystyczne.

To téż Szafarzyk pierwsze próbki poetyckie kréślił w języku czeskim i ogłosił drukiem w zbiorku p. t.: „Tatranská Musa s lyrou slowanskou" (w Lewoczy, 1814).

W następnym roku (1815) w celu uzupełnienia studyów teologicznych udał się do Jeny. Oprócz teologii, słuchał tam filologii, historyi i filozofii. Pobyt jego w Jenie należał do najprzyjemniejszych chwil życia. Zapisały się one we wspomnieniach jego niezatartemi literami. Wyrażał one często słowy, że Jena była dla niego *exilium corporis, paradisus animae.* Przełożył na język czeski „Obłoki" Arystofanesa i „Maryę Stuart". Po dwuletnim pobycie na wszechnicy i złożeniu egzaminu, trzeba było porzucić mury kochanéj Jeny, kołyszącéj marzenia pełnego nadziei młodzieńca.

W 1818 widzimy go w Presburgu, gdzie otrzymał posadę nauczyciela domowego. Zaledwie zdołał wydać „Poczatkowé czeského basnictwí", tudzież ogłosił rozprawkę o heksametrze w czasopiśmie „Krok" (I, n-r 3), zawezwanym został przez władykę serbskiego do Nowego Sadu *(Neusatz)*, gdzie powierzono mu posadę dyrektora tamtejszego gimnazyum. Na nowém tém stanowisku w latach 1823—1825 ogłosił drukiem wiązankę pieśni słowiańskich, które począł jeszcze zbiérać w Käsmarku (Písne swětské lidu slowenského w Uhrzích); następnie: „*Geschichte der südslavischen Literatur*" (Pest, 1826), „*Gesch. d. slav. Literatur nach allen Mundarten*" (1827) i „*Ueber die Abkunft der Slaven*" (Pest, 1827). W dziele tém rozbiéra krytycznie głośną pracę Surowieckiego: „Śledzenie początków narodów słowiańskich". Dzieło to Surowieckiego wywołało poniekąd tę rozprawę niemiecką.

Niebawem, zatęskniwszy do Pragi, postanowił opuścić Nowy Sadec. Przed wyjazdem napisał „*Serbische Lesekörner* (1833), rozjaśniwszy przeszłość i znaczenie języka serbskiego w stosunku do innych narzeczy słowiańskich. W tym roku przybył do Pragi i na podstawie rozprawy „*Ueber die Abkunft der Slaven*" przygotował do druku wiekopomne w dwóch tomach, wydane przez „Maticę czeską" w r. 1836 dzieło p. t.: „Slowanské starožitnosti" (tłómaczone na język polski przez Bońkowskiego, Poznań, 1842), ponowione w drugiém wydaniu w Pradze 1862 r.

„Slowanské starožitnosti" w niektórych miejscach zbyt rozwlekłe, w innych znowu zatreściwe, świadczą, że materyał, zebrany przez autora, niezawsze był równomierny. Zbrojny w bogatą erudycyę, chromał nieco w wywodach etymologicznych, na

których badania swoje opiérał, co wszakże ówczesnemu stanowisku językoznawstwa przypisać należy. W stosunku atoli do poprzedników swoich, na tém polu, badania jego stanowią ważny postęp. W przedmowie do tomu II-go mówi: „Nie przywłaszczam sobie imienia historyka, coby u mnie marne siebie było omamienie, uważam niniejszą pracę za przedsionek dla przyszłego historyka słowiańskiego, który, przebywając w onym, snadniéj i prędzéj szczytnemu powołaniu swojemu zadosyć uczynić będzie zdolen".

Palacký i Pogodin nietylko, że mu nasunęli wątek téj pracy, ale do wytrwania w niéj zachęcali.

Treścią tego dzieła nazwać można śledzenie początku narodów słowiańskich od czasów najdawniejszych, z uwzględnieniem dziejów zewnętrznych i wewnętrznych. Z tego powodu przeprowadza autor podział na dwie połowice, z których pierwsza obejmuje dzieje od czasów Herodota (456 r. przed Chr.) aż do zupełnego upadku państwa rzymskiego (469—471 r. po Chr.), druga zaś, od V-go aż do X-go w. po Chr.

Z ludów, wyliczonych przez Herodota, tylko Budynów i Neurów ma Szafarzyk za Słowian. Najdawniejszą nazwą Słowian w ustach cudzoziemców jest „Winidy", po raz pierwszy przez Jormandesa przywiedziona. Nazwa ta jednak nie zadawala uczonego Słowaka, dlatego udaje się do Prokopa (540—561 r.). Ten poucza, że dawniejsi Słowianie i Antowie spólne mieli miano „Sporów" (Sporous), t. j. że, rozproszeni, tu i owdzie mieszkali. Szafarzyk w Sporach, idąc za Dobrowským, widzi Serbów, t. j. pierwotne i narodowe imię Słowian. Znajduje on ich nawet u Pliniusza (79 r. po Chr.) i Ptolemeusza (około 161 r. po Chr.). Zadowolony więc tą zdobyczą, autor odrzuca przestarzałe teorye o pochodzeniu Słowian od Scytów, Sarmatów, Traków, Jazygów, Hunnów i Roksolanów. Czas jest wielki — mówi — abyśmy się już po raz ostatni tych scytycko-sarmackich głupstw i zdrożności wyraźnie, otwarcie i stale wyrzekli i z tego etymologicznego błota na stałą, historyczną dziedzinę wybrnęli". Słowianie — według niego—od wieków w czasach przedhistorycznych siedzieli w Czechach, w Illiryi i w Pannonii, skąd przez Celtów wygnani za Tatry. Wyparci przez Germanów z nad Wisły, Odry, z całego pobrzeża Baltyckiego, napowrót w III-ciém st. po Chr. do siedlisk swoich powrócili. Następnie, sprzymierzywszy się z Hunnami (443—453), po upadku swoich sojuszników (469 r.) występują tłumnie ze swoich siedlisk i szerzą się na południe ku Dunajowi i na zachód ku Łabie (Elbie).

W następnych rozdziałach opisuje Szafarzyk szczepy, graniczące z Wendami, t. j. Scytów, Czudów czyli Finnów, Sarmatów (podzielo-

nych przez autora na Jaksamatów, Roksolanów, Jazygów i Alanów), Celtów, Niemców, Litwinów i Traków, do których i Daków zalicza. Nazwę Karpat wywodzi od słowiańskiego *chrib*, *chrb*, t. j. wiérzch, szczyt, lub grzbiet góry. Stąd miano Chorwatów czyli Karpiów, niegdyś tam osiadłych. Sama nazwa „Karpaty” ma być — według autora — zgreczoną, bądź sceltyzowaną. Dokumentu na to żadnego nie przywodzi. Dość mu było trzech dźwięków *krp*, aby z tego utworzyć formę „*chrb*” i na tak wątłym fundamencie wybudować gmach nowéj teoryi, zadziwiającéj wprawdzie śmiałością kompozycyi, ale nie wzbudzającéj zaufania co do jéj trwałości.

Tom II-gi zawiéra wiadomości o Windach, Antach i Słowianach, tudzież o Słowianach ruskich, bułgarskich, serbskich, czeskich i t. d. W dodatku do obu tomów ogłosił autor odpowiednie wyjątki ze źródeł, ułatwiając czytelnikom łacniejszy onych przegląd.

Przez to, tudzież inne, zwłaszcza w języku niemieckim, dzieła, stał się Szafarzyk głośnym. Otrzymał urząd cenzora i redaktora „Czasopisu czeského Muzeum” (1837). Rząd pruski ofiarował mu nawet katedrę slawistyki, dając do wyboru bądź Berlin, bądź Wrocław, Szafarzyk podziękował wprawdzie, lecz katedry nie przyjął.

W r. 1840 r. do spółki z Palackým wydał „*Die aeltesten Denkmähler der boehmischen Sprache*”. Pomniki te zawiérają: Rękopis Zelenohorský czyli głośny w swoim czasie „Sąd Lubuszy” i „*Mater verboram*”, t. j. dykcyonarz uniwersalny z X-go wieku.

Oba te zabytki, odkryte przez Hankę, do bardzo podejrzanych należą. Oprócz tego wydrukowano tam Fragment ewangelii św. Jana z X-go wieku i Przywilej fundacyjny Spicygniewa (1055—1061), nadany kolegiacie litomierzyckiéj.

W następnym roku (1841) mianowany został kustoszem biblioteki uniwersyteckiéj w Pradze. Wtedy to ogłosił „Slowanský Narodopis” (przekład polski Dahlmana w Wrocławiu 1843 r.). Jestto treściwa popularna książeczka, zawiérająca pouczające wielce wiadomości etnograficzne o plemionach słowiańskich. Pamiętny rok 1848 obdarzył go katedrą profesorską przy uniwersytecie, krótko wszakże wykładał, bo już w 1849 pozbawiono go tak zaszczytnego stanowiska. Pracując w bibliotece, przygotował do druku: „*Ueber die Heimath und den Ursprung des Glagolitismus*” (1858 r.), a poprzednio jeszcze: „Památky hlaholského pisemnictwí” (1853 r.). Wynalazek głagolicy przypisuje św. Cyrylowi, uważając ją za dawniejszą od Kirylicy.

Mrówcza iście działalność naukowa uczonego wzbudziła zawiść jego nieprzyjaciół. — Rozsiéwano wieści, jakoby zbiory biblioteczne, powierzone dozorowi Szafarzyka, znikały i ulatniały się gdzieś.

Znajomi witali go z szyderczym uśmiéchem. Wydelegowana przez zarząd uniwersytetu komisya, sprawdziwszy zbiory, wykazała niewinność spotwarzonego. Gorycz napełniła jego serce. Nadomiar zgryzot niedostatek rodziny gnębił jego ducha.

Trapiony rozpaczą, postanowił samobójstwem skrócić sobie nić życia. D. 23 maja 1861 r. rzucił się w nurty Wełtawy, a lubo uratowany, umarł w rok późniéj, t. j. 26 maja 1862 r.

Mąż ten posunął naprzód badania w dziedzinie przeszłości wszystkich ludów słowiańskich. Zasługi jego niebardzo są znane, bo któż czyta dzieła uczone i troszczy się o ich autorów? W dziejach wszakże nauki historycznéj imię Szafarzyka nie zaginie.

Justyn Feliks Gajsler



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„O nauczaniu pisowni z zastosowaniem jéj zasad do uchwał Akademii umiejętności" przez Floryana Łagowskiego (Warsz., druk Skiwskiego, 1894, str. 48).

Trudno nie zgodzić się na to, że w ostatnich przynajmniéj kilku lat dziesiątkach niejednostajność i zamieszanie w pisowni naszéj ciągle wzrastały. Taki stan rzeczy musiał zaniepokić przedewszystkiém nauczycieli języka i autorów książek dla młodzieży; za ich téż wpływem i przy ich współudziale wywołano i przyjęto w redakcyi „Biblioteki Warsz." (1882 r.) memoryał Kryńskiego w sprawie pisowni i wysłano do Akademii umiejętności w Krakowie (porówn. „O pisowni polskiéj" napisał Ad. Ant. Kryński, Warsz., 1882). Był to pierwszy w naszych czasach poważniejszy, ogólniejszy objaw w kierunku ujednostajnienia pisowni. Posypały się rozprawy i broszury („W sprawie pisowni polskiéj" głos Jana Karłowicza. Kraków, 1883 i in.). Upłynęło przecież sporo wody zanim doczekaliśmy się rezultatu w téj ważnéj sprawie, zanim zapadły uchwały Akademii (porówn. „Uchwały Akademii z d. 31 października 1891 r. w sprawie pisowni polskiéj", Kraków, 1892, a także „Prawidła pisowni", Warszawa, u Gebethnera, 1893 r. — 8 kartek).

Łatwo było przewidziéć, że jednostajność pisowni wejdzie przedewszystkiém do początkowego nauczania języka; jakoż pojawiły się odpowiednie opracowania: „Podręcznik do systematycznego dyktanda" u Gebethn., Warsz., 1893, wyd. II, 1895; „Wykład pisowni polskiéj" u Paprockiego, Warsz., 1894 (por. „Ateneum", 1894, tom I, str. 198 i nast.), a także broszura p. Łagowskiego, któréj tytuł wyżéj podaliśmy. Broszura, o któréj mówimy, różni się od dwóch poprzednich podręczników: tam znajdujemy materyał do dyktanda, mniéj lub wię-

céj systematycznie ułożony, mniéj lub więcéj trafnie dobrany, — tutaj metodę nauczania pisowni nietylko przy pomocy dyktanda. Broszura wyszła z pod ręki myślącego i wytrawnego pedagoga; nie pozbawiona też jest wielu cennych wskazówek dla mniéj zwłaszcza doświadczonych nauczycieli.

Autor wytknął sobie cel główny: ustopniowanie trudności, przyczém pragnął „przedstawić sposób racyonalnego i systematycznego nauczania ortografii środkami elementarnemi". Pracę swą dzieli na dwie części:

W części I-éj traktuje o wyrazach, które się tak piszą jak wymawiają. Uważając ten rozdział za najlepszą część pracy p. Łagowskiego, zwracamy na niego uwagę pedagogów: znajdą tam oni praktyczne, a mało dotąd uwzględniane, rady, odnoszące się do przygotowawczego okresu, do usunięcia braków ucznia, do „leczenia": wadliwości wymawiania, niedokładności słuchu, niepoprawności języka i t. p.

W części II-éj jest mowa o wyrazach, w których pewne dźwięki inaczéj się wymawiają niż piszą, lub w skład których wchodzą jednobrzmiące litery: *rz—ż*, *ó—u*, *om—on—ą*, *em—en—ę*. Obfitość materyału zmusiła autora do rozdzielenia téj II części znowu na dwie części, a raczéj rozdziały: *a)* w pierwszym jest mowa o wyrazach, których pisownia da się objaśnić na podstawie gramatyki elementarnéj; a więc przy fleksyi: wiecz*o*ru, wiecz*ó*r,—w*o*z*u*, w*ó*z, przy początkowéj głosowni (miękczenie spółgłosek): Bó*g*, Bo*ż*e, mu*r*, mu*rz*e, przy etymologii: rzą*d*, rzą*d*ca, rzą*d*czyni,—wa*g*a, wa*ż*yć; *b)* w drugim rozdziale mówi się o wyrazach, których pisownia opiéra się bądź na zwyczaju, bądź na znajomości języków obcych. Do tego dodano: „Materyał do ćwiczeń i dyktand"—rodzaj słowniczka wyrazów cudzoziemskich i wątpliwych. Zaznaczyć tu musimy, że sporą część tego materyału nauczyciel powinien opuścić, nie chcąc obciążać pamięci ucznia nadmiarem wyrazów zwłaszcza cudzoziemskich, które na pierwszym stopniu nauki języka niepotrzebne, a nierzadko trudne do zrozumienia.

Nauka pisowni p. Łagowskiego opiéra się, jak widzimy, w cz. I na początkowéj nauce języka, w cz. II na początkach gramatyki, w cz. III na przyswojeniu praktycznem pisowni mniéj znanych wyrazów obcych i wątpliwych; w taki tylko sposób metoda p. Łagowskiego da się, sądzimy, najskuteczniéj stosować. Całość pracy — pomyślana systematycznie, wykonana jednak (w drugiéj połowie zwłaszcza) szkicowo; zbytnie natłoczenie szczegółów, bez zachowania perspektywy szkodzi przejrzystości. Autor nie uwydatnia najważniejszych części przedmiotu, nie zacieśnia drobiazgów, a nawet dodaje niepotrzebne

szczegóły: każe np. odróżniać formy dwoma i dwiema (str. 25), czego gramatyka nie żąda (porów. Gramatykę Małeckiego, wyd. VIII, 1891 r., § 94),—mówi o trybie idealnym (str. 25), który to termin sam Małecki dawno pogrzebał. Język p. Łagowskiego dość czysty, korekta staranna, a przecież wkradły się niektóre błędy, i to właśnie w przykładach pisowni: jeżdzę (str. 30), orenlalista, orentować się, ostentaca (str. 43).

Mówiliśmy wyżéj o pierwszym ogólniejszym zwrocie ku ujednostajnieniu pisowni w r. 1882, po dziewięciu latach doczekaliśmy się owego ujednostajnienia w uchwałach Akademii 1891 r., z książek, powyżéj powołanych, widzimy jak ta jednostajność wchodzi do początkowego nauczania: czekamy drugiego zwrotu,—spopularyzowania, rozpowszechnienia jednostajności pisowni naszéj. Kartki, jakie wyszły u Gebethnera, 1893 (zapewne w tym celu), nie dokonają tego. Czekamy podręcznika informacyjnego, czekamy książki popularnéj, któraby uchwały Akademii ogółowi, nie zajmującemu się gramatyką, wyjaśniła praktycznie, dopełniając je słownikiem wyrazów i form wątpliwych. Czekamy podręcznéj książki, w któréjby każdy „piśmienny” śmiertelnik mógł znaléść doraźną wskazówkę. *Wł. N—i.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Ludwik Krzywicki.* **Za Atlantykiem**, wrażenia z podróży po Ameryce. Warszawa, druk K. Kowalewskiego, 1895, str. 340. — W d. 23 maja 1893 r. p. Ludwik Krzywicki opuścił Berlin, a już w d. 3 czerwca tegoż roku widzimy go w New-Yorku. Czy to nie jak u Jules-Verne'a? — Nie. To tylko jakaś dłoń życzliwa, zecerska lub korektorska, kierowana obawą o feralną datę wyjazdu autora w dniu *13* maja, a może i wcześniejszą znacznie, dodała dwójkę do trójki, czy też wstawiła ją na miejsce jedynki... I stało się wedle pobożnéj téj życzliwości, podróżnik nasz szczęśliwie powrócił do Warszawy w połowie listopada 1893 r. Ale „feralizm” pierwotny, nieubłagany, spadł za to na głowę recenzenta. Po sprostowaniu jedynego (jak się zdaje) błędu książki, reszta, pod żadnym względem nieposzlakowana i skréślona nad wyraz zwięźle, treściwie, doraźnie, „pod wrażeniem natychmiastowém” (autor w przedmowie zbytecznie o tém zapewnia), jest chyba do powtórzenia dosłownie i bez cudzysłowów... Naturalnie, poprzestaniemy na kilku wybitniejszych wyjątkach, żałując, że na więcéj nie mamy miejsca. — Brooklyn, 7 czerwca. Nie wiem, skąd powstało wysokie mniemanie o oryginalności amerykanina. Nic monotonniejszego! Ubiór, umeblowanie, tryb życia są niewolniczo jednakie na całéj przestrzeni Związku. Ten sam twardy, czarny kapelusz w chłodnych porach roku, tego samego fasonu słomiany podczas skwarów, te-

go samego stylu meble. Szablon fabryczny wszystko porwał w swoje uściski i zdusił oryginalność drobnego warsztatu. Wszelkie przekroczenia opinia prześladuje, a wykonawcami jéj werdyktów jest podrastająca generacya. Pierwszą rzeczą ze strony europejczyka, który się tu na stałe pragnie osiedlić, jest kupić sobie taki kapelusz jak inni, odziać swoją córeczkę w długą mnisią sukienkę, zgolić brodę... Prasa miejscowa usprawiedliwiała ongi niecne napaści na Chińczyków tém, że swoją konkurencyą podkopują dobrobyt robotników; istotnym jednak powodem była nietolerancya: przybysz ośmielił się mieć inne rysy twarzy, nosił warkocz i szarawary odmiennego kraju. Ściągnąć zaś mu na ulicy te parę łokci nankinu, złota młodzież nie zawsze miała odwagę. — New-York, 9 czerwca. Narody rozsiadły się tu swojemi dzielnicami. Istnieją dzielnice: romańska, chińska, murzyńska, żydowska. Ta ostatnia zajmuje nie mniejszą przestrzeń niż Nalewki ze swoją okolicą. Niegdyś mieszkali w niéj Irlandczycy, obecnie Żydzi wyrugowali ich zupełnie. Niektóre właściwości Nalewek występują w całéj pełni, co więcéj, jeszcze bujniéj zakwitły na gruncie amerykańskim, gdzie policya w nic się nie wtrąca. W Ameryce beczki ze śmieciami na ulicach spotkasz wszędzie,—tutaj kompletnie się piętrzą. Można odgadnąć, co dzisiaj gotowano w tym lub innym domu, zapachy odurzają przechodnia. Wieczorem chodniki zamieniają się na salon: kobiéty karmią niemowlęta, dzieci się bawią, młodzież oddycha miłością. — Buffalo, 14 czerwca. Czy istotnie jestem w Ameryce? Od dwóch dni słyszę wyłącznie polski język, na szyldach czytam polskie napisy. Moc szynków, ale nie Żyd je trzyma tylko Polak... Przedemną kościół św. Stanisława z olbrzymim trzypiętrowym domem, służącym za szkołę... Kolonia polska—*polish settlement* posiada swoją historyę, składającą się niemal wyłącznie z walki pomiędzy konkurującymi księżmi. Kapłaństwo stało się *bussinesem*. Był ksiądz, robił spekulacye i rósł w dolary, dzisiaj jest wart kilkaset tysięcy. Przyszedł inny, założył nową parafię i rozpoczęła się zażarta kłótnia pomiędzy Stanisławowem a Woyciechowem... Ponieważ Woyciechowo głosowało za republikanami, Stanisławowo na przekór popiéra demokratów... — Chicago, 19 czerwca. Ulice bez końca, brudy okropne, nad nimi atmosfera kurzu, sadzy i pyłu, ślady błota na ulicach nawet podczas upału, zaułki nie brukowane, godne jakiegoś Ciechanowa, rzędy wielopiętrowych koszar w środku miasta, daléj szeregi coraz drobniejszych drewnianych domków aż do parterowych, powietrze ciężkie, tamujące oddech w piersi — oto pierwsze wrażenie po przybyciu do osławionego miasta. Bawię już od tygodnia i nie nabrałem jeszcze lepszego wyobrażenia... Przestrzenie niezmierne, ulice ciągnące się po parę mil naszych, drobne domki drewniane — rzekłbyś, że ktoś złożył do kupy kilka setek Szreńsków, Przasnyszów i Radzyminów, tylko szerokie ulice opatrzył siecią drutów telegraficznych i telefonicznych... — Wystawa w Chicago, 24 czerwca. Przedemną przesuwa się fotel na kołach... Rozparła się w nim dama i poufale gwarzy z młodzieńcem popychającym ją z tyłu. Ten młodzieniec, to student uniwersytetu. Kiedy organizowano służbę fotelową, studenci zastrzegli sobie pierwszeństwo i w ten sposób zdobywają środki do

dalszych studyów. Praca nikogo nie wstydzi... A u nas? Nasz student spoliczkowałby tego, ktoby zaproponował mu takie źródło utrzymania. Woli on, ażeby nóżki roztańczonych dam pracowały na niego na dobroczynnych balach, — jałmużna go nie wstydzi, ale praca-by shańbiła... — Hillsboro, 29 sierpnia. Drobna stacya licząca kilkuset mieszkańców. Zmierzch. Wśród nocy zaledwie mogę odnaleść chodnik drewniany; stąpam po nim ostrożnie, bo zeszedłszy znalazłbym się w pośrodku kałuż, dołów i chwastów... A przecież nawet w téj amerykańskiéj Kiernozi istnieje klub, który pośpieszył otworzyć dla nas swoje podwoje... Tutaj-to odbywają się zebrania polityczne i posiedzenia lóż masońskich, włościanie-fermerzy zbiérają się na zabawy lub pogawędkę. I kto wié, czy któryś z tych ogorzałych, rubasznych rolników nie zamyśla o urządzeniu w porze zimowéj wykładów uniwersyteckich. Oświata bowiem w Ameryce zstępuje ze swoich wyżyn mandaryńskich i sama udaje się na spotkanie tłumów. Całe prowincye pokrywają się sieciami „fermerskich instytutów”, stanowiących jakby wędrowny uniwersytet włościański. W mieścinach, sąsiednie uniwersytety zakładają podczas zimy filie, wykłady są prowadzone w sposób popularny, ale systematyczny; wolni od robót fermerzy zjeżdżają z żonami i dziećmi, uczą się i bawią, używając przyjemnie i pożytecznie wczasów zimowych. — Milwaukee, 1 września. Niemcy, Skandynawczycy i Polacy złożyli się tu na ludność, która wynosi dwieście tysięcy głów z górą. W otoczeniu drobnych domków, kąpiących się w zieleni, na olbrzyma wyrasta świątynia pańska i nieproporcyonalnością swoją nadaje obrazowi widok mało licujący z duchem amerykańskim, rozlubowanym w powierzchniach równych, wygładzonych. Zwłaszcza rażą ciężkie, niezgrabne wieże. Ale nie lekceważmy tego dzieła. Nasz rodak amerykański posiada swoją ambicyę i dba o to, aby go w nowym kraju nie wzięto za byle kogo. Źrenicą téj ambicyi są właśnie takie wieże... W roku 1867-ym znajdowało się w Milwaukee wszystkiego 30 rodzin, które przystąpiły do budowy parafii, oddając pod zastaw swoje majątki. Jadący ze mną w téj saméj karetce Niemiec, dziennikarz miejscowy, opowiada mi, że obecnie znajduje się 5,000 rodzin polskich i że rodacy nasi odgrywają w polityczném życiu miasta rolę bardzo znaczną. Mają się dobrze, większość ojców posiada własne domki, inni są fermerami w okolicy. Dodam, że w szkółkach parafialnych znajduje się 4,000 dziatwy i że w tym roku założono wyższą szkołę, gdzie wykładane będą, oprócz polskiego, języki niemiecki i angielski, matematyka, fizyka, stenografia, buchalterya i t. d.—Chicago, City-Hall, 4 września. Dziennik amerykański, to nawskroś produkt bezimienności. Nadaremnie poszukiwalibyśmy tam podpisu pod artykułem. Inaczéj zupełnie bywa w miesięcznikach, w których nawet drobna notatka nie obejdzie się bez imienia autora. W tych bowiem czasopismach zabiérają głos największe powagi i roztrząsają kwestye bieżące. Gazeta zaś zastąpiła kumoszkę, dostarczającą plotek, istnieje zaś po to, by wydawcom przynosiła zyski; o pracy dziennikarskiéj mówi się wprost, jako o fabrykacyi nowinek, — *the making of News*. Redakcya jest w całém znaczeniu słowa, kuźnią, w któréj panują stosunki fabryczne. Są re-

daktorzy - inżynierowie, układający zgóry kampanię dziennikarską, rozsyłający reporterów, węszących, co najbardziéj połechtać zdoła podniebienie i podeszwy publiczności... Puls życia czuć w każdym szczególe gazety. Byle prędzéj i przed innymi, byle rzecz wyglądała jak najbardziéj cudacko i olbrzymio — w tém cały rozum i najwyższe dążenie prasy amerykańskiéj. Statystom i publicystom zamorskim zbywa na poczuciu historyczności, są oni pełni pogardy dla erudycyi bibliograficznéj,.. My mówimy o dziejowych prawach rozwoju, Amerykanin o nich nie myśli. Alboż ulice miast jego nie mówią, że zrobił je człowiek? Umysł wyciąga stąd dalsze wnioski: jak zrobiliśmy ulice, podobnie możemy robić historyę i ulepszać stosunki społeczne... Z uczuciem największéj obojętności pisze Amerykanin o naszych sprawach europejskich. Czujemy przez skórę, że nie wyróżnia on dobrze jakiéjś tam Austryi od Niemiec, Polaków od Węgrów. Anglię jeszcze poważa, bo to jakby cząstka jego ojczyzny, zgrzybiała wprawdzie nieco i niezaradna,—ale rodzicielka. Wilhelma II-go toleruje za jego ekscentryczność, chociaż stawia narówni z Boulangerem, obu zaś chętnie sprowadziłby do Ameryki, aby mieli o sobie odczyty. Więcéj nic go nie obchodzi. Parę razy zadałem sobie tyle pracy, żem zliczył jak dużo polityka europejska zajęła miejsca w gazecie, wypadło, że część 64; zazwyczaj przedmiot ten przedstawiany bywa w sposób humorystyczny i ozdobiony karykaturami.—New-York, 22 października. Rankiem spostrzegłem na ulicy plakaty ligi samokształcenia, oznajmiające, że popołudniu w jéj halli odbędzie się odczyt o źródle przesileń handlowych... Nie omieszkałem skorzystać. Sala odczytowa na drugiém piętrze, wejście bezpłatne. W przedpokoju ogromny stół ze stosami świstków, broszur i rozpraw treści humanitarnéj po cenie niemożliwie niskiéj: o wiwisekcyi, alkoholizmie, postępie, karmieniu dzieci, odpoczynku niedzielnym, hygienicznych warunkach pracy po fabrykach, miłości bliźniego i t. d. W sali na ścianach rozwieszane ustawy ligi i portrety filantropów. Pełno wszędzie książek, elegancko oprawionych w okładki jednakowéj barwy. Siadam na pierwszém lepszém miejscu i ręką sięgam po upominek, na niem rozłożony i oczywiście przeznaczony dla mnie. *Cosmian hymn book!* — zbiór hymnów kosmicznych na cześć wyższéj moralości z dobranemi melodyami. Oko ślizga się po kartkach książki, spotykając pełne uniesienia i panteistycznego fanatyzmu strofki Shelley'a, energiczną lirykę Byrona, utwory poetów zagranicznych w angielskim przekładzie... Humanizm przeważa z każdego wiersza, to energiczny i zuchwały, to rozmarzony i miękki. Sala zapełnia się publiką różnego wieku, płci i zamożności. Młodziuchna *miss* siada przy umieszczoném w kącie pianinie, ktoś wchodzi na trybunę. Przewodniczący bierze do ręki zbiorek hymnów kosmicznych i dyktuje № 84. To znaczy, iż chórem go odśpiewamy. Panienka wydobywa z pianina stosowną melodyę i po sali płyną dźwięki hymnu: *Life let us cherish...* Opiéwa on radości życia: prowadzi on na łono przyrody i każe napawać się jéj wdziękami, wskazuje na wielkie czyny i radzi je szanować, opowiada o miłości i o tém, jak ona uprzyjemnia drogę żywota... Po chórze rozpoczyna się odczyt. Wywody powiérzchowne, wnioski dziecinne. Trwa to z pół godziny,

poczém nowy hymn rozbrzmiéwa w sali — na cześć wzajemnéj miłości. Człowiek dla człowieka niechaj będzie bratem, niech nigdy nie odmawia bliźniemu pomocy moralnéj i materyalnéj, — niewiadoma bowiem godzina, kiedy my sami będziemy potrzebowali ręki braterskiéj... Hymn ów zamknął część pierwszą posiedzenia. Jakiś jegomość z kapeluszem w ręku obchodzi publiczność; ze składki będzie wynagrodzoną *miss* przy pianinie i kaznodzieja... Przerwa chwilowa i znowu chór. Wreszcie rozpoczyna się ożywiona dyskusya na temat odczytu. Osoby z pośród publiczności głos zabiérają. Jedne mówią rozsądnie, inne plotą jak na mękach, ale przewodniczący nikomu nie przerywa. Wolność jest zupełna. Po rozprawach raz jeszcze hymn brzmi z piersi obecnych.... — Tak opowiada p. Ludwik Krzywicki. Nie zachęca, ale też i nie zraża nikogo do zwiedzenia, o ile ochota i kieska dopisują, nowego świata. W téj jego bezstronności i spokoju kryje się jednak pewna zasadzka. Sam on wybrał do wycieczki za Atlantyk porę najprzyjaźniejszą: okres wystawy powszechnéj w Chicago, która nieskończenie więcéj obiecywała, niźli dała, a nawet dać mogła i z tego względu stanowiła w swoim czasie niewyczerpane dla sprawozdawców źródło uwag nietylko poważnych i pouczających, ale i humorystycznych. Blaski i nędze téj uroczystości międzynarodowéj, jéj szczyty i poziomy, podróżnik nasz młody, autor znanego zarysu antropologii etnicznéj p. t. „Ludy", opisał szczegółowo i barwnie w nieprzebraném mnóstwie zdarzeń i sytuacyi drobnych, okolicznościowych, nader urozmaiconych. Dziś oko turysty nie znalazłoby już zapewne na tych miejscach ani setnéj cząstki tych podniet i „możliwości wrażeń... W tym zakresie dobra połowa książki p. Krzywickiego stanowi materyał niemal historyczny, ma wartość stałą, zamkniętą, jako świadectwo o czémś, co już niepowrotnie minęło. Co zaś do szkiców rodzajowych i krajobrazów, pochwyconych przeważnie z okna wagonu, lecz okiem bystrém i w perspektywie głębszego znawstwa, naturalnie stoją one otworem dla konfrontacyi *de visu*. W znaczeniu literackiém zarysy te uważać można, jeśli kto chce, za takie uzupełnienie rozgłośnych w swoim czasie Listów Sienkiewicza, jak kiedy kto, popatrzywszy na zamalowane płótno na stalugach, rzuci okiem dokoła siebie na pracownię artysty, na jego modele i rozwieszone po ścianach wzory kolorystyczne.

„Początkowa nauka fizyki" Władysława Natansona (Warszawa, 1895 r.).

Nie zbyt często głęboka erudycya idzie w parze z darem przystępnego nauczania. Tém miléj przeto uderza podobne zestawienie w naszym uczonym. Niedawno, bo przed paru zaledwie laty, prof. Wł. Natanson wzbogacił naszą literaturę naukową poważném a piękném dziełem „Wstęp do fizyki teoretycznéj". Dzieło to zyskało mu poklask nietylko specyalistów, którzy i przedtém znali i oceniali należycie liczne prace naukowe szanownego profesora, lecz wogóle wszystkich interesujących się poważną nauką. Nieliczną, zapewne, ta garstka była. Dziwić się temu niepodobna, bo przecież i w społeczeństwach zdrow-

szych, bardziéj normalnie się rozwijających, wiedza matematyczno-przyrodnicza niemal że tylko w obrębie uniwersytetów kwitnie i rozwija się.

Do prawidłowego rozwoju nauki potrzebni są pracownicy dwóch rodzai: po pierwsze, badacze praw przyrody, powołanie których polega na wykrywaniu tych praw i rozszerzaniu dziedziny prawdy naukowéj dla niéj tylko saméj, bez względu na cele i zastosowania praktyczne; i powtóre, popularyzatorowie, którzyby prawdy, zdobyte przez badaczy właściwych, robili nabytkiem duchowym ogółu. Jako badacz naukowy prof. Wł. Natanson należy bezwątpienia do uczonych europejskich, i być może nawet, że u obcych jest lepiéj znany i właściwiéj oceniany, aniżeli u nas. W „Początkowéj nauce fizyki” zaś przedstawia nam się jako popularyzator i nauczyciel.

„Początkowa nauka fizyki” na 119 stronicach zawiéra streszczenie najważniejszych praw fizyki. *Non multum sed multa* daje nam autor. Duch nauki odrazu na wstępie ogarnia czytelnika i musi nadać jego poglądom kierunek właściwy. I jakże różni się ta książeczka od znanych nam podręczników fizyki, nawet bardzo obszernych i mających, jako takie, pretensye do ścisłości i dokładności naukowéj! Jak dodatnio się z pomiędzy nich wydziela! Założenie ogólne „Początkowéj nauki fizyki” polega na przeprowadzeniu logiczném i konsekwentném prawa zachowania energii przez wszystkie działy. Jak chemia jest nauką o przemianach materyi, tak fizyka uczy o przemianach energii. I jak nauka chemii polega na zasadzie, że materya jest niezniszczalną, tak téż nowoczesna nauka fizyki polega na zasadzie, · że energia jest niezniszczalną. Bez takiego założenia fizyka będzie zawsze robić na uczniu wrażenie nauki, zajmującéj się tylko opisywaniem mniéj lub bardziéj ciekawych doświadczeń i segregowaniem zjawisk, odbywających się w pojęciu ucznia tylko w gabinecie fizycznym, na kategorye pod nagłówki ciepło, głos, światło, elektryczność i magnetyzm. A przecież tak być nie może. Fizyka jest tak obszerną, jak przyroda; nauka fizyki ma ustanawiać sposoby, które służyć winny do obejmowania przykładów we wszelkich dziedzinach wiedzy przyrodniczéj. Lecz aby takie znaczenie nauczanie fizyki osiągnąć mogło, trzeba na samym początku przedstawiać rzecz w świetle właściwém. A że to jest możliwe, dowodem jest właśnie książeczka omawiana. Z przedziwną łatwością wprowadza autor czytelnika w sferę pojęć pracy i energii. Autor nie bawi czytelnika, lecz uczy go, nie nuży jego pamięci, każąc mu pamiętać formułki, zawierające mniéj lub więcéj trafne określenia, lecz wytwarza w jego umyśle dokładne pojęcie o kwestyi omawianéj; gdzie się zwraca do doświadczenia, nie używa złożonych przyrządów, szczegóły urządzenia których pochłaniać muszą uwagę ucznia i niedostępnych w prywatném nauczaniu, lecz posługuje się przyrządami najprostszemi, a które najwyraźniéj demonstrują co potrzeba. Rzeczy, których przedstawienie w ogólnym tonie byłoby dla ucznia trudno zrozumiałém, naprz. elektrostatyki, autor wolał nie dotykać wcale lub téż zaledwie pobieżnie. Lecz za to sprawy, które się przyczynić mogą do głębszego wrażenia zasad ogólnych, naprz. nauka o ruchu, o cieple i t. d., znalazły miejsca stosunkowo dość wiele. Być może, że sprawiło to pewną nierównomierność w wykładzie; lecz czyż nie wię-

céj chodzić winno o nauczenie zasad i nadanie prawidłowego toku myśleniu, aniżeli o zasób faktów lub doświadczeń?

W szczegółowy rozbiór książeczki wdawać się nie będziemy; jest ona tak niewielka, że każdy interesujący się nią w krótkim czasie przeczytać ją może. Zresztą podaliśmy w swoim czasie dokładne o niéj sprawozdanie we „Wszechświecie" (N. 51 z r. 1894). Zadanie, jakie postawiliśmy sobie na tém miejscu, polega tylko na zaznaczeniu wysokiéj jéj wartości; bo bez przesady powiedziéć można, że każda literatura naukowa poszczyciéby się nią mogła, nietylko biédna nasza.

Tém dziwniejszém wydawać się musi nieżyczliwe przyjęcie, jakie książeczka ta znalazła u naszych sprawozdawców. Mniéj dziwimy się pismom niefachowym („Tygodnik Ilustrowany", N. 10 r. b.), lecz nie możemy pominąć milczeniem sprawozdania, zamieszczonego we wpływowym w dziele nauczania „Przeglądzie Pedagogicznym" (N. 11 r. b.) [1]). Sprawozdawca nazywa system prof. Natansona powierzchownem opowiadaniem luźnych zjawisk, dziwi się, że autor wybrał do luźnéj gawędy z dziećmi fizykę, zamiast anatomii lub fizyologii *(sic!)*, wreszcie radzi przerobić książkę i uzupełnić w zastosowaniu do stanu umysłowego dorastającéj młodzieży. Ależ autor nie przeznaczył swéj książki na gawędy, autor, powiadam jeszcze raz, uczy nie bawi, jakby chciał widocznie pan Wł. P., skoro posądza autora o zamiar męczenia umysłów dziecinnych rozważaniem pojęć z wielu względów niedostępnych i niestrawnych dla ich umysłów. Czyż dać pojęcie o pracy jest trudniéj aniżeli, dajmy na to, nauczyć ułamków? Trzeba tylko umiéć, a prof. Natanson umié i dowiódł właśnie tego w swém dziełku. Szanowny sprawozdawca jest widocznie zwolennikiem dotychczasowego nauczania fizyki podług dobrze nam wszystkim znanych podręczników. Trudno o to polemizować, bo przecież jestto rzecz sama za siebie przemawiająca. Zwróćmy się więc do drugiéj części sprawozdania, gdzie są wytknięte słabe strony książki.

Sprawozdawca wytyka przedewszystkiém, że autor nie podał kategorycznego określenia prędkości, ani zasady równoległoboku sił. Na to odpowiedziéć tylko możemy, że podręcznik fizyki nie jest gramatyką, i że umiejętność fizyki nie polega na pamiętaniu formułek. Sprawozdawca nie wierzy, że „ruchowi poziomemu siła ciężkości nie sprzeciwia się wcale", a przecież to wynika wprost z praw Newtona i przez wszystkich, znających choćby bardzo pobieżnie fizykę, powinno być rozumiane. Niewystarczającém nazywa sprawozdawca pojęcie podane przez autora o sile sprężystości, jako o sile, którą wywiéra sprężyna skręcona, taśma kauczukowa wyciągnięta lub drzewko przygięte. Czegóż sprawozdawca chciał więcéj? Czy teoryi Poissona lub

---

[1]) Pomijamy również sprawozdanie w N. 24 „Przeglądu Tygodniowego" za r. b., które, jakkolwiek zawiera poważne zarzuty przeciw pedagogicznym zaletom dziełka prof. Natansona, jednak przynajmniéj nie razi niepoznaniem naukowych jego zalet. *W. B.*

W. Thomsona? Co jest niezrozumiałe w objaśnieniu rysunku 16-go, jakkolwiek wyprzedza ono zasadę dźwigni? Daléj znów twierdzi pan Wł. P., że nie wystarczają podane wiadomości o pracy i energii. Tak, do otrzymania stopnia naukowego zapewne, lecz trzebaby ogromnie niezdolnego ucznia, aby z podanych wiadomości nie wytworzył sobie właściwych pojęć. Sprawozdawca nie wierzy, że „przyciąganie pomiędzy kamieniem i ziemią z obu stron jest jednakowe, ponieważ zależy zarazem od masy ziemi i masy kamienia". Nie wiemy, jak rozumiéć należy to niedowierzanie sprawozdawcy, lecz nam wydaje się ono co najmniéj bardzo dziwném. I t. d., i t. d. Wszystkie zarzuty są takiego samego rodzaju i świadczą z jednéj strony o niezrozumieniu intencyi autora, z drugiéj — wprost o niekompetencyi sprawozdawcy. Wybierzmy jeszcze kilka jaskrawszych. Poważny zarzut robi sprawozdawca autorowi za to, że przyrządy oznaczone rysunkami 67 i 69 mają być wstawione pod klosz na rys. 65, a jednak są znacznie większe od tego ostatniego. Podobny zarzut policzyć można chyba tylko na karb jowialności sprawozdawcy. Nie godzi się sprawozdawca na takie zdanie: „Czemu więc jedne ciała są ciekłe a inne stałe? Ponieważ temperatury, w których żyjemy, są wyższe od punktów topliwości pierwszych, a niższe od punktów topliwości drugich". Więc to nie jest słuszne? A szanowny sprawozdawca jak sobie tę rzecz przedstawia? Nie godzi się i na to, że „ciepło nie jest żadném ciałem, bo nie posiada masy". Czyż to nie jest najlepszy dowód niemateryalności ciepła? A już najgorzéj rzecz się ma z elektrycznością, bo to, co za najważniejszą zasługę autorowi poczytywać należy, najbardziéj się sprawozdawcy nie podoba. Autor rozpoczyna wykład o elektryczności w sposób mniéj więcéj następujący. Jest płyn, co się nazywa kwasem siarkowym, i metal, co się nazywa cynkiem. Skoro włożymy cynk do kwasu, poczynają wydzielać się pęcherzyki gazu, zwanego wodorem, i naczynie z kwasem dość mocno się ogrzéwa; lecz skoro zanurzymy w ten sam kwas jeszcze płytkę miedzianą i końce płytek cynkowéj i miedzianéj połączymy drutem, poznajemy odrazu, że ciepła w naczyniu wydziela się mniéj. Za to drut się ogrzéwa: w drucie wydziela się tyle ciepła, o ile mniéj wydzieliło się go w naczyniu z kwasem. Oto wszystko jasno, zrozumiale i w zgodzie z zasadą energii. Sprawozdawca zarzuca autorowi, że rozpoczął od działania kwasu na metal, chociaż zjawiska chemiczne nie były poprzednio objaśnione; twierdzi, że byłoby lepiéj i łatwiéj rozpocząć od wzbudzania zjawisk elektrycznych drogą mechaniczną, ponieważ miało ono już podstawy uzasadnione w poprzednich zjawiskach, że cały rozdział jest szeregiem zagadek trudnych do pojęcia. Jednak rzecz się ma wcale inaczéj, aniżeli się panu Wł. P. wydaje. Zaznaczyłem powyżéj, dlaczego zjawiska elektrostatyczne zostały prawie pominięte; one właśnie mogłyby stanowić zagadkę, objaśnienie któréj nie byłoby tak łatwém, jak objaśnienie powstawania energii prądu. Bo autor nie podaje powierzchownego opowiadania luźnych zjawisk, jak twierdzi sprawozdawca, lecz misternie ułożony szereg przykładów przemian energii i dowodów jéj niezniszczalności. Ale to trzeba było

zrozumieć, a wówczas wszystkoby się w innêm świetle przedstawiło i nie robiłoby się moralnéj krzywdy czytelnikom, ostrzegając ich przed niestrawną dla ich umysłów książką.

Co się tyczy zarzutów językowych, jakie „Początkowa nauka fizyki" napotkała, to nadmienić wypada, że nazwy kwas siarkowy, siarkan, kalorya są w literaturze naukowéj równouprawnione z nazwami kwas siarczany, siarczan, ciepłostka; mieć za złe używanie tych lub owych nazw w żadnym razie nie można. Pan Wł. Natanson jest profesorem wszechnicy krakowskiéj, nic więc dziwnego, że używa terminologii ogólnie w Galicyi przyjętéj.

Wiktor Biernacki.

NEKROLOGIA.

† S. p. **Ludwik Kurtzman**, znany tłómacz poezyi polskich, umarł w nędzy 3 maja w Szymanowie p. Rawiczem w Poznańskiém. Kurtzman urodził się 20 lipca 1835 r. w Poznańskiém. Ukończywszy uniwersytet w Wrocławiu, był tamże pomocnikiem kustosza biblioteki miejskiéj przez lat 5 do r. 1867, na którém to stanowisku opracował 2 tomy katalogu alfabetycznego biblioteki, a napisał 80 tysięcy zupełnych tytułów dzieł katalogu cedułkowego. W r. 1879 dostał obowiązek starszego nauczyciela w szkole w Greifenbergu, późniéj w r. 1880 przeniesiony na posadę rektora do Śmigla w Poznańskie. Na posadzie ludowego nauczyciela w Szymanowie pod Rawiczem ostatnich 10 lat ciężkiéj pracy przepędził. Umarł w nędzy Kurtzman. Warto się rozpatrzéć, choć pokrótce, w pracach literackich Kurtzmana, które zawsze miały na celu zapoznanie Niemców z umysłowym ruchem polskim. Oto spis drukowanych ważniejszych prac: „Prelekcye o literaturze polskiéj Cybulskiego", 2 tomy, 1880, Poznań, w których umieścił wiele własnych tłómaczeń poezyi polskich. Bardzo dobry przekład Słowackiego „W Szwajcaryi", 1880, Dioskury Wiedeń, „Pieśń o ziemi", Pola, 1880, Poznań, „*Die Polnische Literatur in Deutschland*", 1881, Poznań; nadto jeszcze ogłosił Kurtzman w wielu niemieckich czasopismach artykuły i sprawozdania o literaturze polskiéj, głównie w „*Magasin für die Literatur des Auslandes*" w Lipsku cenne artykuły o rzeczach polskich. Także pisywał dobrym stylem polskim w „Kłosach", r. 1881, n-r 856, 24, XI, pod pseudonimem Piccolomini. W rękopismach pozostawił wiele tłómaczeń, także i powieści Kraszewskiego, „Boża czeladka" Sienkiewicza, nowele Poradowskiéj, „Bibliografię dzieł niemieckich", odnoszących się do ks. Poznańskiego. W Wiedniu wydał u Hartlebena biografię Kraszewskiego w przedmowie do tłómaczenia „Caprera i Roma", tegoż autora. Wiele z tych prac, które Kurtzman posyłał do druku, zaginęło w ręku niesumiennych ludzi, np. „Bartek zwycięzca" i „Latarnik", Sienkiewicza, oraz Klaczki, studyum o Kraszewskim, na niemiecki tłómaczone, posłał swego czasu Kurtzman do Wiednia dla „Tribüne", którą Grzegorz Smólski wydawał i tam te tłómaczenia zginęły z wielką stratą dla Kurtzmana. Pracując pewien czas w bibliotece Raczyńskich w Poznaniu, ogłosił po niemiecku pracę o historyi powstania téjże bi-

blioteki. Dla téjże biblioteki spisał i ułożył 4 tomy tytułów dzieł. Kurtzman ożeniony był z Maryą Neyówną, córką doktora filozofii, Karola Neya, toruńczyka, dyrektora gimnazyum w Gnieźnie, zmarłego 1850 r., a znanego w dziejach literatury polskiéj, jako redaktor czasopisma „Kościół i szkoła", oraz autor wielu artykułów i rozpraw historycznych i archeologicznych, które w „Przyjacielu ludu" w Lesznie umieszczał. Pisywał także i poezye, a talent swój przelał na córkę, o czém świadczy piękny jéj przekład „Ifigenii", Goethe'go. Marya Kurtzman jest przytém wysoce muzykalną i posiada bogaty zbiór pieśni ludowych z melodyami. Miał w niéj zatém ś. p. Ludwik prawdziwą małżonkę, osładzającą w ciężkich chwilach walki o byt ciężką a żmudną pracę męża. *Ant. Woln.*

† Ś. p. **Edward Prądzyński,** obywatel gubernii piotrkowskiéj, autor bardzo głośnego i dobrze napisanego dzieła p. t.: „O prawach kobiéty" (Warszawa, 1872, drugie wyd. 1875), zmarł w końcu maja r. b. we wsi Wola Więzowa, przeżywszy lat 57.

† Ś. p. **Edmund Wężyk,** inspektor techniczny warszawskiego Towarzystwa ogniowego, jeden z pierwszych wychowańców szkoły technicznéj w Łodzi, którą skończywszy, założył tamże fabrykę przetworów drzewnych. Gdy fabryka się spaliła, przyprawiając właściciela o ruinę materyalną i ciężki uszczerbek na zdrowiu, przeniósł się ś. p. Wężyk do Warszawy i oddał się pracy dziennikarskiéj, pisując w kwestyach technicznych, jak sprawozdania z wystaw specyalnych i t. p. Prócz tego wraz z Michałem Dzikowskim wydawał znane czasopismo humorystyczne „Kolce", „Ostroga"; uczestniczył téż w założeniu „Antraktu", z którego następnie wytworzył się „Kuryer poranny". Osobno wydał broszurę „O suchéj destylacyi drzewa". Zmarł nagle w Warszawie 7 maja r. b.

† Ś. p. **Filip Flamm,** urodzony w Kaliszu, z ojca doktora medycyny w 1828 r., po ukończeniu gimnazyum wstąpił na kursa prawne w Warszawie, a obrawszy zawód prawniczy, kształcił się sam pilnie, badając zarówno literaturę swego zawodu, jak i zastanawiając się nad naturą języka i wymowy Ostatnio był mecenasem przy senacie. Główne jego prace piśmiennicze są: „Rzecz o wekslach i czekach na tle międzynarodowém" (Warszawa, 1882), „Interpretacya kodeksu cywilnego Królestwa Polskiego" (tamże, 1888), „Współki rolnicze ekonomiczne na tle prawodawstwa porównawczego" (tamże, 1890). Prócz tego dość liczne rozprawy prawne i ekonomiczne, odznaczające się gruntownością, pomieszczał w „Gazecie sądowéj", któréj w początkach był współredaktorem, i w „Gazecie handlowéj". Pod koniec życia pracował nad dziełem o Wymowie, część I-szą, traktującą o gramatyce, obrobił już nawet do druku. Zmarł w Warszawie 17 czerwca r. b.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Iюня, 1895 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

---

1. *Aureli Urbański.* **Z za kulis i ze świata.** Szkice, obrazki, humoreski. Tomik II. („Bibl. Powsz.", Nr. 122). Warsz., Paprocki, str. 95 (kop. 10).
2. **Niedola Nibelungów.** Przekład d-ra *L. Germana* („Bibl. Powsz.", Nr. 123 — 128). Warsz., Paprocki, str. 368 (kop. 60).
3. *J. L. de Gresset.* **Vert-Vert** czyli Szpak klasztornego chowania. Poemat żartobliwy („Bibl. Powsz.", Nr. 132). Warsz., Paprocki, str. 30 (kop. 10).
4. **Nowe prawo o lichwie** u nas obowiązujące. Wykład dogmatyczno-krytyczny i porównawczy przez *Franciszka Nowodworskiego.* Warsz., 1895, 8-vo, str. 367 (cena rs. 2).
5. **Dzieje powszechne illustrowane.** Wiedeń, nakł. Franc. Bondy; Warsz., u G. Centnerszwera, zeszyty 19—26 (str. 265—314 i 1—48).
6. **Arcydzieła Szekspira** w przekładach Korzeniowskiego, etc. Lwów, nakł. Księgarni Polskiéj, skład gł. w Warszawie u Centnerszwera. Zeszyty 29—42 (str. 385—555 i 1—458).
7. *Teodor Jeske-Choiński.* **Rozkład w życiu i literaturze.** Studyum. Warsz., 1895, 8-vo, str. 211.
8. *Dr. Bronisław Łoziński.* **Prawo zwierząt.** Lwów, Jakubowski & Zadurowicz, 1895, 8-vo, str. 83.
9. *Kucharzewski Feliks.* **Nasza najdawniejsza książka** o miernictwie. Warsz., skład gł. w księg. E. Wendego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 20.
10. *Wacław Berent.* **Fachowiec.** Powieść spółczesna. Warsz., nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 273.
11. *Klemens Junosza.* **Fotografie wioskowe.** Warsz., nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 221.
12. *Kazimierz Gliński.* **Budownicy szczęścia.** Powieść. Warsz., nakł. księg. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 309.
13. Nemezys życia. *Wincenty hr. Łoś.* **Aktorka.** Warsz., nakł. księg. G. Centnerszwera, 1896, 8-vo, str. 162.
14. *Wincenty hr. Łoś.* **Przy naszych dworach.** Nowele. Warsz., nakł. księg. G. Centnerszwera, 1895, 8-vo, str. 226.
15. *Marya Rodziewiczówna.* **Z głuszy.** Obrazki. Krak., nakł. księg. Spółki wydawniczéj pols., 1895, 8-vo, str. 168.
16. **Ignacy Krasicki** jako prezydent trybunału. Napisał *J. Tretiak.* Krak., nakł. Akademii umiej., 1895, str. 37.
17. *Ks. Devivier.* **Krótki zarys** apologii chrześciańskiéj. Przekład z czwartego francuskiego wyd. Warsz., 1895, druk Józ. Zawadzkiego w Wilnie, str. 291.
18. *Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).* **Kroniki,** 1875—1878. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 416.
19. *Cezary Jellenta.* **Wszechpoemat** i najnowsze jego dzieje. Warsz., G. Centnerszwera, 1895, 8-vo, str. 332.
20. *Klemens Junosza.* **Willa pana regenta** (Obraz z życia wiejskiego). Z ilustracyami Fr. Kostrzewskiego. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa 1895, 8-vo, str. 256.
21. *Stanisław Krzemiński.* **Zarysy literackie.** Warsz., nakł. S. Lewentala, 1895, 8-vo, str. 287.
22. *Ks. Karol Niedziałkowski.* **O chrześciańską zasadę.** Tom II. Warsz., 1895, 8-vo, str. 476.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ:

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowej.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków oolskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się pne doniosłością swoją uwydatniają.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty:

Prenumerata Ateneum w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs. 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Warecka 10.

